MIESIĘCZNIK

10 (25) PAŹDZIERNIK 1984 CENA 50 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631



wśród fanów

PRZEGLĄD FANZINÓW POLSKICH

Wydawanie własnego fanzinu było niemal od początku istnienia ruchu miłośników SF ambicją każdego klubu. Tak więc i u nas nieprofesjonalne magazyny SF mają swoją historię.

Już w 1976 roku zaczął się ukazywać INFORMATOR MIŁOŚNIKA FANTASTYKI. Pisemko to, wydawane w Warszawie aż do rozpadnięcia się OKMFiSF, nie było jednak fanzinem w ścisłym tego słowa znaczeniu, miało raczej charakter wewnętrznego biuletynu informacyjnego (na co wpłynęła objętość pisma ograniczona do 6–8 stron formatu A-4).

Na kolejną próbę przyszło nam czekać do września 1978 r. Było nią wydawnictwo Klubu Miłośników Fantastyki i SF przy Śląskiej Akademii Medycznej SOMNAMBUL. W latach 1978–1979 ukazało się, w nakładzie nie przekraczającym 50 egzemplarzy, 10 numerów SOMNAMBULA. Z dzisiejszego punktu widzenia fanzin ten byłby pozycją wręcz fatalną. Na bardzo niskim poziomie stało opracowanie edytorskie i graficzne, brakowało nawet paginacji. Można uznać SOMNAMBULA za pierwszy polski fanzin, bowiem jego redaktorzy wykorzystywali twórczość członków klubu, dokonane przez nich tłumaczenia i przedruki z prasy, co umożliwiała zastosowana technika kserograficzna. Pismo było redagowane przez Andrzeja Kowalskiego, Andrzeja Wolskiego i Jana Maszczyszyna. Niestety, przetrwało tylko do wakacji 1979 r., kiedy to rozpadł się klub, który je wydawał. Charakterystyczny dla wczesnych fanzinów był stosunkowo niski udział twórczości oryginalnej, wypartej przez powielane wycinki prasowe. Wydaje się, że w niektórych ośrodkach fanziny powstały wcześniej niż niezbędna dla ich istnienia baza, to jest środowisko twórców i tłumaczy-amatorów. Zadaniem ówczesnych wydawnictw była nie tyle prezentacja dokonań ruchu, ile zebranie rozrzucanych po rożnych gazetach nielicznych publikacji o SF i udostępnienie ich fanom. Przykładem tak pomyślanego fanzinu był miesięcznik MATERIAŁY, wydawany w latach 1979–1980 w Poznaniu pod redakcją Mirosława Murawskiego. Pismo w formacie A-4, powielane techniką kserograficzną, składało się niemal wyłącznie z przedruków. Jego wydawanie zarzucono na rzecz KWAZARA w chwili, gdy w poznańskim klubie skupiła się grupa tłumaczy i autorów będących w stanie zapełnić łamy pisma.

W lipcu 1979 ukazuje się także w Warszawie pierwszy – i niestety jedyny – numer zapowiadającego się ciekawie fanzinu PULSAR, poświęconego historii i krytyce literatury SF. Wykonany techniką powielaczową zawierał szkice krytyczne Ryszarda Handkego oraz krótkie recenzje nowości wydawniczych.

Lata 1979–1980 to okres znacznego ożywienia w amatorskim ruchu wydawniczym SF. Starania poszczególnych klubów o wydanie własnego magazynu dokumentuje wiele jednodniówek, mających być zaczątkiem wydawnictw cyklicznych. Klub poznański wydał w 1979 r. MINI-PREZENTACJE i KWAZAR, w niewielkim nakładzie i bardzo nieatrakcyjnej szacie graficznej. W Łodzi ukazał się w grudniu 1979 r. pierwszy numer KURIERA FANTASTYCZNEGO, opracowanego przez Marka Kubalę i Marcina Er Pydę. KURIER był utrzymany – w przeciwieństwie do innych fanzinów – w tonacji kpiny i nie zawsze lotnego humoru, co odziedziczyły po nim jednodniówka ALTAIR z maja 1980 oraz inne łódzkie wydawnictwa.

Wśród ciekawszych jednodniówek z tego okresu należy także umieścić bydgoski MASKON, w interesującym opracowaniu graficznym Wiktora Zwikiewicza, szczeciński „ACT-sf-UAL-Polish Editon" złożony przez Bogdana Jasińskiego i wydaną w Gorzowie Wielkopolskim MOŁNIĘ.

W 1980 roku wystartowały z powodzeniem aż cztery fanziny. Od marca ukazywał się na Śląsku – wydawany przez Andrzeja Kowalskiego – TACHION, biuletyn Korespondencyjnego Klubu Miłośników Fantastyki „Tachion". Pisemko to, o objętości ok. 50 stron (jednostronna odbitka kserograficzna) niewiele różniło się od SOMNAMBULA, z którego często przedrukowywało materiały. TACHION zakończył swą działalność w lipcu 1980 r. po wydaniu czterech numerów.

Nieco dłuższy żywot miał RADIANT, jeden z ciekawszych fanzinów, wydawany w Tomaszowie Mazowieckim z inicjatywy Marka Kamińskiego. RADIANT stanowczo odżegnał się od przedrukowywania wycinków prasowych, opierając się w całości na materiałach oryginalnych, głównie na tekstach debiutantów. Jednocześnie właśnie w RADIANCIE po raz pierwszy w historii polskich fanzinów opublikowali swoje teksty autorzy spoza lokalnego kręgu fanów: Andrzej Trepka i Zbigniew Prostak. Praktyka ta była potem stosowana bardzo często. Plusami pisma były też: odważna publicystyka, humor i dobrze podane wiadomości z historii SF. Ambitne założenie, by fanzin stał się przeglądem polskiej młodej fantastyki nie mogło jednak zostać spełnione ze względu na mały zasięg pisma. Do końca 1981 r. wydano 3 numery RADIANTA.

W przeciwieństwie do fanzinu z Tomaszowa Mazowieckiego pismo warszawskiego SFAN-clubu SFANZIN oparte było początkowo wyłącznie na przedrukach z prasy. Dobór tekstów, dokonywany przez Marka S. Nowowiejskiego, grafika Andrzeja Biedrzyckiego, staranne opracowanie oraz podawanie źródeł przekładów i not o autorach stawiało SFANZIN wśród najlepszych polskich wydawnictw tego typu. Niestety, po jakimś czasie SFAN-owi wyraźnie zabrakło rozmachu. W latach 1980 i 1981 ukazały się po dwa numery pisma (numer 4 był oparty już na materiałach oryginalnych). Wydany w grudniu 1983 r., z blisko dwuletnim opóźnieniem numer 5/6 stanowił już raczej podzwonne dla fanzinu i należy wątpić w jego kontynuację.

Czwartym fanzinem, który zaczął się ukazywać w 1980 r., był pznański kwartalnik KWAZAR. Ustępował SFANZINOWI atrakcyjnością tekstów, a RADIANTOWI poziomem debiutów, bił natomiast wszystkie fanziny na głowę rozmachem (100 stron A-4, sztywna, kartonowa okładka), ceną oraz wytrwałością redakcji. Pismo bowiem zostało przyjęte przez fanów z dużą rezerwą, wytykano mu braki edytorskie, fatalną technikę druku, słabą grafikę i nieuczciwe praktyki w rodzaju nagminnego publikowania opowiadań amerykańskich i angielskich, tłumaczonych z języka rosyjskiego. Przez pięć lat istnienia fanzinu braki te były jednak stopniowo likwidowane i poziom pisma podnosił się z numeru na numer. KWAZAR jest dziś nie tylko najstarszym wychodzącym regularnie fanzinem, ale też wydawnictwem najczęściej ze wszystkich nagradzanym.

W 1981 roku do wymienionych wydawnictw doszedł fanzin WIZJE (z założenia kwartalnik) wydawany w Białymstoku. Skłonny jestem uważać WIZJE za najlepszy polski nieprofesjonalny magazyn SF. Wyspecjalizowane były one w literaturze amerykańskiej, a oprócz ciekawych tekstów charakteryzowały się też wielką starannością edytorską i doskonałym opracowaniem graficznym. Nakładu WIZJI nie udało się ustalić, zaś redaktorzy, tłumacze i graficy skryli się za pseudonimami Aquarius, Virgo, Cancer i Libra. Niestety, po drugim numerze fanzin z nieznanych mi przyczyn przestał się ukazywać.

W sierpniu 1981 r. ukazuje się jednodniówka TLY, która stała się zaczątkiem fanzinu NO WAVE, wydawanego przez wrocławską grupę literacką o takiej samej nazwie. Drukowane offsetem pismo o objętości 24 stron formatu A-4 zawiera wyłącznie teksty debiutantów i nie cieszy się zbytnią popularnością. Ukazały się jak dotąd cztery numery NO WAVE i wydaje się, że klub stracił zainteresowanie dalszym wydawaniem fanzinu.

Rozkwit działalności wydawniczej fandomu został przerwany w grudniu 1981 r. Nie ukazał się pierwszy numer pisma SPECTRUM, planowanej kontynuacji RADIANTA. W swoim czasie mógł wywrzeć duże wrażenie na fanach. Wydany niedawno, stał się raczej ciekawostką. Przez cały rok 1982 ukazywał się tylko KWAZAR i kilka jednodniówek, m.in. FANTASTYKA i ROBOT Śląskiego Klubu Fantastyki oraz FANDOM SFAN-clubu, zawierający twórczość grupy TRUST.

Ożywienie przyniósł dopiero rok 1983. Od stycznia śląski klub wydaje miesięcznik ŚKF FIKCJE. Pismo w zeszytowym formacie i kartonowej okładce, starannie opracowane, z dołączonym do każdego numeru posterem osiągnęło najwyższy chyba wśród fanzinów nakład – 3000 egz. Mimo niezbyt służącej pismu grafiki, zbytniej tolerancji dla debiutantów, którzy fatalnie obniżyli poziom fanzinu oraz częstych publikacji UFO- i demonologicznych (o nieco brukowym charakterze) pismo jak dotąd trzyma się dobrze i cieszy znacznym powodzeniem.

W połowie 1983 r. został wznowiony KURIER FANTASTYCZNY, (od numeru 2 w formacie A-5) niezbyt staranny edytorsko, z celowo kiczowatą grafiką. KURIER ukazuje się dość często, acz nieregularnie, redagowany przez Konrada Zielińskiego i Romualda Szokę. Ostatnio poziom fanzinu wyraźnie się obniżył, zarówno jeśli chodzi o poziom stanowiących jego główną atrakcję dowcipów, jak i samych tekstów. Od pewnego czasu KURIER coraz częściej posiłkuje się przedrukami z ALTAIRA I RADIANTA.

Z nowości 1983 r. trzeba też wymienić serię XYX, nie zasługującą właściwie na nazwę fanzinu, gdyż zeszyty XYX nie zawierają nic oprócz tłumaczeń znanych zachodnich opowiadań. XYX-ów dotychczas ukazało się osiem i cieszą się one wielkim zainteresowaniem. Rok ten obfitował również w jednodniówki, wśród których znalazły się aż trzy wydawnictwa klubu bydgoskiego – NA GRANICY SNU, ZWYCIĘSTWO EISCHTEDA i ARLEKIN. Podobnie jak STREFA i TWIERDZA TRZECH STUDNI (wydawnictwa warszawskiego oddziału PSMF) mają one charakter miniksiążeczek, wypełnionych tylko literaturą.

W ostatnich latach coraz więcej też pokazuje się amatorskich wydawnictw książkowych i coraz częściej znajdują się tam utwory oryginalne, napisane lub tłumaczone specjalnie z myślą o danej pozycji.

Obecnie wychodzą regularnie: KWAZAR, FIKCJE, KURIER FANTASTYCZNY i XYX. Dużo to, czy mało jak na siedmioletnią historię polskich fanzinów? Ostatnio sfinalizowane zostały starania o utworzenie dwóch periodyków Rady Głównej PSMF, nie ustają w staraniach o własny fanzin warszawski i bydgoski oddział stowarzyszenia. Są zatem szanse, że w niedługim czasie sytuacja znacznie zmieni się na lepsze.

Rafał A. Ziemkiewicz



4

To duża pisarska sztuka umieć stworzyć swój własny świat, zaludnić go postaciami, których zachowanie, sposób bycia i myślenia konsekwentnie wynika z uwarunkowań tego świata i w końcu bez reszty wciągnąć czytelnika w ów inny świat, czasem bardzo odmienny od tego, w którym żyje na co dzień. Gene Wolfe z pewnością posiadł tę umiejętność, co udowodnił najpierw w 4-tomowej epopei „The Book of New Sun". Przedtem jeszcze dał dobrą próbkę swego talentu w opowiadaniu, które publikujemy w tym numerze.
Gene Wolfe: „Piąta głowa Cerbera"

Jest okazja, aby porozmawiać dziś o tym, co nam jako redaktorom „Fantastyki" udaje się, a co nie. Ten numer jest dwudziestym piątym z kolei. Do prawdziwego jubileuszu jeszcze nam bardzo daleko, ale obrachunki warto dla dobra pisma i jego Czytelników robić nawet częściej.

Zacznę od pozytywów, od tych rubryk, które są stale oczkiem w głowie miłośników naszego miesięcznika, jak to niezbicie wynika z listów. Chodzi o prozę, prozę typowo SF. Nie skąpiliśmy jej nigdy na łamach. Wydrukowaliśmy prawie dwadzieścia powieści (niektóre kilkuodcinkowe) lub dłuższych opowiadań w formie książeczek do wycięcia i oprawy. I jakkolwiek różne bywają zdania o naszej grafice, mnie się na przykład wydaje, że choć ma ona zbyt mało cech rodzimych, oryginalnych, to okładki tych książeczek na ogół się udawały. A same treści, a sama forma powieści? Nie ma się czego wstydzić – nazwiska z wielu krajów świata, ze Wschodu i Zachodu, najlepiej zapisane lub zapisujące się w czytelniczej pamięci. Oczywiście nie każda rzecz wzbudza jednakowy rezonans, nie każda wywołuje zachwyt. Przytłaczającej większości tej prozy nie będą mogli jednak nasi Czytelnicy kupić w formie książek, publikowanych przez polskie oficyny wydawnicze. I oto zaraz drugi nasz pozytyw, który, nie chwaląc się, musimy tu wymienić. Dzięki przyjaźniom, wiążącym uczestników ruchu SF na całym świecie i dzięki – to warto również dodać – dobrej opinii o poziomie polskiej fantastyki – uzyskujemy wartościowe teksty za złotówki, co nie zawsze bywa możliwe w przypadku druku takich książek w wydawnictwach.

Kto wie jednak, czy do najbardziej udanych naszych przedsięwzięć redakcyjnych nie należałoby zaliczyć przełamania złej passy rodzimej nowelistyki. Baliśmy się od pierwszej chwili prac nad pismem o to, czy zdołamy zapełnić łamy krótkimi utworami polskiej prozy SF. Nikt prawie nie pisywał nowel, wydawnictwa z lubością odnosiły się głównie do powieści, uważając, że tylko taka forma prozatorska znajduje liczne rzesze zwolenników na naszym rynku księgarskim.

Uważam, że w odniesieniu do literatury science fiction zasada ta nie ma żadnego w ogóle zastosowania, kwestionowałbym ją zresztą również i w stosunku do innych gatunków prozy. Forma opowiadania, noweli, należy do bardzo trudnych i łatwo tu o niewypał. Więc boją się jej pisarze, boją się wydawcy i księgarze. Bo złe rzeczy po prostu nie pójdą, nie znajdą nabywców, nawet na naszym dość zresztą specyficznym i przewrotnym rynku. I oto – wprawdzie nie od razu – w odpowiedzi na ogłoszony przez nas otwarty, tak jest, otwarty konkurs – to muszę mocno wyartykułować – pojawia się cała plejada nowelistów. Skąd się wzięli, skąd te ich już właściwie w pełni dojrzałe umiejętności, oryginalne pomysły – na to pytanie nie łatwo znaleźć odpowiedź. Toż przecież Bogiem a prawdą bardzo mało mieli, ci młodziutcy twórcy, sposobności do zapoznania się z całym historycznym ciągiem utworów literackich z gatunku SF. Książek takich ukazywało się u nas jak na lekarstwo i to zarówno tłumaczeń, jak i rodzimych „klasyków".

...3...2...1...



Ale nikt także nie potrafiłby odpowiedzieć, nawet sam Lem, skąd ten nagły skok w fantastykę po strasznej wojnie i skąd się wziął taki talent na skalę światową. Po debiucie Lema i kilku innych pisarzy SF w latach pięćdziesiątych, zrobiła się spora luka w polskiej fantastyce. Mało jej bywało, bardzo mało. Dopiero bliższe naszych czasów lata przynoszą znowu wielką falę, której kto wie czy nie ukoronowaniem stało się owych kilkanaście talentów, zgłaszających się w szranki naszego konkursu. Konkursu ogłoszonego przez pierwsze w naszym kraju pismo profesjonalne, całkowicie poświęcone gatunkowi SF. Muszę powiedzieć, że jesteśmy w redakcji dumni z tego, iż mieliśmy szansę odkrycia tych talentów, że Wydawnictwo Literackie w Krakowie – obecnie główne źródło lemowskiej SF, szybko zorientowało się w wartości młodej fantastycznej fali i postanowiło zakontraktować książkę ze wszystkimi laureatami konkursu.

Za pozytyw naszej działalności, również zgodnie z większością dotychczasowych opinii Czytelników, uważam rubryki takie jak: „recenzje", „pożółkłe kartki" i nade wszystko „słownik polskich autorów fantastyki". Korzystając z zaawansowania prac nad słownikiem, mogliśmy przedstawić nie tylko naszym wydawcom, ale i wydawcom zagranicznym na ostatniej sesji World SF, skróconą wersję takiego słownika, co ma spore znaczenie w propagowaniu twórców rodzimej fantastyki. I ich utworów.

Prezentując sprawy, które udało nam się załatwić, nie pozostajemy w niewiedzy i obojętności wobec rzeczy nieudanych i nie załatwionych. O brakach grafiki już wspomniałem, drażnią one tym bardziej, że żyjemy w kraju, którego plastyka – także użytkowa – święciła nieraz duże triumfy. Przypomnę chociażby o licznych międzynarodowych nagrodach dla autorów polskiego plakatu. Nie potrafimy absolutnie zaradzić bolączkom dla Czytelników najdotkliwszym. Skarżą się na nie w każdym liście. Na okładki raz lakierowane, to znowu na takim kartonie, który całą farbę wchłania jak gąbka. Na nakład, którego nie starcza absolutnie dla wszystkcih miłośników fantastyki. Na opóźnienia w druku, na niedocieranie pisma do kiosków w małych miasteczkach, zwłaszcza kresowych.

Czytelników dorobiliśmy się krytycznych, surowo i rzetelnie starających się oceniać nasze wysiłki. Od początku trwają zacięte dyskusje o komiks. Najbardziej podobał się z trzech dotychczas prezentowanych – środkowy – o Funkym Kovalu. Zacięte boje toczą ze sobą i z nami przeciwnicy i zwolennicy poezji na łamach miesięcznika. Próbujemy dawać trochę klasyków, w ich fantastycznych odchyleniach, na zmianę ze współczesnymi już uznanymi twórcami oraz z młodymi ludźmi, próbującymi pierwszych lotów. Czasami dochodzi do tego jeszcze trochę wierszy tłumaczonych z języków obcych.

Ciągle nie zdołaliśmy w całej pełni zmobilizować prozaików polskich, uprawiających SF, tych, którzy zdobyli już co najmniej krajową renomę. Z rzadka tylko dla nas – i w ogóle – pisują ci z pierwszej piętnastki czy dwudziestki. Przeważnie są zajęci przygotowywaniem powieści. Żwikiewicz na przykład, ten findesieclowy autor fantastyki, tworzy nawet rzeczy prawie tysiącstronicowe. Wyjątków z takiej prozy prawie nie próbujemy publikować, bojąc się słusznie, że nie zorientują nikogo w obrazie zamierzonej całości, więc nie będą się podobać.

Ciągle jednak staramy się proponować naszym Czytelnikom coś nowego i ciekawego. Na przykład poprzednie dwa numery z literaturą typu fantasy – baśniową. Z baśniami o smokach włączmie. Ale mówiąc szczerze, podobnie jak to zaznaczył w swej telewizyjnej pegazowej wypowiedzi wybitny pisarz i myśliciel z Jugosławii, Bulatovič, nie wierzę, aby na trwałe zwyciężyły, nawet w science fiction, kierunki dekadenckie, do jakich niewątpliwie należy i fantasy. Z jej baśniowością okrutną i obsesyjną, z jej antynaukowością i irracjonalizmem. Dekadentyzm przeminie jak sen jakiś jesienny, a prawdziwa science fiction z nowymi siłami i pomysłami znowu pójdzie do góry i będzie cieszyć swoich wielbicieli.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK Literacki Fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Darosław J. Toruń.
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P. Z. Graf. RSW Łódź.
Zam. - 2693/84 r. T-70. Nakład 200000 egz. NR INDEKSU 35839. PL ISSN 0209-1631

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XX

Muszę stwierdzić, że bardzo mi się podobał pomysł zaopatrywania naszych sympatyków, to znaczy sympatyków „Fantastyki", w odpowiednie znaczki lub plakietki. Ogłosiliśmy, że każdy ma prawo zostać (niezależnie od tego, czy jest członkiem któregoś z klubów fanowskich) członkiem klubu sympatyków naszego pisma. Ten pomysł plakietek podszepnął nam w swoim interesującym i krytycznym zarazem liście p. **Marek Cieślik** z Łodzi. Może uda nam się takie plakietki zaprojektować i przygotować. Oczywiście, gdy rzecz w pełni dojrzeje, zawiadomimy o tym wszystkich. Tymczasem na nieustannie powtarzane żądania sporej rzeszy Czytelników czuję się zobowiązany do przyśpieszenia wydania rubryki

Komu, komu...

Do rubryki tej zaczynają także przychodzić listy z zagranicy. Oto jeden z nich:

Jestem stałym czytelnikiem Waszego wspaniałego czasopisma. Ono mnie się podoba wszechstronnie: teksty i ilustracje (w szczególności w ostatnich numerach). Życzę powodzenia całej Redakcji w Waszej niełatwej robocie. Proszę opublikować w miarę możności moje ogłoszenie. Poszukuję: „Fantastyka" nr 8(11) – 10(13), nr 1(16), Dick – „Słoneczna loteria" i „Człowiek z wysokiego zamku", Ballard – „Wyspa" i „Ogród czasu", Aldiss – „Cieplarnia" i „Kto zastąpi człowieka", B. Shaw – „Kosmiczny kalejdoskop". W zamian oferuję: Hole – „Czarna chmura", Boulle – „Planeta małp", Bułyczow – „Rycerze na rozdrożach", Lem – „Maska", „Eden" i „Pamiętnik znaleziony w wannie", Pozner – „Księżycowa nostalgia", Bayley – „Kurs na zderzenie", Bradbury – „K jak Kosmos", Klein – „Bogowie wojny" i „Rakietowe szlaki". Mój adres: ***Klementiew W. N.****, 327034 NIKOŁAJEW, Prospekt Oktiabrskij 10-A/52, ZSRR. Z szacunkiem. Przepraszam za pomyłki. Oto adres w języku rosyjskim:* ***Клементев В.Н. 327034 Николаев пр. Октябрьской 10 A/52 СССР.***

Mam do sprzedania książkę „Powrót Jedi" wg scenariusza filmowego. Ewentualnie mogę wymienić ją na książki Dicka. ***Rafał Rygler****, ul. Chopina 5/8, 30-047 KRAKÓW, tel. 34-58-84.*

Pilnie poszukuję dwunastu pierwszych numerów „Fantastyki" – wymienić je mogę na książki ze wszystkich dziedzin, takich pisarzy jak Prus, Sienkiewicz, Lem, May, Verne, Haszek, Szklarski, Nienacki, Znicz, Fiedler, Krzemiński, Meissner, Korkozowicz. Prócz tego mam do zaoferowania dużo wartościowych znaczków pocztowych, pocztówki, zdjęcia oraz plakaty przedstawiające znane zespoły i kulturystów. Mogę również zapłacić do 150 złotych za „Fantastykę". ***Tomasz Gawryś****, ul. Swobodna 10/10, 50-088 WROCŁAW.*

Uprzejmie informuję, że ***Jerzy W. Bielecki*** *mieszka przy ul. Kardynała Wyszyńskiego 24/208, ale w OLSZTYNIE, nie zaś we Wrocławiu, jak to podano w 5(20) numerze „Fantastyki".*

Jestem zagorzałym czytelnikiem „Fantastyki". Bombowe czasopismo. Posiadam do wymiany „Fantastykę" nr 2/82, 1/4/83, 5/8/83, 7/10/83, 10/13/83, 11–12/14–15/83, 1/16/84, 2/17/84, oraz „Wizję lokalną", „Bajki robotów", „Maskę", „Golem XIV", „Kongres futurologiczny" – Lema, „Kosmolot i czółno" – Venetha Browera, „Zabawę w strzelanego" – Drzewińskiego. W zamian za to pragnąłbym otrzymać: „Fantastyka" nr 1/82, „Kowboje oceanu" – Clarke'a, „Słoneczna loteria" – Dicka, „Cieplarnia" – Aldissa, „Solaris", „Niezwyciężony" – Lema, „Ogon diabła" – Zajdla, „Senni zwycięzcy" – Oramusa, „Kronika Akaszy" – Sawaszkiewicza, „Twarzą ku ziemi" – Parowskiego, „Wyspa" – Ballarda, „Jeźdźcy znikąd" – Abramowów, „Kochać bez skóry" – Hollanka, „Syreny z Tytana" – Vonneguta. Posiadam również do wymiany książkę Bugajskiego „Spotkania drugiego stopnia". ***Andrzej Wrona****, ul. Wołyńska 9/4, 22-100 CHEŁM.*

Szukam usilnie książek Lema z nowej serii „Dzieł": „Szpital przemienienia", „Śledztwo", „Katar", „Dzienniki gwiazdowe", „Pamiętnik znaleziony w wannie". W zamian oferuję: Cooper – „Testament Overmana", Oramus – „Senni zwycięzcy", Dick – „Słoneczna loteria", Chruszczewski – „Powtórne stworzenie świata" i „Gdy niebo spadło na ziemię", Snerg – „Robot", Sawaszkiewicz – „Eskapizm", A. i B. Strugaccy – „Żuk w mrowisku", Bułyczow – „Retrogenetyka i inne opowiadania" i „Miasto na górze", Lengyel – „Druga planeta słońca OGG". ***Maciej Frączek****, ul. Janowska 82, ZAKLIKÓW.*

Szanowna Redakcjo. Jesteście moją ostatnią nadzieją – od blisko półtora roku staram się zdobyć pierwszy numer „Fantastyki" (1/82) – pierwszy, jaki się ukazał. Szukałem na giełdach, po antykwariatach, u znajomych i nieznajomych, wszędzie, gdzie się tylko dało. I nic. Jak mam skompletować „Pieśń dla Lyanny" czy „Żuka w mrowisku" bez tego numeru. Bardzo Was proszę przyślijcie mi za zaliczeniem pocztowym, a radość moja nie będzie miała granic. ***Henryk Wojciechowski****, ul. Skwierzyńska 17/39, 53-521 WROCŁAW.*

Niestety, muszę pana rozczarować i pozbawić szalonej radości, tak jak pozbawieni są jej sami redaktorzy „Fantastyki", nie wszyscy wprawdzie, ale kilku. I u nas brakuje bowiem pierwszego numeru „Fantastyki". Nie mamy najmniejszych możliwości odtworzenia tego egzemplarza. Można jedynie liczyć na kogoś, kto miałby go do wymiany. Proszę, niech się zgłosi! Przy okazji tego listu pragnę przypomnieć to, co kilka już razy powtarzałem w tej rubryce: redakcja nie zajmuje się prenumeratą!

Czy załatwiają

Bardzo jestem zaciekawiony czy nie na darmo poświęcacie „Lądowanie" na rubrykę „Komu, komu...". Dlaczego nikt dotychczas nie napisał, czy mu się coś udało zamienić, jeśli nie, to w jakim celu cała ta zabawa?

Jerzy Gruchta *z Warszawy*

Bardzo mi pomogła wasza rubryka. Dostałam poszukiwane książki Lema dzięki ogłoszeniom, któreście dali, bardzo dziękuję.

Danuta L. *z Wrocławia*

Znowu komiks

Nic nie budzi w naszych Czytelnikach tak żywych odzewów i sporów jak sprawa komiksu. Młodzi, przeważnie bardzo młodzi ludzie wypowiadają się jakże różnorodne o nowym, obecnie drukowanym komiksie. W sumie zaplanowaliśmy go na 6 odcinków. Potem będzie mała przerwa i znowu ten wasz Funky – ulubieniec.

Gdy wykonaliście wyrok na Funkowym Kovalu, wytrzymałem, choć z bólem. Sądziłem, że następny komiks stanie się bestsellerem, że przejdzie moje oczekiwania. I rzeczywiście przeszedł. Jak mogliście zrobić takie świństwo? Wyrzucić biednego Funky'ego, a wstawić w to miejsce jakiegoś człowieka bez twarzy?

M. Cieślik *z Łodzi*

Ciekawy komiks. Nareszcie komiks. Inaczej rysowany niż tamten, to prawda. Ale oby żył wiecznie.

Józef Grabski *(student) z Krakowa*

Takich sprzecznych opinii mógłbym cytować na pęczki. Więc jak właściwie jest naprawdę? Czekamy na dalsze oceny komiksu oraz na wypowiedzi o naszej plastyce i o posterach.

Redaktor



Kucharczyk

Piąta głowa Cerbera

Gene Wolfe

(The Fifth Head of Cerberius)

Szkielety drzew, co w puszczy mej
Chylą się nad mą wodę,
Gdy sowy huk napełnia bór
Dla wycia wilka głodny wtór
Żrącego wilczę młode.

Samuel Taylor Coleridge:
„Pieśń o starym żeglarzu".
Przełożył Jan Kasprowicz

Kiedy byłem chłopcem, mój brat David i ja musieliśmy wcześnie chodzić spać niezależnie od tego, czy byliśmy śpiący, czy nie. Szczególnie latem często trzeba było iść do łóżka przed zachodem słońca, a ponieważ nasza sypialnia znajdowała się we wschodnim skrzydle domu i miała duże okno, wychodzące na główny dziedziniec, to jest na zachód, ostre, różowawe światło sączyło się przez nie godzinami, a my leżeliśmy, gapiąc się na kaleką małpę ojca, uczepioną łuszczącego się parapetu, lub cichutko opowiadając sobie nawzajem różne historyjki.

Nasza sypialnia znajdowała się na najwyższym piętrze domu, a okno miało kratę z poskręcanych prętów, której nie wolno nam było otwierać. Myślę, że ten zakaz był oparty na przypuszczeniu, iż jakiś złodziej mógłby pewnego deszczowego poranka (była to jedyna pora dnia, kiedy mógłby odnaleźć dach, na którym urządzono, nie używany zresztą, ogród rekreacyjny), spuścić linę i w ten sposób wejść do naszego pokoju. Celem tego domniemanego, niezwykle odważnego złodzieja nie byłoby oczywiście jedynie to, by ukraść nas. Dzieci, tak chłopcy, jak i dziewczynki, były niezwykle tanie w Port-Mimizon - mówiono mi nawet, że mój ojciec, który kiedyś nimi handlował, zrezygnował ze względu na marny rynek. Niezależnie od tego, czy była to prawda, czy nie, każdy lub prawie każdy znał jakiegoś zawodowca, który mógł dostarczyć mu dziecko według życzenia po niskiej cenie, oczywiście w granicach rozsądku. Handlarze interesowali się dziećmi ludzi biednych i takich, którzy o nie nie dbali. Jeśli chciałeś, na przykład, małą, ciemnoskórą, rudą dziewczynkę albo dziewczynkę pulchną lub sepleniącą, lub też jasnowłosego chłopca jak David, czy bladego, ciemnego blondyna o brązowych oczach jak ja - mogli go dostarczyć w ciągu kilku godzin.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa wyimaginowany złodziej nie chciałby nas także trzymać dla uzyskania okupu, mimo że ojciec był uważany w niektórych kręgach za niezmiernie bogatego. Było po temu kilka powodów. Niewielka liczba osób, która wiedziała o naszym istnieniu wiedziała również, lub przynajmniej dano im do zrozumienia, że ojcu wcale na nas nie zależy. Nie potrafię powiedzieć, czy było to zgodne z prawdą. W każdym razie wierzyłem w to, a ojciec nie dał mi najmniejszego powodu, by w to zwątpić, chociaż, mimo to, w owym czasie nigdy nie przyszła mi do głowy myśl, by go zabić.

Jeśli te przyczyny nie były dość przekonywające, to każdy, kto znał warstwę społeczną, w której ojciec stał się może nawet najbardziej ustabilizowaną osobą, zdawał sobie sprawę, że ze względu na to, iż zmuszony był płacić duże łapówki tajnej policji, pozbycie się pieniędzy oznaczało dla niego wystawienie się na tysiąc ataków, które by go zrujnowały. Może właśnie dlatego, oraz ze względu na strach, w którym żył - nigdy nas nie ukradziono.

Krata w oknie jest wykuta (piszę te słowa w mojej dawnej sypialni) na podobieństwo gałęzi wierzby, choć jest zbyt sztywna i symetryczna, by je wiernie odtworzyć. Kiedy byłem chłopcem zarastała ją srebrzysta armatnica (potem ją wykopano), która pięła się po ścianie z dziedzińca w dole. Chciałem, żeby całkowicie zarosła okno i w ten sposób zasłaniała słońce, gdy usiłowaliśmy zasnąć. Jednak David ciągle zrywał gałązki, aby gwizdać na ich pustych łodygach i robił coś w rodzaju fletni Pana z trzech lub czterech piszczałek. Jego gra stawała się coraz głośniejsza w miarę jak nabierał odwagi, więc po pewnym czasie musiała oczywiście ściągnąć naszego nauczyciela, Mr. Miliona. Mr. Milion wchodził do naszego pokoju wśród całkowitej ciszy, jego szerokie koła ślizgały się po nierównej podłodze, a David udawał, że śpi. Fletnia była już do tego czasu ukryta pod poduszką, w kołdrze lub nawet pod materacem, ale Mr. Milion zawsze ją znajdował.

Do wczoraj nie mogłem sobie przypomnieć co robił z tymi małymi instrumentami po ich skonfiskowaniu, mimo że w więzieniu, kiedy nie mogliśmy wyjść ze względu na burze lub śnieżyce, często zabijałem czas próbując to sobie uzmysłowić. Połamanie ich lub wyrzucenie przez kratę na znajdujące się poniżej patio byłoby całkowicie sprzeczne z jego charakterem. Mr. Milion nigdy niczego specjalnie nie niszczył i nigdy niczego nie marnował. Znakomicie sobie przypominałem na pół zasmucony wyraz twarzy, z jakim wydobywał malutkie fujarki z ukrycia (jego twarz wydawała się unosić za ekranem i bardzo przypominała twarz mojego ojca), a także, w jaki zakręcał i wyjeżdżał z pokoju. Ale co się z nimi działo?

Tak jak już mówiłem, przypomniałem to sobie (jest to sprawa z gatunku tych, które dodają mi pewności siebie). Rozmawiał ze mną tutaj, kiedy pracowałem, a gdy wychodził, mój wzrok leniwie podążył za jego gładkim przesunięciem się przez drzwi i wydawało mi się, że zabrakło czegoś w rodzaju wymachu, co pamiętałem z mych najwcześniejszych lat. Zamknąłem oczy i próbowałem sobie przypomnieć jak to dokładnie wyglądało, wykluczając wszelkie wątpliwości i jakiekolwiek próby zgadnięcia z góry tego, co „musiałem" widzieć. Odkryłem, że brakującym elementem był krótki błysk metalu nad głową Mr. Miliona.

Kiedy to ustaliłem, było już sprawą jasną, że musiał on być spowodowany szybkim ruchem jego ręki w górę, jak przy salutowaniu. Co najmniej godzinę nie mogłem odgadnąć przyczyny tego ruchu. Mogłem tylko przypuszczać, że cokolwiek to było, musiało ulec zniszczeniu przez czas. Próbowałem sobie przypomnieć czy na korytarzu koło naszej sypialni było coś, co istniało w tej, nie tak przecież odległej przeszłości, a teraz zniknęło - jakaś zasłona czy roleta, urządzenie, które można było włączyć, czy cokolwiek innego, co mogło spowodować ten ruch. Niczego takiego nie było. Wyszedłem na korytarz i bardzo dokładnie przebadałem podłogę szukając śladów po meblach, haków lub gwoździ w ścianach, odgarniając szorstkie, stare tapety. Wyciągałem szyję, by zlustrować sufit. Po godzinie przyjrzałem się w końcu samym drzwiom i dostrzegałem to, czego nie widziałem przechodząc przez nie tysiąc razy. Jak wszystkie drzwi tego bardzo starego domu miały masywną futrynę z drewnianych listew, a jedna z nich - górna, wystawała ze ściany, tworząc nad drzwiami wąziutką półeczkę. Wysunąłem na korytarz krzesło i stanąłem na nim. Półeczka była przykryta grubą warstwą kurzu, w którym leżało 47 fujarek mojego brata oraz wspaniały zbiór innych drobnych przedmiotów. Przedmiotów, z których wiele pamiętałem, lecz wiele wciąż jeszcze nie znajduje żadnego oddźwięku w mojej pamięci.

Małe, żółte, brązowo nakrapiane ptasie jajo. Przypuszczam, że ptaszek miał gniazdko w pnączu armatnicy za naszym oknem i Dawid albo ja okradliśmy je, by potem nas z kolei obrabował Mr. Milion. Nie pamiętam jednak tej sprawy.

Jest też połamana układanka,zrobiona z trzewi jakiegoś zwierzęcia, oraz sprowadzający cudowne wspomnienie klucz, jeden z dużych, pięknie zdobionych kluczy, które sprzedawano co roku. Ich właściciel mógł wchodzić do niektórych sal biblioteki miejskiej po godzinach otwarcia. Mr. Milion prawdopodobnie skonfiskował go, kiedy zauważył, że zaczęliśmy go używać do zabawy, gdy po roku użytkowania klucz stracił ważność. Cóż to jednak za wspomnienia!

Ojciec miał swoją własną bibliotekę. Teraz należy ona do mnie, ale jako dzieci nie mogliśmy tam wchodzić. Niby przez mgłę pamiętam, jak stałem kiedyś przed jej ogromnymi, rzeźbionymi drzwiami. Drzwi otworzyły się i zobaczyłem kaleką małpkę, siedzącą na ramieniu ojca, tulącą się do jego twarzy. Był w czarnej chuście, pod którą miał szkarłatny szlafrok. Z tyłu widziałem mnóstwo rzędów obszarpanych książek i notatników, a z laboratorium za zasuwanym lustrem dochodził mdławo-słodki zapach formaldehydu.

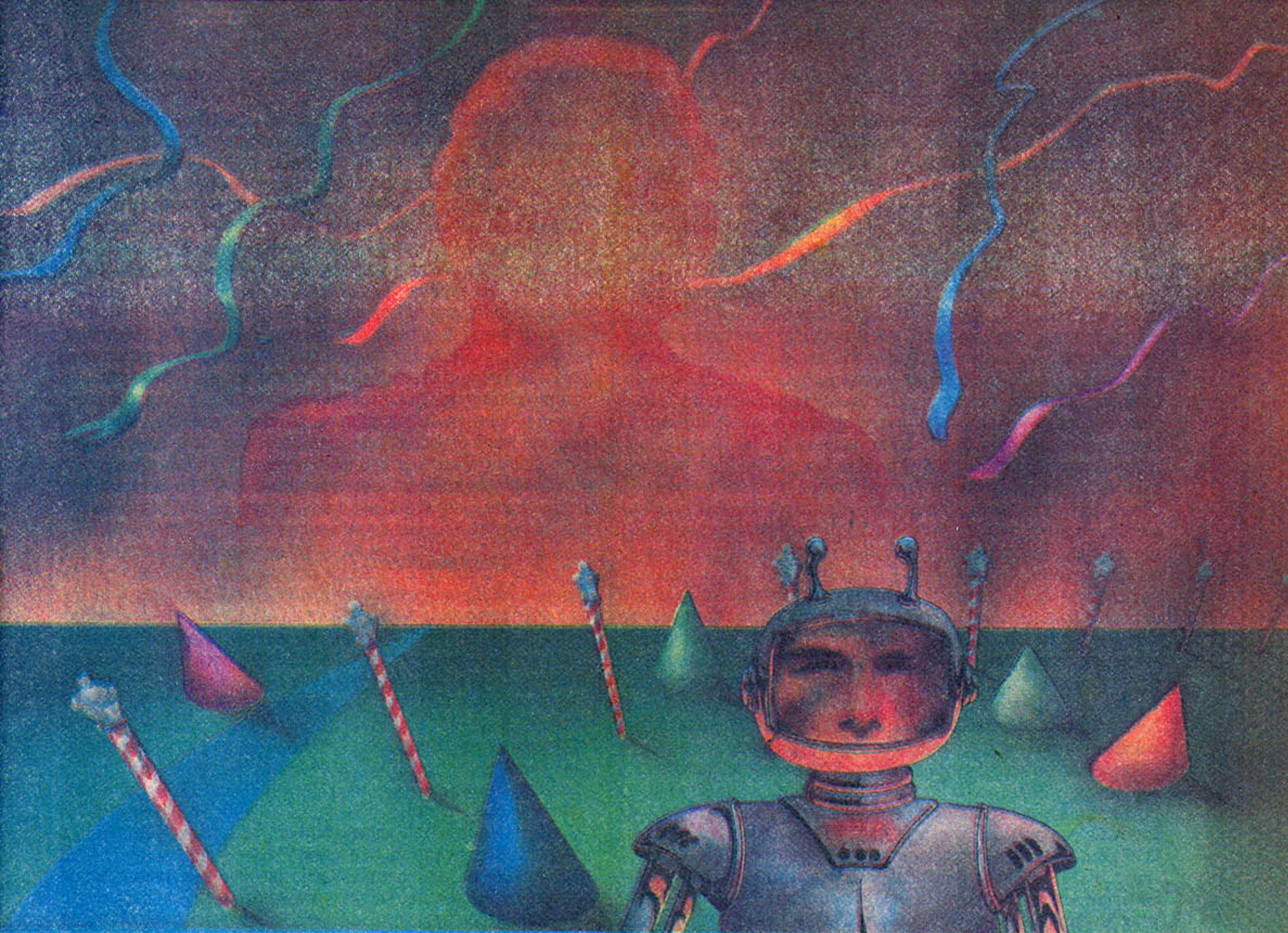
Nie pamiętam, czy cokolwiek powiedział - czy zapukałem tam sam, czy też zrobił to ktoś inny, przypominam sobie jednak, że kiedy drzwi już się zamknęły, nachyliła się nade mną ubrana na różowo kobieta, która wydała mi się bardzo piękna. Gdy twarz jej znalazła się na poziomie mojej, zapewniła mnie, iż ojciec sam napisał wszystkie książki,jakie właśnie widziałem, a ja wcale w to nie wątpiłem.

Tak jak już powiedziałem, zarówno bratu, jak i mnie nie wolno było wchodzić do tego pokoju. Kiedy jednak byliśmy nieco starsi, Mr. Milion brał nas mniej więcej dwa razy w tygodniu na wyprawy do biblioteki miejskiej. Były to niemal jedyne okazje, kiedy pozwalano nam opuścić dom, a ponieważ nasz nauczyciel nie lubił zwijać złączy swych metalowych, znormalizowanych ze-

społów zamiennych w wynajętym powozie, a lektyka nie wytrzymałaby ani jego wagi, ani nie byłaby wystarczająco pojemna, wyprawy te odbywały się na piechotę.
Przez bardzo długi czas moja znajomość miasta ograniczała się do drogi do biblioteki. Trzysta metrów wzdłuż ulicy Saltimbanque, przy której stał nasz dom, potem w prawo Rue d'Asticot do targowiska niewolników i sto metrów dalej do biblioteki. Dziecko nie rozróżnia między tym, co nadzwyczajne a tym, co nagminne. Przeważnie koncentruje uwagę gdzieś pośrodku i zaciekawia się wydarzeniami, których dorośli w ogóle nie uważają za godne dostrzeżenia, a na najbardziej niewiarygodne sytuacje reaguje z niezmąconym spokojem. Obaj z bratem fascynowaliśmy się fałszywymi antykami i okazjami handlowymi z Rue d'Asticot, lecz często strasznie się nudziliśmy, gdy Mr. Milion upierał się, by się zatrzymać na godzinę na targowisku niewolników.
Targowisko nie było duże, gdyż Port-Mimizon nie był ważnym ośrodkiem tego typu interesów. Licytatorzy byli często w bardzo dobrych stosunkach z przedmiotami swego handlu, gdyż spotykali się z nimi po kilka razy pod rząd, w miarę jak kolejni właściciele odkrywali ich wady. Mr. Milion nigdy nie stawiał, lecz tylko przyglądał się licytacji, a my w tym czasie przestępowaliśmy z nogi na nogę i żuliśmy smażony chleb, który kupił nam w kiosku. Byli tam tragarze lektyk o nogach pokrytych węzłami muskułów oraz uśmiechający się głupkowato łaziebni, byli zakuci w łańcuchy gladiatorzy o oczach zamglonych narkotykami lub ziejących imbecylowatą dzikością, byli też kucharze, pokojowi i setki innych. David i ja błagaliśmy jednak, by Mr. Milion pozwolił nam już samym pójść do biblioteki.
Biblioteka była marnotrawnie wielkim budynkiem. W dawnych czasach, kiedy obowiązywał język francuski mieściły się tam biura rządowe. Park, który kiedyś ją otaczał padł pastwą drobnych nadużyć, tak że teraz biblioteka wznosiła się wśród gęstwiny sklepików i budynków mieszkalnych. Do drzwi wejściowych prowadziła wąska droga. Kiedy wchodziłeś, ubóstwo otoczenia ustępowało czemuś w rodzaju łuszczącej się świetności. Główne stanowisko bibliotekarskie znajdowało się bezpośrednio pod kopułą, która wznosiła się 500 stóp wyżej. Otaczała ją spirala chodników, wzdłuż których ustawiono główne zbiory biblioteki. Wszystko to tworzyło kamienne niebo, z którego najdrobniejszy odprysk mógłby któregoś z bibliotekarzy zabić na miejscu.
Podczas gdy Mr. Milion majestatycznie wspinał się w górę, przeglądając po drodze książki, Dawid i ja wybiegaliśmy naprzód, aż byliśmy o kilka zakrętów przed nim i mogliśmy robić co się nam podobało. Kiedy byłem jeszcze dosyć mały, często przychodziło mi na myśl, że skoro (według pani ubranej na różowo) ojciec napisał pełen pokój książek, niektóre z nich powinny tutaj być. Rezolutnie wspinałem się prawie do szczytu kopuły i tam szukałem. Ponieważ bibliotekarze bardzo ulgowo traktowali porządkowanie książek na półkach, wyglądało na to, że zawsze istnieje szansa, by znaleźć coś, czego przedtem nie zauważyłem. Półki wznosiły się wysoko ponad moją głową, lecz kiedy czułem, że nikt na mnie nie patrzy, wspinałem się po nich jak po drabinach. Gdy na półce nie było miejsca, by postawić kanciaste czubki moich brązowych bucików, stawałem na książkach. Od czasu do czasu zrzucałem niektóre z nich na podłogę, na której leżały do naszej następnej wizyty, a nawet jeszcze dłużej, co świadczyło o tym, jak niechętnie pracownicy wspinali się na kręte wyżyny półek. Panował tam gorszy bałagan niż na tych półkach, do których dostęp był łatwiejszy.
Pewnego wspaniałego dnia zdobyłem najwyższą półkę z całej biblioteki. Odkryłem wówczas, iż to wyniosłe zakurzone miejsce (poza zawieruszonym tu tekstem o astronautyce pt. „Milowej Długości Statek Kosmiczny" jakiegoś Niemca) kryje jedynie samotny egzemplarz „Poniedziałku lub Wtorku" oparty na książce o zabójstwie Trotzky'ego, oraz rozpadający się tom opowiadań Vernona Vinge'a, którego ustawienie tutaj tłumaczyć można pewnie tym, iż jakiś dawno już zmarły bibliotekarz mylnie odczytał wyblakłe V w Vinge na grzbiecie książki jako W.
Nigdy nie znalazłem żadnych książek ojca, nie żałowałem jednak długich wspinaczek ku szczytowi kopuły. Jeśli David był ze mną biegaliśmy razem po pochyłej podłodze – w górę i w dół – bądź też obserwowaliśmy zza poręczy wolne przesuwanie się Mr. Miliona, debatując nad prawdopodobieństwem zniszczenia go jednym zrzutem jakiegoś ciężkiego dzieła. David zazwyczaj wolał szperać wśród interesujących go książek gdzieś niżej, ja zaś wchodziłem na sam szczyt, gdzie kopuła rozpościerała się tuż nad moją głową. Wokół zardzewiałej platformy, niewiele szerszej od półek, na które się wspinałem (a podejrzewam, że o wiele słabszej), był krąg małych otworów. Żelazna ściana, w której je zrobiono była tak cienka, że kiedy odsuwałem skorodowane płyty zasłaniające otwory, mogłem wysunąć głowę i poczuć się autentycznie na zewnątrz, a wiatr, krążące ptactwo i ogromna czasza kopuły rozpościerały się pode mną.
Na zachodzie rozpoznawałem nasz dom, gdyż wyróżniał się wśród innych wysokością i drzewami pomarańczy na dachu. Na południu było widać maszty statków w porcie, a przy ładnej pogodzie i o odpowiedniej porze dnia białe grzywy przypływu czy odpływu między półwyspami o nazwach Pierwszy Palec i Kciuk, spowodowane przyciąganiem Św. Anny. Doskonale też pamiętam jak kiedyś, gdy patrzyłem na południe, dojrzałem wielki gejzer oświetlonej blaskiem słońca wody, wywołany miękkim lądowaniem gwiazdolotu. Na wschodzie i zachodzie rozpościerało się centrum miasta z cytadelą i wielkim rynkiem, a dalej widać było lasy i góry.
Wcześniej jednak czy później, niezależnie od tego czy David był ze mną, czy też poszedł gdzieś sam, wołał nas do siebie Mr. Milion. Musieliśmy wtedy iść z nim do jednego ze skrzydeł budynku, aby zwiedzić jakąś naukową kolekcję. Wiązało się to z pożyczeniem książek do lekcji. Ojciec wymagał, żebyśmy dokładnie poznali biologię i chemię. Pod kierunkiem Mr. Miliona rzeczywiście się to udawało. Nigdy bowiem nie uznawał tematu za opanowany, dopóki nie potrafiliśmy dyskutować na wszystkie związane z nim zagadnienia, wymienione w każdej książce, zakatalogowanej w bibliotece pod tym hasłem. Moim ulubionym przedmiotem była biologia, David natomiast wolał języki, literaturę i prawo. Przerabialiśmy wszystkie te przedmioty, a oprócz tego uczyliśmy się również antropologii, cybernetyki i psychologii.
Kiedy Mr. Milion wybrał już dla nas najważniejsze książki do nauki na parę następnych dni i zachęcił nas, byśmy sami wyszukali dodatkowo jeszcze kilka, szliśmy w jakiś cichy zakątek czytelni naukowej, gdzie był stół, krzesła i wystarczająco dużo miejsca, by mógł zwinąć złącza lub oprzeć się o półkę zostawiając jeszcze przejście. Dla zaznaczenia oficjalnego początku zajęć zaczynał od sprawdzenia obecności. „Jestem" – wołałem, by pokazać, że byłem gotowy. David także woła „jestem" a na kolanach rozkłada ilustrowane „Opowiadania z Odysei". Mr. Milion nie może ich tam dostrzec, a David patrzy na niego z całkowitą przytomnością i udanym zainteresowaniem. Słońce ukośnie pada na stół z wysokiego okna i oświetla unoszący się w powietrzu kurz.
– Ciekaw jestem, czy któryś z was zauważył kamienne narzędzia w sali, w której byliśmy przed chwilą?
Kiwamy twierdząco głowami, a każdy ma nadzieję, że odezwie się drugi.
– Czy były sporządzone na Ziemi, czy tu, na naszej planecie?
Pytanie jest podchwytliwe, ale łatwe. Dawid mówi:
– Ani jedno, ani drugie. Są plastykowe.
Śmiejemy się.
– Tak, to plastykowe reprodukcje, ale skąd pochodzą oryginały? – pyta cierpliwie Mr. Milion.
Jego twarz była bardzo podobna do twarzy naszego ojca. W tym czasie uważałem jednak, że należała wyłącznie do niego i wydawało mi się przerażającym pogwałcenie natury, kiedy poza jego ekranem widziałem ją również u żyjącego człowieka. Nie wyrażała zainteresowania, smutku ani nudy. Była chłodna i oddalona.
– Ze Świętej Anny – odpowiada David. Święta Anna to nasza siostrzana planeta – krążąc wokół słońca obracają się obie wokół wspólnego środka. – Tak wskazywał napis. Zrobili je autochtoni. Tutaj nie było autochtonów.
Mr. Milion potakuje i zwraca swą dziwną twarz w moją stronę.
– Czy uważasz, że te narzędzia z kamienia odgrywały doniosłą rolę w życiu ich wytwórców? Powiedz „nie".
– Nie.
– Dlaczego?
Myślę gorączkowo, David nie pomaga w tym wcale, kopie mnie tylko w nogi pod stołem. Coś mi świta.
– Mów. Odpowiadaj natychmiast.
– To oczywiste. – Zawsze dobrze tak stwierdzić jeśli nie masz pewności, że „to" jest w ogóle możliwe. – Po pierwsze, te narzędzia nie mogły być dobre, więc czemu autochtoni mieliby na nich polegać? Można by powiedzieć, że potrzebowali takich ostrzy z obsydianu do strzał, czy kościanych haczyków do wędek, by zdobyć pożywienie, ale to nieprawda. Mogli zatruć wodę sokami odpowiednich roślin, a w ogóle prymitywni ludzie osiągają najlepsze wyniki w łowieniu ryb za pomocą zapór lub sieci z niewyprawionych skór albo włókien roślinnych. Podobnie robienie zasadzek na zwierzęta czy spędzanie ich ogniem byłoby bardziej wydajne niż polowanie. Kamienne narzędzia, które widzieliśmy nie byłyby zresztą w ogóle potrzebne do zbierania jagód lub jadalnych pędów, które stanowiły przypuszczalnie ich główne pożywienie. Rzeczy, które widzieliśmy w szklanych gablotach są tu, gdyż pułapki i sieci pogniły i tylko one zostały, więc ludzie zarabiający w ten sposób na życie udają, że były ważne.
– Dobrze. David. Proszę, bądź oryginalny. Nie powtarzaj tego, co przed chwilą słyszałeś.

David podnosi głowę znad książki. Jego niebieskie oczy wyrażają lekceważenie dla nas obu.
– Jeśli byś mógł ich zapytać powiedzieliby, że naprawdę ważna była ich magia i ich religia, pieśni, które śpiewali i tradycje ich przodków. Zabijali zwierzęta ofiarne za pomocą cepów z morskich muszli, które cięły jak brzytwy. Nie pozwalali swym mężczyznom mieć dzieci, póki nie potrafili oni znieść tak wielkiego ognia, że okaleczał ich na całe życie. Żenili się z drzewami i topili dzieci, by uczcić swe rzeki. To było ważne w ich życiu.
Mr. Milion kiwał pozbawioną szyi głową.
– Teraz przedyskutujemy człowieczeństwo autochtonów. Dawid pierwszy. Odpowiada przecząco.
– Człowieczeństwo – mówi Dawid swoim najbardziej nieprzyjemnym tonem – w historii myśli ludzkiej najłatwiej określić jako pochodzenie od Adama – to jest od pierwotnego rodu ziemskiego. Jeśli wy dwaj tego nie dostrzegacie, jesteście idiotami.
Czekam na dalszy ciąg, ale on już skończył. Chcąc zyskać czas do namysłu, mówię:
– Mr. Milion, niech mu pan powie, że przezwiska w dyskusji są nie fair. To nie dyskusja, lecz pyskówka.
– Bez osobistych przytyków – mówi Mr. Milion.
David zerka już na Cyklopa Polifema i Odyseusza, mając nadzieję, że będę długo mówił. Odbieram to jako wyzwanie i postanawiam je podjąć. Zaczynam:
– Argumentacja, że najważniejsze jest pochodzenie od rodu ziemskiego nie ma uzasadnienia ani niczego nie rozstrzyga. Niczego nie rozstrzyga, gdyż istnieje realna możliwość, że autochtoni ze Świętej Anny są potomkami wcześniejszej fali emigracyjnej z Ziemi – być może poprzedzającej nawet Greków epoki Homera.
– Na twoim miejscu ograniczyłbym się do bardziej prawdopodobnych argumentów – łagodnie mówi Mr. Milion.
Mimo to rozwodzę się na temat Etrusków, Atlantydy oraz nieustępliwości i tendencji ekspansjonistycznych hipotetycznej kultury technologicznej Gondwanalandu. Kiedy kończę, Mr. Milion mówi:
– Teraz odwrotnie. David, odpowiadaj twierdząco. Nie powtarzaj się.
Mój brat czytał oczywiście książkę zamiast słuchać. Kopię go z zapałem, mając nadzieję, że go zatka. On jednak mówi:
– Autochtoni byli ludźmi, ponieważ wszyscy wymarli.
– Wyjaśnij to.
– Gdyby żyli, byłoby niebezpiecznie pozwolić im być ludźmi, gdyż mieliby różne żądania. Ponieważ jednak wymarli, ciekawiej jest utrzymywać, że byli ludźmi, a nowi osadnicy wszystkich wymordowali.
I tak dalej. Wiązka promieni słonecznych przemieściła się na drugą stronę blatu stołu, czerwonego w czarne cętki. Podobną drogę przebyła przy nas już ze sto razy. Wychodziliśmy jednymi z bocznych drzwi i szliśmy zaniedbanym podwórzem między dwoma skrzydłami budynku. Poniewierały się tam puste butelki i porozrzucane przez wiatr papiery. Raz natknęliśmy się na martwego człowieka w kolorowych łachmanach. Przeskoczyliśmy przez jego nogi, a Mr. Milion cichutko objechał go dookoła. Kiedy wychodziliśmy z podwórza na wąską uliczkę, trąbka z garnizonu, stacjonującego w cytadeli (słychać ją było aż z tak daleka) zwoływała kawalerzystów na wieczorny posiłek do kasyna. Na ulicy d'Asticot zapalono już lampy, a sklepy były zamknięte i zabezpieczone żelaznymi kratami. Jak zaczarowane poznikały z chodników stare meble. Ulice wydawały się teraz szerokie i nagie.
Nasza ulica, Saltimbanque, wyglądała zupełnie inaczej. Nadjeżdżali pierwsi amatorzy zabawy. Siwowłosi, zażywni panowie prowadzili bardzo młodych mężczyzn i chłopców, przystojnych, muskularnych, lecz odrobinę przekarmionych. Młodzieńców, którzy nieśmiało żartowali i uśmiechali się do nich, ukazując nieskazitelnie białe zęby. Byli to zawsze najwcześniejsi goście. Kiedy trochę podrosłem zastanawiałem się czasem, czy przychodzili tak wcześnie tylko dlatego, że starsi panowie chcieli mieć przyjemność, a oprócz tego dobrze się wyspać, czy też wiedzieli, że młodzi mężczyźni, których wprowadzali do domu mego ojca po północy byliby senni i rozdrażnieni jak dzieci, które wieczorem zbyt późno położono spać.
Mr. Milion nie pozwalał nam plątać się po ciemku po bocznych alejkach. Wchodziliśmy więc głównym wejściem razem ze starszymi panami, ich siostrzeńcami i synami. W tej części budynku, w której nie było okien, urządzono niewiele większy od małego pokoju ogródek, kończący się w uskoku muru. Były tam kępy paproci wielkości grobów, maleńka fontanna, z której woda bezustannie dźwięczała, opadając na szklane pręty i którą trzeba było chronić przed chłopakami z ulicy, a także żelazny posąg psa o trzech łbach, z nogami mocno osadzonymi, a właściwie prawie zakopanymi w mchu.
Temu posągowi nasz dom przypuszczalnie zawdzięczał swą popularną nazwę – „Maison du Chien" – chociaż mogła się ona odnosić również do naszego nazwiska. Łby były potężne, nieco przylizane i ugrzecznione. Miały spiczaste mordy i uszy. Jeden z nich warczał, drugi, środkowy, przyglądał się światu, złożonemu z ogródka i ulicy z wyrazem pełnego tolerancji zainteresowania. Trzeci, najbliższy wykładanej kostką dróżki, prowadzącej do naszych drzwi – po prostu uśmiechał się. Przechodzący ścieżką klienci ojca mieli zwyczaj klepać trzeci łeb między uszami. Palce ich wypolerowały to miejsce tak, iż wyglądało jak czarne szkło.

Taki więc był mój świat, kiedy miałem siedem lat, a może pół roku więcej. Większość dni spędzałem w małej klasie, gdzie panował Mr. Milion, oraz w sypialni, w której, wśród całkowitej ciszy, bawiliśmy się z Davidem. Urozmaicały je wycieczki do biblioteki, o których już pisałem, oraz, bardzo rzadko, jakieś inne wyprawy. Od czasu do czasu odgarniałem pnącza armatnicy, aby przyjrzeć się przebywającym na podwórzu dziewczynom i ich dobroczyńcom, bądź przysłuchiwałem się ich rozmowom. To co robili i o czym mówili niezbyt mnie jednak interesowało. Wiedziałem, że wysoki mężczyzna o wąskiej twarzy, który rządził naszym domem, a którego dziewczyny i służba nazywali „Maitre", był moim ojcem. Odkąd pamiętam wiedziałem, że istniała też gdzieś straszliwa kobieta, przed którą drżeli służący – nazywana „Madame". Nie była ona jednak matką ani moją, ani Davida, ani też żoną mego ojca. Takie życie, a wraz z nim również moje dzieciństwo, a przynajmniej wczesne dzieciństwo, skończyło się pewnego wieczora, kiedy obaj z Davidem zasnęliśmy, zmęczeni zabawą i bezgłośnymi sprzeczkami. Ktoś potrząsał moim ramieniem i coś do mnie mówił. Nie był to Mr. Milion, lecz jeden ze służących, przygarbiony człowieczek w wyświechtanej, czerwonej marynarce.
– On ciebie wzywa – poinformował mnie. – Wstawaj.
Kiedy wstałem, zauważył, że byłem w piżamie. Myślę, że tę sprawę pominięto w instrukcji, gdyż przez chwilę się zastanawiał. Ja w tym czasie stałem i ziewałem.
– Ubieraj się i uczesz – powiedział w końcu.
Posłuchałem go. Włożyłem czarne welwetowe spodnie, które miałem na sobie w ciągu dnia, ale (prowadzony jakimś instynktem) świeżą koszulę. Pokojem, do którego mnie poprowadził (krętymi korytarzami, opuszczonymi już przez ostatnich bywalców, oraz zakamarkami, do których nigdy nie wpuszczano klientów – zatęchłymi i zapaskudzonymi odchodami szczurów) była biblioteka mego ojca. To przed tym pokojem o wielkich rzeźbionych drzwiach ubrana na różowo kobieta powiedziała mi szeptem o tajemnicy ojca. Nigdy nie byłem w środku. Teraz jednak, kiedy mój przewodnik dyskretnie zapukał, drzwi otworzyły się i znalazłem się wewnątrz. To wszystko stało się tak szybko, że ledwo zdążyłem zdać sobie z tego sprawę. To mój ojciec otworzył drzwi, a potem je za mną zamknął. Pozostawiając mnie tam, gdzie stałem, przeszedł w najdalszy koniec długiego pokoju i ciężko usiadł na ogromnym krześle. Miał na sobie czerwony szlafrok i czarną chustę, w których najczęściej go widywałem. Długie, rzadkie włosy zaczesał gładko do tyłu. Przyglądał mi się uważnie. Pamiętam, że usta drżały mi od powstrzymywanego szlochu.
– No cóż – powiedział, kiedy patrzyliśmy tak na siebie już dłuższy czas. – Więc jesteś. Jak mam do ciebie mówić?
Podałem mu swoje imię, ale on potrząsnął głową.
– Nie to. Dla mnie musisz mieć inne, prywatne imię. Jeśli chcesz, możesz je sam wybrać.
Nie odpowiedziałem. Wydało mi się zupełnie niemożliwe, że miałbym mieć jakieś inne imie, niż te dwa słowa, które nim były, gdyż szanowałem je w jakiś mistyczny sposób, nie rozumiejąc dlaczego tak się dzieje.
– Więc ja wybiorę za ciebie – powiedział ojciec. – Będziesz Numerem Piątym. Podejdź, Numerze Piąty.
Podszedłem, a kiedy stałem już przed nim, powiedział:
– Teraz zagramy. Pokażę ci parę obrazków, rozumiesz? Cały czas, kiedy będziesz je widział musisz mówić. Mówić o obrazkach. Jeśli będziesz mówił, wygrasz, ale jeśli się zatrzymasz nawet na sekundę, ja wygrywam. Rozumiesz?
Powiedziałem, że tak.
– Dobrze. Wiem, że bystry z ciebie chłopak. Mr. Milion przysyła mi wszystkie klasówki, które wam robi i taśmy, które nagrywa, kiedy z wami rozmawia. Czy wiedziałeś o tym? Czy zastanawiałeś się, co z nimi robi?
– Myślałem, że je wyrzuca – odpowiedziałem.
Pochlebiało mi, że kiedy mówiłem, ojciec pochylił się do przodu.
– Nie, mam je tutaj.
Nacisnął guzik.
– Teraz pamiętaj, nie wolno ci przestać mówić.



A. Brzezicki

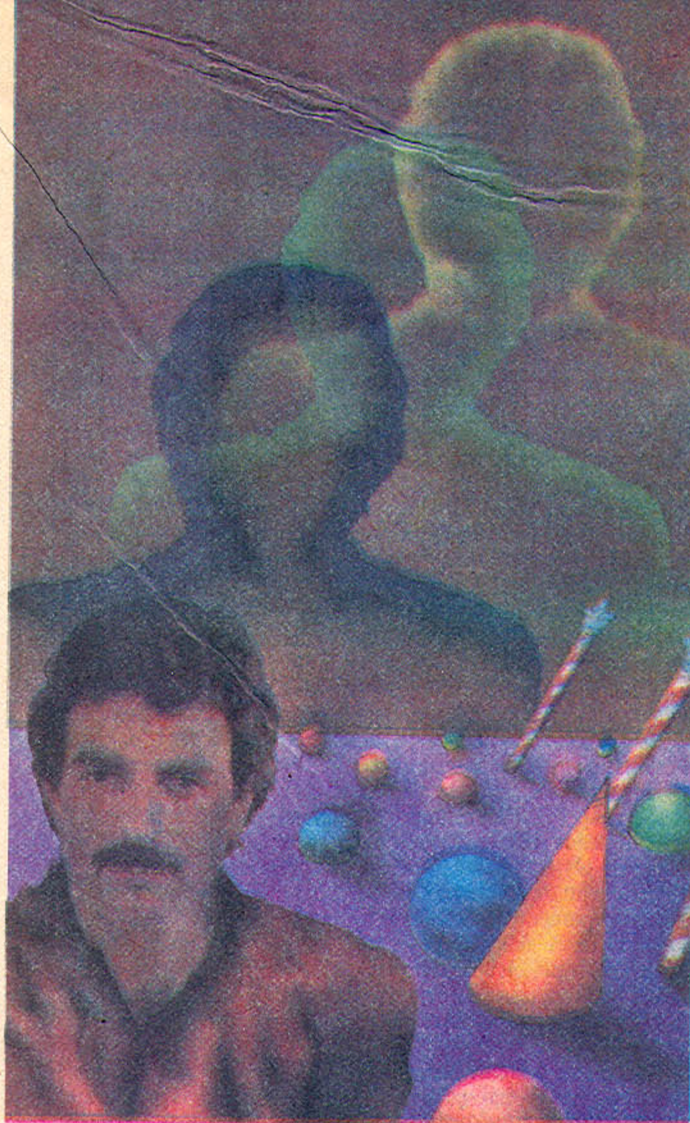
Przez parę pierwszych chwil byłem stanowczo zbyt zaciekawiony, żeby mówić.
W pokoju, jak za sprawą czarów ukazał się sporo ode mnie młodszy chłopiec, oraz malowany żołnierzyk z drewna, prawie tak duży jak ja. Kiedy chciałem ich dotknąć okazywali się bezcieleśni jak powietrze.
– Powiedz coś – mówił ojciec. – O czym myślisz, Numerze Piąty?
Oczywiście podobnie jak ten mały chłopiec, który wyglądał na jakieś trzy lata, myślałem o żołnierzyku. Jak mgiełka przeszedł przez moje ramię i starał się przewrócić żołnierza.
Były to hologramy – trójwymiarowe obrazy, utworzone przez interferencję dwóch frontów fal światła. Kiedy oglądałem je w książce do fizyki, na płaskich ilustracjach, przedstawiających figury szachowe, wydawały się mało atrakcyjne. Minęło jednak trochę czasu nim skojarzyłem figury szachowe z duchami, które w nocy chodziły po bibliotece mojego ojca. Ojciec tymczasem wciąż powtarzał:
– Mów! Powiedz coś! O czym twoim zdaniem myśli ten chłopczyk?
– Chłopczykowi podoba się wielki żołnierz, ale chce go przewrócić, ponieważ żołnierz jest w końcu tylko zabawką, chociaż jest większy od niego...
Mówiłem tak długo. Ciągnąłem chyba godzinami. Scenka wciąż się zmieniała. Wielkiego żołnierza zastąpił kucyk, króliczek, talerz zupy i krakersy. Trzyletni chłopczyk pozostał jednak głównym bohaterem. Kiedy przygarbiony służący w wytartej marynarce przyszedł, ziewając, żeby zabrać mnie z powrotem do łóżka, mówiłem ochrypłym szeptem i bolało mnie gardło. Tej nocy śnił mi się mały chłopczyk, goniący od jednej do drugiej czynności. Jego osobowość była dziwnie zmieszana z moją własną i z osobowością mojego ojca, tak, że byłem jednocześnie obserwatorem, obserwowanym i trzecią, obserwującą tamte dwie osobą.
Następnej nocy zasnąłem prawie natychmiast po tym, jak Mr. Milion wysłał nas do łóżka. Zdążyłem jeszcze tylko pogratulować sobie, że tak szybko mi się to udało. Obudziłem się, kiedy do pokoju wszedł zgarbiony służący. To nie mnie jednak zerwał tym razem z pościeli, tylko Davida. Udawałem, że śpię, uznałem bowiem, że jeśli zobaczy, że nie śpię, może wziąć nas obu. Ukradkiem tylko patrzyłem, jak mój brat ubiera się i próbuje zaprowadzić trochę ładu w swojej jasnej czuprynie. Kiedy wrócił, spałem jak kamień. Nie miałem więc okazji z nim pogadać, do czasu kiedy, jak to się czasem zdarzało, Mr. Milion zostawił nas samych przy śniadaniu. Opowiedziałem mu co mi się przydarzyło, on zaś stwierdził tylko, że spędził noc bardzo podobnie jak ja. Widział hologramy i to chyba te same – drewnianego żołnierza, kucyka. Musiał bez przerwy mówić, tak jak często wymagał tego Mr. Milion w dyskusjach i podczas egzaminów ustnych. Jedyna różnica między jego a moim spotkaniem z ojcem wyłoniła się, gdy zapytałem, jak go ojciec nazwał.
Spojrzał na mnie nic nie rozumiejącymi oczyma, a kawałek tostu zatrzymał w połowie drogi do ust.
Spytałem jeszcze raz:
– Jak do ciebie mówił, gdy z tobą rozmawiał?
– David. A co myślałeś?
Wraz z rozpoczęciem spotkań z ojcem zmienił się rytm mojego życia. Układ, który uważałem za tymczasowy niepostrzeżenie się ustalił. Nasze życie zmieniło się, chociaż ani David, ani ja nie byliśmy tego świadomi. Skończyły się zabawy i opowiadania, które umilały nam czas po pójściu do łóżek. David coraz rzadziej robił fletnie Pana z pnączy armatnicy. Mr. Milion pozwalał nam dłużej spać i powolutku zaczęto nas uznawać za nieco bardziej dorosłych. Oprócz tego, mniej więcej w tym czasie Mr. Milion zaczął zabierać nas do parku, gdzie była strzelnica łucznicza i urządzenia do różnych gier. Ten niewielki park znajdował się niedaleko naszego domu. Z jednej strony ograniczał go kanał. Kiedy David strzelał z łuku do wypchanych słomą gęsi lub grał w tenisa, ja często siedziałem wpatrując się w spokojną, tylko troszkę zabrudzoną wodę. Czasem czekałem na któryś z ogromnych białych statków o dziobach ostrych jak dzioby zimorodków i czterech, pięciu lub nawet siedmiu masztach. Od czasu do czasu, choć bardzo rzadko, przyciągano je na holu z portu, używając do tego dziesięciu lub dwunastu zaprzęgów wołów.

Latem, w jedenastym lub dwunastym roku mego życia – ale chyba w dwunastym – pozwolono nam po raz pierwszy zostać w parku po zachodzie słońca. Usiedliśmy na wysokim, porośniętym trawą brzegu kanału, by obejrzeć pokaz sztucznych ogni. Ledwie skończył się pierwszy, wstępny przelot rakiet pół mili ponad miastem Davidowi zrobiło się niedobrze. Podbiegł do rzeki i zwymiotował. Zamoczył przy tym ręce aż po łokcie. Czerwone i białe gwiazdy płonęły tymczasem w całej okazałości ponad nim. Kiedy biedny David skończył, Mr. Milion wziął go w ramiona i ruszyliśmy ku wyjściu.

Okazało się, że choroba nie utrzymała się wiele dłużej niż zepsuta kanapka, która ją spowodowała. Kiedy jednak nasz nauczyciel kładł Davida do łóżka, postanowiłem, że nie dam sobie zabrać reszty pokazu, którego cześć widzieliśmy między dachami w drodze do domu. Nie wolno mi było wchodzić po ciemku na dach, wiedziałem jednak dobrze, gdzie były najbliższe schody. Podniecenie, które czułem, wkradając się w zakazany świat liści i cieni, zwieńczony purpurowymi, złotymi i płomiennie szkarłatnymi kwiatami ognia było jak gorączka. Sprawiło, że z trudem łapałem powietrze i dygotałem z zimna w środku lata.
Na dachu było dużo więcej ludzi niż się spodziewałem. Mężczyźni nie mieli płaszczy, kapeluszy i lasek (wszystko to zostawili w szatniach mego ojca). Zatrudnione przez ojca dziewczyny ubrane były w dziwne kostiumy. Jednym widać było różowane piersi w siateczkach z giętego drutu, podobnych do klatek na ptaki. Inne wyglądały na bardzo wysokie (co okazywało się ułudą dopiero gdy ktoś koło nich stanął). Cześć dziewcząt miała kostiumy, których spódnice odbijały ich twarze i piersi – tak jak woda odbija rosnące w pobliżu drzewa. W przerywanych błyskach sztucznych ogni wyglądały jak królowe z dziwnej talii kart.
Oczywiście zauważono mnie, gdyż byłem zbyt podniecony, żeby się dobrze ukryć. Nikt mnie jednak nie wypędzał. Przypuszczalnie myśleli, że pozwolono mi wejść na górę, abym zobaczył sztuczne ognie.
Pokaz trwał długo. Pamiętam, że jeden z bywalców, otyły mężczyzna o kwadratowej, głupkowatej twarzy, który wyglądał na kogoś ważnego, strasznie się palił do skorzystania ze względów swojej protegée. Ona natomiast za nic nie chciała iść do domu przed zakończeniem pokazu. Ponieważ koniecznie chciał przejść w jakieś ustronne miejsce, ustawiono 20 lub 30 krzaczków i małych drzewek, tworząc dokoła nich mały zagajnik. Pomagałem kelnerom nosić mniejsze skrzyneczki i doniczki. Kiedy skończyliśmy, udało mi się zaszyć w nowopowstałych krzakach. Mogłem stąd przyglądać się zarówno wybuchającym rakietom i bombom powietrznym, jak bywalcowi i jego nymphe du bois, która patrzyła na ognie z dużo wiekszym zainteresowaniem niż ja.
O ile pamiętam nie kierowała mną lubieżność, lecz zwykła ciekawość. Byłem w wieku, odznaczającym się szerokimi zainteresowaniami, których jedynym celem było naukowe poznanie. Kiedy już prawie zaspokoiłem swoją żądzę wiedzy, ktoś chwycił mnie z tyłu za koszulę i wyciągnął z zarośli.
Odwróciłem się myśląc, że to Mr. Milion. Nie był to jednak on. Zostałem schwytany przez drobną, siwą kobietę w czarnej sukni. Nawet w tak pełnej emocji chwili od razu zauważyłem, że od talii jej spódnica bezwładnie opada ku ziemi. Przypuszczalnie ukłoniłem się jej, gdyż na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to służąca. Nie odwzajemniła jednak mego powitania. Patrzyła mi w twarz z takim skupieniem, że pomyślałem, iż w przerwach między błyskami widzi równie dobrze jak w ich świetle. Wreszcie, prawdopodobnie na zakończenie pokazu, rakieta wielka jak rzeka płomieni z hukiem wzniosła się w górę. Siwa pani podniosła na moment wzrok, a kiedy rakieta wybuchła, tworząc bladofioletową orchideę bajkowej wręcz wielkości i blasku, ta niepozorna, lecz imponująca osóbka chwyciła mnie znowu i energicznie poprowadziła ku schodom.
Kiedy byliśmy na płaskim kamiennym chodniku dachowego ogrodu spostrzegłem, że właściwie nie idzie, lecz zdaje się sunąć po powierzchni jak figura szachowa po wypolerowanej planszy. Pomimo wszystkich zdarzeń, jakie zaszły od tamtej pory, tak ją właśnie pamiętam – jako Czarną Królową – królową z szachów, która nie jest ani dobra, ani zła, zaś Czarna jest wyłącznie w odróżnieniu od jakiejś Białej Królowej, której nigdy nie było mi dane poznać.
Kiedy jednak doszliśmy do schodów, gładkie posuwanie przemieniło się w płynne podskakiwanie. Sprawiało ono, że każdego stopnia dotykała spódnicą na powierzchni co najmniej 2 cali. Górna cześć jej ciała wyglądała jak mała łódeczka, pokonująca wodospad – to przyspieszała, to zwalniała, to niemalże cofała się pod naporem wirów.
Równowagę na stopniach utrzymywała opierając się z jednej strony o mnie, a z drugiej o służącą, która czekała na nas przy schodach. Kiedy przemierzaliśmy ogród na dachu myślałem, że jej przesuwanie się wynikało tylko ze świetnie opanowanego chodu i dobrej postawy. Teraz zrozumiałem jednak, że jest w jakiś sposób upośledzona. Miałem wrażenie, że bez naszej pomocy spadłaby ze schodów na głowę.
Gdy pokonaliśmy wszystkie stopnie, zaczęła znów gładko się przesuwać. Skinięciem głowy odprawiła służącą i poprowadziła mnie w przeciwnym kierunku niż nasza klasa i sypialnia. W końcu doszliśmy do bardzo stromej, rzadko używanej klatki schodowej, która prowadziła 6 pięter w dół. Pomiędzy stopniami przeprowadzono jedynie bardzo wąski, żelazny pręt. W tym miejscu puściła mnie i stanowczo kazała mi schodzić. Przeszedłem kilka stopni i odwróciłem się, by zobaczyć, jak sobie radzi.
Robiła to świetnie. Nie korzystała jednak ze schodów. Jej spódnica opadała prosto jak kurtyna, ona zaś cały czas patrząc na mnie, unosiła się, zawieszona pośrodku biegu schodów. Byłem tak zdziwiony, że się zatrzymałem. Widząc to potrząsnęła ze złością głową. Zacząłem biec. Uciekałem krętymi schodami, ona zaś podążała za mną, obracając w moją stronę twarz, która była niezwykle podobna do twarzy mego ojca. Jedną rękę cały czas trzymała na poręczy. Kiedy zeszliśmy do drugiego piętra, zeskoczyła na ziemię i złapała mnie z łatwością z jaką kot zgarnia dokazującego kociaka. Następnie poprowadziła mnie pokojami i korytarzami, którymi nigdy nie wolno mi było chodzić. Wszystkie one pomieszały mi się w głowie, jakbym był w zupełnie obcym budynku. W końcu stanęliśmy przed drzwiami nie różniącymi się niczym od innych. Otworzyła je stroświeckim mosiężnym kluczem z podobnym do piły piórem i kiwnęła ręką, bym wszedł.
Pokój był jasno oświetlony. Mogłem teraz wyraźnie zobaczyć to, co na dachu i w korytarzach tylko wyczuwałem. Niezależnie od tego jak się poruszała, jej spódnica wisiała dwa cale nad podłogą. Między materiałem a podłogą było całkiem pusto. Wskazała mi mały przykryty koronkową serwetką stołeczek i powiedziała:
– Usiądź.
Kiedy to zrobiłem, przesunęła się do bujanego fotela typu confessional i usiadła naprzeciwko mnie. Po chwili zapytała:
– Jak się nazywasz?
Kiedy jej powiedziałem, popatrzyła na mnie znacząco i zaczęła się bujać w fotelu, lekko odpychając się od stojącej obok lampy. Po długiej chwili znowu się odezwała:
– A jak on ciebie nazywa?
– On?
Zgłupiałem, prawdopodobnie z powodu niewyspania. Ściągnęła usta:
– Mój brat.
Rozprężyłem się nieco.
– O, więc pani jest moją ciotką. Zauważyłem, że jest pani podobna do ojca. Nazywa mnie Numerem Piątym.
Przez chwilę patrzyła na mnie. Kąciki ust opadły jej, podobnie jak to często bywało u ojca. Potem powiedziała:
– To numer albo o wiele za niski, albo za wysoki. Z żyjących jest on i ja. Pewnie liczy też stymulator. Czy masz siostrę, Numerze Piąty?
Kiedy powiedziała te słowa, była tak uderzająco i niespodziewanie podobna do Ciotki Betsy Trotwood z „Davida Copperfielda", którego Mr. Milion kazał nam czytać, że ryknąłem ze śmiechu.
– Nie ma w tym nic niedorzecznego. Twój ojciec ma siostrę, więc czemu ty nie miałbyś jej mieć? A masz?
– Nie, prosze pani, ale mam brata. Nazywa się David.
– Mów do mnie Ciociu Jeannine. Czy David jest podobny do ciebie, Numerze Piąty?
Potrząsnąłem głową.
– Ma kręcone blond włosy, a nie takie jak ja. Może jest do mnie trochę podobny, ale nie bardzo.
– Sądzę – mruknęła ciotka pod nosem – że skorzystał z którejś z moich dziewczyn.
– Słucham?
– Czy wiesz, kto był matką Davida, Numerze Piąty?
– Jesteśmy braćmi, więc chyba była to też moja matka, ale Mr. Milion mówi, że odeszła dawno temu.
– Nie. Ona nie była twoją matką. Mogę ci pokazać zdjęcie twojej matki. Chciałbyś je zobaczyć?
Zadzwoniła i z któregoś z dalszych pokoi weszła, dygając, służąca. Ciotka coś jej szepnęła i dziewczyna wyszła. Ciotka odwróciła się wtedy do mnie i zapytała:
– Co robisz całymi dniami, Numerze Piąty, poza tym, że biegasz po dachu, kiedy ci nie wolno? Czy cię uczą?
Powiedziałem jej o moich eksperymentach (pobudzałem niezapłodnione jaja żab do aseksualnego rozwoju, a potem poddawałem je obróbce chemicznej, żeby podwoić chromosomy, uzyskując w ten sposób następne aseksualne pokolenie) oraz o sekcjach, do których zachęcał mnie już w tym czasie Mr. Milion. W trakcie opowiadania napomknąłem, że ciekawe byłoby zrobienie biopsji autochtona ze Świętej Anny, jeżeli jakiś w ogóle przetrwał, zwłaszcza, że opisy pierwszych badaczy bardzo się między sobą różnią. Niektórzy z pionierów przebywających na Świętej Annie twierdzili, że autochtoni potrafili przybierać różne kształty.
– Aaa... – powiedziała ciotka – więc wiesz o nich. Pozwól, że cię przeegzaminuję, Numerze Piąty. Co to jest Hipoteza Veila?
Uczyliśmy się o tym parę lat temu, więc powiedziałem:
– Według hipotezy Veila autochtoni potrafili doskonale naśladować ludzi. Veil uważał, że kiedy przybyły statki z Ziemi, autochtoni wymordowali wszystkich ludzi, a potem zajęli ich miejsce i zagarnęli statki. Więc to nie oni wyginęli, tylko my.

– Masz na myśli ludzi z Ziemi – homo sapiens.
– Słucham?
– Jeżeli Veil miał rację, ty i ja jesteśmy autochtonami ze Świętej Anny, przynajmniej z pochodzenia. Chyba to właśnie miałeś na myśli. Czy zgadzasz się z nim?
– Sądzę, że to nie ma znaczenia. Mówił, że imitacja musiałaby być doskonała. Jeżeli tak jest, tak czy owak oni są tacy sami, jacy my byliśmy.
Myślałem, że błysnąłem inteligencją. Ciotka uśmiechnęła się jednak i zaczęła się szybciej bujać. W małym, jasnym pokoiku było bardzo ciepło.
– Numerze Piąty, jesteś zbyt młody na semantykę. Obawiam się, że wyprowadziło cię w pole słowo „doskonale". Jestem pewna, że Dr Veil używał go w znaczeniu ogólnym, a nie tak dosłownie jak ty to rozumiesz. Imitacja nie mogłaby być dokładna, gdyż ludzie nie potrafią zmieniać swoich kształtów. Tak więc naśladując ich w sposób „doskonały" autochtoni musieliby również stracić ten dar.
– Czy nie mogło tak być?
– Moje drogie dziecko, wszelkie umiejętności muszą się stopniowo rozwijać. A kiedy się rozwiną, trzeba ich używać, w przeciwnym bowiem razie ulegną atrofii. Gdyby autochtoni potrafili naśladować tak doskonale, że pozbawiłoby to ich tej umiejętności, oznaczałoby to ich koniec. Nastąpiłby on z pewnością na długo przed przybyciem pierwszych statków. Oczywiście nie ma najmniejszego dowodu, że potrafili oni coś takiego zrobić. Po prostu wymarli, zanim można było przeprowadzić nad nimi dokładne badania. Veil w dramatyczny sposób chciał znaleźć wytłumaczenie dla okrucieństwa i irracjonalizmu wokół siebie. Jego teoria nie jest jednak niczym podparta.
Pomyślałem, że ta ostatnia uwaga stwarza doskonałą okazję, żeby zapytać o jej nadzwyczajny sposób przemieszczania się, zwłaszcza, że wyglądała na przychylnie do mnie nastawioną. Już miałem to zrobić, kiedy prawie jednocześnie przerwano nam z dwóch stron. Wróciła służąca z wielką księgą, oprawioną w tłoczoną skórę. Ledwie ją podała ciotce, znów zapukano do drzwi. Ciotka powiedziała z roztargnieniem:
– Otwórz.
To polecenie mogło się odnosić zarówno do mnie, jak i do służącej. Zaspokoiłem więc swoją ciekawość przeganiając ją w podbiegnięciu do drzwi. Na korytarzu czekały dwie demi-mondaines mego ojca. Ubrane i wymalowane były tak, że wyglądały dziwniej niż jacykolwiek autochtoni: wyniosłe jak topole z Lombardii, nieludzkie jak duchy. Miały zielono-żółte oczy umalowane tak, że wyglądały jak wielkie jaja. Ich nadmuchane piersi sięgały niemal wysokości ramion. Mimo, że zachowywały wpojone im opanowanie, miło mi było zauważyć, że są zaskoczone moją obecnością w tym pokoju. Skinąłem, żeby weszły, ale kiedy służąca zamknęła za nimi drzwi, ciotka powiedziała z roztargnieniem:
– Za chwilę, dziewczynki. Chcę coś pokazać temu chłopcu. Potem on wyjdzie.
To coś było zdjęciem robionym w sposób, który uznałem za jakąś nową technologię. Polegała ona na odrzuceniu wszystkich kolorów prócz jasnobrązowego. Zdjęcie było małe. Jego ogólny wygląd i skruszałe brzegi wskazywały, że było bardzo stare. Widniała na nim szczupła i – z tego co można było wywnioskować ze zdjęcia – raczej wysoka dwudziestopięcioletnia dziewczyna. Stała na brukowanym chodniku obok zażywnego młodzieńca, a na ręku trzymała niemowlę. Chodnik przebiegał przed niezwykłym, bardzo długim, parterowym domem. Co dwadzieścia lub trzydzieści stóp był tam ganek albo weranda, które nadawały budowli coraz to inny styl architektoniczny. Wyglądało to tak, jak gdyby zbudowano szereg stykających się ze sobą bardzo wąskich domków. Wspominam ten szczegół, chociaż ledwo go wtedy zauważyłem, gdyż od czasu mojego wyjścia z więzienia często szukałem śladu tego domu. Kiedy ciotka po raz pierwszy pokazała mi zdjęcie, dużo bardziej zainteresowałem się twarzą dziewczyny i niemowlęcia. Tej ostatniej prawie nie było widać, bo mały był ściśle owinięty białymi, wełnianymi kocykami. Dziewczyna miała wydatne rysy twarzy i czarujący, promienny uśmiech, jednocześnie niedbały, rozpoetyzowany i przebiegły. Cyganka – pomyślałem w pierwszej chwili. Miała jednak na to o wiele za jasną cerę. W naszym świecie wszyscy pochodzimy od stosunkowo małej grupy kolonizatorów. Jesteśmy więc ludnością dość jednorodną. W czasie nauki poznałem jednak nieco pierwotne rasy ziemskie. Pomyślałem więc zaraz, a właściwie byłem już pewien, że musiała pochodzić od Celtów.
– Walia – powiedziałem głośno – albo Szkocja czy Irlandia.
– Co? – zdziwiła się ciotka.
Jedna z dziewczyn zachichotała. Siedziały teraz obie na otomanie. Długie, połyskujące czymś nogi, przypominające lakierowane drzewce flag, założyła jedna na drugą.
– Nieważne.

Ciotka spojrzała na mnie przenikliwie i powiedziała:
– Masz rację. Poślę po ciebie i porozmawiamy o tym, kiedy oboje będziemy mieli więcej czasu. Na razie służąca zabierze cię do twojego pokoju.
Z długiej drogi, którą musiałem przebyć ze służącą nie pamiętam nic. Zapomniałem też, jak tłumaczyłem przed Mr. Milionem moją nieusprawiedliwioną nieobecność. Przypuszczalnie przejrzał moje wykręty albo dowiedział się prawdy od służących, gdyż wezwanie do mieszkania ciotki nie nadchodziło, mimo że czekałem na nie całymi tygodniami.
Tej nocy – jestem prawie pewien, że była to ta sama noc – śnili mi się autochtoni ze Świętej Anny. Tańczyli w pióropuszach ze świeżej trawy na głowach, ramionach i wokół kostek. Potrząsali uplecionymi z sitowia tarczami i włóczniami o ostrzach z nefrytu. Ich kołysanie przeniosło się w końcu do mojego łóżka i zamieniło w ramiona służącego w zniszczonym, czerwonym ubraniu, który przyszedł, by mnie zawołać do biblioteki ojca, podobnie jak to robił już prawie co noc.
Tej nocy – tym razem jestem zupełnie pewien, że była to ta sama noc, kiedy po raz pierwszy śnili mi się autochtoni – zmienił się schemat moich wizyt u ojca. W ciągu czterech lub pięciu lat spotkania nasze przybrały stale powtarzający się układ: zaczynaliśmy od rozmowy, potem następowały hologramy, wolne kojarzenia pojęć, aż w końcu odprawiał mnie do łóżka. Tym razem po wstępnej rozmowie, która miała chyba za zadanie rozluźnić mnie psychicznie (co, jak zwykle, nie wyszło), kazał mi zawinąć rękaw i położyć się na starym łóżku lekarskim w rogu pokoju. Musiałem patrzeć na ścianę, to jest na półki zawalone poszarpanymi notatnikami. Czułem jak ktoś wbija mi igłę w wewnętrzną stronę ręki. Przytrzymywano mi jednak głowę, a ponieważ twarz miałem odwróconą, nie mogłem wstać ani zobaczyć, co robią. Igłę wyjęto i ojciec kazał mi spokojnie leżeć.
Wydawało mi się, że leżałem tak bardzo długo. Ojciec od czasu do czasu rozwierał mi powieki i patrzył w oczy albo sprawdzał puls. Wreszcie ktoś w odległej części pokoju zaczął opowiadać bardzo długą i skomplikowaną historię. Ojciec robił notatki z tego co mówiono, a od czasu do czasu przerywał, by zadawać pytania, na które nie musiałem odpowiadać, gdyż tamta osoba robiła to za mnie.
Wbrew moim oczekiwaniom narkotyk, który mi wstrzyknięto nie zmniejszył swego działania z upływem czasu. Wręcz przeciwnie, odrywał mnie coraz bardziej od rzeczywistości. Zniknęło łóżko lekarskie z łuszczącą się skórą, zmieniając się w pokład statku, to znów w skrzydła gołębia, łopoczące wysoko nad światem. Było mi już wszystko jedno czy głos, który słyszałem należał do mnie, czy do ojca. Wpadał w tony to wysokie, to znów niskie. Momentami czułem jakbym mówił z głębi potężnej klatki piersiowej, dużo większej niż moja własna. Głos ojca, który mogłem rozpoznać po szeleście przewracanych kartek notatnika, przypominał chwilami wysokie piski biegających po ulicach dzieciaków, które słychać było latem, gdy wychylałem głowę przez okienko w kopule biblioteki.
Od tej nocy moje życie znów się zmieniło. Narkotyki – wyglądało bowiem na to, że było ich kilka – wpłynęły na moje zdrowie. Przeważnie reagowałem na nie w podobny sposób, jak za pierwszym razem. Zdarzało się jednak również, że nie mogłem spokojnie uleżeć, lecz podczas rozmowy całymi godzinami biegałem w kółko albo też zapadałem w rozkoszny lub też w nieopisanie przerażający sen. Często budziłem się z okropnym bólem głowy, który męczył mnie potem cały dzień. Przechodziłem okresy skrajnej nerwowości i lęków. Najbardziej przerażające było to, że czasem przepadały mi gdzieś całe części dni. Kiedy odzyskiwałem przytomność byłem ubrany i rozbudzony. Czytałem, chodziłem albo nawet mówiłem, nie pamiętając zupełnie co się zdarzyło od chwili, gdy poprzedniej nocy leżałem bełkocząc do sufitu w bibliotece ojca.
Chociaż nie przerwaliśmy lekcji, które miałem do tej pory z Davidem, w pewnym sensie odwróciły się role jakie ja i Mr. Milion odgrywaliśmy w stosunku do siebie. Teraz ja nalegałem, by lekcje się odbyły. Ja wybierałem temat i przeważnie ja przepytywałem z niego Davida i Mr. Miliona. Często jednak, kiedy byli w bibliotece albo w parku, czytałem wcale nie wstając z łóżka.
Spotkania Davida z ojcem uległy tym samym zmianom, co moje. Również działo się to w tym samym czasie. Były one jednak rzadsze, a w miarę, jak letnie dni przechodziły w jesień, a potem w długą zimę, stawały się wręcz sporadyczne. Ogólnie rzecz biorąc David lepiej znosił narkotyki, miały więc one na niego o wiele mniejszy wpływ.
Jeżeli można wyznaczyć dokładny kres mego dzieciństwa, stało się to właśnie tej zimy. Gorszy stan zdrowia zmusił mnie do porzucenia zabaw dziecięcych, a z drugiej strony zachęcał do przeprowadzania doświadczeń na małych zwierzętach i do sekcji, dostarczanych przez Mr. Miliona nie kończącym się strumie-



A. Brzezicki

niem otwartych ust i wytrzeszczonych oczu zwłok. Tak jak mówiłem uczyłem się lub czytałem całymi godzinami. Czasem też całymi dniami leżałem z rękoma pod głową, starając się przypomnieć sobie słowa, które słyszałem, gdy je wypowiadałem do ojca. Ani David, ani ja nie pamiętaliśmy nigdy dostatecznie dużo, by zbudować jakąś trzymającą się kupy teorię na temat rodzaju zadawanych nam pytań. Wciąż jednak mam w pamięci kilka scenek, których z pewnością nigdy naprawdę nie widziałem. Myślę, że są to wyobrażenia sugestii, które mi ojciec podszeptywał, kiedy przedzierałem się przez zmienione stany świadomości.
Moja tak przedtem niedosiężna ciotka teraz rozmawiała ze mną na korytarzach, a nawet przychodziła do naszego pokoju. Dowiedziałem się, że miała pieczę nad zagospodarowaniem wnętrz naszego domu, więc załatwiłem sobie przez nią moje własne małe laboratorium w tym samym skrzydle co sypialnia. Większość zimy spędziłem jednak przy emaliowanym stole sekcyjnym lub w łóżku. Śnieg zasłonił pół okna i przywierał do nagich łodyg armatnicy. W rzadkich wypadkach, gdy spotykałem stałych gości mego ojca, widziałem jak wchodzą w mokrych butach, z ramionami i kapeluszami obsypanymi śniegiem. Mieli czerwone twarze, chuchali i prychali otrzepując palta w holu. Nie było już drzew pomarańczy. Nie korzystano też z ogrodu na dachu. Późną nocą pół tuzina bywalców wybiegało wraz ze swymi ulubienicami na podwórko pod naszym oknem. Rozochoceni szaleństwem i winem obrzucali się śnieżkami, a cała zabawa nieodmiennie kończyła się rozbieraniem dziewcząt i turlaniem ich nago po śniegu.

Jak to się zwykle zdarza ludziom, którzy większość czasu spędzają w domu, wiosna była dla mnie zaskoczeniem. Pewnego dnia, kiedy wciąż jeszcze zdawało mi się, że jest zima (jeżeli w ogóle myślałem o pogodzie) David otworzył na oścież okno i uparł się, żebym z nim poszedł do parku. Był już kwiecień. Mr. Milion poszedł z nami. Do małego ogródka między naszym domem, a ulicą wyszliśmy głównymi drzwiami. Kiedy byłem tam ostatnim razem ogródek obwałowany był zaspami odgarniętego ze ścieżki śniegu. Teraz jaśniał wczesnymi pąkami kwiatów i rozbrzmiewał podzwanianiem fontanny. David poklepał żelaznego psa po uśmiechniętym pysku i powiedział:
– „A stamtąd pies z poczwórnym łbem przybył do sfery światła".
Z głupia frant zwróciłem mu uwagę, że pomylił się w rachunku.
– O nie. Cerberzyca ma cztery łby. Nie wiedziałeś o tym? Czwarty to łeb jej cnoty, a taka z niej suka, że żaden pies nie da rady go zabrać.
Nawet Mr. Milion zachichotał. Później zauważyłem, że David jest zdrowy i krzepki i dostrzegłem zapowiedź męskości, widoczną już w układzie jego ramion. Pomyślałem, że jeżeli trzy łby przedstawiały Maitre, Madame i Mr. Miliona, tj. ojca, ciotkę i nauczyciela, to niedługo trzeba będzie odlać czwarty – Davida.
Park był dla niego prawdziwym rajem. Ja jednak czułem się tak marnie, że wydał mi się raczej ponury. Większość rana spędziłem skulony na ławce, przyglądając się jak David gra w rakietki. Koło południa, co prawda nie na mojej ławce, ale tuż obok, usiadła ciemnowłosa dziewczynka z nogą w gipsie. Przyszła do parku o kulach w towarzystwie pielęgniarki czy guwernantki, która, moim zdaniem specjalnie, usadowiła się pomiędzy nami. Na szczęście niemiła ta dama siedziała zbyt prosto, by misja przyzwoitki powiodła jej się w stu procentach. Przycupnęła na brzegu ławki, a dziewczynka, wyciągając przed siebie chorą nogę, osunęła się na oparcie. W ten sposób z łatwością mogłem podziwiać piękno jej profilu. Od czasu do czasu odwracała się, by coś powiedzieć do towarzyszącej jej wiedźmy. Widziałem wtedy całą jej twarz. Była bardziej okrągła niż owalna. Miała karminowe usta, fiołkowe oczy, delikatne łukowate brwi i długie, zakręcone rzęsy. Duży kosmyk czarnych włosów opadał jej na czoło. Kiedy nadeszła stara sprzedawczyni bułek kantońskich (były dłuższe niż dłoń i tak gorące od tłuszczu, w którym się gotowały, że trzeba je było bardzo ostrożnie jeść, jak coś żywego) skorzystałem z jej pośrednictwa i kupiłem jedną dla siebie, a dwa pachnące przysmaki posłałem dziewczynce i towarzyszącej jej babie. Stara oczywiście odmówiła przyjęcia bułki. Z radością widziałem jednak, że dziewczyna prosi, aby mogła wziąć swoją. Jej promienne oczy i pałające policzki wymownie wyrażały chęć przyjęcia podarunku. Mogłem domyślić się treści słów z gestów dziewczyny. Odmawiając bez żadnego powodu obrażą nieznajomego. Była głodna, więc i tak chciała kupić bułkę. Odmawianie czegoś na co się ma ochotę, kiedy ktoś daje to za darmo jest czystym marnotrawstwem. Sprzedawczyni najwyraźniej zasmakowała w roli pośredniczki. Oznajmiła, że zbiera jej się na płacz na samą myśl, że będzie musiała zwrócić moje złoto (w rzeczywistości był to niewielkiej wartości banknot, prawie tak zatłuszczony jak jej towar, lecz o wiele brudniejszy). W końcu panie zaczęły się tak głośno sprzeczać, że mogłem dosłyszeć głos dziewczyny. Był jasny, bardzo przyjemny i niski. Wreszcie stara zgodziła się przyjąć prezent. W podziękowaniu raczyła ozięble skinąć głową w moją stronę, ale dziewczyna za jej plecami puściła do mnie oko.
Pół godziny później David i Mr. Milion (który był w tym czasie koło boiska przyglądając się grze) spytali, czy chcę iść na lunch. Powiedziałem, że tak. Pomyślałem, bowiem, że po przerwie zręczniej będzie usiąść bliżej dziewczyny. Poszliśmy do małej, czystej kawiarenki blisko targu kwiatów. Przypuszczalnie pochłaniałem swoją porcję bardzo niecierpliwie. Kiedy jednak wróciliśmy do parku nie było już ani dziewczyny, ani jej guwernantki.
Mniej więcej w godzinę po powrocie do domu ojciec wezwał mnie do siebie. Poszedłem z pewną obawą, ponieważ nigdy jeszcze nie wołał mnie tak wcześnie. Nie nadeszli jeszcze pierwsi klienci a zawsze chodziłem do niego po odejściu ostatnich. Niepotrzebnie się jednak bałem. Zapytał o moje zdrowie. Odpowiedziałem, że czuję się lepiej niż w zimie. Z pewnością siebie graniczącą z napuszeniem, która różniła się diametralnie od jego zwykłego zmęczenia połączonego z przenikliwością, zaczął wtedy mówić o swoim interesie i o konieczności przygotowania młodego chłopca do zarabiania na życie.
– Zdaje mi się, że jesteś badaczem nauk przyrodniczych – powiedział.
Odrzekłem na to, że faktycznie usiłuję wnieść w tę dziedzinę jakiś drobny wkład i nastawiłem się, że, jak to zwykle robili inni, przypuści atak na przydatność studiowania chemii czy biofizyki w świecie takim jak nasz, gdzie jest bardzo mała baza przemysłowa, gdzie nie przydają się one poza tym do egzaminów państwowych, nie przygotowują do handlu itd. Zamiast tego powiedział:
– Miło mi to słyszeć. Szczerze mówiąc prosiłem Mr. Miliona, by cię do tego jak najbardziej zachęcał. Zresztą i tak by to z pewnością zrobił – tak jak kiedyś zachęcał mnie. Studia te przyniosą ci nie tylko satysfakcję, ale będą – przerwał, chrząkając i potarł rękami twarz i głowę – przydatne do bardzo wielu rzeczy. Poza tym są w pewnym sensie tradycją rodzinną.
Powiedziałem, zresztą szczerze, że bardzo się z tego cieszę.
– Widziałeś moje laboratorium za wielkim lustrem?
– Nie, nie byłem tam nigdy.

Wiedziałem, że w kilku pokojach za rozsuwanym lustrem było laboratorium. Służący czasami mówili o „ambulatorium", gdzie ojciec przygotowywał dla nich pigułki, co miesiąc badał pracujące u niego dziewczyny, a od czasu do czasu przepisywał lekarstwa dla lekkomyślnych „znajomych" naszych bywalców, którzy z braku ostrożności nie ograniczyli swoich kontaktów wyłącznie do naszego zakładu. Powiedziałem, że bardzo chętnie zobaczyłbym laboratorium. Uśmiechnął się:

– Odchodzimy jednak od tematu. Nauka jest bardzo ważna, ale przekonasz się tak jak ja, że pochłania więcej pieniędzy, niż ich daje. Potrzebna ci będzie aparatura, książki i mnóstwo innych rzeczy, a prócz tego musisz mieć środki do życia. Mamy tu nie najgorszy interes. I chociaż – częściowo dzięki nauce – mam nadzieję długo żyć, ty jesteś spadkobiercą i kiedyś będzie to twoje...

(Więc jestem starszy niż David!)

– ... każda faza tego, co robimy. Wierz mi, żadnej z nich nie można lekceważyć.

Byłem tak zdziwiony, wręcz rozradowany swym odkryciem, że nie dosłyszałem części tego co powiedział. Kiwnąłem głową, co wydało mi się bezpieczne.

– Dobrze. Chcę, żebyś zaczął od dyżurów przy drzwiach frontowych. Do tej pory była tam służąca. Mniej więcej przez pierwszy miesiąc będzie ci towarzyszyć, gdyż trzeba się tam nauczyć więcej niż ci się zdaje. Powiem Mr. Milionowi i on to wszystko urządzi.

Podziękowałem mu i ojciec otworzył drzwi wskazując, że rozmowa dobiegła końca. Kiedy wychodziłem, trudno mi było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który niemal każdego wczesnego poranka wysysał ze mnie życie.

Nie skojarzyłem tak nagłego podniesienia mojej pozycji z wydarzeniami w parku. Teraz zdaję sobie sprawę, że Mr. Milion, który całkiem dosłownie ma oczy z tyłu głowy, musiał dać ojcu znać, że doszedłem do wieku, kiedy dziecięce pożądania podświadomie skupione na rodzicach zaczynają powoli wychodzić poza rodzinę.

W każdym razie jeszcze tego wieczora przejąłem funkcje osoby, którą Mr. Milion nazwał „witaczem", A David (tłumacząc, że pierwotne znaczenie tego słowa powiązane było z „portalem") określił portierem. Tym samym w praktyce przyjąłem na siebie funkcję, którą symbolicznie pełnił żelazny pies w ogrodzie. Przede mną te obowiązki sprawowała służąca imieniem Nerissa. Wybrano ją, ponieważ była nie tylko jedną z najładniejszych, ale poza tym jedną z najwyższych i najsilniejszych dziewczyn ze służby. Miała grube kości i pociągłą, uśmiechniętą twarz, a w ramionach była szersza niż większość mężczyzn. Tak jak ojciec obiecał, została, by mi pomóc. Nasze obowiązki nie były uciążliwe. Bywalcy mojego ojca byli w większości ludźmi majętnymi z ustaloną pozycją społeczną i nie mieli zwyczaju wszczynać burd lub głośnych awantur, z wyjątkiem rzadkich wypadków dużego zamroczenia alkoholem. Większość z nich była już w naszym domu dziesiątki, a kilka nawet setki razy. Mówiliśmy do nich po przezwiskach, których tylko tu używali (Nerissa podawała mi je sotto voce, kiedy się zbliżali). Wieszaliśmy ich palta oraz wskazywaliśmy im drogę lub – jeśli było trzeba – sami prowadziliśmy ich od odpowiednich części budynku. Nerissa kipiała energią, a bywalcy przyglądali się jej z zachwytem. Tylko najbardziej atletycznie zbudowanych nie przyćmiewała budową. Dawała się podszczypywać i brała napiwki. W chwilach przestojów opowiadała mi o tym, jak czasem miłośnicy dużych dziewczyn wzywali ją „na górę " i ile to wtedy zarobiła. Śmiałem się z kawałów i odmawiałem pieniędzy, tak by dać klientom do zrozumienia, że należę tu do zarządu. Większości nie trzeba było tego zresztą przypominać. Często mówili mi, że jestem nadzwyczaj podobny do ojca.

Na samym początku mojej pracy w charakterze recepcjonisty, trzeciego albo czwartego dnia, mieliśmy niezwykłego gościa. Przyszedł wczesnym wieczorem, a że dzień był akurat wyjątkowo ponury, jeden z ostatnich prawdziwie zimowych dni, więc lampy w ogrodzie paliły się już co najmniej od godziny. Słychać było karety, które od czasu do czasu przejeżdżały ulicą, ale nie można ich było dojrzeć. Kiedy zapukał, otworzyłem drzwi i, tak jak wszystkich nieznajomych, zapytałem go uprzejmie, czego sobie życzy.

– Chciałbym porozmawiać z Dr. Aubrey Veil.

Zrobiłem chyba dość głupią minę.

– Czy to Saltimbanque 666?

Oczywiście, że tak. Nazwisko Dr Veila coś mi przypominało, ale nie bardzo mogłem je z czymkolwiek skojarzyć. Pomyślałem, że któryś z naszych klientów podał nasz dom jako adresse d'accommodation. Jasne było, że gość nie odstawiał lipy. Mimo pewnej osłony, jaką tworzył ogród nie było wskazane dyskutować z kimkolwiek w drzwiach. Poprosiłem, by wszedł i posłałem Nerisse, by przyniosła kawę do małego, ciemnego pokoiku dla gości, przylegającego do holu, gdzie mogliśmy chwilę porozmawiać na osobności. Pokoiku tego używano bardzo rzadko. Kiedy tylko otworzyłem drzwi zauważyłem, że sprzątaczki nie odkurzają go. Zanotowałem to sobie w pamięci, żeby powiedzieć ojcu. Dzięki temu przypomniałem sobie, gdzie słyszałem o Dr. Veilu. Kiedy pierwszy raz rozmawiałem z ciotką, wspominała o jego teorii, że być może pochodzimy od autochtonów ze Świętej Anny, którzy wymordowali osadników z Ziemi i tak znakomicie ich naśladowali, że zapomnieli własnej przeszłości.

Nieznajomy usiadł na jednym z zatęchłych, pozłacanych krzeseł. Miał kruczo-czarną brodę, większą niż dyktowała ówczesna moda. Był młody – chociaż oczywiście sporo starszy ode mnie. Gdyby nie bezbarwna cera, niemal przywodząca na myśl kalectwo, byłby przystojny. Jego ciemne ubranie wyglądało na niezwykle ciężkie, jak z filcu. Przyglądając mu się przypomniałem sobie, że jeden z klientów mówił, że wczoraj w zatoce wylądował gwiazdolot ze Świętej Anny. Zapytałem nieznajomego, czy przybył na pokładzie gwiazdolotu. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Potem roześmiał się.

– Spryciarz z ciebie. Pewnie znasz teorię Dr. Veila, jeśli z nim mieszkasz pod jednym dachem. Nie, jestem z Ziemi. Nazywam się Marsch.

Dał mi wizytówkę. Przeczytałem ją dwukrotnie, nim dotarły do mnie wytłoczone na niej delikatnie informacje. Mój gość był naukowcem, doktorem antropologii z Ziemi. Powiedziałem:

– Nie chciałem się popisywać. Myślałem, że naprawdę mógł pan przylecieć ze Świętej Anny. Większość osób na naszej planecie prócz Cyganów i plemion przestępczych ma jeden określony typ twarzy. Pan nie pasuje do tego typu.

Odpowiedział:

– Zauważyłem to, o czym mówisz. Sam masz taką twarz.

– Mówią, że jestem bardzo podobny do ojca.

– Czy jesteś klonem?

– Klonem? – Natknąłem się na ten termin, ale tylko w odniesieniu do botaniki. Tak jak już mi się często przedtem zdarzało, kiedy chciałem przed kimś zabłysnąć inteligencją, nic nie przychodziło mi do głowy. Poczułem się jak nieuk.

– Rozmnożony partenogenetycznie, to znaczy tak, że potomek lub potomkowie – jeśli chcesz, możesz ich mieć tysiąc – mają strukturę genetyczną identycznie taką samą jak rodzic. Jest to sprzeczne z ewolucją, więc na Ziemi jest nielegalne. Tutaj chyba nie przestrzega się tego tak ściśle.

– Mówi pan o ludziach?

Kiwnął głową twierdząco.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Właściwie wątpię, czy mamy tutaj odpowiednią technologię. W porównaniu z Ziemią jesteśmy dość zacofani. Oczywiście nie jest wykluczone, że ojciec mógłby coś dla pana zrobić.

– Nie chcę mieć takiego potomstwa.

W tym momencie weszła Nerissa, skutecznie uniemożliwiając dalszą rozmowę. Informację o ojcu dodałem właściwie tylko z przyzwyczajenia. Nie bardzo wierzyłem, by był w stanie dokonać takiego biochemicznego tour de force. Jakaś możliwość zawsze istniała, zwłaszcza gdyby zaproponowano dużą sumę. Tymczasem w milczeniu czekaliśmy, aż Nerissa ustawi filiżanki i naleje kawę. Kiedy wyszła, Marsch powiedział z podziwem:

– Co za niezwykła dziewczyna. Zauważyłem, że ma jaskrawozielone oczy, pozbawione brązowych iskierek, często spotykanych u ludzi o zielonych oczach.

Aż się trząsłem, żeby zapytać go o Ziemię i o nowe osiągnięcia, jakich tam dokonano. Przyszło mi do głowy, że z pewnością będzie go można zatrzymać, a przynajmniej skłonić do powrotu przy pomocy naszych dziewczyn. Powiedziałem więc:

– Powinien pan je zobaczyć. Mój ojciec ma świetny gust.

– Wolałbym się zobaczyć z Dr. Veilem, niż z twoim ojcem. A może Dr. Veil jest twoim ojcem?

– O, nie.

– To jego adres, a przynajmniej adres jaki mi podano. Saltimbanque Street 666. Port-Mimizon, Département de la Main, Sainte Croix.

Mówił to całkiem serio. Nie mogłem wykluczyć, że jeśli powiem mu po prostu, że to pomyłka, zaraz odejdzie. Powiedziałem więc:

– Dowiedziałem się o Hipotezie Veila od mojej ciotki. Wygląda na to, że bardzo dobrze się w niej orientuje. Może chce pan z nią trochę później porozmawiać?

– A nie mogę się z nią zaraz zobaczyć?

– Ciotka przyjmuje bardzo niewielu gości. Szczerze mówiąc, podobno pokłóciła się z moim ojcem jeszcze zanim się urodziłem i rzadko wychodzi ze swojego mieszkania. Odpowiedzialni za służbę zdają jej tam sprawozdania, a ona zarządza gospodars-

twem. Bardzo rzadko można jednak spotkać Madame poza jej własnymi pokojami. Nieczęsto też zdarza się, by wpuszczano tam kogoś obcego.
– Dlaczego mi to wszystko mówisz?
– Żeby pan zrozumiał, że mimo najlepszych w świecie chęci może się okazać, że nie będę mógł załatwić panu tego spotkania. Przynajmniej nie dzisiaj.
– Mógłbyś ją po prostu spytać, czy zna aktualny adres Dr. Veila, a jeżeli tak – poprosić, żeby go podała.
– Naprawdę staram się panu pomóc, Doktorze Marsch. Niech pan to zrozumie.
– Nie sądzisz jednak, że tak właśnie najlepiej będzie to załatwić?
– Nie.
– Inaczej mówiąc, jeśli byś po prostu zapytał ciotkę nie dając jej okazji, żeby wyrobiła sobie o mnie swoje własne zdanie, mogłaby nie podać mi informacji, nawet gdyby ją miała.
– Byłoby bardzo dobrze gdybyśmy przedtem trochę porozmawiali. Chciałbym się dowiedzieć wielu rzeczy o Ziemi.
Przez chwilę zdawało mi się, że pod czarną brodą pojawił się cierpki uśmiech. Odpowiedział:
– A może to ja zapytam cię pierwszy?
Znowu przerwała nam Nerissa. Chciała chyba zobaczyć, czy nie potrzebujemy czegoś z kuchni. Miałem ochotę ją zadusić, kiedy Dr Marsch przerwał w pół zdania i zamiast skończyć powiedział:
– A może dziewczyna mogłaby spytać, czy ciotka mnie przyjmie?
Musiałem szybko myśleć. Miałem zamiar pójść sam i odczekawszy odpowiednią chwilę wrócić i powiedzieć, że ciotka przyjmie go później. Kiedy czekałby, miałbym dodatkową okazję popytać go o Ziemię. Istniała jednak możliwość (niewątpliwie powiększona w moich oczach przez gorące pragnienie usłyszenia o nowych wynalazkach na Ziemi), że nie poczekałby albo też – jeśli w końcu zobaczyłby się z ciotką – mógł opowiedzieć jej o moim zachowaniu. Jeżeli zaś posłałbym Nerisse, zatrzymałbym go dla siebie przynajmniej aż do jej powrotu. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że ciotka mogła mieć jakieś sprawy do załatwienia przed spotkaniem z nieznajomym. Kazałem Nerissie iść, a Dr. Marsch dał jej wizytówkę, na której napisał z tyłu kilka słów.
– Tak – powiedziałem – a o co pan chciał mnie zapytać?
– Ten dom na planecie zamieszkałej od niecałych dwustu lat wygląda dziwnie staro.
– Zbudowano go 140 lat temu, ale na Ziemi macie pewnie wiele starszych domów.
– Chyba tak. Setki. Ale na każdy z nich przypada dziesięć tysięcy domów, które nie mają nawet roku. Tutaj prawie każdy budynek, który widziałem wyglądał prawie tak staro jak ten.
– Nigdy nie byliśmy tutaj stłoczeni. Nie musieliśmy więc burzyć starych domów. Tak twierdzi Mr. Milion. Teraz jest tu mniej ludzi niż pięćdziesiąt lat temu.
– Mr. Milion?
Powiedziałem mu o Mr. Milionie, a kiedy skończyłem odrzekł:
– Wygląda na to, że macie tu niezwiązany symulator dziesięć dziewięć. To powinno być ciekawe. Sporządzono ich tylko kilka.
– Symulator dziesięć dziewięć?
– Miliard, dziesięć do dziewiątej potęgi. Mózg ludzki ma oczywiście kilka miliardów złącz nerwowych. Odkryto jednak, że można całkiem dobrze symulować jego działanie...
Wydało mi się, że nie minęła nawet chwila odkąd odeszła Nerissa, ale była już właśnie z powrotem. Dygnęła przed Dr. Marschem i powiedziała:
– Madame przyjmie pana.
– Zaraz? – krzyknąłem.
– Tak – powiedziała Nerissa bez wdzięku. – Madame mówiła, że zaraz.
– Zaprowadzę go. Ty pilnuj drzwi.
Poprowadziłem Dr. Marscha ciemnymi korytarzami wybierając dłuższą drogę, żeby zyskać na czasie. Wyglądało jednak na to, że kiedy mijaliśmy zniszczałe lustra i wypaczone stoliki z drzewa orzechowego, układał w myślach pytania jakie zada ciotce. Gdy usiłowałem wyciągnąć coś z niego o Ziemi, odpowiadał mi monosylabami.
Kiedy stanęliśmy przy drzwiach ciotki, zastukałem. Otworzyła sama. Dół czarnej spódnicy zwisał bezwładnie nad nie zadeptanym dywanem. Dr Marsch chyba jednak tego nie zauważył. Powiedział:
– Przepraszam, że panią niepokoję, Madame. Robię to tylko dlatego, ponieważ pani bratanek sądzi, że może mi pani pomóc w odnalezieniu autora Hipotezy Veila.
Ciotka odpowiedziała:
– To ja jestem Dr. Veil. Proszę, niech pan wejdzie.
Zamknęła za nim drzwi, pozostawiając mnie w korytarzu z rozdziawioną gębą.

Historię z Dr. Marschem opowiedziałem Phaedrii przy naszym następnym spotkaniu. Jeśli do tej pory nie wymieniłem jej imienia, muszę wyjaśnić, że tak nazywała się dziewczyna, która siedziała niedaleko mnie, kiedy przyglądałem się jak David gra w rakietki. W czasie mojej następnej wyprawy do parku przedstawiła mi ją ni mniej, ni więcej tylko jej okropna opiekunka. Posadziła ją obok mnie, a potem – cud nad cudami – niezwłocznie oddaliła się, tak że chociaż nie straciła nas z oczu, nie słyszała co mówimy. Phaedria wysunęła przed siebie złamaną nogę aż do połowy żwirowanej ścieżki i obdarzyła mnie przeuroczym uśmiechem.
– Nie masz nic przeciwko temu, żebym tu usiadła?
Miała piękne zęby.
– Jestem zachwycony.
– Jesteś zdumiony. Kiedy się dziwisz masz bardzo duże oczy, wiedziałeś o tym?
– Jestem zdziwiony. Szukałem cię tutaj kilka razy, ale cię nie było.
– Myśmy ciebie też szukały i też cię nie było. A w końcu ile można siedzieć w parku?
– Siedziałbym tu – powiedziałem – gdybym wiedział, że mnie szukasz. I tak przychodziłem kiedy tylko mogłem. Bałem się, że ona – ruchem głowy wskazałem straszydło – nie pozwoli ci tu wrócić. Jak ją przekonałaś?
– Nie przekonywałam jej – odpowiedziała Phaedria – nie domyślasz się? Nie wiesz o niczym?
Przyznałem się, że nie wiem. Czułem się głupio i faktycznie zgłupiałem, a przynajmniej tak wynikało z tego co mówiłem. Byłem tak zajęty zapamiętywaniem melodyjności jej głosu, odcienia purpury w jej oczach, a nawet delikatnego zapachu jej skóry i jej ciepłego oddechu na moim policzku, że nie bardzo zastanawiałem się nad formułowaniem odpowiedzi na jej pytanie.
– No więc widzisz – mówiła Phaedria – jak to ze mną jest. Kiedy ciotka Urania, która jest właściwie tylko ubogą krewną mojej matki, przyszła do domu i opowiedziała o tobie ojcu, dowiedział się kim jesteś – i oto jestem.
– Tak – powiedziałem, a ona roześmiała się.
Phaedria należała do dziewcząt, wychowywanych między nadzieją na małżeństwo, a myślą o sprzedaży. Interesy jej ojca – jak to sama ujęła – były „niestabilne". Spekulował towarami przywożonymi na statkach z południa – tkaninami i lekami. Przeważnie miał duże długi, których wierzyciele nie mogli odzyskać, jeśli mu nie pożyczyli więcej na to, by mógł sobie odbić straty. Nie było wykluczone, że umrze jako żebrak, tymczasem jednak wychowywał córkę, dbając o każdy szczegół w jej wykształceniu i pilnując, by zrobiono jej wszelkie operacje plastyczne. Jeśli będzie go stać na dobry posag, kiedy Phaedria dorośnie do małżeństwa, to dzięki niej wejdzie do jakiejś bogatej rodziny. Jeśli zaś będzie mu w tym czasie brakowało pieniędzy, to za wychowaną w ten sposób dziewczynę dostanie 50 razy tyle, co za zwykłe dziecko z ulicy. Nasza rodzina byłaby wymarzona tak w jednym, jak i w drugim przypadku.
– Opowiedz mi o swoim domu – powiedziała. – Wiesz, jak o nim mówią dzieciaki? „Jaskinia canem" albo po prostu „Jaskinia". Chłopakom imponuje, jeśli ktoś tam był. Mówią, że byli, ale większość kłamie.
Ja jednak wolałem porozmawiać o Dr. Marschu i nauce na Ziemi. Pragnąłem usłyszeć o jej świecie, o dzieciakach, o których mówiła z taką swobodą, o jej szkole i domu niemal tak bardzo, jak ona chciała dowiedzieć się o nas. Poza tym, mimo że nie miałem nic przeciw temu, by wyszczególnić jakie usługi świadczyły nasze dziewczyny, było kilka spraw – takich na przykład, jak unoszenie się ciotki na klatce schodowej – o których wolałem nie wspominać. Kupiliśmy bułki z jajkiem od tej samej kobiety, co poprzednim razem. Jedliśmy je w chłodnym jeszcze blasku słońca, a kiedy się rozstawaliśmy, byliśmy już nie tylko zakochanymi, lecz również przyjaciółmi i umówiliśmy się na następny dzień.
W nocy, mniej więcej wtedy, gdy wróciłem – lub mówiąc bardziej dokładnie – kiedy odniesiono mnie do łóżka, ponieważ prawie nie mogłem chodzić po kilku godzinach spędzonych u ojca – zmieniła się pogoda. Zapach piżma, charakterystyczny dla późnej wiosny czy wczesnego lata przeciskał się przez okiennice, tak, że ogień w naszym małym kominku prawie natychmiast wygasł jakby ze wstydu. Służący ojca otworzył okno i do pokoju wpadł zapach śniegu, topniejącego pod najdalszymi i najciemniejszymi choinkami po północnej stronie gór. Umówiłem się z Phaedrią na dziesiątą, więc przed wyjściem do biblioteki ojca położyłem karteczkę na stoliku koło łóżka prosząc, by obudzono mnie godzinę wcześniej. Tej właśnie nocy, wdychając zapach wiosny zasypiałem z myślą – na pół planem, a na pół marzeniem

– że Phaedria i ja wymkniemy się jakoś spod oka ciotki i poszukamy opuszczonego trawnika, upstrzonego niebieskimi i żółtymi kwiatuszkami.

Kiedy się obudziłem, była pierwsza po południu. Za oknem ujrzałem prawdziwą kurtynę deszczu. Mr. Milion czytał książkę w drugim końcu pokoju. Powiedział, że nie budził mnie, ponieważ pada tak od szóstej. Głowa pękała mi z bólu, jak to się często zdarzało po dłuższych sesjach z ojcem. Wziąłem jedne z proszków przeciwbólowych, które mi przepisał. Były szare i pachniały anyżkiem.

– Źle wyglądasz – powiedział Mr. Milion.

– Chciałem iść do parku.

– Wiem – podjechał do mnie i przypomniałem sobie, że Dr Marsch nazwał go niezwiązanym symulatorem. Po raz pierwszy od czasu, kiedy jako mały chłopiec zaspokoiłem w tym zakresie swoją ciekawość, schyliłem się (co naraziło na szwank moją głowę) i odczytałem prawie już zatarte stemple na jego głównej skrzynce. Była tam tylko nazwa przedsiębiorstwa cybernetycznego z Ziemi i jego imię, napisane – tak jak zawsze przypuszczałem – po francusku: „M. Milion", czyli Monsieur lub Mister, Pan Milion. Nagle, tak niespodziewanie, jak cios z tyłu spada na człowieka rozmyślającego w miękkim fotelu o niebieskich migdałach, uderzyła mnie myśl, że kropki używa się przecież czasem w algebrze jako znaku mnożenia. Natychmiast zauważył jak zmienił mi się wyraz twarzy.

– Pojemność rdzenia tysiąc milionów słów – powiedział – angielski bilion lub francuski miliard. „M" jest oczywiście rzymską cyfrą oznaczającą tysiąc. Myślałem, że wiesz o tym od dawna.

– Jesteś niezwiązanym symulatorem. Co to jest symulator związany i kogo symulujesz – ojca?

Wizerunek na ekranie, który zawsze uważałem za podobiznę Mr. Miliona, przecząco pokręcił głową.

– Możesz uważać mnie, to znaczy osobę, którą symuluję, za twojego pradziadka. On – to jest ja – nie żyje. Aby zbudować symulator, konieczne jest przebadanie komórek mózgu, zwój po zwoju, za pomocą promieniowania cząstek przyspieszonych. W ten sposób odtwarza się układ nerwowy, to znaczy rozpisuje się go na pamięć rdzeniową komputera. Kończy się to nieuchronną śmiercią osoby, której mózg poddaje się zabiegowi. Jeśli symulator ma mieć wygląd człowieka, ciało mechaniczne musi być „związane" z odległym od niego rdzeniem, ponieważ nawet najmniejszy miliardowy rdzeń jest nieporównywalnie większy niż mózg ludzki. – Znów przerwał, a jego twarz zamieniła się na chwilę w tysiące błyszczących kropek, które wirowały jak pyłki kurzu w promieniach słońca. – Przepraszam. Zdarzyło się, że ty chcesz słuchać, ale ja nie mam ochoty wykładać. Dawno temu, tuż przed operacją, powiedziano mi, że moja symulacja – to znaczy ja – w pewnych okolicznościach będzie zdolna do wzruszeń. Do dzisiaj myślałem, że to kłamstwo.

Gdybym mógł, zatrzymałbym go, ale zanim zdążyłem otrząsnąć się ze zdziwienia, wyjechał już z pokoju. Bardzo długo, godzinę albo i dłużej, słuchałem bębnienia deszczu i myślałem o Phaederii i o tym co powiedział Mr. Milion. Wszystko to pomieszało mi się z pytaniami, które ojciec zadał mi poprzedniej nocy. Czułem się tak, jakby wykradały one ze mnie wszystkie odpowiedzi, zostawiając pustkę. W tę lukę zaczęły się wślizgiwać sny o płotach i murach oraz rowach aha, ukrywających bariery, które widzisz dopiero kiedy już – już masz się potknąć. Kiedyś śniło mi się, że stoję na brukowanym dziedzińcu, tak ciasno otoczonym kolumnami korynckimi, że nie mogłem się między nimi prześlizgnąć, mimo iż miałem dopiero trzy czy cztery lata. Długo szukałem odpowiednio dużej przerwy, aż spostrzegłem, że na każdej z kolumn wyrzeźbiono jakieś słowo. Jedynym, które zapamiętałem było „carapace". Zauważyłem też, że dziedziniec wybrukowany był płytami nagrobnymi, takimi jakie można spotkać w starych kościołach francuskich. Na każdej z nich wyryto moje nazwisko z coraz to inną datą.

Sen ten prześladował mnie nawet wtedy, gdy usiłowałem myśleć o Phaedrii. Kiedy służąca przyniosła ciepłą wodę – w tym czasie goliłem się już dwa razy w tygodniu – okazało się, że już trzymałem brzytwę w ręku, a nawet zaciąłem się nią, a krew zaplamiła mi piżamę i pościel.

Kiedy następnym razem zobaczyłem się z Phaedrią, cztery albo pięć dni później, pochłonięta była planem, w który wciągnęła też Davida i mnie. Chodziło, ni mniej, nic więcej, tylko o trupę teatralną. W jej skład wchodziły głównie dziewczyny w wieku Phaedrii. Miały zamiar całe lato wystawiać sztuki w naturalnym amfiteatrze w parku. Ponieważ, jak już wspomniałem, trupa składała się głównie z dziewcząt, udział chłopców był bardzo cenny. Nie minęło wiele czasu jak obaj z Davidem zostaliśmy wplątani w jej działania. Autorami sztuki był wybrany spośród aktorów komitet, a nieuniknionym tematem – utrata władzy politycznej przez pierwszych, francuskojęzycznych kolonizatorów. Phaedria, która do czasu przedstawienia miała jeszcze być w gipsie, dostała rolę kalekiej córki francuskiego gubernatora. David grał jej kochanka, szarmanckiego kapitana szaserów, ja zaś samego gubernatora. Przyjąłem tę rolę z ochotą, ponieważ była o wiele lepsza niż rola Davida, a poza tym dawała możliwość okazywania Phaedrii ojcowskiej czułości.

Przedstawienie, które odbyło się na początku czerwca, pamiętam doskonale z dwóch powodów. Ciotka, której nie widziałem od czasu, kiedy zamknęła drzwi za Dr. Marschem, powiadomiła mnie w ostatniej chwili, że chce być obecna i kazała sobie towarzyszyć w drodze. Poza tym my, aktorzy, tak baliśmy się pustki na widowni, że poprosiłem ojca, żeby przysłał część dziewczyn. Straciłyby przez to tylko najwcześniejszą część wieczoru, kiedy i tak był słaby ruch w interesie. Bardzo się zdziwiłem, kiedy się zgodził (sądzę, że zrobił to ze względów reklamowych). Zastrzegł tylko, że jeśli wyślę po nie gońca, który im przekaże, że są potrzebne, mają wrócić nawet pod koniec trzeciego aktu.

Ponieważ musiałem przyjść co najmniej godzinę wcześniej, żeby się ucharakteryzować, już późnym popołudniem poszedłem po ciotkę. Osobiście otworzyła drzwi i natychmiast kazała mi pomóc służącej, usiłującej wyciągnąć coś ciężkiego z górnej półki szafy. Okazało się, że był to składany wózek inwalidzki, który złożyliśmy według wskazówek ciotki. Kiedy skończyliśmy, powiedziała szorstko:

– Teraz pomóżcie mi oboje.

Oparła się na naszych ramionach i usiadła w wózku. Czarna spódnica opadała na oparcie dla nóg jak opuszczony namiot. Wystawały spod niej nogi nie grubsze niż przeguby moich rąk. Poniżej bioder uwypuklało się jeszcze coś dziwnego, trochę przypominającego siodło. Kiedy spostrzegła jak się temu przyglądam, warknęła:

– Nie będę tego chyba potrzebowała przed powrotem. Podnieś mnie troszeczkę. Stań z tyłu i chwyć mnie pod ramiona.

Zrobiłem jak kazała, a służąca bezceremonialnie sięgnęła pod spódnicę ciotki i wydobyła stamtąd mały, obciągnięty skórą przedmiot, na którym ciotka się opierała.

– Idziemy? – prychnęła ciotka. – Spóźnisz się.

Wypchnąłem wózek na korytarz. Służąca trzymała drzwi. Odkrycie, że ciotka zawdzięczała zdolność do unoszenia się jak dym urządzeniom fizycznym, a właściwie mechanicznym, wypełniało mnie niepokojem jeszcze większym, niż ten, który odczuwałem kiedy o tym nie wiedziałem. Zapytała czemu tak przycichłem, więc powiedziałem jej o czym myślałem. Dodałem, że do tej pory zdawało mi się, że w praktyce nikomu nie udało się jeszcze uzyskać antygrawitacji.

– A myślisz, że mnie się to udało? To czemu nie skorzystałabym z tego, żeby pójść na twoją sztukę?

– Może nie chcesz, żeby zobaczyli to ludzie.

– Bzdura. To jest zwyczajna proteza. Kupuje się je w sklepie medycznym – przekręciła się w fotelu, by móc na mnie patrzeć.

Gene WOLFE

Urodził się w roku 1931 w Stanach Zjednoczonych. Po drugiej wojnie światowej osiedlił się w Teksasie. Wcielony do armii brał udział w wojnie koreańskiej. Studiował w Houston na Wydziale budowy maszyn.

Pierwsze opowiadania Wolfe'a – zamieszczane w antologiach i magazynach SF – powstawały w latach sześćdziesiątych. Dużą popularnością cieszyły się jego utwory publikowane w czasopiśmie „Orbit" Damona Knighta. Opowiadanie **„The Island of Dr Death"** („Orbit 7") było bliskie nominacji do Nagrody Nebula w roku 1970. Nominację tę uzyskały jednak dopiero opowiadania **„The Fifth Head of Cerberus"** („Orbit 10") – prezentowane właśnie na łamach „Fantastyki" – oraz **„Against the Lafayette Escadrille"** (antologia: „Again Dangerous Visions"). W roku 1973 pierwszy utwór Wolfe'a – **„The Death of Dr Island"** („Universe" 3) uzyskał wreszcie oczekiwaną Nebula Award. Kilka miesięcy wcześniej wydano jego zbiór nowel **„The Fifth Head of Ceberus"** (1972), a w drugiej połowie lat siedemdziesiątych **„The Eyeflash Miracles"** (1976/77) oraz **„The Marvellous Brass Chess-playing Automation"** (1977). Za powieść „Peace" (1975), nie należącą do gatunku SF, otrzymał Wolfe w roku 1977 Nagrodę Literacką miasta Chicago. W roku 1980 ukazały się **„The Shadow of the Torturer"** i zbiór **„The Best of Gene Wolfe"**.

A.N.

Twarz miała bardzo podobną do ojca. Bezwładne nogi zwisały jej jak patyki, których z Davidem, jako mali chłopcy, używaliśmy do sztuczek magicznych. Układaliśmy kukły, tak, by Mr. Milion myślał, że leżymy, a naprawdę siedzieliśmy pod nimi w kucki. – Wytwarza pole nadprzewodnictwa, nastepnie indukuje prądy wirowe w prętach zbrojeniowych w podłogach. Strumień prądu indukowanego przeciwstawia się strumieniom w protezie, a ja dzięki temu unoszę się nad podłogę. Pochylam się do przodu, by posunąć się do przodu, prostuję się, żeby stanąć. Widzę, że ci ulżyło.

– Tak. Antygrawitacja chyba mnie przerażała.

– Kiedyś, kiedy schodziłam z tobą po schodach wykorzystałam żelazną poręcz. Ma bardzo wygodny kształt spirali.

Sztuka poszła nam dosyć gładko. Jak można było przewidzieć oklaski i okrzyki wznosili głównie ci spośród widowni, którzy pochodzili ze starej arystokracji francuskiej albo też podawali się za jej potomków. Frekwencja przekroczyła zresztą nasze najśmielsze oczekiwania – przyszło około pięciuset osób oraz, jak zwykle przy takich okazjach, kieszonkowcy, policja i ulicznice. Wypadek, który najdokładniej pamiętam zdarzył się pod koniec drugiego aktu. Około dziesięciu minut siedziałem przy biurku, mając do powiedzenia tylko kilka kwestii i słuchałem co mówili koledzy. Scena zwrócona była na zachód. Ostatnie błyski słońca zalały niebo powodzią niesamowitych kolorów: złote smugi przeświecały przez mieszaninę purpury, szkarłatu, cynobru i czerni. Na tak dzikim tle, które mogłoby przedstawiać zgromadzenie chorągwi piekielnych, pojedynczo i dwójkami, jak wydłużone cienie fantastycznych, wyłaniających się zza blanków, upierzonych grenadierów, zaczęły ukazywać się głowy, smukłe szyje i wąskie ramiona plutonu demi-mondaines mojego ojca. Spóźnione, zajmowały ostatnie miejsca górnej części amfiteatru, okrążając go tak, jak żołnierze na usługach jakiegoś starodawnego, dziwnego władcy okrążyliby zdradziecki tłum.

W końcu usiadły, nadeszła moja kwestia i zapomniałem o nich. Niczego więcej właściwie nie pamiętam z naszego pierwszego występu, prócz tego, że w którymś momencie jakiś mój ruch przywołał publiczności na myśl coś z mojego ojca, co wywołało wybuch śmiechu w zupełnie nieodpowiednim miejscu. Poza tym na początku drugiego aktu wzeszła Święta Anna, zalewając publiczność zielonym światłem. Dokładnie widać było jej leniwie płynące rzeki i ogromne, porośnięte trawą bagna. Pod koniec trzeciego aktu zobaczyłem, jak mały, garbaty służący ojca kręci się wśród ostatnich rzędów i dziewczyny wychodzą jedna za drugą szeregiem czarnych, obramowanych zielenią cieni.

Tego lata wystawialiśmy jeszcze trzy sztuki. Wszystkie osiągnęły pewien sukces, a Davida, Phaedrię i mnie zaczęto traktować jako trójkę partnerów. Phaedria mniej więcej sprawiedliwie dzieliła między nas swoje względy. Nigdy nie byłem pewien, czy kierowała się własnymi uczuciami, czy też nakazem rodziców. Kiedy jej noga zrosła się, stała się kumplem dla Davida w sporcie – w grze w piłkę i we wszelkich grach rakietowych była najlepsza ze wszystkich dziewcząt, przychodzących do parku. Często rzucała jednak wszystko, żeby usiąść przy mnie. Sympatyzowała z moimi zainteresowaniami botaniką i biologią, mimo że ich właściwie nie podzielała. Często plotkowała. Uwielbiała też chwalić się przed koleżankami moimi zdolnościami do układania kalamburów i ripost, które nabyłem dzięki dużemu oczytaniu.

Kiedy okazało się, że dochody ze sprzedaży biletów na naszą pierwszą sztukę nie wystarczą na pokrycie kosztów kostiumów i dekoracji potrzebnych do nastepnej sztuki, Pheadria wpadła na pomysł, żeby po zakończeniu przedstawień aktorzy zbierali datki wśród publiczności. Zamieszanie i tłok, który się wtedy wytwarzał wykorzystywano oczywiście do drobnych kradzieży dla naszej wspólnej sprawy. Ludzie byli jednak w większości zbyt przezorni, by przynosić wieczorem do teatru w ciemnym parku więcej pieniędzy niż trzeba było na bilety i ewentualnie lody czy szklankę wina w czasie przerwy.

Niezależnie więc od tego, jak byliśmy nieuczciwi, dochody nasze były małe. Wkrótce David i Phaedria zaczęli mówić o bardziej niebezpiecznych, ale i bardziej lukratywnych przygodach.

Mniej więcej w tym czasie zacząłem coraz częściej miewać przerażające luki w świadomym kontrolowaniu tego, co robię. Stało się to przypuszczalnie na skutek ciągłych, coraz bardziej intensywnych ingerencji w sferę mojej podświadomości, które przybrały formę brutalnych, niemal już conocnych badań o wciąż nieznanym mi celu. Tak się już do nich przyzwyczaiłem, że przestałem je prawie kwestionować. David i Mr. Milion opowiadali mi, że zachowywałem się całkiem normalnie. Byłem tylko trochę bardziej cichy niż zwykle. Inteligentnie, choć z roztargnieniem odpowiadałem na pytania. Przychodziłem do siebie nagle, wytrzeszczałem oczy na znajome pokoje i znajome twarze, wśród których odnajdywałem się często późnym popołudniem, nie pamiętając ani trochę jak wstałem, ubrałem się, ogoliłem, zjadłem, poszedłem na spacer.

Mimo, że kochałem Mr. Miliona tak samo jak wtedy, gdy byłem chłopcem, po tym, jak dowiedziałem się co oznaczają tak dobrze znane mi litery na jego skrzynce, stosunki między nami się zmieniły. Nie mogłem i nadal zresztą nie mogę uwolnić się od świadomości, że osoba, którą kochałem zginęła wiele lat przed moimi narodzinami, ja zaś zwracałem się do jej imitacji, funkcjonującej w oparciu o formuły matematyczne, która, naśladując swój pierwowzór, reagowała na bodźce wypływające z ludzkiej mowy i ludzkich czynów. Nigdy nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy świadomość, jaką miał Mr. Milion dawała mu prawo mówić „myślę" i „czuję", co zawsze robił. Kiedy go o to zapytałem stwierdził, że sam nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Nie znając punktu odniesienia nie mógł mieć pewności, czy jego procesy myślowe reprezentują prawdziwą świadomość czy nie. Ja z kolei nie potrafiłem ocenić, czy odpowiedź ta była głęboką refleksją duszy, która pośród roztańczonych abstrakcji symulatora naprawdę w jakiś sposób żyła, czy też stanowiła fonograficzną reakcję wywołaną moim pytaniem.

Jak już mówiłem, nasz teatr działał całe lato. W czasie ostatniego przedstawienia liście unosiły się w powietrzu jak czyjaś pachnąca, zapomniana korespondencja i powoli opadały na scenę. Kiedy opuszczono kurtynę, my – którzy napisaliśmy i wystawiliśmy wszystkie sztuki tego sezonu – byliśmy tak przygnębieni, że nie stać nas było na nic więcej niż zdjęcie kostiumów i zmycie makijażu. Potem, bezwolni jak szybujące na wietrze liście daliśmy się poprowadzić nawiedzanym przez lelki ścieżkom w stronę ulic, prosto do domu. Pamiętam, że miałem podjąć moje obowiązki przy drzwiach, ale w holu czekał na mnie służący ojca. Kazał mi iść prosto do biblioteki, gdzie ojciec wyjaśnił mi szorstko, że wieczorem będzie zajęty interesami, więc chce ze mną dziś – jak to ujął – porozmawiać wcześniej. Wyglądał na chorego i zmęczonego i po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że kiedyś umrze, a wtedy będę jednocześnie bogaty i wolny.

Oczywiście nie pamiętam co mówiłem pod wpływem narkotyków. Przypominam sobie jednak sen, który potem miałem i to tak dokładnie, jakbym się z niego zbudził dopiero dziś rano. Znajdowałem się na statku, na białym statku, takim jak te, ciągnięte przez woły po zielonej wodzie kanału koło parku. Robią to tak wolno, że ostre dzioby nie zostawiają za sobą żadnej smugi. Byłem jedynym członkiem załogi, a właściwie jedynym żywym człowiekiem na pokładzie. Za sterem stał trup wysokiego, chudego mężczyzny. Ogromne koło trzymał w sposób tak bezwładny, że wyglądało to tak, jakby to ono nim poruszało, pomagało mu ustać na nogach i utrzymać równowagę, a nie na odwrót. Kiedy obrócił głowę w moją stronę, ujrzałem jego twarz i rozpoznałem w niej twarz, widoczną na ekranie Mr. Miliona. Jak już wspomniałem, była ona bardzo podobna do mego ojca, wiedziałem jednak, że zmarły człowiek za sterem to nie on.

Minęło wiele czasu. Wypłynęliśmy chyba na pełne morze. Silny wiatr wiał w kierunku o kilka stopni w lewo od naszego kursu. Kiedy w nocy wspiąłem się w górę, maszty, belki i liny trzepotały ze śpiewem na wietrze. Żagle, jeden za drugim wznosiły się nade mną i jeden za drugim rozpościerały w dole. Odziane w nie maszty wyrastały przede mną i za mną. W dzień, kiedy pracowałem na pokładzie, bryzgi wody moczyły mi koszulę, a na deskach pozostawiały plamy w kształcie łez, które szybko wysychały w ostrym słońcu.

Nie przypominam sobie, żebym w rzeczywistości kiedykolwiek płynął na takim statku. Możliwe jednak, że zdarzyło się to, kiedy byłem jeszcze bardzo mały, gdyż wszystkie odgłosy – skrzypienie masztów, gwizd wiatru wśród tysiąca lin, rozbijanie się fal o drewniany kadłub – były tak wyraźne, prawdziwe i tak swoiste, jak śmiech i tłuczenie szkła, które słyszałem nad nami jako dziecko, kiedy usiłowałem zasnąć, albo głos trąbek z cytadeli, które czasem rano mnie budziły.

Robiłem coś na pokładzie tego statku, ale dokładnie nie pamiętam już co. Nosiłem wiadra wody, którymi zmywałem z pokładu zakrzepłą krew. Ciągnąłem pozornie do niczego nie przymocowane liny, które faktycznie mocno przywiązano do nieruchomych przedmiotów, gdzieś bardzo wysoko w osprzęcie. Przyglądałem się powierzchni morza z dzioba, zza barierki, ze szczytów masztów i z daszku dużej kabiny pośrodku statku. Kiedy jednak ujrzałem jak daleko ode mnie z sykiem spada do wody gwiazdolot z oślepiająco rozgrzanymi włazami, nie zameldowałem o tym nikomu.

Przez cały ten czas człowiek przy sterze coś do mnie mówił. Głowa zwisała mu bezwładnie, jakby miał złamaną szyję. Kiedy duże fale uderzyły o ster, koło sterowe podskakiwało, a wtedy głowa opadała z jednego ramienia na drugie, spadała w dół, albo na plecy – tak, że gapił się w niebo. Jednak cały czas mówił, a z niewielkiej ilości słów, jakie wychwyciłem zorientowałem się, że

wykładał jakąś teorię etyczną, której założenia nawet on sam kwestionował. Bałem się słuchać tej gadaniny, więc starałem się trzymać jak najbliżej dziobu. Często jednak wiatr przynosił jego słowa i słyszałem je bardzo wyraźnie. Ilekroć podniosłem głowę znad moich zajęć, odkrywałem, że jestem znacznie bliżej steru niż mi się wydawało. Czasem prawie już dotykałem martwego sternika.

Kiedy byłem na statku już bardzo długo i zacząłem dotkliwie odczuwać zmęczenie i samotność, otworzyły się drzwi do kabiny i wyszła z niej moja ciotka. Unosiła się idealnie pionowo około dwóch stóp nad przechylonym pokładem. Spódnica nie opadała jej w dół tak jak zawsze, lecz furkotała na wietrze jak chorągiew, co stwarzało wrażenie, jakby wiatr lada chwila mógł ją unieść. Nie wiem czemu powiedziałem:

– Nie zbliżaj się do sternika, ciociu. Może ci zrobić krzywdę.

Odpowiedziała tak naturalnie, jakbyśmy się spotkali na korytarzu koło mojej sypialni:

– Nonsens. Od dawna nie jest w stanie nikomu ani pomóc, ani zaszkodzić, Numerze Piąty. Należy się raczej obawiać mego brata.

– Gdzie on jest?

– Na dole. – Wskazała palcem pokład, jakby chciała powiedzieć, że jest w ładowni. – Usiłuje się dowiedzieć, dlaczego statek stoi w miejscu.

Podbiegłem do burty i wyjrzałem. Zobaczyłem nie wodę, lecz nocne niebo. Niezmiernie daleko, pode mną, były rozrzucone niezliczone gwiazdoloty. Zdałem sobie sprawę, że statek nie posuwał się w przód, a nawet się nie kołysał, ale cały czas tkwił pochylony w bezruchu. Odwróciłem się do ciotki, a ona powiedziała:

– Nie płynie, ponieważ go zakotwiczył, żeby sprawdzić czemu nie płynie.

W tym momencie poczułem, że zsuwam się po linie do czegoś, co uznałem za ładownię. Czuć tam było zwierzęta. Przebudziłem się, choć w pierwszej chwili nie zdałem sobie z tego sprawy.

Stopami dotykałem podłogi i spostrzegłem, że koło mnie są David i Phaedria. Byliśmy w ogromnej sali, chyba gdzieś na jakimś poddaszu. Phaedria wyglądała ślicznie, ale była bardzo spięta i nerwowo gryzła wargi. Zapiał kogut.

– Jak myślisz, gdzie mogą być pieniądze? – spytał David. Miał przy sobie torbę z narzędziami.

Phaedria albo spodziewała się, że powie coś innego, albo też odezwała się w odpowiedzi na własne myśli.

– Mamy mnóstwo czasu. Marydol pilnuje.

Marydol grała w naszych sztukach.

– Jeśli nie ucieknie. Gdzie twoim zdaniem są pieniądze?

– Nie tutaj. Na dole, za biurem.

Do tej pory kucała. Teraz wstała i zaczęła się skradać do przodu. Była cała ubrana na czarno, począwszy od czarnych baletek, aż po czarną wstążkę w czarnych włosach. Biała twarz i ręce ostro kontrastowały z tym ubiorem, a karminowe usta wyglądały jak pomyłka, odrobina koloru pozostawiona przez niedopatrzenie. David i ja szliśmy za nią.

Na pokładzie, w dużej odległości od siebie, porozstawiane były skrzynki. Kiedy przechodziliśmy koło nich zauważyłem, że zawierają drób, po jednym ptaku w każdej, gdy zbliżyliśmy się do stojącej drabiny, którą schodzi się na dół przez luk, zdałem sobie sprawę, że są to hodowane do walki koguty. Nagle przez jedno z okienek w dachu wpadł promyk słońca prosto na skrzynkę. Siedzący tam kogut uniósł się i rozpostarł pstrokate jak u ary skrzydła. Ujrzałem też jego dzikie, czerwone oczy.

– Chodźcie – powiedziała Phaedria. – Następne są psy.

Zeszliśmy za nią po drabinie. Na następnym piętrze panowało istne piekło.

Psy były uwiązane na łańcuchach w oddzielnych boksach. Przegrody między nimi były tak wysokie, że nie mogły widzieć swoich sąsiadów. Między rzędami takich zagród porobiono szerokie alejki. Były to psy do walki, różnej wielkości – od dziesięciofuntowych terierów po większe od małych koni brytany, bydlęta o zdeformowanych głowach, przypominających obrośnięte naroślami stare drzewa, i szczękach, które jednym kłapnięciem mogłyby człowiekowi odgryźć nogi. Psy robił niewiarygodny wprost hałas, gęsty jak ciało stałe. Na dole wziąłem Phaedrię pod rękę i spróbowałem pokazać jej na migi, że powinniśmy natychmiast stąd wyjść. Byłem bowiem pewien, że gdziekolwiek się znaleźliśmy, stało się to bez pozwolenia. Pokręciła głową. Ponieważ nie mogłem zrozumieć, co mówiła, nawet gdy wyraźnie i z przesadą poruszała ustami, napisała wilgotnym palcem na zakurzonej ścianie:

– One tak zawsze, jak coś usłyszą z ulicy.

Na niższe piętro schodziło się schodami, do których prowadziły ciężkie, choć nie zaryglowane drzwi. Zainstalowano je chyba głównie dla wyciszenia hałasu. Poczułem się dużo lepiej, kiedy je zamknęliśmy za sobą, mimo że nadal było bardzo głośno. Doszedłem już całkiem do siebie i powinienem powiedzieć Davidowi i Phaedrii, że nie wiem gdzie jestem ani co tam robimy. Powstrzymywał mnie jednak wstyd. Zresztą i tak łatwo mogłem odgadnąć cel tej wyprawy. David pytał gdzie są pieniądze, a przecież tak często mówiliśmy – choć uważałem to wtedy za próżne przechwałki – o jednym dużym napadzie, który uwolniłby nas od konieczności popełniania drobnych kradzieży.

Gdzie byliśmy dowiedziałem się później – przy wychodzeniu. Informację zaś o tym, jak się tam znaleźliśmy poskładałem sobie z rozmów i różnych luźnych uwag. Pierwotnie zaprojektowano ten budynek jako magazyn. Znajdował się on przy Rue des Egouts, niedaleko zatoki. Jego właściciel zaopatrywał entuzjastów różnego rodzaju sportowych walk. Uważano go za posiadacza największego zbioru używanych w tym celu stworzeń w całym Departamencie. Ojciec Phaedrii dowiedział się, że niedawno odstawił on część swych najcenniejszych zbiorów na statek. Idąc do niego w interesach wziął ze sobą Phaedrię. Ogólnie było wiadomo, że zakład otwierano nie wcześniej niż po ostatnim Aniele Pańskim. Poszliśmy więc tam tuż po drugim, następnego dnia po wizycie Phaedrii. Do środka dostaliśmy się przez okienko w dachu.

Trudno mi opisać to, co ujrzeliśmy na następnym, to jest pierwszym piętrze budynku. Niewolników do walki widziałem wiele razy na targu, kiedy razem z Davidem i Mr. Milionem chodziłem do biblioteki. Nie było ich jednak nigdy więcej niż dwóch lub trzech i zawsze byli zakuci w ciężkie kajdany. Tutaj leżeli i siedzieli, gdzie się tylko dało. Przez chwilę zastanawiałem się dlaczego nie porozszarpywali jeden drugiego i jeszcze naszej trójki na dokładkę. Potem zauważyłem, że byli uwiązani na krótkich łańcuchach, przytwierdzonych od podłogi. Dookoła każdego z nich tworzyło się koło zadrapań i drzazg w deskach, po których łatwo można było poznać jak daleko mogą sięgnąć. Ich skromne meble – słomiane sienniki, parę krzeseł i ławek były albo tak lekkie, że jeśli nimi rzucili nie mogły nikomu wyrządzić krzywdy, albo też bardzo solidne i przygwożdżone do podłogi. Myślałem, że będą na nas krzyczeli i grozili nam, jak to robili w czasie walki. Oni chyba jednak rozumieli, że póki są na łańcuchach, nic nam nie zrobią. Kiedy schodziliśmy po schodach, wszyscy odwrócili głowy w naszą stronę. Gdy jednak zobaczyli, że nie mamy dla nich jedzenia, okazali mniejsze nami zainteresowanie niż psy piętro wyżej.

– Prawda, że oni nie są już ludźmi? – powiedziała Phaedria. Szła teraz wyprostowane jak żołnierz w czasie parady. Z zaciekawieniem przyglądała się niewolnikom. Patrząc na nią pomyślałem, że w rzeczywistości jest wyższa i smuklejsza niż w moich myślach. Była nie tylko ładna, ale piękna. – Właściwie są zwierzętami – odezwała się ponownie. Uczyłem się o nich, więc wiedziałem więcej niż ona. Wyjaśniłem jej, że jako niemowlęta byli ludźmi – czasem nawet jako dzieci, a nawet później. Różnice między nimi, a normalnymi ludźmi wynikały z zabiegów chirurgicznych (częściowo przeprowadzanych na mózgu) i zmianach w systemie gruczołów dokrewnych, wywołanych przy pomocy środków chemicznych. Oczywiście różnili się też wyglądem, ze względu na liczne blizny.

– Twój ojciec robi coś takiego z małymi dziewczynkami dla waszego domu?

– Tylko czasami – odpowiedział David. – Zabiera to mnóstwo czasu, a klienci przeważnie wolą normalne dziewczyny, nawet jeśli lubią trochę dziwaczne.

– Chciałabym je zobaczyć. To znaczy te, z którymi to robił.

Ja w dalszym ciągu myślałem o otaczających nas niewolnikach do walki i powiedziałem:

– Nie wiedziałaś o nich? Myślałem, że tu już byłaś. O psach wiedziałaś.

– O tak, już ich przedtem widziałam i właściciel opowiadał o nich. Chyba po prostu głośno myślałam. Byłoby straszne, gdyby byli jeszcze ludźmi.

Pomyślałem, że ciekawe czy potrafią zrozumieć co mówi. Cały czas wodzili za nami wzrokiem.

Na parterze było zupełnie inaczej niż na wyższych piętrach. Ściany były wyłożone boazerią z panneaux. Wisiały w nich wizerunki psów, kogutów, niewolników i różnych dziwnych zwierząt. Okna wychodziły na ulicę Egouts i na zatokę. Były wąskie i tak wysoko, że wpuszczały tylko niewielkie smugi słonecznego światła. Wydobywały one z mroku tylko jedno oparcie luksusowego fotela, obitego czerwoną skórą, nie większy od książki kwadracik brązowego dywanu i na wpół pełną karafkę. Po zrobieniu pierwszych trzech kroków wiedziałem, że nas odkryto. W naszą stronę kroczył wysoki młodzieniec o wąskich ramionach. Kiedy stanąłem, on też się zatrzymał ze zdumieniem. Na jego twarzy malował się niepokój. Było to moje własne odbicie w

lustrze między oknami. Poczułem chwilowe zmieszanie, które przychodzi, kiedy ktoś obcy, kogo się wcale nie wyróżnia wśród innych, odwraca się albo porusza głową i okazuje się, że jest to świetny kumpel, na którego po raz pierwszy spojrzeliśmy z zewnątrz. Tym ponurym chłopcem o ostrej brodzie, którego widziałem, zanim sam się w nim rozpoznałem, byłem ja, taki jakim widzieli mnie Phaedria, David, Mr. Milion i moja ciotka.

– To tutaj rozmawia z klientami – powiedziała Phaedria. – Jeśli chce coś sprzedać, każe swoim pomocnikom przynosić towar po jednej sztuce, żeby nie mieli porównania. Jednak nawet tutaj słychać szczekanie psów. Tatę i mnie wziął na górę i pokazał wszystko.

– Czy pokazał wam, gdzie trzyma forsę? – spytał David.

– Tam z tyłu. Widzisz ten gobelin? Tak naprawdę jest to zasłona. Kiedy rozmawiał z tatą przyszedł jakiś facet, żeby mu oddać pieniądze. Potem zaniósł je za tę zasłonę.

Drzwi za gobelinem prowadziły do małego biura, a w przeciwległej do nich ścianie były jeszcze jedne drzwi. Nie widać tam było żadnego sejfu ani kasetki. David wyważył zamek w biurku łomem, który wyjął ze swojej torby. Ale było tam tylko pełno papierzysk. Miałem właśnie zamiar otworzyć drugie drzwi, gdy usłyszałem z następnego pokoju coś w rodzaju drapania lub szurania.

Co najmniej przez minutę nikt z nas się nie ruszał. Ja stanąłem jak wryty z ręką na zasuwce. Za mną, po lewej stronie, Phaedria szukała właśnie pod dywanem schowka w podłodze. Zastygła tak, przykucnięta, a spódnica rozłożyła się dookoła niej jak czarna kałuża. Gdzieś w pobliżu biurka słyszałem oddech Davida. Szuranie powtórzyło się. Skrzypnęła deska w podłodze. David powiedział cichutko:

– To zwierzę.

Zdjąłem rękę z zasuwki i spojrzałem na niego. Wciąż jeszcze trzymał łom i miał bladą twarz, ale uśmiechał się.

– To tylko uwiązane tam zwierzę szura nogami.

– Skąd wiesz? – spytałem.

– Ktokolwiek by tam był, musiał nas usłyszeć, zwłaszcza kiedy się włamywałem. Jeśli to człowiek, wszedłby tutaj, a jeżeli się boi, to by się schował i siedział cicho.

– Chyba ma rację. Otwórz drzwi – powiedziała Phaedria.

– A co zrobimy, jeśli to nie zwierzę?

– To zwierzę – rzekł David.

– Ale, jeżeli nie?

Odpowiedź wyczytałem z ich twarzy. David chwycił za łom, a ja otworzyłem drzwi.

Pokój był większy niż się spodziewałem, ale pusty i brudny. Jedyne światło wpadało przez wąziutkie okienko, wysoko osadzone w ścianie naprzeciwko drzwi. Na środku podłogi stała duża, okuta żelazem skrzynia z ciemnego drewna, a przed nią leżało coś, co wyglądało jak kupa szmat. Kiedy wszedłem tam z wysłanego dywanem biura, szmaty się poruszyły i ukazała się twarz, trójkątna jak u modliszki, z brodą uniesioną zaledwie cal nad podłogą. Pod krzaczastymi, brązowymi brwiami oczy płonęły jak szkarłatne ogniki.

– To z pewnością tutaj – powiedziała Phaedria. Patrzyła nie na twarz, lecz na okutą żelazem skrzynię. – David, potrafisz ją otworzyć?

– Chyba tak – odpowiedział, ale tak jak ja patrzył na oczy stworka w łachmanach. – Ale co z nim? – rzekł po chwili.

Zanim Phaedria czy ja mogliśmy odpowiedzieć, dziwadło otworzyło usta ukazując długie i wąskie, szaro-żółte zęby.

– Chrry – powiedziało.

Żadnemu z nas nie przyszło do głowy, że stwór umiał mówić. Było to tak, jakby przemówiła mumia. Ulicą przejechała kareta, stukając żelaznymi kołami o kocie łby.

– Chodźmy – powiedział David – uciekajmy stąd.

– Jest chory – sprzeciwiła się Phaedria. – Właściciel przyniósł go tutaj, żeby go mieć pod ręką i opiekować się nim. Jest chory.

– Chorego niewolnika przytwierdził łańcuchami do skrzyni z forsą? – wyraził powątpiewanie David.

– Nie widzisz? To jedyna ciężka rzecz w tym pokoju. Trzeba tylko podejść i walnąć biedaczysko w głowę. Jeżeli się boisz, daj mi łom i sama to zrobię.

– Zrobię to.

Razem z nim podszedłem na odległość kilku stóp od skrzyni. Buńczucznie machał łomem przed niewolnikiem.

– Hej ty! Odsuń się stąd.

Niewolnik wydał z siebie jakiś bulgot i na czworakach odsunął się na bok, ciągnąc za sobą łańcuch. Owinięty był w brudny, podarty koc. Sprawiał wrażenie nie większego niż dziecko, ale zauważyłem, że ma ogromne ręce.

Odwróciłem się i zrobiłem krok w stronę Phaedrii chcąc ją namówić, żebyśmy poszli, jeśli Davidowi nie uda się otworzyć skrzyni w ciągu kilku minut. Pamiętam, że zanim cokolwiek usłyszałem czy poczułem zobaczyłem, że Phaedria szeroko otwiera oczy i jeszcze się zastanawiałem czemu to zrobiła, kiedy z brzękiem wysypały się narzędzia Davida, a on sam jęknął i z hukiem upadł na podłogę. Phaedria krzyknęła, a wszystkie psy na trzecim piętrze zaczęły ujadać.

Wszystko to nie trwało oczywiście nawet sekundy. Niemal w tym samym momencie, kiedy David padał, odwróciłem się, żeby zobaczyć co się dzieje. Niewolnik z szybkością błyskawicy wyciągnął rękę i chwycił mojego brata za nogę w kostce, a natychmiast potem zrzucił z siebie koc i wskoczył na niego dosłownie jak małpa.

Złapałem go za szyję i pociągnąłem do tyłu myśląc, że kurczowo trzyma Davida i będę go musiał siłą odciągnąć. Jednak kiedy tylko poczuł dotyk moich rąk, odrzucił Davida na bok i jak pająk wykręcił się z mojego uścisku. Miał cztery ręce.

Widziałem, że młóci nimi w powierzu usiłując mnie chwycić. Puściłem go i odskoczyłem w tył, jakby mi w twarz rzucono szczura. Ta instynktowna odraza uratowała mnie. Kopnął nogami w tył z taką siłą, że gdybym go mocno trzymał, dając mu oparcie, z pewnością pękłaby mi wątroba albo śledziona i byłoby po mnie.

Tymczasem on przewrócił się w przód, a ja z trudem chwytając powietrze runąłem do tyłu. Upadłem, a potem się poturlałem wydostając się spoza zasięgu jego łańcucha. David też wygramolił się już w bezpieczne miejsce, a Phaedria była od niego odsunięta.

Przez pewien czas trząsłem się tylko i usiłowałem usiąść. Wszyscy troje po prostu gapiliśmy się na niego. Phaedria westchnęła przeciągle i spytała mnie:

– Jak oni to zrobili, że taki jest?

Powiedziałem jej, że przypuszczalnie przeprowadzono transplantację dodatkowej pary rąk. Przedtem konieczne było zniesienie naturalnej odporności organizmu na wszczepianie obcej tkanki. W czasie operacji przypuszczalnie zastąpiono część jego żeber strukturą kostną z ramion dawcy.

– W ramach samokształcenia robiłem coś podobnego z myszami. Oczywiście nie były to aż tak ambitne doświadczenia. Najdziwniejsze jest dla mnie to, że ma chyba pełną władzę w przeszczepionych rękach. Końcówki nerwów prawie nigdy do siebie nie pasują, chyba że ma się do czynienia z bliźniętami jednojajowymi. Temu, kto to robił musiało się chyba sto razy nie udać, zanim wreszcie osiągnął cel. Ten niewolnik z pewnością wart jest majątek.

– Myślałem, że pozbyłeś się już myszy. Czy nie pracujesz teraz na małpach?

Jeszcze nie, ale miałem na to ochotę. W każdym razie jasne było, że gadaniem do niczego nie dojdziemy.

– Myślałem, że się palisz do wyjścia – powiedział David.

Tak faktycznie było, ale teraz o wiele bardziej pragnąłem czegoś innego. Chciałem zbadać to stworzenie dużo bardziej niż David i Phaedria kiedykolwiek pożądali pieniędzy. David zawsze chełpił się tym, że jest ode mnie odważniejszy. Wiedziałem, że gdy powiem: „Ty może chcesz uciec, ale nie zasłaniaj się mną, braciszku" – sprawa będzie załatwiona.

– Nie jest w stanie nas dosięgnąć. Możemy czymś w niego rzucać – powiedziała Phaedria.

– Jeśli spudłujemy, może tym samym rzucać w nas.

Kiedy tak rozmawialiśmy, czteroręki niewolnik uśmiechał się głupkowato. Byłem prawie pewien, że rozumie co najmniej część naszej rozmowy. Kiwnąłem na Davida i Phaedrię, żeby przeszli do pokoju, gdzie było biurko. Kiedy już tam byliśmy, zamknąłem drzwi.

– Nie chciałem, żeby nas słyszał. Jeżeli znajdziemy jakieś ostrza na kijach, coś w rodzaju włóczni, będziemy mogli go zabić nie zbliżając się zbytnio. Czego tu użyć jako patyków? Macie jakieś pomysły?

David pokręcił przecząco głową, ale Phaedria powiedziała:

– Zaraz, zaraz, coś mi się przypomina.

Obydwaj spojrzeliśmy na nią, a ona zmarszczyła brwi udając, że szuka w pamięci. Pochlebiało jej nasze zainteresowanie.

– Co takiego? – zapytał David.

– Kije do zamykania i otwierania okien. Takie z haczykiem na końcu. Pamiętacie okna w tej sali, gdzie właściciel rozmawia z klientami? Są bardzo wysoko. Kiedy dogadywał się z tatą, jeden z jego pracowników wszedł z takim kijem i otworzył okno. Muszą tu gdzieś być.

Po pięciu minutach poszukiwań znaleźliśmy dwa. Były niezłe. Miały koło sześciu stóp długości, półtora cala grubości i były zrobione z twardego drewna. David wywinął swoim udając, że wbija go w Phaedrię. Potem zapytał mnie:

– A skąd weźmiemy ostrza?

Mój nieodłączny skalpel jak zwykle spoczywał w futerale w kieszonce na moich piersiach. Przymocowałem go do kija taśmą izolacyjną, którą David na szczęście miał przy pasku, a nie w torbie. Nie mogliśmy jednak znaleźć niczego na drugi grot. W końcu David wymyślił, że może to być kawałek szkła.

– Okno nie wchodzi w rachubę – powiedziała Phaedria. – Usłyszano by na zewnątrz, a poza tym chyba trzaśnie przy pierwszym uderzeniu.

– Grube szkło jest twarde. Spójrzcie tutaj.

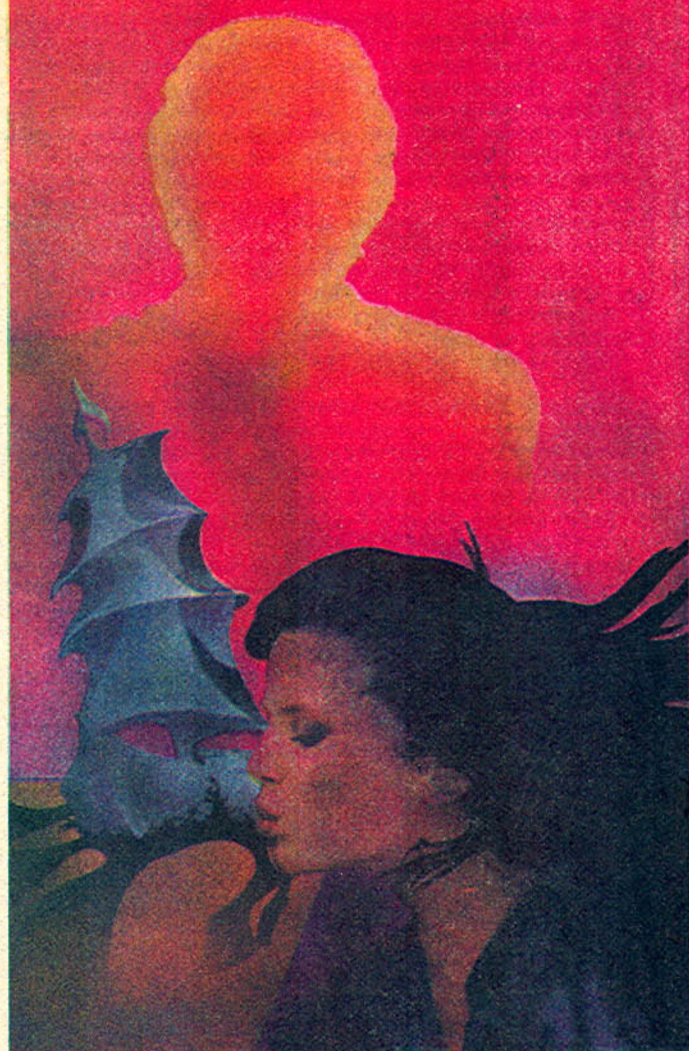
Znów zobaczyłem własną twarz. David wskazywał na duże lustro, które tak mnie poprzednio zaskoczyło. Uderzył w nie butem i rozbiło się z brzękiem, po którym psy znów zaczęły ujadać. Wyszukał długi, prawie trójkątny kawałek i podniósł go do światła. Błyszczał jak drogocenny kamień.

– Prawie tak dobre jak te, które robili z agatu i jaspisu na Świętej Annie – stwierdził.

Zgodnie z umową podeszliśmy z przeciwnych stron. Niewolnik wskoczył na skrzynię i stamtąd przyglądał się nam spokojnie. Głęboko osadzone oczy zwracał to na Davida, to na mnie, aż w końcu, kiedy byliśmy już blisko, David się na niego rzucił.
Kiedy szklane ostrze przejechało mu po żebrach, błyskawicznie odwrócił się, chwycił kij Davida i pociągnął go do siebie. Uderzyłem w niego, lecz nie trafiłem. Nimodzyskałem równowagę, już mocował się z Davidem w drugim końcu sali. Schyliłem się i dźgnąłem w niego włócznią. Dopiero po krzyku Davida zorientowałem się, że to jemu wbiłem skalpel w udo. Zobaczyłem jak tryska krew, jasna krew z tętnicy i oblewa kij. Wypuściłem go i przeskoczyłem skrzynię rzucając się na nich.
Niewolnik szykował się już na mnie. Z uśmiechem leżał na plecach. Wszystkie cztery ręce miał podniesione, jak kończyny zdechłego pająka. Pewien jestem, że w ciągu paru sekund udusiłby mnie, gdyby nie to, że David, nie wiem, odruchowo czy świadomie, zasłonił mu oczy ramieniem, tak, że nie zdołał mnie chwycić i upadłem pomiędzy jego wyciągnięte ramiona.
Niewiele więcej pozostało do powiedzenia. Uwolnił się od Davida, mnie przyciągnął do siebie i chciał przegryźć mi gardło. Powstrzymałem go wbijając mu kciuk w oko. Phaedria wykazała więcej odwagi niż się po niej spodziewałem. W wolną rękę włożyła mi włócznię Davida ze szklanym ostrzem i zadałem cios w gardło. Przeciąłem mu chyba obie żyły i tchawicę.
Opatrzyłem Davida i zaraz wyszliśmy – bez pieniędzy i bez wiedzy, którą chciałem zdobyć, badając ciało niewolnika.
Marydol pomogła nam zabrać Davida do domu. Mr. Milionowi powiedzieliśmy, że David upadł, kiedy przeszukiwaliśmy opuszczony dom. Wątpię jednak, czy nam uwierzył.

Jest jeszcze jedna sprawa związana z tym wydarzeniem – to znaczy z zabiciem niewolnika. Po wyjściu dokonałem odkrycia, które wywarło na mnie wtedy dużo większe wrażenie i kusi mnie, by od razu o tym powiedzieć.
Najpierw jednak opiszę coś, co być może było tylko przywidzeniem. Trudno to zresztą obiektywnie ocenić, gdyż z pewnością w mojej pamięci uległo powiększeniu i zniekształceniu pod wpływem czasu. Kiedy zadawałem niewolnikowi ostateczny cios, nasze twarze były bardzo blisko siebie. Pewnie pod wpływem światła, padającego z wysoko umieszczonych okien za nami, zobaczyłem odbicie mojej własnej twarzy w jego źrenicach. Wydała mi się bardzo podobna do jego twarzy. Od tamtej pory nie mogę zapomnieć, co Dr. Marsch powiedział o wytwarzaniu dowolnej liczby identycznych jednostek dzięki klonom i że kiedy byłem młodszy, ojciec uważany był za handlarza dziećmi. Od czasu wyjścia z więzienia próbowałem znaleźć ślad mojej matki, kobiety z fotografii, którą mi pokazała ciotka. Zdjęcie było jednak z pewnością zrobione długo przed moim urodzeniem – być może nawet jeszcze na Ziemi.
Odkrycia, o którym mówiłem, dokonałem tuż po wyjściu z budynku, w którym zabiłem niewolnika – mianowicie na dworze była nie jesień, tylko środek lata. Ponieważ wszyscy czworo – dołączyła do nas Marydol – bardzo martwiliśmy się Davidem, a poza tym gorączkowo wymyślaliśmy wytłumaczenie dla jego rany – nie odczułem tego szoku aż tak boleśnie, jak odczułbym go w innych okolicznościach, ale i tak był bardzo silny. Pamiętałem, że drzewa były niemal całkowicie nagie. Teraz było bardzo ciepło i powietrze było przesiąknięte typowo letnią wilgocią. W pokrytych bujnymi liśćmi koronach uwijały się wilgi. Fontanna w naszym ogrodzie nie tryskała już ciepłą wodą, którą puszczano tak długo, jak występowały przymrozki, grożące popękaniem rur. Kiedy pomagaliśmy Davidowi iść ścieżką prowadzącą do domu, zamoczyłem rękę w basenie. Woda była chłodna jak rosa.
Moje okresy nieświadomości, chodzenie we śnie, przedłużyły się więc. Tym razem pochłonęło to całą zimę i wiosnę. Poczułem się strasznie zagubiony.
Kiedy weszliśmy do domu wskoczyła mi na ramię małpa. Myślałem, że należy do ojca. Potem Mr. Milion wyjaśnił, że było to oswojone przeze mnie zwierzątko z mojego własnego laboratorium. Nie znałem jej, sądząc jednak po bliznach pod futerkiem i po wykrzywionych łapkach, ona znała mnie.
Opiekuję się Popo od tamtej pory. Kiedy byłem w więzieniu zajmował się nią Mr. Milion. Przy ładnej pogodzie wciąż jeszcze wspina się po szarych, zwietrzałych ścianach tego domu. Kiedy widzę jej przygarbioną sylwetkę biegającą po parapetach, wydaje mi się czasem, że ojciec jeszcze żyje i w każdej chwili może mnie zawołać na parę godzin do biblioteki. Przebaczam to jednak mojemu pupilowi.

Ojciec nie wezwał do Davida lekarza, tylko kurował go sam. Jeśli intrygowało go, gdzie David tak się zranił, nie pokazał tego po sobie. Osobiście wydaje mi się, że uważał, choć teraz nie ma to już znaczenia, że to ja go czymś pchnąłem podczas kłótni. Mówię tak, ponieważ od tej pory jakby się czegoś bał, kiedy byliśmy sami. Nie był bojaźliwy i od lat miewał czasami do czynienia z najgorszymi przestępcami. Przestał jednak być przy mnie swobodny, jak gdyby miał się na baczności. Powodem tego mogło być oczywiście coś, co powiedziałem lub zrobiłem podczas zapomnianej zimy.


A. Brzezicki

Marydol, Phaedria, ciotka i Mr. Milion często odwiedzali Davida. Jego pokój stał się czymś w rodzaju miejsca naszych spotkań. Tylko czasami przeszkadzał nam w nich ojciec. Marydol była drobną, miłą blondyneczką. Bardzo ją polubiłem. Odprowadzałem ją czasami do domu. W drodze powrotnej zatrzymywałem się na targu niewolników, tak jak to często robiliśmy z Mr. Milionem i Davidem, żeby kupić smażony chleb, słodką, czarną kawę i popatrzyć na licytację. Nie ma bardziej nieciekawych twarzy niż twarze niewolników. Ja jednak przyglądałem się im badawczo.
Minęło wiele czasu, co najmniej miesiąc, nim zrozumiałem dlaczego to robię. Na plac przyprowadzono młodego chłopaka, niewolnika do zamiatania. Twarz i plecy pokrywały mu blizny od bata. Zęby miał połamane. Poznałem go jednak – poorana twarz była moją twarzą i twarzą ojca. Odezwałem się do niego i byłbym go kupił i uwolnił. Odpowiedział mi jednak tak służalczo, typowo dla niewolników, że odwróciłem się z niesmakiem.
Tego wieczoru ojciec kazał mi przyjść do biblioteki. Przez kilka ostatnich nocy nie robił tego. Przyglądałem się naszym odbiciom w lustrze, odgradzającym wstęp do laboratoriów. On wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości, ja na starszego. Moglibyśmy prawie być tym samym człowiekiem. Kiedy odwrócił się do mnie twarzą i ponad jego ramieniem nie ujrzałem swojego odbicia, lecz tylko ręce jego i moje, moglibyśmy być tym czterorękim niewolnikiem.
Nie potrafię powiedzieć kto pierwszy rzucił myśl, żeby go zabić. Przypominam sobie tylko, że pewnego wieczoru, po odprowadzeniu Marydol i Phaedrii do domu, kiedy szykowałem się do snu, zdałem sobie sprawę, że właśnie o tym rozmawialiśmy nieco wcześniej siedząc z Mr. Milionem i ciotką przy łóżku Davida. Oczywiście nie mówiliśmy tego otwarcie. Być może nawet sami przed sobą nie przyznawaliśmy się do tej myśli. Ciotka wspomniała o pieniądzach, które gdzieś podobno ojciec ukrył, a Phaedria o jachcie, luksusowym jak pałac. David opowiadał o wpływach politycznych, jakie zapewniają pieniądze.
Ja nic nie mówiłem. Myślałem tylko o godzinach, tygodniach i miesiącach, które mi zabrał, o unicestwieniu mojego „ja", które noc po nocy systematycznie mordował. Myślałem o tym, że jeszcze tej nocy mogę pójść do biblioteki, a odzyskać przytomność dopiero jako starzec i do tego może jako żebrak.
Stało się dla mnie jasne, że muszę go zabić, bo jeśli mu to powiem, kiedy będę leżał odurzony narkotykami na łuszczącym się skórzanym łóżku, on zabije mnie bez najmniejszych skrupułów.
Czekając na przyjście służącego ułożyłem plan. Nie będzie żadnego śledztwa ani żadnego aktu zgonu ojca. Ja go zastąpię. Klienci

nie zauważą zmian. Znajomym Phaedrii przekażę, że pokłóciłem się z ojcem i odszedłem z domu. Przez jakiś czas nie będę się z nikim widywał. Potem od czasu do czasu mogę się ucharakteryzować i porozmawiać z kimś wybranym w zaciemnionym pokoju. Plan ten był niewykonalny, ale wtedy wydawał mi się całkiem realny, a nawet prosty. W kieszeni miałem przyszykowany skalpel. Ciało chciałem zniszczyć w jego własnym laboratorium.

Wyczytał wszystko z mojej twarzy. Rozmawiał ze mną tak jak zawsze, ale chyba już wiedział. W pokoju stały kwiaty. Nigdy ich przedtem nie było i zacząłem się zastanawiać, czy nie domyślił się już wcześniej i nie polecił ich przynieść, jakby to była jakaś specjalna okazja. Nie kazał mi kłaść się na łóżku, tylko wskazał mi krzesło, a sam usiadł przy biurku.

– Będziemy dziś mieli gościa – powiedział.

Spojrzałem na niego.

– Jesteś na mnie zły. Widzę jak to w tobie narasta. Czy wiesz kto...

Miał jeszcze coś powiedzieć, kiedy ktoś zastukał do drzwi, a kiedy zawołał: „Proszę!" – weszła Nerissa, wprowadzając demi-mondaine i Dr. Marscha. Zdziwiła mnie jego obecność, a jeszcze bardziej obecność dziewczyny. Usiadła koło Dr. Marscha tak, że widać było, że tej nocy należy do niego.

– Dobry wieczór, Doktorze – powiedział ojciec. – Dobrze się pan bawi?

Marsch uśmiechnął się pokazując duże, szerokie zęby. Tym razem miał na sobie ubranie, skrojone według ostatniej mody.

– Świetnie. I ciałem, i umysłem – powiedział. – Widziałem jak naga dziewczyna, dwa razy wyższa od mężczyzny przechodzi przez ścianę.

– To hologramy – odezwałem się. Znów się uśmiechnął.

– Wiem. Widziałem jeszcze wiele innych rzeczy. Miałem zamiar je wszystkie wyliczyć, ale pewnie zanudziłbym panów. Wystarczy, jeżeli powiem, że ma pan wspaniały zakład – ale pan o tym dobrze wie.

– Zawsze miło to jeszcze raz usłyszeć – odrzekł ojciec.

– Czy zgodnie z umową chce pan porozmawiać?

Ojciec spojrzał na demi-mondaine. Wstała, pocałowała Dr. Marscha i wyszła z pokoju. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaskiem.

Jak pstryknięcie kontaktu albo tłukące się stare szkło.

Wiele razy wspominałem wyjście dziewczyny: jej buty na wysokich obcasach i grubych podeszwach, suknię z dekoltem na plecach sięgającym pośladków, jej nagi kark, upięte do góry tapirowane włosy przetykane wstążkami i małymi światełkami. Nie przypuszczała nawet, że zamknięcie przez nią drzwi oznacza koniec takiego świata, jaki znała zarówno ona, jak i ja.

– Kiedy pan wyjdzie, ona będzie czekała – powiedział ojciec do Marscha.

– Jeśli nie będzie, na pewno ma pan inne. – Zielone oczy antropologa błyszczały w świetle lampy. – Ale przejdźmy do sprawy.

– Bada pan rasy. Czy grupę podobnych do siebie mężczyzn, którzy mniej więcej tak samo myślą można nazwać rasą?

– I kobiet – odpowiedział Marsch z uśmiechem.

– A tu – ciągnął ojciec – tu, na Sainte Croix, zbiera pan materiały, które weźmie pan ze sobą na Ziemię?

– Oczywiście, zbieram materiały. Nie wiem jednak, czy wrócę na macierzystą planetę.

Musiałem na niego dziwnie spojrzeć, gdyż tym razem uśmiech skierował do mnie i, jeżeli to możliwe, jeszcze bardziej protekcjonalnie niż przedtem powiedział:

– Dziwisz się?

– Zawsze uważałem Ziemię za ośrodek nauki – powiedziałem. – Rozumiem naukowca, który wyjeżdża z Ziemi na badania terenowe, ale...

– Nieprawdopodobnym wydaje ci się, by ktoś chciał zostać w terenie? Spróbuj wczuć się w moje położenie. Na szczęście dla mnie nie tylko ty masz szacunek dla siwych włosów i mądrości starego świata. Dzięki mojej ziemskiej edukacji otrzymałem propozycję objęcia katedry na waszym uniwersytecie z prawie tak dużą pensją, jakiej sobie zażyczę i zwolnieniem od nauczania co drugi rok. A podróż stąd na Ziemię zajmie mi dwadzieścia lat czasu newtonowskiego. Subiektywnie jest to dla mnie oczywiście tylko pół roku, ale jeżeli wrócę, moje wykształcenie będzie przestarzałe o czterdzieści lat. Nie, wasza planeta chyba jednak zyskała luminarza.

– Odchodzimy od tematu naszej rozmowy – odezwał się ojciec.

Marsch kiwnął twierdząco głową i powiedział:

– Tak. Chciałem jeszcze tylko dodać, że antropolog ma szczególne predyspozycje, żeby się zadomowić w innej kulturze – nawet w tak dziwnym środowisku, jakie stworzyła wokół siebie pańska rodzina. Mogę was chyba nazwać rodziną, bo prócz pana są jeszcze dwie osoby. Nie ma pan chyba nic przeciw temu, bym na was dwóch mówił w liczbie pojedynczej?

Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał protestu, ale kiedy nic nie powiedziałem, ciągnął:

– Mam na myśli pańskiego syna Davida – w stosunku do pańskiego „ja" jako całości jest synem, a nie bratem – i kobietę, którą pan uważa za ciotkę, a która faktycznie jest córką poprzedniej, nazwijmy to, „wersji" pana.

– Chce mi pan powiedzieć, że jestem klonem, czyli duplikatem ojca, i obaj myślicie, że jest to dla mnie szokiem. Otóż nie. Podejrzewałem to już od pewnego czasu.

– Cieszę się, że to słyszę. Szczerze mówiąc, kiedy byłem w twoim wieku takie samo odkrycie bardzo mną wstrząsnęło. Wszedłem do biblioteki mojego ojca – do tego samego pokoju – żeby się z nim rozprawić. Chciałem go zabić – powiedział na to ojciec.

– A zrobił to pan? – zapytał Dr. Marsch.

– To nie ma chyba znaczenia. Istotny jest mój zamiar. Mam nadzieję, że pańska obecność załagodzi Numerowi Piątemu to przeżycie.

– Tak pan na niego mówi?

– Tak mi wygodniej, bo nazywa się tak samo jak ja.

– Jest pana piątym klonem?

– Moim piątym eksperymentem? Nie! – Ojciec zgarbił się. Wysokie ramiona wtulone w ciemny szkarłat starego szlafroka sprawiały, że wyglądał jak dziki ptak. Przypomniało mi się, że widziałem kiedyś w jakiejś historii naturalnej ptaka, który nazywał się czerwonoramienny orzeł. Posiwiała ze starości ulubiona małpka ojca wspięła się na biurko. – Nie, raczej pięćdziesiątym, jeśli pan musi to wiedzieć. Robiłem je dla wprawy. Wy, którzy nigdy tego nie próbowaliście, myślicie, że to prosta technika,bo obiło wam się o uszy, że to możliwe. Nie wiecie jednak jak trudno jest uniknąć spontanicznych różnic. Każdy gen, który we mnie dominuje musi pozostać dominantą, a ludzie to nie zielony groszek. Proste prawo Mendla nie zawsze się tu sprawdza.

– Niszczył pan te, które nie wyszły? – zapytał Marsch.

– Sprzedawał je – powiedziałem. – Kiedy byłem dzieckiem zastanawiałem się, czemu Mr. Milion zatrzymywał się na targu, żeby się przyjrzeć niewolnikom. Teraz już wiem. – Skalpel wciąż leżał w futerale w mojej kieszeni. Czułem go.

– Mr. Milion jest może bardziej sentymentalny ode mnie – odezwał się ojciec. – Poza tym nie lubię wychodzić z domu. Widzi pan, Doktorze, będzie pan musiał uściślić swoje przypuszczenie, że jesteśmy tą samą osobą. Są jednak drobne różnice.

Dr. Marsch już miał odpowiedzieć, ale przerwałem mu.

– Po co? – zapytałem. – Po co David i ja? Po co kiedyś Ciotka Jeannine? Po co to ciągnąć?

– Tak – powiedział ojciec. – Po co? Zadajemy to pytanie, żeby móc dalej pytać.

– Nie rozumiem.

– Szukam samowiedzy. Jeśli zgodzisz się tak to ująć, szukam samowiedzy. Istniejesz dzięki mnie, a ja istnieję dzięki osobie, która była przede mną, a sama powstała dzięki temu, którego umysł symuluje Mr. Milion. Jednym z pytań, na które szukamy odpowiedzi jest – dlaczego jej szukamy. Ale to nie wszystko. – Pochylił się do przodu, a małpka uniosła biały pyszczek i błyszczące, zdziwione oczy, by spojrzeć mu w twarz. – Chcemy dowiedzieć się, czemu wciąż nam nie wychodzi, czemu inni rozwijają się i zmieniają, a my wciąż jesteśmy tutaj.

Pomyślałem o jachcie, o którym rozmawiałem z Phaedrią i powiedziałem:

– Ja tu nie zostanę.

Dr. Marsch uśmiechnął się.

– Nie zrozumiałeś mnie chyba – odezwał się ojciec. – Nie mówiłem „tutaj" w sensie fizycznym, tylko „tutaj" w odniesieniu do naszego intelektu i pozycji społecznej. Wiele podróżowałem, może i ciebie to czeka, ale...

– Zawsze kończy się to tutaj – podpowiedział Dr. Marsch.

– Wciąż na tym samym poziomie.– Był to chyba jedyny raz, kiedy widziałem ojca podnieconego. Wymachiwał rękoma w stronę notatników i taśm, piętrzących się wzdłuż ścian, z trudem dobywając głosu. – Ile to już pokoleń? I nie zdobyliśmy sławy ani władzy nawet na tej małej, skolonizowanej planecie. Trzeba coś zmienić, ale co? – Wlepił oczy w Dr. Marscha.

– Nie was jednych to spotkało – powiedział Dr. Marsch i uśmiechnął się. – Brzmi to jak truizm. Nie miałem jednak na myśli pańskiego duplikowania się. Chodzi mi o to, że od czasu, kiedy stało się to możliwe na Ziemi, w ostatnim ćwierćwieczu XX wieku, kilkakrotnie powstawały podobne serie ludzi. Dla opisania tego zjawiska zapożyczyliśmy termin technologiczny. Nazywamy to procesem relaksacji. To złe określenie – ale nie ma lepszego. Czy wie pan, czym jest relaksacja w technice?

– Nie.

– Niektórych zagadnień nie można rozwiązać od razu, lecz tylko poprzez szereg przybliżeń. Na przykład przy wymianie ciepła obliczenie temperatury na powierzchni ciała o nieregularnych kształtach może być początkowo niemożliwe. Ale inżynier albo komputer mogą założyć jaka przypuszczalnie będzie ta temperatura, zbadać w jakim stopniu wartości te sprawdziły się, a jakim jeszcze podlegają zmianom i na tej podstawie je uściślić. W miarę jak zwiększa się dokładność danych przybliżeń, kolejne zestawy temperatur są coraz bardziej do siebie podobne, aż w końcu można w zasadzie wyeliminować wszelkie zmiany. Dlatego właśnie twierdzę, że jesteście tą samą osobą.

– Chciałbym, żeby przekonał pan Numer Piąty – powiedział niecierpliwie ojciec – że wszystkie doświadczenia, które na nim wykonałem, a szczególnie badania narkoterapeutyczne, których tak bardzo nie lubi, są konieczne. Jeżeli mamy osiągnąć coś więcej, niż do tej pory, musimy się dowiedzieć... – Ojciec krzyczał już prawie. Przerwał, żeby zapanować nad głosem. – Taki jest cel jego istnienia, a także istnienia Davida. Chciałem się czegoś dowiedzieć dzięki skrzyżowaniu z kimś innym.

– Podobnie można pewnie uzasadnić przyjście na świat Dr. Veil o pokolenie wcześniej – powiedział Dr. Marsch. – Jeśli jednak cho-

dzi o badanie pańskiej odmłodzonej osobowości, to tak samo przydatne byłyby jego badania nad panem.
– Chwileczkę – powiedziałem. – Wciąż pan mówi, że on i ja jesteśmy identyczni. To nieprawda. Zgadzam się, że pod pewnymi względami jesteśmy podobni, ale tak naprawdę jestem inny niż ojciec.
– Nie ma takich różnic, których nie tłumaczyłby wiek. Ile masz lat? Osiemnaście. A pan – spojrzał na ojca – pewnie prawie pięćdziesiąt. Są tylko dwa czynniki, które sprawiają, że ludzie różnią się między sobą. To dziedziczność i środowisko, charakter i pożywienie. Ponieważ osobowość kształtuje się głównie w ciągu pierwszych trzech lat życia, decydujący wpływ wywiera na nią atmosfera domu rodzinnego. Każdy rodzi się w jakimś środowisku, chociaż czasem może ono być tak niedobre, że go zabija. Nikt nie tworzy sobie środowiska, w którym się wychowuje. Zapewnia mu to poprzednia generacja. Jedyny wyjątek stanowi sytuacja relaksacji antropologicznej.
– Tylko dlatego, że obaj wychowaliśmy się w tym domu.
– Który pan zbudował, umeblował i zapełnił wybranymi przez siebie ludźmi. Ale chwileczkę. Porozmawiajmy o człowieku, którego żaden z was nie widział, który urodził się w domu przygotowanym przez zupełnie od niego odmiennych rodziców: to znaczy o pierwszym z was...
Już go nie słuchałem. Przyszedłem, żeby zabić ojca i Dr. Marsch musiał stąd wyjść. Przyglądałem mu się, jak siedząc na krześle pochyla się do przodu i żywo gestykuluje długimi białymi dłońmi. Okrutne usta poruszały się w oprawie czarnej brody. Patrzyłem na niego, ale nic nie słyszałem. Było to tak, jakbym ogłuchł albo jakby on potrafił porozumiewać się tylko za pomocą bezdźwięcznego przekazywania myśli, a ja wiedząc, że są to głupie kłamstwa odciąłem się od nich.
– Pan jest ze Świętej Anny – powiedziałem nagle.
Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, przerywając jakieś bezsensowne zdanie.
– Owszem, byłem tam kilka lat zanim przyjechałem tutaj.
– Pan się tam urodził. Studiował pan tam antropologię z książek napisanych na Ziemi dwadzieścia lat wcześniej. Jest pan autochtonem albo półautochtonem. Ale my jesteśmy ludźmi.
Marsch zerknął na ojca i odpowiedział:
– Autochtonów już nie ma. Według naukowców ze Świętej Anny wymarli prawie sto lat temu.
– Nie wierzył pan w to, kiedy przyszedł pan zobaczyć się z ciotką.
– Nigdy nie zgadzałem się z Hipotezą Veila. Chodziłem do wszystkich, którzy cokolwiek opublikowali z mojej dziedziny. Naprawdę nie mam czasu tego słuchać.
– Jest pan autochtonem, a nie Ziemianinem.
Chwilę potem byłem sam na sam z ojcem.

Większość wyroku odbyłem w obozie pracy w Górach Strzępiastych. Był to mały obóz – przeważnie przebywało tam koło 150 więźniów – a czasami, kiedy w zimie szczególnie wielu zmarło – mniej niż osiemdziesięciu. Rąbaliśmy drzewo i wypalaliśmy z niego węgiel. Jeśli znaleźliśmy dobrą brzezinę, robiliśmy narty. Nad granicą lasu zbieraliśmy rzekomo leczniczy mech solankowy i snuliśmy dalekosiężne plany budowania pochylni do zsuwania kamieni, które zmiażdżyłyby sztywno kroczące roboty, które były naszymi strażnikami. Ten moment jednak nie nadszedł. Kamienie nigdy nie chciały zjeżdżać. Praca była ciężka, a strażnicy dokładnie tak surowi i sprawiedliwi, jak ich zaprogramowano. Załatwiono na zawsze sprawę faworyzowania lub brutalnego traktowania więźniów przez najemnych dozorców i tylko dobrze ubrani panowie na zebraniach zarządu więzień mogli być okrutni bądź pobłażliwi.
Tak im się przynajmniej wydawało. Czasem godzinami rozmawiałem z moim strażnikiem o Mr. Milionie. Raz w kącie, w którym spałem znalazłem schowany kawałek mięsa, a raz kostkę twardego, brązowego i gruboziarnistego jak piasek cukru.
Przestępca nie może odnieść korzyści ze swego czynu. Jak powiedziano mi dużo później – sąd nie znalazł dowodów, że David był faktycznie synem mego ojca i uczynił ciotkę jego spadkobierczynią.
Kiedy umarła, jej pełnomocnik poinformował mnie w liście, że odziedziczyłem „duży dom w mieście Port-Mimizon wraz z meblami i przyległymi do niego ruchomościami". Dom ten „znajduje się przy ul. Saltimbanque 666 i jest obecnie pod opieką służącego-robota". Ponieważ roboty, które mnie pilnowały nie zezwalały na posiadanie przyborów do pisania, nie mogłem odpisać.
Czas leciał jak na skrzydłach. Jesienią znalazłem nieżywe skowronki u podnóży wysuniętych na północ skał, a na wiosnę na stokach, zwróconych na południe.
Dostałem list od Mr. Miliona. Większość dziewcząt zatrudnionych u ojca odeszła podczas śledztwa w sprawie jego śmierci. Resztę musiał zwolnić, kiedy zmarła ciotka, bo jako maszyna nie był w stanie wyegzekwować niezbędnego posłuszeństwa. David wyjechał do stolicy. Phaedria wyszła dobrze za mąż, a Marydol została sprzedana przez rodziców. Data na liście była trzy lata późniejsza niż data mojej rozprawy w sądzie. Trudno było mi jednak stwierdzić, jak długo list szedł do mnie. Kopertę wiele razy otwierano i zaklejano. Była brudna i podarta.
Kiedyś, po burzy, z trudem furkocząc skrzydłami, przyleciał do naszego obozu jakiś morski ptak, chyba gap. Był tak wyczerpany, że nie mógł już dalej pofrunąć. Zabiliśmy go i zjedliśmy.
Jeden z naszych strażników dostał szału, spalił piętnastu więźniów i całą noc walczył z innymi strażnikami mieczami białego i niebieskiego ognia. Na jego miejsce nie dano potem drugiego.
Z kilkoma innymi więźniami przeniesiono mnie do obozu na północy. Były tam czerwone skały o tak głębokich rozpadlinach, że jeśli wrzuciłem do nich kamyczek, to jego grzechotanie zmieniało się wkrótce w huk osuwających się skał, który pół minuty później całkowicie cichnął z powodu oddalenia i ginął gdzieś w ciemności, nie sięgając dna.
Udawałem, że jestem wśród ludzi, których znałem. Kiedy osłaniałem przed wiatrem miskę z zupą, Phaedria siedziała obok mnie na ławce i z uśmiechem opowiadała o swoich znajomych. David całymi godzinami grał na zakurzonym podwórku naszego obozu w rakietki i spał przy ścianie obok mego legowiska. Kiedy szedłem w góry z piłą, trzymałem za rękę Marydol.
Z czasem wspomnienia zacierały się, ale nawet w ostatnim roku więzienia co noc zasypiałem z myślą, że Mr. Milion rano weźmie nas do biblioteki miejskiej i zawsze budziłem się ze strachu, że przyszedł po mnie służący ojca.

Potem powiedziano, że ja i jeszcze trzech więźniów mamy iść do innego obozu. Sami nieśliśmy prowiant, ale w drodze niemal pomarliśmy z głodu i z zimna. Stamtąd zaprowadzono nas do następnego obozu, gdzie przesłuchiwali nas nie tacy jak my więźniowie, lecz wolni ludzie w mundurach. Z tego, co mówiliśmy porobili notatki, a w końcu kazali nam się wykąpać, spalili nasze stare ubrania i dali nam duże kawały mięsa z kaszą.
Pamiętam, że dopiero wtedy pozwoliłem sobie pomyśleć, co to wszystko oznacza. Maczałem chleb w pachnącym sosie, tak, że cały nim przesiąkał i zgarniałem nim kawałki mięsa i ziarna kaszy. Pomyślałem o smażonym chlebie i o kawie na targu niewolników nie jak o wspomnieniu z przeszłości, ale jak o czymś, co mnie jeszcze czeka. Ręce zaczęły mi się trząść i w końcu nie mogłem już utrzymać miski. Miałem ochotę biec ku ogrodzeniom obozu i krzyczeć.
Dwa dni później sześciu z nas wsadzono do zaprzęgniętego w muły wozu, którym krętymi drogami zjeżdżaliśmy w dół i w dół, aż zostawiliśmy za sobą kończącą się już zimę, zniknęły brzozy i jodły, a strzeliste przydrożne kasztany i dęby obsypane były wiosennymi kwiatami.
Na ulicach Port-Mimizon było rojno od ludzi. Zgubiłbym się już po chwili, gdyby Mr. Milion nie zamówił dla mnie lektyki. Kazałem tragarzom zatrzymać się i za pieniądze, które mi dał, kupiłem od ulicznego sprzedawcy gazetę, żeby w końcu dowiedzieć się, jaka naprawdę jest data.
Miałem odsiedzieć zwykłą w podobnych przypadkach karę pozbawienia wolności od roku do pięćdziesięciu lat. Znałem miesiąc i rok, kiedy mnie zamknięto. W obozach nie było jednak możliwości, żeby wiedzieć, jaki jest rok bieżący. Każdy to liczył, ale nikt nie znał. Ktoś dostawał gorączki i za dziewięć dni, kiedy znów mógł pracować, mówił, że minęły dwa lata. Potem ty sam dostawałeś gorączki. Z gazety, którą kupiłem, nie pamiętam żadnego nagłówka, żadnego artykułu. Całą drogę do domu wczytywałem się tylko w datę nad tytułem.
Minęło dziewięć lat.
Kiedy zabiłem ojca miałem osiemnaście lat. Teraz miałem dwadzieścia siedem. Myślałem, że mam ze czterdzieści.

Szare, łuszczące się ściany naszego domu nic się nie zmieniły. Żelazny pies z trzema wilczymi łbami w dalszym ciągu stał w ogrodzie od frontu, ale fontanna ucichła, a wśród paproci i mchu było pełno chwastów. Mr. Milion zapłacił tragarzom, otworzył kluczem drzwi, które za czasów ojca były zawsze zamknięte tylko na łańcuch. Kiedy to zrobił, podbiegła do nas bardzo wysoka, chuda kobieta, która sprzedawała na ulicy pralinki. Była to Nerissa. Miałem teraz służącą, a gdybym tylko chciał mogłem mieć kochankę, chociaż nic jej nie mogłem zapłacić.

Muszę teraz chyba wyjaśnić czemu spisywałem te wspomnienia. Kosztowało mnie to wiele dni pracy. Muszę też wytłumaczyć, dlaczego się tłumaczę. No więc tak. Napisałem to, żeby dokonać rachunku sumienia, a zrobiłem to teraz, ponieważ wiem, że kiedyś przeczytam to i będę się wstydził.
Być może do tego czasu rozwiążę zagadkę mojego „ja" albo też przestanie mi na tym w ogóle zależeć.
Od czasu, gdy wyszedłem na wolność minęły trzy lata. Kiedy po raz pierwszy weszliśmy tu z Nerissą, w domu panował straszny bałagan, gdyż jak opowiadał Mr. Milion, ciotka spędziła ostatnie dni swego życia na poszukiwaniu skarbu, który ojciec rzekomo gdzieś ukrył. Nie znalazła go, a moim zdaniem w ogóle go nie ma. Ponieważ znam jego charakter lepiej niż ona, jestem przekonany, że większość tego, co zarobił na dziewczynach wydał na doświadczenia i aparaturę. Początkowo sam bardzo potrzebowałem pieniędzy, ale dzięki reputacji, jaką miał nasz dom szybko ściągnęły do niego dziewczyny, które chciały się sprzedać i mężczyźni, którzy chcieli je kupić. Pomyślałem od razu, że moja rola sprowadzi się niemal wyłącznie do tego, że ich sobie przedstawię i mam już teraz dobry komplet pracownic. Phaedria mieszka z nami i też pracuje – jej tak wspaniale zapowiadające się małżeństwo okazało się pomyłką. Kiedy wczoraj pracowałem w sali operacyjnej, usłyszałem, że jest przy drzwiach. Otworzyłem i zobaczyłem, że ma ze sobą dziecko. Kiedyś one przyjdą po nas.

Przełożyła Marzenna Rączkowska

Obrona

(Defence)

Alfred Elton van Vogt

We wnętrzu umarłej planety stare, zmęczone mechanizmy poruszały się, białawe rury zadrgały nierównym życiem, a główny wyłącznik powoli i niechętnie przesunął się na pozycję „start". Rozległ się syk i zadźwięczał metal, gdy znużony, miedziany stop ugiął się przed potężną, wezbraną siłą. Metal zesztywniał, jak poddany nagłemu elektrycznemu impulsowi ludzki mięsień. Wyłącznik, przechyliwszy się gwałtownie, rozpłynął się w buchającym płomieniu i spadł z głuchym łoskotem w zalegający dawno nie zamiataną podłogę kurz.

Ale zanim się rozpadł, zdołał poruszyć koło.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat cisza w tym pomieszczeniu została złamana. Koło zakręciło się leniwie na śliskiej poduszce oliwy, wypływającej z zablokowanych dotychczas kanałów, w których przetrwała przez milion lat. Obróciło się trzy razy, potem jego wspornik skruszył się na ziemię. Bezkształtna masa, która niegdyś była kołem zatrzymała się na przeciwległej ścianie, na wpół rozsypana w proch, bezużyteczna. Zanim jednak uległo zniszczeniu, przekręciło oś, która odsłoniła niewielki otwór na końcu stosu uranowego. W prześwicie pod otworem inny uranowy stos błyszczał słabą srebrzystą poświatą. Dwa stosy metalu spoglądały na siebie z kosmicznym spokojem. Życie, falujące między nimi, narodziło się natychmiast. W mgnieniu oka zamieniły się w ognisty ruch. To, co było twardym metalem, przeistoczyło się w płyn. Masa, znajdująca się powyżej, spłynęła w dół.

Płonący metal spadał kaskadami przez tunel, prosto do specjalnego pomieszczenia. Tam skręcał się i zwijał, burzył i kipiał, czekał. Ogrzał zimne, izolowane dotychczas ściany, co włączyło instalację elektryczną. Obwód-przeznaczenie pulsował cicho w wśród jaskiń zamarłego świata.

We wszystkich pomieszczeniach połączonego systemu podziemnych fortów mówiły głosy. Szeptały ochryple z głośników w języku tak dawno zapomnianym, że nawet echo nie potrafiło go powtórzyć. W tysiącu pomieszczeń głosy z niewiarygodnie oddalonej przeszłości mówiły w ciemnościach i czekały na odpowiedź, nie otrzymując jej. Przyjmowały nic nie znaczącą ciszę jako zgodę.

W tysiącach pomieszczeń wyłączniki przeskakiwały, spadały w dół, koła kręciły się, uran płynął do specjalnie wybudowanych kadzi. Wreszcie przerwa, trwał końcowy proces. Elektroniczne maszyny zadawały sobie bezsłowne pytania.

Celownik namierzył cel.

– Tam? – spytała tuba. – Stamtąd?

Celownik był przygotowany.

Pytający mechanizm odczekał wyznaczony czas, wyłączył przekaźnik.

– Stamtąd – powiedział twierdząco do czekających na linii elektronicznych urządzeń. – Zbliżający się obiekt pochodzi s t a m t ą d !

Tysiąc odbiorników odpowiedziało milczeniem.

– Gotowe?

W pomieszczeniach mechanizmów, w kadziach z wrzącym uranem światła lakonicznie potwierdzały swą gotowość.

Odpowiedzią była krótka, szybka komenda.

– Ognia!

Gdy byli pięćset mil od powierzchni, Peter, blady i zdenerwowany, odwrócił się do Graysona.

– Co do diabła? – spytał gwałtownie. – Co to było?

– Co? Nie patrzyłem.

– Przysięgam, widziałem w dole jak gdyby skaczące błyski ognia. Tak wiele, że nie mogłem ich policzyć. Potem miałem wrażenie, że coś przelatuje obok nas w ciemności.

Grayson potrząsnął z żalem głową. – Coś ci się przywidziało, bracie. Nie możesz wytrzymać napięcia, w końcu to pierwsza próba lądowania na Księżycu. Spokojnie, chłopie, spokojnie. Już prawie jesteśmy na miejscu.

– Ale przysięgam...

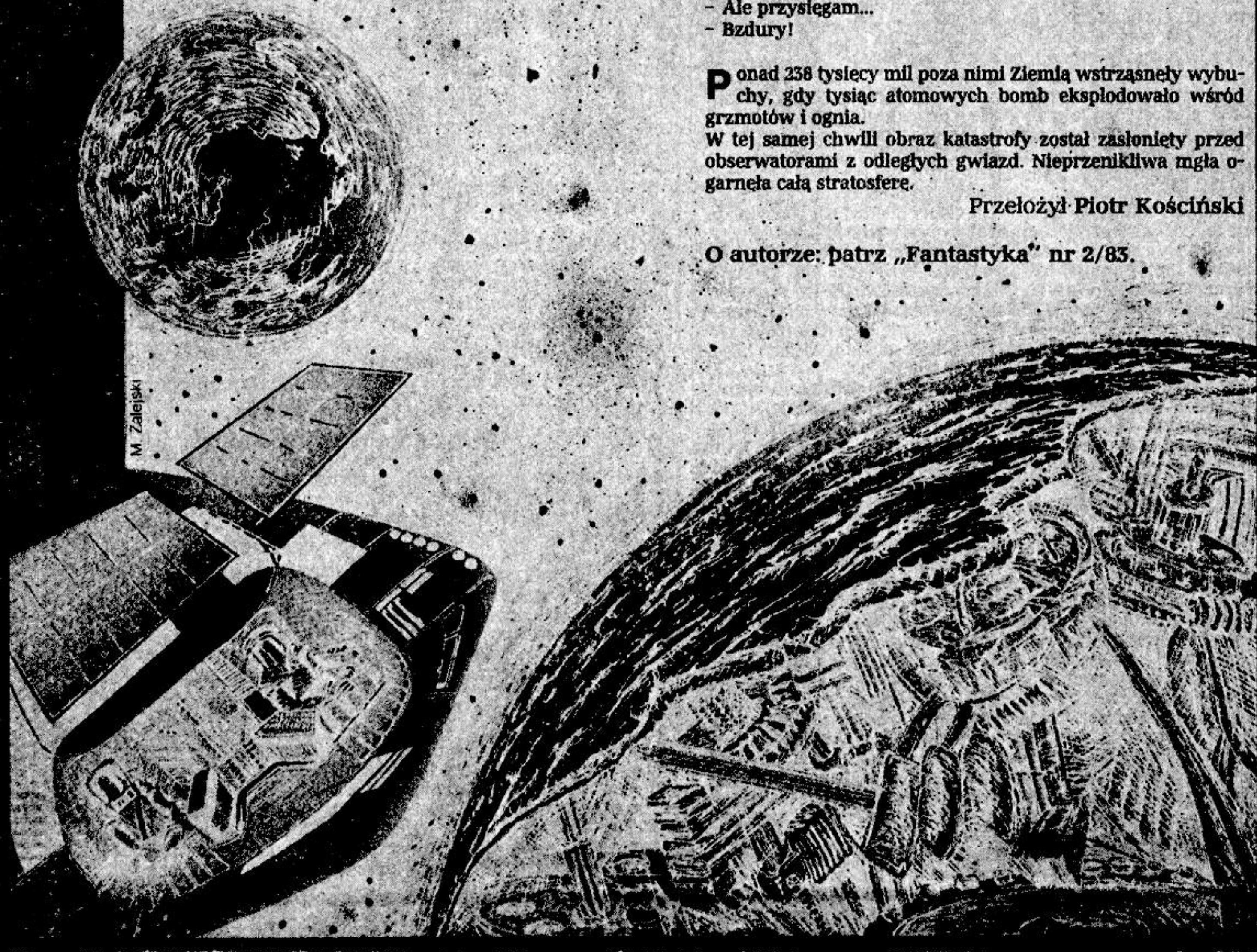
– Bzdury!

Ponad 238 tysięcy mil poza nimi Ziemią wstrząsnęły wybuchy, gdy tysiąc atomowych bomb eksplodowało wśród grzmotów i ognia.

W tej samej chwili obraz katastrofy został zasłonięty przed obserwatorami z odległych gwiazd. Nieprzenikliwa mgła ogarnęła całą stratosferę.

Przełożył Piotr Kościński

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 2/83.



– I że kot jej babki nie będzie miał czyściciela zębów – dodałem z uśmiechem.

– Myślę, że ją krzywdzisz, Johnie Carter – powiedziała Sola. – Nie rozumiem ani ciebie, ani jej, ale nie sądzę, aby kobieta, w której żyłach płynie krew dziesięciu tysięcy jeddaków rozpaczała tak po śmierci kogoś, kogo uważa za niegodnego siebie, ani w ogóle po śmierci kogokolwiek, poza człowiekiem, który zdobył jej szczere przywiązanie. Pochodzi z rasy bardzo dumnej, ale sprawiedliwej i jeśli ją naprawdę głęboko obraziłeś, nie będzie cię zauważała żywego, ale będzie opłakiwać po śmierci. Łzy na Barsoomie są zjawiskiem tak rzadkim – ciągnęła dalej – że właściwie trudno mi je rozumieć. Przez całe życie widziałam tylko dwie, poza Dejah Thoris, płaczące osoby. Jedna z nich płakała z rozpaczy, druga z wściekłości. Pierwszą była moja matka – płakała, zanim ją zabito, a drugą Sarkoja, dzisiaj, gdy ją odciągano ode mnie.

– Twoja matka! – wykrzyknąłem. – Ależ, Solu, przecież nie mogłaś znać swojej matki!

– Znałam. I ojca także. Jeśli chcesz usłyszeć dziwną, nie barsoomiańską historię, przyjdź dziś w nocy do naszego wozu. Opowiem ci coś, o czym nigdy nikomu nie mówiłam. Dano już sygnał do wymarszu, musisz iść.

– Przyjdę – obiecałem. – Nie zapomnij powiedzieć Dejah Thoris, że ja żyję i mam się dobrze. Nie będę jej się narzucał, ale nie mów jej, że widziałem jak płakała. Jeśli zechce ze mną mówić, jestem na jej rozkazy.

Sola wspięła się na wóz, zajmujący właśnie miejsce w kolumnie, a ja wskoczyłem na czekającego thoata, pojechałem do oddziału ubezpieczającego tyły i ustawiłem się w szyku obok Tars Tarkasa.

Rozciągnięci w długą linię wśród żółtego krajobrazu, robiliśmy imponujące i złowieszcze wrażenie. Dwieście pięćdziesiąt barwnych, bogato zdobionych wozów, poprzedzanych przez około dwustu wojowników i dowódców, jadących wierzchem po pięciu w rzędzie, każda piątka w odległości około stu jardów od następnej. Z tyłu, za wozami, podobna liczba wojowników, ustawionych w takim samym szyku. Każdy bok osłonięty przez dwudziestu lub więcej jeźdźców, a wewnątrz ogromnego kwadratu, utworzonego przez osłaniających pochód wojowników biegało luzem pięćdziesiąt dodatkowych zwierząt jucznych, zwanych zitidarami oraz kilka setek thoatów.

Błyszczące w słońcu metalem i klejnotami ozdoby mężczyzn i kobiet, równie bogate rzędy na thoatach i zitidarach, jaskrawe kolory wspaniałych jedwabi, futer i piór nadawały karawanie barbarzyński przepych, wobec którego każdy wschodnioindyjski potentat zzieleniałby z zazdrości. Bardzo szerokie koła wozów i zakończone miękkimi poduszkami stopy zwierząt sprawiały, że poruszaliśmy się po pokrytym mchem dnie wyschniętego morza w zupełnej ciszy, jak ogromny pochód duchów. Czasem tylko przerywało ciszę gardłowe warczenie zitidara lub kwiczenie walczących thoatów. Zieloni Marsjanie rozmawiają niechętnie i przeważnie monosylabami, wypowiadanymi niskim głosem, brzmiącym niby echo dalekich grzmotów.

Podróżowaliśmy przez bezkresne pola żółtego mchu, który uginał się pod ciężarem przejeżdżających wozów i stopami zwierząt, a potem podnosił się szybko i żaden ślad nie znaczył przebytej przez nas drogi. Mogliśmy rzeczywiście być uznani za upiory, przesuwające się dnem wyschniętego morza umierającej planety, gdyż nie wydawaliśmy żadnego dźwięku i nie pozostawał po nas żaden znak. Była to pierwsza, widziana przez mnie tak duża kawalkada ludzi i zwierząt, za którą nie ciągnął się obłok kurzu. Na Marsie kurz nie istnieje, może z wyjątkiem terenów uprawnych, ale nawet tam jest on niemal niezauważalny ze względu na brak silnych wiatrów.

Tej nocy obozowaliśmy u stóp wzgórz, które stanowiły południową granicę tego morza. Nasze zwierzęta od dwóch dni nic nie piły, a wody nie widziały od prawie dwóch miesięcy, to znaczy niemal od czasu opuszczenia Tharku. Tars Tarkas wyjaśnił mi jednak, że potrzebują one niewiele płynów i mogą żyć bardzo długo, karmiąc się porastającym Barsoom mchem, w którego cienkich łodyżkach kryje się dostateczna ilość wilgoci, aby zaspokoić ich ograniczone potrzeby.

Po zjedzeniu kolacji, składającej się z czegoś w rodzaju sera oraz roślinnego mleka, odszukałem Solę. Pracowała w świetle pochodni nad uprzężą któregoś ze zwierząt Tars Tarkasa. Gdy podszedłem, podniosła głowę i jej twarz rozjaśniła się radością.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała. – Dejah Thoris już śpi i czułam się trochę samotna. Ludzie z mojego plemienia ignorują mnie, zbyt się od nich różnię. To nie jest wesołe, gdyż muszę żyć wśród nich i czasem bardzo pragnę być prawdziwą marsjańską kobietą, pozbawioną uczuć i nadziei. Obiecałam opowiedzieć ci moją historię, a raczej historię moich rodziców. Sądząc z tego, co wiem o tobie i zwyczajach panujących wśród twojej rasy, ta historia nie wyda cię się dziwna ani wyjątkowa, ale nawet najdłużej żyjący zieloni Marsjanie nie mogliby przytoczyć drugiej takiej, a w legendach również bardzo niewiele jest podobnych opowieści.

Edgar Rice Burroughs

Księżniczka MARSA

(A Princess of Mars)

przełożył **Darosław J. Toruń**

Edgar Rice Burroughs (1875–1950) jest znany przede wszystkim starszemu pokoleniu czytelników literatury przygodowej – i to raczej wcale nie jako autor powieści typu science fiction. Swoją pisarską, ogólnoświatową karierę zrobił jako ojciec postaci, która przez kilka dziesięcioleci nie schodziła z ekranów kin, z łamów komiksowych czasopism, broszurowych wydań i wciąż wznawianych książek, we wszystkich chyba językach świata. Ten bohater Burroughsa ujrzał światło dzienne jeszcze przed I wojną światową, w 1912 roku. *„Tarzan wśród małp"* (Tarzan of the Apes) był pierwszą z całej serii książek, przedstawiających wciąż nowe i coraz bardziej fantastyczne przygody chłopca wychowanego przez małpy, który przekształcił się we wspaniałego mężczyznę o wielu cechach supermana. Mnożył przygody swego bohatera sam Burroughs, czynili to liczni naśladowcy, w tym wielu autorów komiksów (co było powodem szeregu procesów o prawa autorskie), brali Tarzana na warsztat wciąż nowi scenarzyści i reżyserzy filmowi. Ta oszałamiająca, zwłaszcza hollywoodzka kariera Tarzana okryła jakby cieniem i uczyniła mniej widocznym innego bohatera Burroughsa – Cartera, przeżywającego swoje przygody nie w afrykańskiej dżungli, lecz poza Ziemią.

Carter zrodził się w wyobraźni Burroughsa mniej więcej w tym samym czasie, co Tarzan, a serię książek, których był bohaterem zapoczątkowała *„Księżniczka Marsa"* (A Princess of Mars), którą przedstawiamy naszym Czytelnikom.

Oglądana z perspektywy współczesnej literatury SF, książka Burroughsa – jeśli ma szansę zdobycia sympatii czytających – to przede wszystkim swoim urokiem trudnej do podrobienia staroci. Jest dość typowym produktem bardzo już dawnej formuły literatury fantastycznej, a zarazem stanowi odbicie ówczesnej wiedzy i poglądów na temat najbliższych Ziemi sąsiadów w kosmosie.

Burroughs o tyle mieści się w konwencji pisarstwa SF, że stara się – do pewnych granic – dochować wierności ówczesnej wiedzy o Marsie. Przyjmuje więc bardzo wówczas głośną hipotezę Schiaparellego i Lowella na temat kanałów na Marsie. Uwzględnia znany już fakt, że masa Marsa jest o wiele mniejsza niż Ziemi, a więc mniejsze jest ciążenie. (Utrudnia to bohaterowi w pierwszych chwilach poruszanie się, ale daje mu przewagę siły nad Marsjanami). Bierze także pod uwagę dłuższy czas obiegu Marsa wokół Słońca oraz nachylenie jego osi, powodujące zmiany pór roku. Nie ignoruje też przyjętych wówczas przez naukę poglądów, że atmosfera na Marsie jest bardziej rozrzedzona w porównaniu z ziemską i że planeta cierpi na niedostatek wody. Właśnie kanały, zgodnie z ówczesnymi hipotezami miały służyć bardziej racjonalnemu rozprowadzaniu wody po powierzchni wysychającej planety, stanowiąc równocześnie podstawę do przypuszczeń, że musi tam istnieć nie tylko życie, lecz również cywilizacja. Konsekwencje z poglądów Lowella wyciągnął w 1898 r. H. G. Wells, pisząc swoją „Wojnę światów", a jeszcze 40 lat później Orson Welles potrafił śmiertelnie przestraszyć tysiące nowojorczyków opartym na niej słuchowiskiem radiowym.

Współczesna bezpośrednia penetracja przestrzeni kosmicznej, chociaż jeszcze ograniczona do obszarów naszego systemu słonecznego pozbawiła już pisarzy SF możliwości fantazjowania na temat życia na Wenus czy na Marsie. Radzieckie sondy ukazały nam przyduszoną ogromnym ciśnieniem, rozgrzaną do temperatury kilkuset stopni, pustą powierzchnię Wenus. Amerykańskie Marinery przekazały obraz zupełnie zamarzniętego Marsa, bez żadnych kanałów, niemal bez wody i atmosfery, bez śladów życia, o powierzchni usianej tysiącami kraterów, przypominającej martwy krajobraz Księżyca, a nie świat, na którym przeżywał swe przygody bohater Burroughsa.

Z tego punktu widzenia książka amerykańskiego autora należy już do historii – i to niejako podwójnie: do minionego już okresu wiedzy o sąsiadującej z Ziemią planecie i do historii literatury SF. Ale właśnie dlatego może chyba liczyć na względy czytelników, tych zwłaszcza, którzy potrafią poddawać się urokowi rzeczy dawnych.

(wm)

stratować, jak byk wilka, ale byłem od niego znacznie szybszy i unikałem jego szarży, odskakując w bok. Za każdym razem, gdy przebiegał obok mnie ciąłem go mieczem w nogę lub plecy. Wkrótce krwawił obficie z pięciu czy sześciu małych ran i draśnięć, jakie mu zadałem, lecz nie mogłem podejść dostatecznie blisko, aby ranić go poważniej. Potem zmienił taktykę i starał się osiągnąć umiejętnościami to, czego nie mógł uzyskać brutalną siłą, walcząc ostrożnie i z nadzwyczajną zręcznością. Muszę przyznać, że był znakomitym szermierzem i gdyby nie mniejsza grawitacja, dzięki której byłem bardziej od niego wytrzymały i zręczny, miałbym ogromne kłopoty w dotrzymaniu mu pola.

Przez pewien czas krążyliśmy wokół siebie, nie czyniąc sobie wzajemnie poważniejszej krzywdy. Długie, proste i cienkie ostrza naszych mieczy błyszczały w słońcu i przy każdym starciu zakłócały brzękiem panującą wokół ciszę. W końcu Zad, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że męczy się szybciej niż ja, postanowił przypuścić decydujący atak i zwycięsko zakończyć walkę. W tym momencie, w którym ruszył, uderzył mnie w oczy oślepiający blask światła. Przez chwilę nic nie widziałem, starając się tylko na wpół po omacku uniknąć ostrza, które zdawało się wisieć tuż nade mną. Udało mi się to tylko częściowo, gdyż nagle poczułem ostry ból w lewym ramieniu. Gdy jednak odzyskałem na nowo wzrok i podniosłem oczy, by ustalić położenie mojego przeciwnika, ujrzałem scenę, która wynagrodziła mi ranę, odniesioną wskutek chwilowej ślepoty. Na jednym z wozów stały Dejah Thoris, Sola i Sarkoja, przyglądające się walce ponad głowami innych. W momencie, w którym spojrzałem, Dejah Thoris rzuciła się na Sarkoję jak tygrysica i wytrąciła jej z dłoni jakiś przedmiot – coś, co spadając błysnęło w słońcu. Zrozumiałem, w jaki sposób zostałem tak nagle oślepiony w chwili, która mogła zadecydować o całej walce, w jaki sposób Sarkoja chciała mnie zabić, nie zadając morderczego ciosu własnoręcznie. Dalszy ciąg rozgrywającej się na wozie sceny niemal kosztował mnie życie, gdyż na moment zupełnie zapomniałem o przeciwniku. Chwilę po tym, jak Dejah Thoris wytrąciła jej z dłoni lusterko Sarkoja z twarzą wykrzywioną nienawiścią, wyciągnęła sztylet i zamierzyła się nim na czerwoną dziewczynę. Wówczas Sola, nasza droga, wierna Sola, rzuciła się między nie i zauważyłem, że wielki nóż spada na jej pierś. Nic więcej nie widziałem, gdyż musiałem zająć się Zadem, który znów na mnie natarł. Wciąż jednak myślałem o tym, co zaszło na wozie.

Nacieraliśmy na siebie z furią raz za razem, aż nagle Marsjanin zadał pchnięcie, którego nie mogłem ani odparować, ani uniknąć. Czując ostrze tuż przy mojej piersi rzuciłem się ku niemu z wystawionym naprzód mieczem, zdecydowany umrzeć, ale nie sam. Poczułem wdzierającą się we mnie stal, wszystko wokół mnie pociemniało, świat zawirował i opadłem bezwładnie na kolana.

Sola opowiada mi o swym życiu

Gdy odzyskałem przytomność, a byłem bez zmysłów, jak się potem dowiedziałem, tylko przez chwilę, wstałem szybko na nogi, szukając mego miecza. Dojrzałem go – tkwił pogrążony aż po rękojeść w zielonej piersi Zada. Marsjanin leżał na kobiercu z mchu, martwy jak kamień. Poczułem ból i zauważyłem, że z piersi sterczy mi jego miecz. Na szczęście rzucając się ku niemu, odwróciłem się nieco i ostrze poszło bokiem, przebijając tylko skórę i mięśnie na żebrach. Rana była bardzo bolesna, ale niegroźna.

Wyciągnąłem miecz z rany, potem wziąłem mój własny i, odwróciwszy się do trupa plecami, poszedłem chory, zbolały i pełen odrazy w stronę wozów, na których jechała moja świta i dobytek. Odprowadzał mnie pełen uznania szmer, lecz nic mnie to nie obchodziło.

Osłabiony i ociekający krwią dotarłem do moich kobiet, które, przywykłe do takich wypadków, opatrzyły mnie, przykładając do rany jakieś cudowne maści i lekarstwa, leczące niemal wszystkie rodzaje uszkodzeń ciała, poza najcięższymi. Daj marsjańskiej kobiecie szansę, a śmierć musi się wycofać. Zajęły się mną tak skutecznie, że wkrótce nie odczuwałem żadnych innych skutków zadanego mi pchnięcia poza osłabieniem z upływu krwi i niewielkim bólem wokół rany. Tego typu rana, leczona na sposób ziemski, z pewnością posłałaby mnie na kilka dni do łóżka.

Gdy tylko zostałem opatrzony, pospieszyłem do wozu Dejah Thoris, w pobliżu którego znalazłem Solę. Miała zabandażowaną pierś, czuła się jednak stosunkowo dobrze, gdyż sztylet Sarkoji uderzył w jedną z metalowych ozdób i ześlizgnął się, powodując tylko powierzchowne przecięcie skóry.

Zobaczyłem, że Dejah Thoris leży na wozie odwrócona, a jej szczupłą postacią wstrząsa łkanie. Nie zauważyła, że przyszedłem, ani nie słyszała mojej rozmowy z Solą, gdyż staliśmy w pewnej odległości od wozu.

– Co jej się stało? Czy jest ranna? – spytałem, wskazując ją ruchem głowy.

– Nie – odpowiedziała Sola. – Myśli, że zostałeś zabity.

Zacząłem myśleć o czymś zupełnie innym niż przed chwilą. Zastanawiałem się, co porabiają moi bliscy na Ziemi. Nie widziałem ich już całe lata. Była w Wirginii rodzina Carterów, która twierdziła, że jestem ich bliskim krewnym – jakimś stryjecznym dziadkiem, czy coś takiego. Mogłem wszędzie uchodzić za mężczyznę dwudziestopięcio- lub trzydziestoletniego i fakt, że jestem czyimś dziadkiem, choćby stryjecznym, wydawał mi się bezsensowny, tym bardziej że często czułem się i zachowywałem jak chłopiec. W tej rodzinie było dwoje małych dzieci, które bardzo kochałem, a one uważały, że nie ma na Ziemi nikogo równie wspaniałego jak ich wujek Jack. Ich twarzyczki stanęły mi przed oczyma i, podnosząc głowę ku oblanemu blaskiem księżyca niebu Barsoomu, zatęskniłem za nimi tak, jak jeszcze za nikim dotychczas. Moja natura włóczęgi gnała mnie zawsze z miejsca na miejsce i właściwie nie wiedziałem, co naprawdę oznacza pojęcie „dom rodzinny". Kojarzyło mi się ono zawsze z salonem w domu Carterów. Teraz moje serce wyrywało się ku temu salonowi, żądało abym uciekł stąd, od tych zimnych i nieprzyjaznych ludzi, pośród których zostałem rzucony dziwnym zrządzeniem losu. Gdyby chociaż Dejah Thoris była dla mnie życzliwa! Ale dla niej byłem tylko istotą niższego rzędu, kimś, kto nie jest godny czyścić zębów kotu jej babki. Na szczęście znów odezwało się we mnie poczucie humoru, chichocząc pod nosem otuliłem się w jedwab i futra i zasnąłem tam, gdzie się znajdowałem, na polu zalanym blaskiem obcego mi księżyca.

Następnego dnia zwinęliśmy obóz bardzo wcześnie i maszerowaliśmy niemal do zapadnięcia nocy, raz tylko zatrzymując się na postój. Jednostajność tego marszu została urozmaicona dwoma zdarzeniami. Około południa zauważyliśmy daleko z prawej strony coś, co wydawało się być inkubatorem. Lorquas Ptomel rozkazał to sprawdzić. Tars Tarkas wziął dwunastu wojowników, a mnie między nimi, i pogalopowaliśmy po miękkim dywanie mchu w stronę budowli.

To rzeczywiście był inkubator, ale leżące w nim jaja miały znacznie mniejsze rozmiary od tych, które widziałem tuż po przybyciu na Marsa.

Tars Tarkas zeskoczył z wierzchowca i obejrzał wszystko dokładnie, a potem stwierdził, że inkubator należy do zielonych ludzi z Warhoonu i że cement, którym został uszczelniony, nie zdążył jeszcze wyschnąć.

– Wyprzedzają nas najwyżej o dzień marszu – powiedział i jego okrutna twarz zapłonęła żądzą walki.

Wojownicy bardzo szybko uporali się z inkubatorem. Rozkruszyli wejście i kilku z nich, wśliznąwszy się do środka, krótkimi mieczami zniszczyło jego zawartość. Potem pojechaliśmy z powrotem w ślad za karawaną. Podczas jazdy spytałem Tars Tarkasa czy ci Warhoonianie, których jaja właśnie zniszczyliśmy, są mniejsi niż ludzie z Tharku.

– Zauważyłem, że ich jaja są znacznie mniejsze od tych, które widziałem w waszym inkubatorze – dodałem.

Wyjaśnił mi, że jaja ludzi z Warhoonu zostały dopiero złożone i przez pięcioletni okres przebywania w inkubatorze będą rosły, aż tuż przed porą wylęgu osiągną takie rozmiary jak jaja, które widziałem w dniu mego przybycia na Barsoom. Ta informacja wyjaśniła mi, w jaki sposób kobietom zielonych Marsjan udaje się znosić jaja tak ogromne, że wylęga się z nich czterostopowej wysokości potomstwo. W rzeczywistości, jak się okazało, świeżo zniesione jajo jest niewiele większe niż jajo zwykłej gęsi, a ponieważ nie zaczyna rosnąć, zanim nie zostanie poddane działaniu promieni słonecznych, więc dowódcy nie mają żadnych trudności w przenoszeniu ich setkami z podziemnych przechowalni do inkubatorów.

Krótko po tym wydarzeniu zatrzymaliśmy się, aby dać nieco odpocząć zwierzętom. Podczas tego postoju zdarzył się drugi incydent. Byłem właśnie zajęty przenoszeniem uprzęży z jednego z moich thoatów na drugiego, gdy podszedł Zad i bez jednego słowa uderzył z całej siły moje zwierzę mieczem.

Nie musiałem zaglądać do podręcznika marsjańskiej etykiety, aby wiedzieć, jak zareagować. Byłem tak wściekły, że z trudem powstrzymałem się przed wyciągnięciem pistoletu i natychmiastowym zastrzeleniem go, ponieważ jednak on czekał tylko z mieczem w dłoni, więc nie pozostało mi nic innego, jak stanąć do walki z bronią, którą on wybrał. Wśród Marsjan dopuszczalne jest również użycie w pojedynku mniej skutecznej, gorszej broni, od tej, której używa przeciwnik. Mogłem więc posłużyć się, gdybym chciał, krótkim mieczem, sztyletem, toporem lub nawet pięściami, ale nie miałem prawa sięgnąć po broń palną czy dzidę.

Wybrałem ten sam oręż, którego on użył, gdyż wiedziałem, że chwalił się niejednokrotnie umiejętnością władania nim i chciałem go pokonać, o ile będzie to możliwe, jego własną bronią. Walka, która potem nastąpiła była długa i o blisko godzinę opóźniła ponowny wymarsz. Całe plemię zebrało się wokół nas, zostawiając w środku wolną przestrzeń o średnicy około stu stóp. Z początku Zad usiłował mnie

Do czytelników

Przedstawiając Państwu w formie książki dziwny rękopis kapitana Cartera przypuszczam, że może być interesujące opatrzenie go kilkoma słowami wstępu, dotyczącymi tego nadzwyczajnego człowieka. Moje pierwsze wspomnienia o nim pochodzą z okresu tych kilku miesięcy, tuż przed wybuchem Wojny Domowej, które kapitan Carter spędził w domu mego ojca w Wirginii. Mimo iż byłem wtedy zaledwie pięcioletnim dzieckiem, dobrze pamiętam wysokiego, przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę, którego nazywałem wujem Jackiem.

Na jego twarzy zawsze gościł uśmiech, a w naszych dziecięcych zabawach uczestniczył z tym sam zapałem i zaangażowaniem, jakie przejawiał, biorąc udział w rozrywkach dorosłych. Czasem całymi godzinami zabawiał moją starą babkę opowieściami ze swego burzliwego życia, w czasie którego zjeździł i poznał niemal cały świat. Wszyscy go kochaliśmy, a nasi niewolnicy nieomal całowali ślady jego stóp.

Był wspaniałym przykładem męskiej urody. Mierzył dobre dwa cale ponad sześć stóp wzrostu, miał szerokie ramiona, wąskie biodra i wysportowaną sylwetkę człowieka, którego żywiołem jest walka. Rysy twarzy miał regularne, ostro wyrzeźbione, włosy ciemne, krótko obcięte i stalowoszare oczy, odbijające prawy i niezłomny charakter. Jego nienaganne maniery i uprzedzająca grzeczność były z rodzaju tych, jakie spotyka się wśród najlepszych arystokratycznych rodzin na Południu.

Jeździł konno, szczególnie gdy gonił za sforą ogarów, w sposób, który budził podziw i uznanie nawet u nas, w kraju słynnym ze znakomitych jeźdźców. Słyszałem często, jak ojciec ostrzegał go przed skutkami dzikiej brawury. On jednak śmiał się tylko i mówił, że nie narodził się jeszcze koń, który mógłby go wysadzić z siodła.

Gdy wybuchła wojna, opuścił nas i nie widziałem go przez następnych piętnaście czy szesnaście lat. Przyjechał po raz wtóry bez uprzedzenia i byłem bardzo zdziwiony, gdy zauważyłem, że przez ten cały czas wcale się nie zestarzał ani też nie zmienił w żaden widoczny sposób. Wśród ludzi był tym samym radosnym i szczęśliwym człowiekiem, którego pamiętaliśmy z dawnych dni. Widziałem go jednak kilkakrotnie, gdy przypuszczał, że jest sam; siedział wówczas godzinami, patrząc w przestrzeń, z twarzą ściągniętą tęsknotą i cierpieniem. Noce spędzał ze wzrokiem utkwionym w niebo i dopiero całe lata później, gdy przeczytałem jego rękopis, zrozumiałem powód tego dziwnego zachowania.

Powiedział nam, że po zakończeniu wojny spędził pewien czas poszukując złota na terenie Arizony. Nieograniczone sumy pieniędzy, którymi dysponował dowodziły, że te poszukiwania zostały zakończone pełnym sukcesem. Jednak o szczegółach swego życia mówił bardzo powściągliwie, a właściwie nie

mówił o nich wcale. Został z nami prawie rok, a potem pojechał do Nowego Jorku, gdzie kupił niewielką posiadłość nad rzeką Hudson. Odwiedzałem go tam raz do roku, przy okazji moich handlowych podróży – mój ojciec i ja posiadaliśmy w owym czasie wiele sklepów, rozsianych po całej Wirginii. Kapitan Carter był właścicielem małej, lecz pięknej willi, malowniczo położonej na urwistym brzegu rzeki. Podczas jednej z moich ostatnich wizyt, w zimie 1885 roku, zauważyłem, że był bardzo zaabsorbowany pisaniem – tego właśnie, jak teraz przypuszczam, manuskryptu.

Powiedział mi wówczas, że chce, jeżeli mu się coś przytrafi, abym zaopiekował się jego posiadłością. Wręczył mi klucz do skrytki w szafie pancernej stojącej w jego gabinecie, w której miałem znaleźć testament i pewne osobiste instrukcje. Wymógł na mnie uroczystą przysięgę, że wszystkie ściśle wypełnię.

Tego dnia, udając się na spoczynek, zauważyłem go z okna mego pokoju. Stał w promieniach księżyca na zwróconym ku rzece urwisku, z rękami wyciągniętymi ku niebu, jakby błagał o litość. Pomyślałem wówczas, że się modli i zdziwiłem się nieco, bowiem nigdy nie uważałem go za człowieka religijnego. W kilka miesięcy po powrocie do domu, chyba pierwszego marca 1886 roku, otrzymałem telegram, w którym prosił, abym natychmiast do niego przyjechał. Byłem zawsze jego ulubieńcem wśród młodszej generacji Carterów, więc niezwłocznie pospieszyłem.

Przybyłem na małą stację, oddaloną o blisko milę od jego posiadłości, rankiem czwartego marca 1886 roku. Czekał na mnie służący. Gdy mu poleciłem jechać do domu kapitana, powiedział, że jeżeli jestem przyjacielem jego pana, ma dla mnie bardzo złe wiadomości. Tego ranka, krótko po wschodzie słońca, stróż sąsiedniej posiadłości znalazł kapitana Cartera martwego. Z jakiejś przyczyny ta wiadomość wcale mnie nie zaskoczyła, pojechałem jednak najszybciej, jak to było możliwe, by zająć się pogrzebem i sprawami, które mi zostawił.

W małym salonie zastałem szefa lokalnej policji, kilku mieszkańców miasta oraz stróża, który opowiedział szczegóły, związane ze znalezieniem ciała. Gdy się na nie natknął było jeszcze ciepłe. Leżało w śniegu, z rękami wyciągniętymi ku krawędzi urwiska, w pozycji, jak sobie uświadomiłem, identycznej z tą, w jakiej widywałem kapitana w owe noce, gdy zdawał się błagać niebo o łaskę.

Ciało nie nosiło żadnych śladów przemocy i koroner, przy pomocy miejscowego lekarza, szybko wydał orzeczenie o śmierci na skutek zawału serca. Gdy wreszcie zostałem sam, otworzyłem kasę pancerną i opróżniłem szufladę, w której, jak mi mówił, znajdę przeznaczone dla mnie instrukcje. Były one istotnie dość osobliwe, ale wypełniłem je do ostatniego szczegółu, najuczciwiej jak potrafiłem.

Kapitan polecił mi przewieźć swoje ciało do Wirginii bez balsamowania i złożyć w otwartej trumnie w grobowcu, który poprzednio wybudował. Jak się później przekonałem, grobowiec posiadał bardzo dobrą wentylację. W instrukcjach było zawarte żądanie, abym osobiście dopilnował ścisłego wykonania wszystkich poleceń, zachowując tajemnicę, jeśli okaże się to konieczne. Majątkiem zadysponował w sposób następujący: przez 25 lat miałem otrzymywać wszystkie płynące z niego dochody, po czym przechodził na moją wyłączną własność. Dalsze wskazówki dotyczyły rękopisu. Przez jedenaście lat miał pozostać w takim stanie, w jakim go znalazłem, nie czytany i nie rozpieczętowany. Publicznie ogłosić jego treść mogłem dopiero po upływie 21 lat od śmierci kapitana.

Dziwną rzeczą w grobowcu, w którym jego ciało ciągle spoczywa jest to, iż masywne drzwi zaopatrzone są w wielki, złocony zamek sprężynowy, który otwiera się t y l k o o d w e w n ą t r z.

Szczerze oddany
Edgar Rice Burroughs

jakim jest traktowana Dejah Thoris, które, w miarę, jak o nim mówiłem, przybierało w moich zakochanych oczach coraz większe rozmiary.

– Johnie Carter – odpowiedział – jeżeli kiedykolwiek ty i Dejah Thoris zdecydujecie się na ucieczkę, zrobicie to podczas tej podróży. Wiemy, że ty sam, bez niej, nie odejdziesz. Pokazałeś, że jesteś znakomitym wojownikiem i nie chcemy nakładać ci kajdanów, więc postanowiliśmy zatrzymać was oboje w prostszy, ale również zapewniający bezpieczeństwo sposób. Skończyłem.

Widziałem, że jest przekonany o słuszności takiego postępowania i że daremne byłyby próby skłonienia go do zmiany decyzji. Zażądałem jednak, by odebrał klucz Sarkoji i zakazał jej zbliżać się w przyszłości do Dejah Thoris.

– Powinieneś zrobić dla mnie chociaż tyle, Tars Tarkasie, w zamian za uczucie przyjaźni, jakie ku tobie czuję.

– Przyjaźń? – powtórzył. – Nic takiego nie istnieje, Johnie Carter. Jednak zrobię to, o co mnie prosisz. Rozkażę Sarkoji, aby przestała niepokoić dziewczynę i osobiście zaopiekuję się kluczem.

– A może byś obarczył mnie tą odpowiedzialnością? – powiedziałem z uśmiechem.

Patrzył na mnie długo i uważnie.

– Gdybyś dał mi słowo, że ani ty, ani Dejah Thoris nie będziecie próbowali ucieczki do czasu, aż dotrzemy do dworu Tal Hajusa, mógłbyś wziąć klucz i wrzucić krępujący dziewczynę łańcuch do rzeki Iss.

– Chyba lepiej będzie, jeśli zatrzymasz klucz, Tars Tarkasie – odpowiedziałem.

Uśmiechnął się i nie powiedział nic więcej, ale tej nocy, w czasie postoju, zauważyłem, że podszedł do Dejah Thoris i zdjął skuwający ją łańcuch.

W jego charakterze pod płaszczykiem okrucieństwa i obojętności było coś, co starał się ukryć, może nawet walczyć. Możliwe, że były to jakieś pozostałości, lepszych instynktów, które, wracając niby widma przeszłości, ukazywały mu w jak straszny sposób żyje i postępuje jego rasa.

Gdy zbliżałem się do pojazdu Dejah Thoris, minąłem Sarkoję, a pełne jadu spojrzenie, którym mnie obrzuciła było najpiękniejszym podarunkiem, jaki otrzymałem od wielu dni. Jak ona mnie nienawidziła! Ta nienawiść była tak wyraźna i namacalna, że niemal można było ją ciąć mieczem.

Kilka minut później zauważyłem, że Sarkoja rozmawia z wojownikiem o imieniu Zad, ogromną, ociężałą i niesłychanie silną bestią. Był on jednym z tych, którzy jeszcze nie zabili żadnego ze swych dowódców i byli ciągle „o mad", czyli wojownikami o jednym imieniu. Drugie imię mogliby zdobyć wraz z ozdobami, zdjętymi z martwego ciała dowódcy. Temu właśnie zwyczajowi zawdzięczałem swoje imiona – niektórzy zwracali się do mnie per Dotar Sojat, co było kombinacją pierwszych imion dowódców, których insygnia nosiłem.

Zad spoglądał na mnie od czasu do czasu, zaś Sarkoja wyraźnie starała się go nakłonić do jakiegoś działania. Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, ale następnego dnia miałem poważny powód, aby przypomnieć sobie tę rozmowę, a jednocześnie uświadomić sobie z pełną jasnością jak straszną nienawiścią Sarkoja do mnie pałała i do jakich czynów gotowa była się uciec, aby wywrzeć na mnie zemstę.

Dejah Thoris i tego wieczoru nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi i chociaż kilkakrotnie zwróciłem się do niej, wymawiając jej imię, nie tylko nie odpowiedziała, ale nawet drgnieniem powiek nie dała do zrozumienia, że zauważa moje istnienie. Zrozpaczony zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłaby większość zakochanych – postanowiłem wybadać zaufaną osobę mojej wybranki. W tym wypadku była to Sola, którą odnalazłem w innej części obozu.

– Co się dzieje z Dejah Thoris? – zapytałem gwałtownie. – Dlaczego nie chce ze mną rozmawiać?

Sola zdziwiła się, gdyż tak dziwne zachowanie dwojga ludzi było dla niej zupełnie niezrozumiałe. Ale przecież nie mogła tego rozumieć.

– Mówi, że ją rozgniewałeś. Nic więcej na ten temat nie chce powiedzieć, z wyjątkiem tego, że jest córką jeda i wnuczką jeddaka, a została upokorzona przez osobnika, który nie byłby godny czyścić zęby sorakowi jej babki.

Zastanawiałem się przez chwilę nad tą odpowiedzią, w końcu spytałem:

– A co to jest sorak?

– Małe zwierzątko wielkości mojej dłoni, które czerwoni Marsjanie trzymają dla zabawy – wyjaśniła.

A więc nie nadawałem się nawet do czyszczenia zębów kotu jej babki! Dejah Thoris musi mieć o mnie bardzo niskie wyobrażenie. Jednak nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, słysząc takie stwierdzenie – dziwne, a jednocześnie tak znajome, tak ziemskie. Nagle odezwała się we mnie tłumiona dotychczas tęsknota za domem, gdyż to stwierdzenie zbyt przypominało nasze „nie jest godny, by czyścić jej buty".

– Dlaczego nic nie mówisz, Dejah Thoris? – spytałem. – Chcesz już może wracać do swojej kwatery?

– Nie – powiedziała. – Jestem tutaj szczęśliwa. Nie wiem dlaczego, ale zawsze czuję się szczęśliwa i zadowolona, gdy ty, obcy człowiek, jesteś ze mną. Wydaje mi się w takich chwilach, że jestem bezpieczna i że wkrótce wrócę, wraz z tobą, na dwór mego ojca, że poczuję objęcie jego silnych ramion i pocałunki mojej matki.

– Czy ludzie na Barsoomie całują? – spytałem, gdy na moją prośbę wyjaśniła mi znaczenie tego, dotychczas nieznanego mi słowa.

– Tak, rodzice, brat, siostra – odpowiedziała, a potem dodała cichym głosem – i kochankowie.

– A ty, Dejah Thoris, masz rodziców, braci i siostry?

– Tak.

– A... kochanka?

Umilkła, a ja na próżno powtórzyłem pytanie.

– Mężczyzna na Barsoomie – powiedziała w końcu – nie zadaje kobietom osobistych pytań, tylko matce i tej, o którą walczył i zwyciężył.

– Ale ja walczyłem... – zacząłem i ugryzłem się w język, żałując, że mi go ktoś przedtem nie wyrwał. Nie odezwawczy się ani słowem zdjęła z ramion mój płaszcz, oddała mi go i odeszła z dumnie uniesioną głową w stronę placu i swojej kwatery.

Nie próbowałem za nią pójść, patrzyłem jedynie, by się upewnić czy dotrze bezpiecznie do drzwi swego budynku. Kazałem psu dotrzymać jej towarzystwa, a sam wróciłem do mojej kwatery. Siedziałem potem długie godziny na posłaniu, bardzo przygnębiony i rozmyślałem o dziwnych kaprysach losu, który zdaje się igrać z nami, biednymi, zagubionymi istotami.

A więc to jest miłość! Udało mi się jej uniknąć przez tyle lat włóczęgi po pięciu kontynentach i otaczających je morzach. Uniknąłem jej, mimo iż poznałem tyle pięknych kobiet i byłem w tylu sprzyjających sytuacjach, mimo iż chciałem ją znaleźć i ciągle poszukiwałem mego ideału. A teraz zakochałem się po uszy w istocie z innego świata, w kimś, kto jest być może do mnie podobny, ale przecież nie identyczny. Szalałem za kobietą, która wylęgła się z jaja, która prawdopodobnie żyje tysiąc lat, której naród posiada dziwne zwyczaje i idee. Zakochałem się w kobiecie, której nadzieje, przyjemności i rozumienie złego i dobrego mogą się tak różnić od moich, jak moje różnią się od tych, które mają zieloni Marsjanie.

Tak, byłem głupcem, ale byłem zakochany i chociaż cierpiałem bardziej niż kiedykolwiek, nie oddałbym tego cierpienia za wszystkie skarby Barsoomu. Taka jest miłość i tacy są zakochani zawsze i wszędzie.

Dejah Thoris była dla mnie wszystkim, co piękne, szlachetne, dobre, doskonałe. Wierzyłem w to z całego serca, z głębi duszy, zarówno owej nocy, gdy siedziałem na stertach jedwabiu w opuszczonym mieście Korad, a bliższy księżyc Barsoomu wędrował po niebie na zachód, zniżając się ku horyzontowi i rzucając blade światło na stare jak świat mozaiki ze złota, marmuru i drogich kamieni w moim pokoju, jak wierzę i teraz, siedząc przy biurku w małym gabinecie, którego okna wychodzą na rzekę Hudson. Od tej chwili upłynęło już dwadzieścia lat – pierwsze dziesięć żyłem i walczyłem dla Dejah Thoris i jej narodu, a następne – to życie wspomnieniami.

Ranek w dniu naszego odjazdu do Tharku był jasny i gorący, jak wszystkie poranki na Marsie, z wyjątkiem sześciu tygodni, podczas których topnieje lód na biegunach.

Odszukałem Dejah Thoris w tłoku odjeżdżających wozów, ale ona odwróciła się bokiem, nie odzywając się do mnie ani słowem. Zauważyłem, że jej twarz oblała się silnym rumieńcem. Mogłem powiedzieć, że obraziłem ją nieświadomie, że nie zdawałem sobie sprawy z wagi tego, co mówię, jednak ja również milczałem, z typowym dla miłości brakiem logiki. A być może udałoby mi się wtedy osiągnąć chociaż zawieszenie broni, jakąś połowiczną ugodę.

Ponieważ czułem się w obowiązku dbać o jej wygodę spojrzałem do wnętrza wozu i poprawiłem jedwabie i futra, na których siedziała. Zauważyłem przy tym z przerażeniem, że jedna z jej nóg jest przykuta ciężkim łańcuchem do boku wozu.

– Co to znaczy? – krzyknąłem, zwracając się do Soli.

– Sarkoja uważa, że tak jest najlepiej – odpowiedziała z wyrazem twarzy, który świadczył, że jej to wcale się nie podoba.

Przyjrzałem się łańcuchowi i zobaczyłem, że jest zamknięty na potężny sprężynowy zamek.

– Gdzie jest klucz? Daj mi go.

– Sarkoja go zabrała – odpowiedziała Sola.

Nie tracąc czasu odszukałem Tars Tarkasa. Zaprotestowałem gwałtownie przeciwko okrucieństwu, z

Na wzgórzach Arizony

Jestem bardzo starym człowiekiem – sam nie wiem ile mam lat. Być może sto, może więcej. Nie potrafię powiedzieć, gdyż nigdy nie starzałem się tak, jak inni ludzie. Nie pamiętam również swego dzieciństwa. Jak daleko sięgnę pamięcią zawsze byłem mężczyzną lat około trzydziestu. Wyglądam dzisiaj tak, jak wyglądałem czterdzieści i więcej lat temu, a mimo to wiem, że nie będę żył wiecznie, że któregoś dnia przyjdzie po mnie śmierć, ta prawdziwa, po której już się nie zmartwychwstaje. Nie widzę powodu, dla którego miałbym się obawiać śmierci – ja, który umarłem już dwukrotnie i ciągle żyję. A jednak jest we mnie ten sam strach przed nią, co u was, którzy nigdy nie umarliście. I, jak przypuszczam, ten właśnie strach zrodził we mnie przekonanie, że ja również jestem śmiertelny. Zmusza mnie ono do opisania dziejów mego życia i moich śmierci. Nie potrafię wyjaśnić tego fenomenu, mogę jedynie w prostych słowach szeregowego żołnierza fortuny podać kronikę dziwnych przygód, które mi się przytrafiły w ciągu dziesięciu lat, podczas których moje martwe ciało leżało, przez nikogo nie odnalezione, na dnie pieczary w Arizonie. Nigdy nie opowiadałem tej historii. Żaden też śmiertelny człowiek nie ujrzy tego rękopisu, dopóki rzeczywiście nie przekroczę progu wieczności. Wiem, że umysł przeciętnego człowieka nie uwierzy w to, czego nie może dotknąć i zobaczyć. Dlatego nie mam zamiaru stawać pod pręgierzem opinii publicznej, kościoła i prasy i być poczytywanym za gigantycznego łgarza tylko dlatego, że mówię czystą prawdę, która pewnego dnia zostanie potwierdzona przez naukę. Być może doświadczenia, które stały się moim udziałem na Marsie i wiedza, jaką mogę przekazać w tej kronice pomogą we wcześniejszym zrozumieniu tajemnic naszej siostrzanej planety – tajemnic dla was, ale już nie dla mnie.

Nazywam się John Carter, jednak bardziej jestem znany jako kapitan Jack Carter z Wirginii. Gdy Wojna Domowa dobiegła końca stwierdziłem, że posiadam kilkaset tysięcy bezwartościowych dolarów (konfederackich), stopień kapitana kawalerii w armii, która już nie istnieje i jestem sługą kraju, który znikł wraz z nadziejami Południa. Bez dowódców, bez grosza, pozbawiony jedynego źródła utrzymania – walki, postanowiłem udać się na południowy zachód i spróbować odzyskać utraconą fortunę, poszukując złota.

Blisko rok prowadziłem, wraz z innym oficerem armii konfederackiej, kapitanem Powellem z Richmond, roboty poszukiwawcze. Mieliśmy wyjątkowe szczęście, gdyż zimą 1865 roku natknęliśmy się, po wielu wysiłkach i wyrzeczeniach, na żyłę złotonośnego kwarcu, która swoim bogactwem przewyższała nasze najśmielsze marzenia. Powell, który z wykształcenia był inżynierem-górnikiem, stwierdził, że odkryliśmy kruszec wartości ponad miliona dolarów, możliwy do wydobycia w ciągu zaledwie trzech miesięcy.

Ponieważ nasze wyposażenie było wyjątkowo ubogie, zdecydowaliśmy, że jeden z nas musi wrócić do cywilizacji, kupić potrzebne urządzenia i nająć wystarczającą liczbę ludzi, by rozpocząć eksploatację kopalni.

Powell znał zarówno okolice, jak i techniczne potrzeby przedsięwzięć górniczych, postanowiliśmy więc, że to on uda się na tę wyprawę. Ja zgodziłem się zostać i bronić naszego prawa własności przed ewentualnymi, jednak mało prawdopodobnymi zakusami jakiegoś innego poszukiwacza, który mógłby zawędrować w pobliże.

Trzeciego marca 1866 roku zapakowaliśmy zapasy na drogę na dwa z naszych mułów. Powell powiedział mi do widzenia, wskoczył na konia i ruszył w dół, ku dolinie, przez którą prowadził pierwszy etap jego podróży. Poranek tego dnia był, jak niemal wszystkie poranki w Arizonie, piękny i czysty. Mogłem obserwować Powella i jego juczne zwierzęta, wybierających najlepszą drogę w dół zbocza. Aż do trzeciej po południu, gdy zanurzyli się w cień łańcucha gór, leżącego po przeciwnej stronie doliny, od czasu do czasu widziałem ich, wspinających się na jakieś wzgórze lub pokonujących wyniesienie.

Około trzeciej trzydzieści spojrzałem przypadkowo w dolinę i zdziwiłem się, widząc trzy małe punkty niemal w tym samym miejscu, w którym po raz ostatni dostrzegłem Powella i jego dwa muły. Nie jestem skłonny do zbytecznych obaw, lecz im bardziej próbowałem się przekonać, że z Powellem nic złego się nie stało, a dostrzeżone punkty to antylopy lub dzikie konie, tym większy mnie ogarniał niepokój.

Ponieważ od czasu, gdy znaleźliśmy się w tej okolicy nie zauważyliśmy ani śladu wrogo nastawionych Indian, nie podjęliśmy żadnych środków ostrożności. Między bajki włożyliśmy zasłyszane opowieści o wielkiej liczbie tych okrutnych włóczęgów, jakoby grasujących w pobliżu, mordujących i torturujących każdą grupę białych, która wpadnie w ich bezlitosne szpony.

Wiedziałem, że Powell był dobrze uzbrojony i ponadto miał doświadczenie w walce z Indianami. Jednak ja również spędziłem wiele lat wśród Siouxów na Północy i wiedziałem, że jego szanse w starciu z oddziałem przebiegłych Apaczów są bardzo niewielkie. W końcu nie mogłem dłużej znieść niepewności i, uzbroiwszy się w dwa rewolwery Colta, karabin oraz dwa pasy z nabojami osiodłałem konia i pojechałem w dół drogą, którą Powell przebył tego ranka.

Natychmiast, gdy znalazłem się na stosunkowo równym terenie zmusiłem konia do galopu. Jechałem tak aż do chwili, gdy krótko przed zmierzchem zauważyłem ślady trzech niepodkutych, galopujących koni, łączące się ze śladami, pozostawionymi przez Powella.

Ruszyłem za nimi najszybciej, jak mogłem. Jednak wkrótce zapadające ciemności zmusiły mnie do zatrzymania się w oczekiwaniu na wschód księżyca. Dało mi to możliwość gruntownego przemyślenia całej sytuacji. Być może niebezpieczeństwo istniało tylko w mojej wyobraźni, uroiłem, je sobie jak stara, przesądna kobieta i gdy wreszcie dogonię Powella mój niepokój stanie się tylko tematem do żartów. Jednak, jakkolwiek nie jestem sentymentalny, przez całe życie uważałem poczucie obowiązku, gdziekolwiek miałoby mnie ono prowadzić, za rodzaj fetysza. Dzięki niemu dostąpiłem zaszczytów w trzech republikach, zyskałem odznaczenia i przyjaźń starego, potężnego cesarza oraz kilku pomniejszych królów, w których służbie ostrze mojej szabli niejednokrotnie barwiło się czerwienią.

Około dziewiątej światło księżyca było wystarczająco silne, abym mógł jechać dalej. Nie miałem trudności w szybkim podążaniu za tropem - stępa, a niekiedy nawet kłusem. Około północy dotarłem do małego stawu, przy którym Powell miał nadzieję nocować. Było tam zupełnie pusto, nie znalazłem żadnych śladów obozowiska.

Zauważyłem, że trzej jeźdźcy zatrzymali się nad wodą jedynie na chwilę, prawdopodobnie by napoić konie, i pojechali za Powellem, starając się utrzymać taką samą prędkość, z jaką jechał mój przyjaciel.

Teraz już byłem przekonany, że są to Apacze i mają zamiar schwytać Powella żywcem, by dostarczyć sobie szatańskiej przyjemności zadawania mu tortur. Pognałem konia naprzód nie zważając na niebezpieczeństwo. Miałem nadzieję dognać tych czerwonych rozbójników, zanim go zaatakują.

Dalsze moje rozmyślania zostały przecięte jak nożem dalekim odgłosem dwóch strzałów. Wiedziałem, że teraz Powell potrzebuje mojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek. Pognałem konia, zmuszając go do najszybszego galopu, na jaki mógł się zdobyć na wąskiej i trudnej górskiej ścieżce.

Przebyłem około mili, lub nawet więcej, nie słysząc dalszych odgłosów walki, gdy nagle ścieżka zagubiła się w małej, otwartej przestrzeni w pobliżu grzbietu przełęczy. Widok, jaki ujrzałem przeraził mnie.

Niewielki obszar płaskiego gruntu był biały od indiańskich wigwamów, a około pięciuset czerwonych wojowników zebrało się wokół jakiegoś obiektu w centrum obozu. Byli tak pochłonięci tym, co się tam znajdowało, że zupełnie mnie nie zauważyli. Mógłbym zawrócić i uciec, kryjąc się bezpiecznie w ciemnościach. Jednak taka myśl przyszła mi do głowy dopiero następnego dnia, gdy wspominałem całe wydarzenie.

Nie wierzę, że jestem z tej samej gliny, z której ulepieni są wielcy bohaterowie. Wśród setek przygód, w jakie się angażowałem stając twarzą w twarz ze śmiercią, nie przypominam sobie ani jednej, w

dowódco, gdyż, gdybyśmy nawet mieli zginąć z ich rąk, możemy sobie pozwolić na litość, ponieważ stoimy od nich wyżej i oni o tym wiedzą.

Gdybym wiedział, co oznaczają słowa „mój dowódco" wypowiedziane przez czerwoną kobietę do mężczyzny, spotkałaby mnie największa w życiu niespodzianka, ale nie wiedziałem ani wtedy, ani jeszcze przez kilka następnych miesięcy. Tak, wiele jeszcze musiałem się nauczyć na Barsoomie.

– Sądzę, że dowodem naszej mądrości będzie, jeśli przyjmiemy nasz los z godnością, Dejah Thoris. Jednak mimo to mam nadzieję, że będę obecny przy tym, gdy następny raz jakiś Marsjanin, wszystko jedno zielony, czerwony, różowy czy fioletowy, ośmieli się choćby na ciebie skrzywić, moja księżniczko.

Usłyszawszy moje ostatnie słowa Dejah Thoris wstrzymała oddech i spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczyma, a potem z dziwnym uśmiechem, przy którym w kącikach jej ust pojawiły się dołeczki, potrząsnęła głową i krzyknęła:

– Co za dziecko! Wielki wojownik, a jednak potykające się, małe dziecko.

– Co takiego zrobiłem? – spytałem z pewnym zakłopotaniem.

– Jeżeli uda nam się przeżyć, dowiesz się pewnego dnia, Johnie Carter, ale ja ci tego nie powiem. No proszę, słucham tego bez gniewu, ja, córka Mors Kajaka, syna Tardos Morsa – powiedziała na koniec do siebie.

Wpadła w wesoły, radosny nastrój i zaczęła sobie żartować z mojej godności wojownika Tharków, która jej zdaniem była sprzeczna z łagodnością mego charakteru i naturalną uprzejmością.

– Przypuszczam, że gdybyś przypadkiem musiał zranić wroga, zabrałbyś go do domu i pielęgnował, aż wróciłby do zdrowia – śmiała się.

– Właśnie w ten sposób postępujemy na Ziemi – odpowiedziałem. – W każdym razie robią tak ludzie cywilizowani.

Znowu wybuchnęła śmiechem. Nie mogłem tego zrozumieć, gdyż, przy całej swej kobiecej łagodności i wdzięku, była jednak Marsjanką, a dla mieszkańca Marsa jedyny dobry wróg to martwy wróg. Każdy zabity nieprzyjaciel oznaczał, że zostaje więcej do podziału dla tych, którzy żyją.

Byłem bardzo ciekawy co takiego w moich słowach chwilę wcześniej tak ją zbulwersowało i rozśmieszyło i nalegałem, aby mi to wyjaśniła.

– Nie – powiedziała – wystarczy, że tak powiedziałeś i że ja to słyszałam. A gdy już wreszcie się dowiesz, Johnie Carter, a ja nie będę żyła, co najprawdopodobniej nastąpi, zanim księżyc dwanaście razy okrąży Barsoom, pamiętaj, że słuchałam tego i śmiałam się.

Wszystko to było dla mnie zupełnie niezrozumiałe, ale im mocniej nalegałem, tym bardziej stanowcze były jej odmowy. W końcu, widząc, że nic nie uzyskam, dałem za wygraną.

Dzień ustąpił już nocy. Spacerowaliśmy szeroką aleją, oświetloną dwoma księżycami, a Ziemia spoglądała na nas swoim błyszczącym, zielonym okiem. Miałem wrażenie, że jesteśmy sami we wszechświecie i było to bardzo przyjemne uczucie.

Chłód marsjańskiej nocy dawał się jednak we znaki, zdjąłem więc jedwabny płaszcz i zarzuciłem go na ramiona Dejah Thoris. Dotknąłem jej przy tym dłonią i poczułem przenikający wszystkie komórki mego ciała dreszcz, tak silny, jakiego jeszcze nigdy nie doznałem. Wydało mi się, że skłoniła się lekko ku mnie, ale nie byłem tego pewien. Wiem jedynie, że gdy moja dłoń pozostała na jej ramieniu nieco dłużej niż tego wymagało narzucenie płaszcza, nie odsunęła się, ani nie zareagowała w inny sposób. I tak, w milczeniu, spacerowaliśmy po powierzchni umierającego świata, a w piersiach przynajmniej jednego z nas rodziło się uczucie najstarsze ze wszystkich, chociaż ciągle nowe.

Kochałem Dejah Thoris. To, co czułem dotykając jej ramienia powiedziało mi o tym nieomylnie. Zrozumiałem teraz, że kochałem ją od początku, od momentu gdy nasze oczy spotkały się po raz pierwszy na placu w umarłym mieście Korad.

Śmiertelny pojedynek

Moim pierwszym odruchem była chęć powiedzenia jej o tym, lecz później pomyślałem o beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znajduje, a ja byłem jedyną osobą, która mogła podtrzymywać ją na duchu i zmniejszyć nieco ciężar niewoli, a także służyć obroną w obliczu tysięcy wrogów, którzy ją otoczą po naszym przybyciu do Thark. Nie mogłem narażać jej na dodatkowy ból i przysparzać jeszcze jednego powodu do smutku, wyznając miłość, której prawdopodobnie nie odwzajemniała. Jej sytuacja stałaby się jeszcze bardziej przykra, niż w tej chwili, a przypuszczenie, że mogłaby pomyśleć, iż staram się wykorzystać sytuację, aby zdobyć jej przychylność, zamknęło mi usta na dobre.

– Powiedz mi więc, w jaki sposób osiągnąłeś takie rezultaty – poprosił.
Wytłumaczyłem mu najdokładniej, jak to było możliwe metodę tresury, jaką zastosowałem wobec moich zwierząt, a później musiałem to jeszcze raz powtórzyć Lorquas Ptomelowi i zgromadzonym wojownikom. Ta chwila oznaczała początek nowego życia dla biednych thoatów. Zanim opuściłem plemię Lorquas Ptomela z satysfakcją obserwowałem wynik moich starań – łagodne i nadzwyczaj posłuszne wierzchowce. Ich karność i precyzja w wykonywaniu rozkazów robiły takie wrażenie, że Lorquas Ptomel, w dowód uznania moich zasług dla plemienia, podarował mi masywny, szczerozłoty nagolennik, który zdjął z własnej nogi.

Siódmego dnia po walce ze statkiem Lorquas Ptomel uznał, że niebezpieczeństwo minęło i wyruszyliśmy w drogę do Tharku.

W dni poprzedzające nasz wyjazd rzadko widywałem Dejah Thoris, gdyż byłem zajęty naukami, udzielanymi mi przez Tars Tarkasa oraz wychowywaniem moich thoatów. Kilka razy odwiedziłem jej kwaterę i nie zastałem jej, gdyż spacerowała z Solą po ulicach lub zwiedzała budynki, leżące w pobliżu placu. Ostrzegłem je, aby nie oddalały się zbytnio, gdyż obawiałem się, że mogłyby się natknąć na wielkie, białe małpy, których okrucieństwo poznałem aż zbyt dobrze. Jednak moje obawy tylko w niewielkim stopniu były usprawiedliwione, gdyż zawsze towarzyszył im Woola, a Sola była bardzo dobrze uzbrojona.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem zauważyłem je, idące wielką aleją, prowadzącą w stronę placu. Wyszedłem im na spotkanie i, powiedziawszy, że biorę na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo Dejah Thoris, odesłałem Solę pod jakimś błahym pretekstem do domu. Lubiłem Solę i miałem do niej zaufanie, ale wolałem zostać sam z Dejah Thoris, która nie tylko była wspaniałą towarzyszką, ale również kojarzyła mi się z tym wszystkim, co zostawiłem na Ziemi. Łączyły nas tak silne więzy wzajemnego zainteresowania, jakbyśmy urodzili się pod tym samym dachem, a nie na różnych planetach, odległych od siebie o czterdzieści osiem milionów mil.

Wiedziałem, że ona odwzajemnia moje uczucia. Gdy zauważyła, że się zbliżam otrząsnęła się z przygnębienia i na jej twarzy zagościła szczera radość. Przywitała mnie tak, jak się witają czerwoni Marsjanie – położeniem prawej dłoni na lewym ramieniu.
– Sarkoja powiedziała Soli, że stałeś się prawdziwym Tharkiem – powiedziała – i że nie będę cię teraz widywać częściej niż innych wojowników.
– Sarkoja kłamie – odpowiedziałem.

Dejah Thoris uśmiechnęła się.
– Wiedziałam, że nawet gdybyś stał się prawdziwym członkiem ich plemienia, nie przestałbyś być moim przyjacielem. Na Barsoomie mówimy: „Wojownik może zmienić swoje insygnia, ale nie serce". Wydaje mi się, że usiłowali nie dopuścić do naszego spotkania – kontynuowała – gdyż ilekroć miałeś wolny czas zawsze któraś ze starszych kobiet z orszaku Tars Tarkasa znalazła pretekst, aby zaprowadzić Solę i mnie gdzieś, gdzie nie mogłeś nas spotkać. Często zatrudniały mnie w podziemiach tego budynku przy mieszaniu tego ich ohydnego prochu z radium lub przy wyrabianiu pocisków. Wiesz, że one muszą być wytwarzane w sztucznym świetle, gdyż wystawienie ich na promienie słoneczne zawsze powoduje wybuch. Czy zauważyłeś, że ich pociski eksplodują po uderzeniu w cel? Zewnętrzna, nieprzeźroczysta powłoka łamie się przy uderzeniu, odsłaniając bardzo mocny szklany cylinder, w którego przedniej części umieszczony jest proch z radium. W chwili gdy docierają do niego promienie słoneczne, nawet rozproszone, wybucha z siłą, której nic się nie może oprzeć. Jeśli będziesz kiedyś świadkiem walki toczonej w nocy, zauważysz, że wybuchy nie następują. Natomiast następny ranek będzie wypełniony detonacjami wystrzelonych w nocy pocisków, na które padło światło słoneczne. Jednak, z reguły, po zmierzchu używa się pocisków, które nie są wybuchowe.

Jakkolwiek bardzo zainteresowały mnie uzupełnienia, które wnosiła Dejah Thoris do mojej wiedzy na temat sztuki wojennej Marsjan, jednak znacznie bardziej zajmowało mnie w tej chwili to, w jaki sposób ona jest traktowana. To, że starali się trzymać ją z daleka ode mnie nie było niespodzianką, ale zdenerwowała mnie bardzo wiadomość o tym, że zmuszają ją do ciężkiej i niebezpiecznej pracy.
– Czy poniżali cię lub traktowali okrutnie? – spytałem, czując jak gorąca krew przodków tętni mi w żyłach.
– Nie, właściwie nie – odpowiedziała. – Starają się jedynie zranić moją dumę. Wiedzą, że pochodzę z rodu jeddaków, liczącego tysiące pokoleń, że mogę prześledzić historię moich przodków aż do budowniczego pierwszego wielkiego kanału i zżera ich zazdrość, ich, którzy nie znają nawet własnej matki. W głębi duszy nienawidzą swego strasznego losu i wylewają niechęć na mnie, symbolizującej wszystko, czego im brak, za czym tęsknią, wiedząc, że jest to dla nich nieosiągalne. Litujmy się nad nimi, mój

trakcie której przyszłaby mi do głowy myśl, że mógłbym się zachować inaczej, niż to akurat czyniłem. Dopiero wiele godzin później dostrzegałem inne możliwości. Widocznie mój umysł jest tak skonstruowany, że podświadomie kieruje mnie na ścieżkę obowiązku, bez zagłębiania się w niepotrzebne i męczące dywagacje. Jednak, jakkolwiek by to było, jestem zadowolony, że tchórzostwo nie jest jedną z cech mego charakteru.

Byłem oczywiście świadomy, że tym centrum zainteresowania jest Powell. Nie pamiętam, jaka była moja pierwsza myśl ani co najpierw zrobiłem, ale mgnienie oka później pędziłem ku armii wojowników z rewolwerami w dłoniach, nieprzerwanie strzelając i wrzeszcząc jak opętany. Nie mogłem wybrać lepszej taktyki, gdyż Indianie, przekonani, że szarżuje na nich co najmniej pułk regularnego wojska, rozbiegli się na wszystkie strony w poszukiwaniu swoich łuków, strzał i strzelb. Widok, jaki ujrzałem po ich ucieczce, napełnił mnie smutkiem i wściekłością. W czystym świetle księżyca leżał Powell, dosłownie naszpikowany strzałami. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że jest już martwy. Zapragnąłem jednak uchronić jego ciało przed profanacją z rąk Apaczów, równie mocno jak przedtem chciałem uratować mu życie.

Podjechałem, schyliłem się i nie zeskakując z siodła chwyciłem za pas z nabojami, owinięty wokół jego bioder. Podniosłem ciało w górę i położyłem na koniu przed sobą. Jeden rzut oka wystarczył, by się zorientować, że powrót drogą, którą tu przybyłem będzie bardziej ryzykowny niż jazda na wprost, przez łąkę. Wbiłem ostrogi w boki mojego biednego wierzchowca i skierowałem się ku przełęczy.

Indianie już zdążyli się zorientować, że jestem sam i zaczęli mnie zasypywać przekleństwami, strzałami z łuków i kulami. W niepewnym świetle księżyca trudno jednak było dokładnie wycelować, poza tym Indianie byli jeszcze wytrąceni z równowagi nagłym sposobem, w jaki pojawiłem się między nimi, a ja byłem celem raczej szybko się przesuwającym. Wszystko to uchroniło mnie przed trafieniem oraz pozwoliło skryć się w cieniach okolicznych szczytów zanim został zorganizowany regularny pościg.

Praktycznie nie kierowałem koniem, gdyż przypuszczałem, że łatwiej niż ja odnajdzie wiodącą na przełęcz ścieżkę. Stało się jednak tak, iż koń poszedł w stronę grzbietu górskiego, a nie przełęczy, za którą miałem nadzieję odnaleźć naszą bezpieczną dolinę. Jest jednak możliwe, że tej właśnie okoliczności zawdzięczam życie oraz niezwykłe doświadczenia i przygody, jakie stały się moim udziałem w ciągu następnych dziesięciu lat.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że znajduję się na niewłaściwej drodze, gdy okrzyki ścigających mnie Indian zaczęły oddalać się i słabnąć daleko po mojej lewej stronie. Zrozumiałem, że przy postrzępionych skałach, które spoczywały na skraju łąki skierowali się na lewo, gdy tymczasem mnie i martwe ciało Powella koń poniósł na prawo.

Wspiąłem się na niewielki wzgórek, z którego otwierał się widok na okolicę i zobaczyłem, że ścigająca mnie grupa dzikich znika, zakręcając za sąsiedni szczyt. Wiedziałem, że Indianie wkrótce odkryją, iż się pomylili i rozpoczną poszukiwania na nowo, tym razem we właściwym kierunku.

Przejechałem jeszcze niewielką odległość i natknąłem się na wysoką skałę, obok której wiodła w górę, w kierunku, w którym chciałem jechać równa i stosunkowo szeroka dróżka. Po mojej prawej stronie wyrastała na kilkaset stóp w górę skała, zaś po lewej – opadało w dół, aż do dna skalistego jaru, gładkie i niemal pionowe urwisko. Przejechałem tą dróżką być może sto jardów, a potem ostry zakręt w prawo skierował mnie ku wylotowi dużej pieczary. Miał on około czterech stóp wysokości i trzy do czterech stóp szerokości. Dróżka kończyła się tuż przed nim. Był już ranek i nagle, niemal bez ostrzeżenia, z tak charakterystycznym dla Arizony brakiem świtu i jego półcieni, zalało mnie jasne światło dzienne.

Zeskoczyłem z konia i ułożyłem Powella na ziemi, ale nawet staranne badanie nie pozwoliło mi odnaleźć w nim najmniejszej iskierki życia. Usiłowałem wlać wodę z manierki w jego martwe usta, zwilżałem mu twarz, rozcierałem ręce. Trudziłem się w ten sposób przez blisko godzinę, nie bacząc na to, iż wiedziałem, że już dawno nie żyje.

Darzyłem Powella ogromną sympatią. Był człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, prawdziwym gentlemanem z Południa, moim szczerym i oddanym przyjacielem, toteż daremne starania nad przywróceniem go do życia porzuciłem wreszcie z uczuciem najgłębszego żalu.

Zostawiłem ciało Powella na półeczce skalnej i wpełzłem do pieczary, by się nieco rozejrzeć. Miała ona około stu stóp średnicy i trzydzieści lub czterdzieści wysokości. Gładka i wydeptana podłoga oraz inne szczegóły świadczyły, że była kiedyś, w jakichś odległych czasach, zamieszkana. Tylna ściana gubiła się w tak gęstym mroku, że nie byłem w stanie stwierdzić, czy istniały w niej jakieś przejścia do innych pomieszczeń. W trakcie przeszukiwania pieczary nagle zacząłem czuć ogarniającą mnie przyjemną senność. Przypisałem ją zmęczeniu długą i wyczerpującą jazdą oraz reakcji organizmu na napięcie, wywołane walką i ucieczką. Czułem się tutaj stosunkowo bezpiecznie, gdyż wiedziałem, że na dróżce, którą przyjechałem, jeden człowiek mógłby się z powodzeniem bronić przeciw całej armii.

Wkrótce już byłem tak senny, że tylko nadzwyczajnym wysiłkiem woli powstrzymywałem się od ułożenia na podłodze pieczary na krótki odpoczynek. Nie wolno mi było tego zrobić, gdyż oznaczało to pewną śmierć z rąk moich czerwonych przyjaciół, którzy lada chwila mogli się tu zjawić. Zacząłem iść w stronę wyjścia, ale tylko zatoczyłem się jak pijany i upadłem na podłogę.

Ucieczka umarłego

Ogarnęło mnie uczucie niemocy, mięśnie rozluźniły się i już byłem skłonny poddać się pragnieniu snu, lecz usłyszałem zbliżające się konie. Spróbowałem podnieść się na nogi i z przerażeniem stwierdziłem, że mięśnie nie słuchają rozkazów woli. Byłem całkowicie rozbudzony, ale zupełnie niezdolny do poruszenia choćby palcem, jakbym się nagle obrócił w kamień. I wtedy właśnie po raz pierwszy zauważyłem lekką mgiełkę, wypełniającą pieczarę. Była niezmiernie delikatna i widoczna jedynie przy wejściu, przez które wpadało światło słońca. Jednocześnie poczułem nikły, gryzący zapach i zdałem sobie sprawę, że zostałem poddany działaniu jakiegoś gazu. Jednak w dalszym ciągu nie rozumiałem dlaczego zachowując pełnię władz umysłowych nie jestem w stanie się poruszyć.

Leżałem twarzą ku wyjściu, przez które widziałem krótki odcinek drogi między pieczarą a skałą. Hałas zbliżających się koni umilkł, prawdopodobnie Indianie zaczęli się skradać ku memu grobowi za życia. Pamiętam, że miałem wtedy nadzieję, iż zadadzą mi szybką śmierć, bowiem perspektywa niezliczonej ilości rzeczy, które by mogli ze mną robić, gdyby spłynęło na nich natchnienie nie uśmiechała mi się szczególnie.

Nie musiałem długo czekać na chwilę, w której zgłuszony dźwięk przekonał mnie o ich bliskości. Wkrótce zza skały wysunęło się wymalowane barwami wojennymi oblicze i dzikie oczy spojrzały wprost na mnie. Byłem całkowicie pewny, że Indianin mnie wyraźnie widział, gdyż byłem oświetlony padającymi poprzez wejście promieniami porannego słońca. Zamiast jednak podejść, po prostu stał i gapił się okrągłymi ze zdumienia oczami. Potem ukazała się następna twarz i trzecia, i czwarta, i piąta. Każda z nich wychylała się ponad ramionami kolegów, gdyż ze względu na niewielką szerokość przejścia Indianie nie mogli wysunąć się przed stojącego na czele. Wszystkie wyrażały strach i grozę, jednak nie wiedziałem, co wzbudziło takie uczucia. Ta zagadka została wyjaśniona dopiero dziesięć lat później. Fakt, iż ci, którzy byli na czele, przekazywali szeptem jakieś wiadomości do tyłu wskazywał, że za skałą kryli się następni wojownicy.

Nagle z głębi jaskini dobiegł cichy, lecz wyraźny jęk. Usłyszawszy go Indianie zaczęli się w popłochu wycofywać. Tak gwałtownie starali się uciec od nieznanej rzeczy za moimi plecami, że jeden z nich runął z występu skalnego wprost na skały w dole. Przez pewien czas ich dzikie okrzyki odbijały się echem od ścian kanionu, a później znów zapanowała cisza.

Dźwięk, który ich tak przeraził nie powtórzył się więcej, ale nawet ten jeden raz wystarczył, abym zaczął snuć domysły na temat upiora, który czaił się w cieniu za moimi plecami. Strach jest pojęciem względnym i dlatego moje ówczesne odczucia mogę mierzyć tylko tymi wrażeniami, jakich doznawałem zarówno wcześniej, jak i później w innych niebezpiecznych sytuacjach. Mogę jednak powiedzieć, że jeżeli uczucie, które mną zawładnęło w ciągu następnych kilku minut było strachem, to niech Bóg ma litość dla tchórzy, gdyż strach jest sam w sobie karą aż nadto dostateczną.

Dla człowieka, który zawsze zwykł walczyć o swoje życie z całą energią, jaka kryła się w jego silnym ciele, zaiste przerażająca była sytuacja, w której leżał sparaliżowany, odwrócony tyłem do nieznanego niebezpieczeństwa, potrafiącego jednym dźwiękiem zmusić do bezładnej ucieczki srogich indiańskich wojowników, jakby byli stadem owiec, zaatakowanych przez wilka.

Kilkakrotnie wydawało mi się, że słyszę za sobą słabe dźwięki, jakby ktoś poruszał się ostrożnie, lecz w końcu i one umilkły. Mogłem już bez zakłóceń oddać się kontemplacji mego położenia. Domyślałem się zaledwie, jaka jest przyczyna paraliżu i mogłem mieć jedynie nadzieję, że minie on równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Późnym popołudniem mój koń, stojący dotychczas przed pieczarą z puszczonymi wolno cuglami, poszedł powoli w dół dróżki, najwyraźniej w poszukiwaniu pożywienia i wody. Zostałem sam na sam z tajemniczym, nieznanym towarzyszem i martwym ciałem przyjaciela, leżącym akurat na skraju mego pola widzenia.

Od tej chwili aż do północy panowała cisza – cisza umarłych. Potem nagle usłyszałem ten sam przeraźliwy jęk, a z mrocznego cienia dobiegł odgłos poruszeń i jakby szelest zwiędłych liści. Był to straszny wstrząs dla moich, już i tak nadwerężonych nerwów. Nadludzkim wysiłkiem usiłowałem zerwać straszne, obezwładniające mnie więzy. Nie był to wysiłek fizyczny, gdyż nie byłem w stanie poruszyć nawet małym palcem, a wysiłek umysłu, woli, nerwów, jednak wcale przez to nie mniejszy. I nagle coś

skłonności nie mają tu nic do rzeczy. Rada starszych każdego plemienia kontroluje przebieg całego procesu tak dokładnie, jak właściciel stajni wyścigowej, naukowymi metodami dokonujący doboru odpowiednich koni w celu uzyskania jak najlepszego potomstwa.

W teorii może to brzmieć wcale nieźle, ale tak zwykle bywa z teoriami. Jednak rezultatem całych wieków tych nienaturalnych praktyk, których jedynym celem jest uzyskanie potomstwa, stało się powstanie plemienia zimnego i okrutnego, pędzącego życie pozbawione radości, miłości i spokoju.

To prawda, że Marsjanie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, z wyjątkiem takich degeneratów jak Tal Hajus, są bezwzględnie cnotliwi, jednak o ileż lepsze i przyjemniejsze są ludzkie zwyczaje, nawet jeśli ich ceną jest czasem przypadkowa utrata niewinności.

Zdawałem sobie sprawę, że muszę, czy chcę czy nie, wziąć na siebie odpowiedzialność za te kobiety i dzieci. Więc na razie, w ramach tej odpowiedzialności, poleciłem im poszukać sobie kwater na wyższych piętrach, a drugie zostawić w całości dla mnie. Jedną z dziewcząt obarczyłem obowiązkiem przygotowywania pożywienia dla mnie, reszcie zaś kazałem pozostać przy dotychczasowych obowiązkach. Odtąd rzadko je widywałem, ale też nie bardzo mi na tym zależało.

Miłość na Marsie

Przez kilka następnych dni po walce z powietrznym statkiem całe plemię pozostawało w mieście, rezygnując z wymarszu w stronę swoich siedzib do czasu upewnienia się, że statki nie powrócą. Nawet dla tak wojowniczego narodu, jak zieloni Marsjanie perspektywa walki w otwartym polu, przy ciążącej na barkach odpowiedzialności za całą kawalkadę wozów z kobietami i dziećmi, była niezbyt ponętna. Podczas tego okresu względnej bezczynności Tars Tarkas wprowadził mnie w wiele zwyczajów zielonych Marsjan, przekazał mi dużo wiadomości na temat sztuki wojennej Tharków, a także uczył mnie posługiwania się tymi wielkimi bestiami, które służyły im za wierzchowce. Te zwierzęta, thoaty, są równie niebezpieczne i złośliwe, jak ich panowie, ale po poskromieniu są dla zielonych Marsjan bardzo użyteczne.

Dwa thoaty przeszły na moją własność wraz z resztą dóbr wojowników, których insygnia teraz nosiłem. W krótkim czasie nauczyłem się na nich jeździć równie sprawnie jak tubylcy. Metoda kierowania nimi była bardzo prosta. Jeżeli zwierzę nie chciało słuchać dostatecznie gorliwie rozkazów telepatycznych, jeździec walił je z całej siły rękojeścią pistoletu między uszy, a jeśli i to nie dawało wyników, bił tak długo, aż zwierzę usłuchało lub zrzuciło go na ziemię.

W tym drugim przypadku dochodziło zwykle do walki na śmierć i życie między wojownikiem a thoatem. Jeśli Marsjanin potrafił dostatecznie szybko posługiwać się pistoletem miał szansę uratować życie i jeździć znowu, jakkolwiek już na innym zwierzęciu. Jeśli nie – jego poszarpane na strzępy i wdeptane w ziemię ciało było zbierane przez kobiety i palone, zgodnie z tharkijskim zwyczajem.

Doświadczenia z psem skłoniły mnie do podjęcia próby nawiązania kontaktu z thoatami dobrocią i łagodnym traktowaniem. Po pierwsze przekonałem je, że nie zdołają wysadzić mnie z siodła i nawet tłukłem je pistoletem między uszy, aby wyjaśnić raz na zawsze, kto tu jest panem. Później, stopniowo zdobyłem ich zaufanie w ten sam mniej więcej sposób, w jaki zdobywałem sobie zaufanie niezliczonych wierzchowców, których używałem na Ziemi. Zapanowała między nami harmonia i wzajemne zrozumienie, gdyż zawsze, po okresie pierwszych nieporozumień, starałem się traktować zwierzęta łagodnie, a gdyby zaszła taka potrzeba, wolałbym zabrać życie człowiekowi niż zabić biedne, pozbawione rozumu stworzenie.

Po kilku dniach moje thoaty zadziwiały swoim zachowaniem całe plemię. Chodziły za mną jak psy, okazując przywiązanie pocieraniem długich ogonów o moje ciało. Reagowały na każde moje polecenie z taką gotowością i zapałem, że Marsjanie zaczęli mi przypisywać posiadanie jakichś tajemnych sił, przyniesionych z Ziemi, a nieznanych na Marsie.

– Czy rzuciłeś na nie jakiś urok? – spytał mnie Tars Tarkas pewnego dnia, gdy zauważył, że wkładam rękę głęboko w paszczę jednego z thoatów, któremu w czasie, gdy się pasł porastającym dziedziniec mchem, utkwił między zębami pokaźnej wielkości kamień.

– Tak, dobroć – odpowiedziałem. – Jak widzisz łagodniejsze uczucia przydają się nawet wojownikowi. Teraz wiem, że moje thoaty będą mi posłuszne zarówno w ogniu walki, jak i w czasie przemarszu i ta świadomość zwiększa moją sprawność bojową. Jestem łagodnym panem i dlatego jestem lepszym wojownikiem. Inni wojownicy również powinni zastosować, w swoim własnym interesie, moją metodę postępowania. Będzie to z korzyścią zarówno dla nich, jak i dla całego plemienia. Sam mi mówiłeś zaledwie kilka dni temu, że te wielkie bestie przez kapryśność charakteru często zmieniają zwycięstwo w klęskę, zrzucając i rozszarpując wojowników.

pierś, tak jak te dzielne kobiety z pogranicznych terenów mojego dalekiego kraju, które wolą śmierć niż niewolę u indiańskich wojowników.

Gdy krążyłem po placu, zatopiony w ponurych rozmyślaniach, zauważyłem, że Tars Tarkas wychodzi z sali audiencyjnej i idzie ku mnie. Jego stosunek do mnie nie uległ zmianie i przywitał mnie z zachowaniem wszelkich form, jakbyśmy się nie widzieli od dłuższego czasu.

– Gdzie jest twoja kwatera, Johnie Carter? – spytał po chwili.

– Jeszcze nie wybrałem – odpowiedziałem. – Wydaje mi się, że byłoby najlepiej gdybym zamieszkał sam lub z innymi wojownikami. Czekałem właśnie odpowiedniej chwili, by cię zapytać o radę. Jak wiesz – uśmiechnąłem się – nie znam jeszcze wszystkich waszych zwyczajów.

– Chodź ze mną – powiedział i poszliśmy przez plac ku budynkowi, który, jak z zadowoleniem zauważyłem, przylegał do zajmowanego przez Solę i jej podopiecznych.

– Mój pokój mieści się na parterze tego budynku – powiedział. – Pierwsze piętro jest również zajęte, nocują tam inni wojownicy, ale wyższe są puste. Możesz wybrać któreś z nich. – Rozumiem – kontynuował – że oddałeś swoją kobietę czerwonej dziewczynie. Możesz robić co ci się podoba, wywalczyłeś sobie do tego prawo, ale jako dowódca powinieneś mieć kogoś, kto by ci usługiwał. Zgodnie z naszymi zwyczajami możesz wybrać jedną lub nawet wszystkie kobiety, należące przedtem do wojowników, których insygnia teraz nosisz. Podziękowałem mu i dodałem, że doskonale mogę się obejść bez posługaczki, potrzebny mi jest jedynie ktoś, kto by mi przygotowywał posiłki. Obiecał mi przysłać kobiety, które się tym zajmą, a także będą dbały o moją broń i wyrabiały amunicję, która, jak twierdził, może być mi wkrótce potrzebna. Dodałem, że mogłyby przynieść również część jedwabi i futer, które służyły zabitym przeze mnie wojownikom za posłanie, gdyż noce są zimne, a własnych nie posiadam.

Obiecał wydać odpowiednie polecenia i odszedł. Pozostawiony samemu sobie, poszedłem krętym korytarzem na wyższe piętra, by poszukać odpowiedniego pomieszczenia. Piękno innych budynków znajdowało odbicie również w tym i, jak zwykle, wkrótce pochłonięty byłem całkowicie odkrywaniem i badaniem nowych dzieł sztuki.

Wybrałem w końcu frontowy pokój na drugim piętrze, gdyż chciałem w ten sposób znaleźć się bliżej Dejah Thoris. Zajmowała ona pomieszczenia na pierwszym piętrze przyległego budynku i przyszło mi do głowy, że moglibyśmy ustalić jakiś sposób porozumiewania się na wypadek, gdyby potrzebowała mojej pomocy lub opieki.

Na piętrze, które zająłem, znajdowało się około dziesięciu pokojów – łazienki, garderoby, sypialnie i salony. Okna wewnętrznych pomieszczeń wychodziły na ogromne podwórze, które stanowiło wnętrze czworoboku, utworzonego przez budynki, stojące przy czterech pobliskich ulicach. Podwórze to stanowiło teraz miejsce, w którym przebywały najróżniejsze zwierzęta, należące do zajmujących budynki wojowników. Porośnięte było żółtą, podobną do mchu rośliną, która pokrywała niemal całą powierzchnię tej planety. Jednak liczne fontanny, rzeźby, ławki i pergole dawały wyobrażenie o jego pięknie w tych zamierzchłych czasach, gdy przechadzali się po nim uśmiechnięci ludzie o lśniących włosach. Ludzie, których bezlitosne prawa natury wygnały nie tylko z ich domów, ale w ogóle zewsząd i po których pozostały tylko niejasne legendy, powtarzane przez ich dalekich potomków.

Moje rozmyślania zostały przerwane przez przyjście kilku młodych kobiet, obładowanych bronią, jedwabiem, futrami, ozdobami, przyborami kuchennymi oraz beczułkami z jedzeniem i napojami. Lwia część tych rzeczy była łupem ze statku. Wszystko to, jak się zdaje, należało do obu dowódców, których zabiłem i teraz, zgodnie ze zwyczajem Tharków, przeszło na moją własność. Kobiety ułożyły przyniesione rzeczy w pokojach w głębi budynku, a potem wyszły po drugi ładunek, stanowiący resztę mego majątku. Wróciły w towarzystwie dziesięciu czy piętnastu innych kobiet i dzieci, które stanowiły świtę obu wojowników.

Nie były to ich rodziny, żony czy służba – ich wzajemny stosunek był dość szczególny i tak niepodobny do wszystkiego, do czego my przywykliśmy, że trudno mi go określić. Wśród zielonych Marsjan niemal wszystko jest własnością całej społeczności. Wyjątek stanowi broń, ozdoby oraz jedwab i futra, którymi Marsjanin nakrywa się w nocy – tylko te rzeczy może nazywać swoją prywatną własnością, jednak nie może ich zgromadzić więcej niż naprawdę potrzebuje do zaspokojenia bieżących potrzeb. Nadwyżki musi przekazywać w razie konieczności młodszym wojownikom. Kobiety i dzieci, stanowiące orszak, można porównać do oddziału wojskowego. Wojownik jest całkowicie odpowiedzialny za wychowanie, dyscyplinę i zaspokojenie codziennych potrzeb tego oddziału, a także za jego bezpieczeństwo w czasie wędrówek i ciągłych starć z innymi plemionami oraz z czerwonymi Marsjanami. Kobiety nie mogą być w żadnym przypadku uważane za jego żony. Język Marsjan nie ma w ogóle odpowiednika tego słowa. Ich kojarzenie się w pary ma na celu wyłącznie dobro całej społeczności i wszelkie naturalne

trzasnęło, jak zbyt naprężony stalowy drut. Poczułem chwilowe mdłości i znalazłem się przy ścianie pieczary, oparty o nią plecami, stojąc twarzą do mego nieznanego nieprzyjaciela.

Światło księżyca zalało pieczarę i zobaczyłem siebie, leżącego przede mną, tak jak leżałem przez te wszystkie godziny, z oczyma zwróconymi w stronę wyjścia i rękami rozrzuconymi bezsilnie na podłodze. Z zupełnym zamętem w głowie spojrzałem na moje pozbawione życia ciało na podłodze pieczary, a potem na siebie. Tam leżałem w pełni ubrany, a tutaj stałem nagi, jak w momencie narodzenia. Zmiana była tak nagła i tak nieoczekiwana, że przez chwilę zapomniałem o wszystkim innym, poza moją dziwną metamorfozą. Pierwsza myśl – „Czy to właśnie jest śmierć? Czy naprawdę przekroczyłem już na zawsze próg tego drugiego życia?" Nie mogłem w to uwierzyć, gdyż czułem serce, tłukące się w piersi po wysiłku, włożonym w uwolnienie się z paraliżu. Mój oddech był krótki i szybki, pot występował mi na ciało wszystkimi porami, a po przeprowadzeniu znanego doświadczenia z uszczypnięciem się doszedłem do wniosku, że na pewno nie jestem duchem.

Do rzeczywistości przywołał mnie ponowny jęk, dobiegający z głębi pieczary. Rewolwery tkwiły u pasa przy moim pozbawionym życia ciele. Z jakiejś nieznanej przyczyny nie mogłem się przemóc, aby go dotknąć. Karabin został w olstrze przy siodle i oddalił się wraz z koniem. W ten sposób zostałem bezbronny. Jedyną szansą zdawała się być ucieczka i zdecydowałem się na nią dość szybko, zwłaszcza że szeleszczące dźwięki zaczęły się powtarzać, a ciemności pieczary i moja wybujała wyobraźnia podsunęły mi obraz czegoś czołgającego się ukradkiem w moim kierunku.

Niezdolny dłużej opierać się chęci ucieczki z tego strasznego miejsca, wybiegłem szybko przez otwór w czystą, gwiaździstą noc. Rześkie górskie powietrze podziałało na mnie jak środek wzmacniający i poczułem, że moje ciało wypełnia nowe życie i nowa odwaga. Siedząc na krawędzi skały robiłem sobie wyrzuty, że się poddałem, jak się teraz wydawało, zupełnie nieuzasadnionym obawom. Tłumaczyłem sobie, że przecież leżałem w pieczarze przez wiele godzin zupełnie bezradny i nie stało mi się nic złego. Teraz, przemyślawszy wszystko dokładnie, doszedłem do wniosku, że hałasy, które słyszałem musiały być spowodowane czysto naturalnymi i nieszkodliwymi przyczynami. Prawdopodobnie ukształtowanie pieczary było takie, że dźwięki, które słyszałem, mogły być powodowane, nawet lekkimi, podmuchami wiatru.

Postanowiłem zbadać tę hipotezę, lecz najpierw uniosłem głowę, by dać płucom możliwość głębokiego oddychania czystym, orzeźwiającym górskim powietrzem. Zobaczyłem daleko w dole wspaniałą perspektywę skalistego wąwozu i płaską, porośniętą kaktusami równinę, srebrzoną blaskiem księżyca. Był to zapierający dech w piersiach widok.

Niewiele słynnych cudów Zachodu może się równać z krajobrazem Arizony, skąpanym w świetle księżyca. Posrebrzane, dalekie góry, dziwne światła i cienie na grzbietach wzgórz i w rozpadlinach, groteskowe kształty sztywnych, a jednak pięknych kaktusów – wszystko to tworzyło czarujący i budzący natchnienie obraz, tak różny od wszystkich innych, jakie można zobaczyć na naszej Ziemi, że miało się wrażenie, jakby się po raz pierwszy zajrzało w jakiś tajemniczy, umarły i dawno zapomniany świat.

Stałem tak, rozmyślając, a później uniosłem wzrok ku niebu, na którym niezliczone ilości gwiazd tworzyły piękny baldachim, odpowiadający wspaniałością krajobrazowi na Ziemi. Szybko moją uwagę przykuła duża, czerwona gwiazda, wisząca nisko nad dalekim horyzontem. Patrzyłem, zafascynowany jej pięknem – to był Mars, bóg wojny, a ja – człowiek, którego żywiołem była walka, zawsze znajdowałem się pod jego nieodpartym urokiem.

Patrzyłem na niego w czasie tej dawno zagubionej w przeszłości nocy i wydawało mi się, że słyszę jego wołanie, że przyzywa mnie z nieskończonej dali, że przyciąga mnie, jak magnes przyciąga okruch żelaza.

Moja tęsknota wybuchnęła z siłą, której się nie mogłem przeciwstawić. Zamknąłem oczy, wyciągnąłem ręce ku bogu mego zawodu. Poczułem, że lecę z szybkością myśli przez bezmiar przestrzeni. Potem już było tylko przejmujące zimno i kompletna ciemność.

Przybycie na Marsa

Gdy otworzyłem oczy ujrzałem dziwny, nieziemski krajobraz. Zrozumiałem, że jestem na Marsie. Nie postawiłem sobie pytania, czy moje zmysły są w porządku czy też śnię. Nie spałem, nie było potrzeby sprawdzać tego szczypaniem. Wewnętrzna świadomość mówiła mi tak wyraźnie, że jestem na Marsie, jak wasze świadome mózgi mówią wam, że jesteście na Ziemi. Nie kwestionujecie tego faktu, ja również nie zaprzeczyłem temu, co czułem.

Leżałem na dywanie żółtawej, podobnej do mchu roślinności, rozciągającej się wokół mnie aż po horyzont. Znajdowałem się na dnie głębokiej, okrągłej kotliny, na której skraju mogłem zauważyć pasmo niskich, nieregularnych wzgórz.

Było południe, promienie słoneczne grzały dość intensywnie moje nagie ciało, ale upał nie był większy niż byłby w podobnych okolicznościach na pustyni w Arizonie. Tu i ówdzie widniały niewielkie, odsłonięte płaszczyzny kwarconośnej, pobłyskującej w słońcu skały. Około stu jardów w lewo stały czterostopowej może wysokości ściany, zamykające niewielki obszar. Nie zauważyłem nawet śladu wody ani też innej roślinności poza mchem, a ponieważ zaczynało mi dokuczać pragnienie postanowiłem się nieco rozejrzeć po okolicy.

Gdy wstawałem spotkała mnie pierwsza na Marsie niespodzianka. Wysiłek mięśni, który na Ziemi zaowocowałby tylko podniesieniem się na nogi, tutaj sprawił, że wyskoczyłem w powietrze na wysokość około trzech jardów. Opadłem z powrotem łagodnie, bez żadnych zauważalnych wstrząsów. Usiłując zrobić kilka kroków wykonałem serię ewolucji, która nawet dużo później wydawała mi się niezmiernie komiczna. Zrozumiałem, że muszę się od nowa nauczyć chodzić. Siła, którą wkładałem na Ziemi w bezpieczne i łatwe poruszanie się, na Marsie płatała mi dziwaczne psikusy. Zamiast poruszać się przyzwoicie i z godnością podskakiwałem w najróżniejszy sposób, lądując niemal za każdym razem na twarzy lub plecach. Moje mięśnie, znakomicie przystosowane i przyzwyczajone do grawitacji ziemskiej, na Marsie płatały mi figle, mając po raz pierwszy do czynienia z mniejszą siłą przyciągania i niższym ciśnieniem atmosferycznym.

Byłem jednak zdecydowany bliżej się przyjrzeć niskiej budowli, która stanowiła jedyny w polu widzenia dowód na to, że okolica jest zamieszkana, uciekłem się więc do zastosowania najwcześniej poznawanej przez człowieka metody poruszania się, czyli do pełzania. Poszło mi to całkiem sprawnie i po kilku chwilach dotarłem do niskiego, zamykającego niewielką przestrzeń muru.

Nie zauważyłem żadnych drzwi ani okien, ale mur był dostatecznie niski, abym mógł, stanąwszy na nogi, zajrzeć do środka ponad nim. Ujrzałem najdziwniejszy widok, jaki dotychczas dane mi było oglądać. Dach budowli był wykonany z masywnego szkła o grubości trzech albo czterech cali, a pod nim spoczywało kilkaset dużych, doskonale okrągłych, białych jaj. Były one niemal jednakowej wielkości – ich średnica wynosiła około dwóch i pół stopy. Z sześciu czy siedmiu wylęgły się już jakieś groteskowe, mrugające oczami w ostrych promieniach słońca stwory, których wygląd sprawił, że zwątpiłem w niezawodność moich zmysłów. Składały się one niemal z samej głowy, osadzonej na długiej szyi, łączącej się z małym, kościstym ciałem. Każde z nich miało sześć nóg, a właściwie, jak się później dowiedziałem, dwie ręce, dwie nogi i dodatkową parę kończyn, której używały, w zależności od potrzeby, jako nóg lub jako rąk. Oczy były osadzone na przeciwległych stronach głowy, nieco powyżej jej środka w taki sposób, że mogły spoglądać w przód lub w tył, a także niezależnie od siebie w obu kierunkach naraz. Pozwalało to temu cudacznemu zwierzęciu widzieć wszystko wokół bez konieczności odwracania głowy. Uszy o kształcie filiżanek, umieszczone nieco powyżej oczu i trochę bliżej siebie, sterczały nie wyżej niż na cal. Nos był tylko podłużnym rozcięciem w centrum twarzy, w połowie odległości między ustami a uszami.

Bezwłosa skóra miała lekki żółtozielony odcień. Jak wkrótce się dowiedziałem, wraz z wiekiem kolor ten zmieniał się w oliwkową zieleń, ciemniejszą u osobników męskich. Poza tym dorosłe stwory nie miały już tak nieproporcjonalnie wielkiej głowy w stosunku do reszty ciała.

Tęczówka oka była czerwona, jak u albinosów, źrenica czarna, zaś sama gałka oczna czysto biała, podobnie jak zęby. Te ostatnie nadawały jeszcze drapieżniejszy wygląd i tak okrutnemu i budzącemu przerażenie obliczu, gdyż ostre, zakrzywione dolne kły sięgają aż tam, gdzie u człowieka znajdują się oczy. Biel tych zębów nie jest bielą kości słoniowej, lecz ma śnieżny, błyszczący odcień chińskiej porcelany. Kontrastuje w uderzający sposób z ciemną, oliwkową skórą, sprawiając, że kły wydają się bronią jeszcze groźniejszą, niż są w rzeczywistości.

Większość z tych szczegółów zauważyłem dopiero później, gdyż na razie dano mi niewiele czasu na zastanawianie się nad osobliwością mego odkrycia. Zapatrzony w proces wykluwania się tych obrzydliwych małych potworków, nie zauważyłem że z tyłu zbliża się do mnie grupa może dwudziestu w pełni dorosłych Marsjan. Idąc po miękkim, tłumiącym dźwięki mchu, który pokrywa niemal całą powierzchnię Marsa, poza biegunami i nielicznymi obszarami uprawnymi, mogli mnie z łatwością schwytać. Jednak ich zamiary były znacznie groźniejsze.

Moje życie wisiało na włosku. Do dziś się zdumiewam, że udało mi się tak łatwo uciec i rozważam przypadek, który mnie w porę ostrzegł przed niebezpieczeństwem. Gdyby strzelba prowadzącego oddział nie wysunęła się z zapinek z tyłu siodła i to w taki sposób, że uderzyła w koniec niesionej przez niego długiej, metalowej dzidy prawdopodobnie zginąłbym, nie wiedząc nawet, że umieram. Jednak

Dejah Thoris opowiedziała mi mnóstwo legend i faktów, dotyczących tych szlachetnych i dobrych ludzi. Powiedziała, że miasto, w którym teraz obozujemy było prawdopodobnie handlowym i kulturalnym centrum, znanym jako Korad. Zostało zbudowane nad piękną zatoką, naturalnym portem, oddzielonym od morza łańcuchem wzgórz. Objaśniła mnie, że dolina, która biegnie na zachód od miasta, to pozostałość morskiej zatoki, a przejście przez wzgórza ku wyschniętemu morzu było kanałem, przez który wpływały statki.

Brzegi dawnych mórz były usiane takimi miastami, a posuwając się w stronę dawnych oceanów można znaleźć mniejsze i rzadziej położone osady, gdyż ludzie przenosili się w ślad za cofającymi się wodami. Wreszcie konieczność zmusiła ich do wybudowania czegoś, co ich uratowało, to znaczy tak zwanych marsjańskich kanałów.

Byliśmy tak zajęci badaniem gmachu i zatopieni w rozmowie, że nie zauważyliśmy, że zbliża się już noc. Do rzeczywistości przywołał nas posłaniec Lorquas Ptomela z poleceniem, abym jak najprędzej stawił się przed jego obliczem. Powiedziawszy Soli i Dejah Thoris dobranoc i zostawiwszy Woola na straży, poszedłem do sali audiencyjnej. Zastałem w niej Lorquas Ptomela i Tars Tarkasa, siedzących na stopniach podwyższenia.

Potężny więzień

Wszedłem i pozdrowiłem obu wodzów, a Lorquas Ptomel dał mi znak, abym się zbliżył. Potem wbił we mnie wzrok i powiedział:

– Przebywasz z nami zaledwie kilka dni, ale już zdążyłeś, dzięki waleczności, zdobyć wśród nas wysoką pozycję. Mimo to nie jesteś jednym z nas i nie masz obowiązku być nam posłuszny. Znajdujesz się w bardzo szczególnej sytuacji. Jesteś więźniem, a możesz wydawać rozkazy, które muszą być spełniane. Jesteś obcy, a jednak jesteś tharkijskim dowódcą. Masz bardzo mizerną postać, a możesz zabić silnego wojownika jednym uderzeniem pięści. Teraz doniesiono nam, że układasz plany ucieczki z więźniem, który należy do innej niż ty rasy, z więźniem, który, według jego własnych słów, niemal wierzy, że wróciłeś z doliny Dor. Każde z tych oskarżeń jest wystarczającą podstawą, aby cię zabić. Jesteśmy jednak sprawiedliwym narodem i po naszym powrocie do Tharku staniesz przed sądem, jeżeli Tal Hajus będzie sobie tego życzył. – Jednak – ciągnął dalej gardłowym głosem – jeżeli uda ci się uciec z tą czerwoną dziewczyną ja poniosę za to odpowiedzialność. Będę musiał walczyć z Tars Tarkasem i albo udowodnię, że mam prawo być wodzem, albo insygnia zostaną zdjęte z mojego martwego ciała i przekazane lepszemu wojownikowi. Taki jest zwyczaj wśród Tharków. Nie mam zatargów z Tars Tarkasem, razem rządzimy najliczniejszym plemieniem wśród zielonych ludzi i nie chcemy ze sobą walczyć. Byłbym więc bardzo zadowolony widząc cię martwym, Johnie Carter. Bez rozkazu Tal Hajusa możemy cię zabić tylko w dwóch przypadkach: w samoobronie, gdybyś zaatakował kogoś z nas, albo przy próbie ucieczki. W imię prawdy muszę cię ostrzec, że z niecierpliwością czekamy na którąś z tych okazji, by pozbyć się ciążącej na nas odpowiedzialności. Bezpieczne dostarczenie czerwonej dziewczyny do Tal Hajusa jest sprawą ogromnej wagi. Od tysiąca lat Tharkowie nie wzięli do niewoli takiego jeńca. To wnuczka największego z czerwonych jeddaków, który jest jednocześnie naszym najbardziej zaciętym wrogiem. Uprzedziłem cię. Czerwona dziewczyna twierdzi, że jesteśmy pozbawieni prawdziwie ludzkich uczuć, ale mówimy zawsze prawdę i jesteśmy sprawiedliwi. Możesz odejść.

Odwróciłem się i wyszedłem z sali. Tak więc Sarkoja już zaczęła nas prześladować. Nikt inny nie mógł tak szybko podać Lorquas Ptomelowi takich informacji. Przypomniałem sobie teraz te fragmenty naszej rozmowy, w czasie których wspominaliśmy o ucieczce i o moim pochodzeniu.

Sarkoja była w tym czasie najstarszą i najbardziej zaufaną z kobiet Tars Tarkasa. Miała więc potężny wpływ na władcę, gdyż nikt nie cieszył się takim zaufaniem Lorquas Ptomela, jak Tars Tarkas.

Jednak audiencja miała na mnie wpływ odwrotny od zamierzonego – nie tylko nie zrezygnowałem z ucieczki, ale skoncentrowałem na obmyślaniu jej planu całą moją inteligencję i doświadczenie. Teraz, w stopniu znacznie większym niż przedtem, byłem przekonany o absolutnej konieczności ucieczki, gdyż wiedziałem, że w siedzibie Tal Hajusa Dejah Thoris na pewno nie spotka się z miłym przyjacielem. Sola opowiadała mi o ich władcy i sądząc z jej słów, był on prawdziwym potworem, uosobieniem zła, okrucieństwa, brutalności. Zimny, przebiegły, wyrachowany, był również, w odróżnieniu od większości swoich współplemieńców, niewolnikiem dzikich namiętności, żądzy rozmnażania się, która wraz z powolną śmiercią planety wygasała w piersiach Marsjan i już niemal całkowicie zanikła.

Oblewałem się zimnym potem na myśl, że boska Dejah Thoris mogłaby wpaść w łapy takiego monstrum obarczonego atawistycznymi cechami. Lepiej zachować ostatnie kule dla siebie i strzelić sobie w

PO MIMOWOLNYM UDZIALE W NAPADZIE NA BANK PRZESZCZEPÓW, PO SPOTKANIU Z DYPLOMATĄ STOWMENEM, KTÓREMU TARLEY PORWAŁ NARZECZONĄ GRGYX, PO ROZMOWIE Z JACKIEM STANTONEM ORAZ PO UCIECZCE Z FANTASMAGORYCZNEGO **ZLEP**-U, NASZ BOHATER ALFRED JAAS SPOTYKA SIĘ Z GRGYX I Z JEJ NOWYM UKOCHANYM. NIESTETY SPOTKANIE TRWA ZALEDWIE PARĘ SEKUND, BO W SIEDZIBIE TARLEYA ZDARZYŁO SIĘ COŚ NIEPRZEWIDZIANEGO. SKONSTRUOWANA PRZEZ SALWATORA NAJNOWSZA SERIA MECHANEURAKÓW PODNIOSŁA BUNT. A JAKBY TEGO BYŁO MAŁO...

PATRZ! PRZYLECIAŁY WCZEŚNIEJ NIŻ BYŁO ZAPLANOWANE!

TO PRZEMYTNICY! PAMIĘTASZ JACKA SPOD „PCHEŁKI"?

Z. KASPRZAK 84



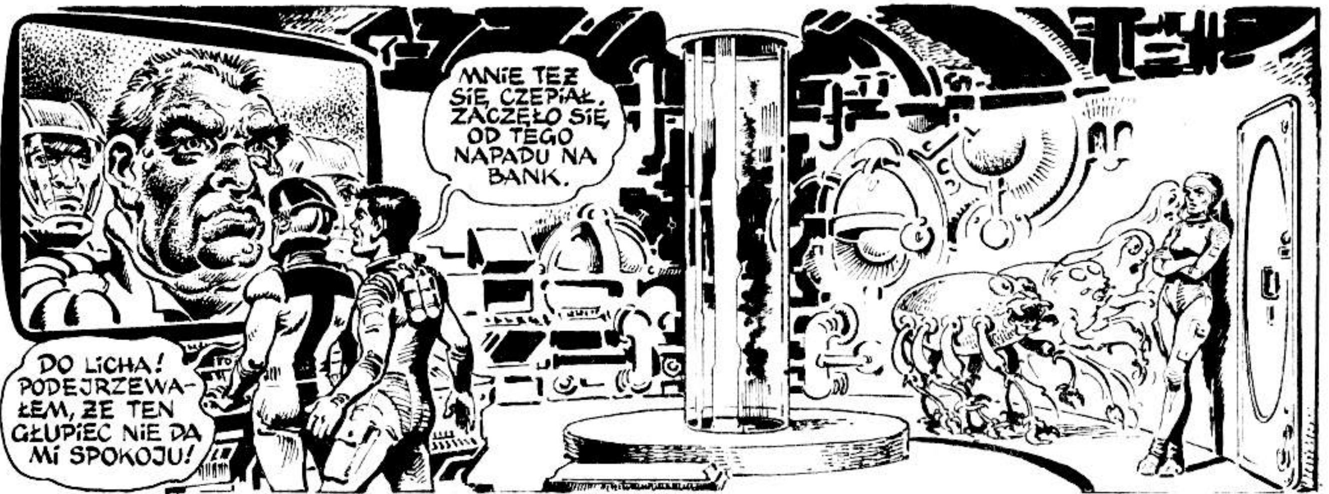



NARESZCIE! TYLE PTASZKÓW ZA JEDNYM ZAMACHEM.
WYWALĘ GO NA ZBITY PYSK! WŁÓCZYŁ SIĘ ZA TARLEY'EM PO CAŁYM KOSMOSIE, A JAK PRZYSZŁO CO DO CZEGO...


ROZPROSZYĆ SIĘ! MAJĄ DZIAŁO ULTRONOWE!
JUŻ JA CIĘ ROZPROSZĘ!
Z.KASPRZAK '84
PRECZ Z TARLEY'EM! KONIEC LUDZKIEJ TYRANII!


DO DIABŁA! LUCILLE?
ZWIĄZAĆ GO i ZABRAĆ NA STATEK! JA MU TERAZ POKAŻĘ! WYSZEDŁ PO PAPIEROSY I PRZEZ DZIESIĘĆ LAT NIE DAŁ ANI ZNAKU ŻYCIA.


SMASH!
UFF!
CZUŁE POJEDNANIE.





ZOBACZ!
I TAK TRZEBA STĄD ZNIKAĆ! MAM TAKIE MIŁE GNIAZDKO NA MINNEORZE, TRAFISZ TAM NA PEWNO.
TRZYMAJ! TO CI SIĘ PRZYDA!
CHODŹ! TU JEST PODZIEMNE PRZEJŚCIE.
Z. KASPRZAK 84


MAM CIĘ, PTASZKU! TERAZ JUŻ MI SIĘ NIE WYWINIESZ.
UCIEKŁ TAMTĘDY!
Z. KASPRZAK .84




CO DO LICHA?!
AL! CO TU ROBISZ?! GDZIE SALLY?
TAM!!!


AL! CO SIĘ STAŁO Z TWOJĄ TWARZĄ!?


JEST TUTAJ. ZMYKAMY!


ODDAJCIE GO! TO MÓJ MĄŻ! JA MU ODPŁACĘ ZA TE WSZYSTKIE LATA!
ZBAWCO... JA CHCĘ DO WIĘZIENIA!
PORWAŁ JĄ! ALE JA GO KIEDYŚ DOPADNĘ!
KONIEC

Patrzyła na mnie w zamyśleniu, długo i badawczo. Wiedziałem dobrze, że trudno jej uwierzyć w moją opowieść i nie spodziewałem się tego od niej, mimo iż bardzo mi zależało na jej zaufaniu i szacunku. Wolałbym raczej nic jej o sobie nie mówić, jednak żaden mężczyzna patrząc w jej oczy nie mógłby oprzeć się życzeniu, które by wyraziła. W końcu uśmiechnęła się i wstając powiedziała:

– Muszę ci wierzyć, mimo iż nic nie rozumiem. Jestem gotowa przyjąć, że nie pochodzisz z Barsoomu, a w każdym razie nie z takiego, jakim jest dzisiaj. Niby jesteś taki jak my, a jednak inny. Po co jednak mam obarczać moją biedną głowę takimi zagadkami, skoro serce mi mówi, że wierzę, gdyż chcę wierzyć!

To było logiczne – dobry przykład ziemskiej, kobiecej logiki. Jeżeli była z niej zadowolona, nie widziałem powodów, dla których miałbym poddawać ją krytyce. Prawdę powiedziawszy był to jedyny rodzaj logiki, który można było zastosować, próbując rozwiązać mój problem. Potem zaczęliśmy rozmawiać na tematy ogólne i zadaliśmy sobie wzajemnie wiele pytań. Była bardzo ciekawa ziemskich obyczajów i wykazała znakomitą znajomość naszej historii. Gdy zacząłem ją wypytywać, skąd pochodzą wiadomości na temat rzeczy dziejących się na Ziemi, zaśmiała się i powiedziała:

– Każdy uczeń na Barsoomie zna geografię waszej planety i ma niemal tak obszerne wiadomości o jej faunie, florze i historii, jak o mieszkańcach, geografii i historii własnej planety. Czyż nie możemy widzieć wszystkiego, co się na Ziemi, jak ją nazywasz, dzieje, czy nie wisi ona na niebie dostępna dla każdych oczu?

Muszę przyznać, że zaskoczyło mnie to w równym stopniu, jak moja opowieść zaskoczyła ją. Gdy o tym powiedziałem, wyjaśniła, że przyrządy, których jej lud używał i które doskonalił przez całe wieki pozwalają wychwycić, a następnie wyświetlają na ekranach wszystko, co się dzieje na każdej planecie i na wielu gwiazdach. Wyświetlane obrazy, gdy się je sfotografuje i powiększy są tak doskonałe, że można na nich rozróżnić obiekty wielkości źdźbła trawy. Później, w Helium, widziałem wiele z tych obrazów oraz przyrządy, za pomocą których się je uzyskuje.

– Dlaczego w takim razie – spytałem – skoro wiesz tak dokładnie o wszystkim, co się dzieje na Ziemi, nie poznałaś, że jestem jej mieszkańcem?

Uśmiechnęła się znowu, jak do zadającego naiwne pytanie dziecka.

– Ponieważ na każdej planecie, posiadającej zbliżoną do barsoomskiej atmosferę – odpowiedziała – rozwijają się formy życia niemal identyczne jak ty czy ja. Ponadto ludzie na Ziemi, niemal bez wyjątków, przykrywają swoje ciała dziwnymi, nieprzezroczystymi ubiorami, a głowy wstrętnymi nakryciami, których przeznaczenia nie udało nam się wyjaśnić. Natomiast ty, gdy znaleźli się tharkijscy wojownicy, byłeś nagi. Fakt, iż nie miałeś na sobie żadnych ozdób świadczy, że nie pochodzisz z Barsoomu, natomiast brak ubioru może zaprzeczyć twemu ziemskiemu pochodzeniu.

Opowiedziałem jej szczegóły mojego rozstania z Ziemią, wyjaśniając, że moje ciało zostało tam, ubrane w dziwny dla niej, lecz kompletny strój mieszkańca Ziemi. W tym momencie wróciła Sola, niosąc wszystkie nasze rzeczy oraz prowadząc młodego wychowanka, który musiał oczywiście mieszkać razem z nimi.

Sola spytała nas czy mieliśmy gościa podczas jej nieobecności i bardzo się zdziwiła, gdy odpowiedzieliśmy, że nie. Wracając spotkała na schodach schodzącą Sarkoję, która w takim razie musiała nas podsłuchiwać. Ponieważ jednak nie mówiliśmy o niczym, co chcielibyśmy ukryć, potraktowaliśmy ten wypadek obojętnie, obiecując sobie zachowywać większą ostrożność w przyszłości.

Potem Dejah Thoris i ja poszliśmy przyjrzeć się bliżej architekturze i dekoracjom ścian budynku, który zajmowaliśmy. Powiedziała mi, że największą potęgę przedstawiona na freskach rasa osiągnęła przypuszczalnie około stu tysięcy lat temu. Byli to jej dalecy przodkowie. Później wymieszali się z rasą, mającą zupełnie czarny kolor skóry oraz z trzecią, żółtoczerwoną. Ich rozkwit nastąpił mniej więcej w tym samym okresie. Te trzy rasy zawarły potężny sojusz, gdy wysychanie mórz zmusiło je do poszukiwania stosunkowo nielicznych i ciągle zmniejszających się terenów uprawnych, gdzie musieli się bronić przed dzikimi hordami zielonych ludzi.

Wieki wspólnego życia i mieszanych małżeństw zaowocowały powstaniem rasy czerwonych ludzi, do której należała Dejah Thoris. Wiele osiągnięć starożytnych cywilizacji, wiele budowli i dzieł sztuki uległo zniszczeniu w ciągu długich wieków wyrzeczeń i nieustannych wojen z zielonymi ludźmi. Jednak czerwona rasa osiągnęła taki stopień rozwoju, który pozwolił na dokonanie nowych odkryć i zbudowanie cywilizacji bardziej praktycznej, lepiej dostosowanej do obecnych warunków Marsa.

Starożytni Marsjanie posiadali bardzo wysoko rozwiniętą kulturę, jednak w wyniku trwającego całe stulecia zamętu, spowodowanego przystosowywaniem się do nowych warunków życia, nie tylko zatrzymali się w rozwoju, ale również zaprzepaścili ogromną część swego kulturowego dziedzictwa.

cichy dźwięk za plecami sprawił, że się odwróciłem. Nie dalej niż dziesięć stóp od mojej piersi ujrzałem ostry, połyskujący wypolerowanym metalem koniec dzidy o długości przynajmniej czterdziestu stóp. Trzymała ją przy boku siedząca na jakimś wierzchowcu replika tych małych potworków, którym się przed chwilą przyglądałem.

Ale jakże słabo i niewinnie wyglądały one w porównaniu z tym ogromnym i przerażającym wcieleniem nienawiści, okrucieństwa i śmierci. Mężczyzna, mogę go chyba tak nazywać, miał pełne piętnaście stóp wzrostu i na Ziemi ważyłby zapewne około czterystu funtów. Siedział na swym wierzchowcu tak, jak my siedzimy na koniu, obejmując go dolnymi kończynami. Dłonie obu prawych rąk trzymały ogromną dzidę nisko przy boku wierzchowca, zaś obie lewe ręce były wyciągnięte w bok w celu utrzymania równowagi. Zwierzę, na którym jechał nie miało żadnych cugli, które mogłyby służyć do kierowania.

A ten wierzchowiec! Jakie słowa zdołają go opisać! Miał dziesięć stóp wysokości, po cztery nogi z każdej strony i płaski ogon, szerszy u końca niż u nasady, który podczas biegu trzymał sztywno wyprostowany. Rozwarta paszcza przecinała łeb aż po długą, potężną szyję.

Podobnie jak jego pan, zwierzę było całkowicie pozbawione włosów. Skórę miało ciemnoszarą, bardzo gładką i lśniącą, białą na brzuchu, zaś kolor nóg zmieniał się od ciemnobłękitnego przy ramionach i biodrach do jaskrawożółtego przy stopach, które miały poduszkowate podeszwy i były całkowicie pozbawione pazurów, co powodowało, że zwierzę poruszało się całkowicie bezszelestnie. Było to, wraz z dużą liczbą kończyn, charakterystyczne dla niemal całej marsjańskiej fauny. Jedynie dwa gatunki istniejących na Marsie ssaków – człowiek i jeszcze jedno zwierzę – miały dobrze wykształcone paznokcie. Zwierząt kopytnych nie spotykało się w ogóle.

Z tyłu, za tym pierwszym demonem, jechało dziewiętnastu innych, podobnych do niego w każdym szczególe, jakkolwiek, jak się później dowiedziałem, każdy z nich miał indywidualne cechy, pozwalające im odróżniać się nawzajem, tak jak my różnimy się między sobą, chociaż ogólny kształt jest podobny. Te zmaterializowane zmory nocne zrobiły na mnie piorunujące wrażenie.

Instynkt samozachowawczy podsunął mi, nagiemu i nieuzbrojonemu, jedyne możliwe wyjście z tej sytuacji, polegające na natychmiastowym usunięciu się z drogi zbliżającego się ostrza dzidy. W konsekwencji wykonałem zupełnie ziemski i jednocześnie nadludzki skok, za pomocą którego chciałem się znaleźć na dachu tej budowli, którą słusznie zacząłem uważać za marsjański inkubator. Mój wysiłek został uwieńczony sukcesem, który zaskoczył mnie samego nie mniej niż marsjańskich wojowników. Uniosłem się bowiem w powietrze na trzydzieści stóp i wylądowałem po drugiej stronie inkubatora w odległości co najmniej stu stóp od moich prześladowców. Opuściłem się na mech łagodnie, bez żadnych przykrych konsekwencji i odwróciwszy się zobaczyłem moich wrogów stojących przy tej ścianie, przy której i ja przed chwilą się znajdowałem. Niektórzy z nich przyglądali mi się w sposób, który jak się później przekonałem, wyrażał kompletne zaskoczenie, a inni zdawali się być zadowoleni, że nie skrzywdziłem ich potomstwa. Rozmawiali niskimi głosami, gestykulując i wskazując w moim kierunku. Gdy zauważyli, że nie zrobiłem nic złego ich małym i że jestem nagi i nieuzbrojony zaczęli spoglądać na mnie nieco mniej dziko, ale najbardziej przemówił na moją korzyść mój niewiarygodny podskok.

Marsjanie są ogromni, ich kości są bardzo grube, a mięśnie rozwinęły się tylko w stopniu wystarczającym do przezwyciężania panującej na ich planecie grawitacji. W związku z tym są o wiele mniej zręczni i silni, w stosunku do wagi, od człowieka urodzonego na Ziemi. Wątpię czy któryś z nich nagle przeniesiony na Ziemię, zdołałby podnieść się na nogi, a właściwie jestem przekonany, że nie.

Sztuczka, którą pokazałem, była więc na Marsie czymś równie cudownym, jak byłaby na Ziemi i sprawiła, że zrezygnowali z zamiaru natychmiastowego zgładzenia mnie, a zamiast tego postanowili mnie schwytać i pokazać swoim współplemieńcom jako dziwaczny wybryk natury.

Czas, jaki zyskałem dzięki tej nieoczekiwanej zręczności pozwolił mi zastanowić się nad sposobami dalszej obrony i przyjrzeć się dokładniej wojownikom. Uparcie kojarzyli mi się oni z tymi, którzy prześladowali mnie zaledwie dzień wcześniej.

Zauważyłem, że każdy z nich posiadał, oprócz ogromnej dzidy, również kilka innych rodzajów uzbrojenia. Bronią, która zmusiła mnie do rezygnacji z zamiaru ucieczki długimi skokami był jakiś rodzaj strzelby. Czułem, że bardzo sprawnie potrafią się nią posługiwać.

Strzelba była wykonana z białego metalu, osadzonego w drewnie, które, jak się później dowiedziałem, było niezwykle lekkie i bardzo twarde. Pochodziło z gatunku drzewa wysoko cenionego na Marsie, a zupełnie nieznanego na Ziemi. Lufa była odlana ze stopu, składającego się głównie z aluminium i stali, którą nauczyli się hartować do wytrzymałości znacznie przewyższającej tę, do której myśmy przywykli. Ta stosunkowo lekka strzelba, o bardzo długiej lufie i niewielkim kalibrze, do której używają eksplodujących, wykonanych z radu kul, jest orężem niezwykle śmiercionośnym, na dodatek niosącym na odle-

głość, która na Ziemi byłaby nie do pomyślenia. Jej teoretyczna nośność wynosi trzysta mil, a praktycznie, wyposażona w specjalny celownik czy lornetę, daje bardzo dobre wyniki do dwustu mil z okładem.

Marsjanie po krótkiej rozmowie odwrócili się i odjechali w kierunku, z którego przybyli. Przy murze został tylko jeden z nich. Po przebyciu około dwustu jardów zatrzymali się i odwrócili swoje wierzchowce, patrząc na wojownika, który został przy inkubatorze.

Był to ten sam, którego włócznia niemal mnie przebiła, a który najwyraźniej był ich dowódcą, jako że on właśnie rozkazał im, aby się oddalili. Teraz, gdy jego oddział się zatrzymał, zeskoczył z wierzchowca, odrzucił broń i zaczął się ku mnie zbliżać, okrążywszy inkubator, nagi i bezbronny jak ja. Jedyny jego ubiór stanowiły ozdoby na głowie, ramionach i piersi.

Gdy był w odległości około pięćdziesięciu stóp zdjął z ramienia ogromną metalową bransoletę i wyciągnął ją ku mnie na otwartej dłoni. Przemawiał przy tym w języku, którego, co jest oczywiste, nie mogłem rozumieć. Potem się zatrzymał, nastawiając miseczkowate uszy i wlepiając we mnie dziwne oczy, jakby oczekiwał na moją odpowiedź.

Cisza się przedłużała i stawała niemal nieznośna, postanowiłem więc zaryzykować i coś mu odpowiedzieć. Jak przypuszczałem, swoim zachowaniem chciał mi dać do zrozumienia, że ma pokojowe zamiary - odrzucenie broni i wycofanie swego oddziału na dość dużą odległość wszędzie na Ziemi zrozumiane by zostało jasno i właśnie w ten sposób. Dlaczego więc na Marsie miałoby oznaczać co innego.

Położyłem rękę na sercu i ukłoniwszy się Marsjaninowi powiedziałem, że jakkolwiek nie rozumiem języka, w którym przemawia, jego czyny świadczą o pokojowych i przyjacielskich zamiarach, a pokój i przyjaźń są w obecnej chwili bardzo drogie mojemu sercu. Oczywiście moja przemowa, z której nie rozumiał ani słowa mogła mu się wydać bełkotem, jednak na pewno pojął znaczenie tego, co zrobiłem natychmiast po niej.

Podszedłem do niego, wyciągając ręce, wziąłem z jego dłoni bransoletę i zapiąłem ją sobie na ramieniu, tuż powyżej łokcia. Potem uśmiechnąłem się i stanąłem, czekając. Jego szerokie usta również rozciągnęły się w uśmiechu, ujął mnie jedną ze swych środkowych kończyn za rękę i poprowadził w stronę swego wierzchowca. Jednocześnie dał znak pozostałym wojownikom, by się zbliżyli. Runęli ku nam dzikim pędem, jednak on gestem ręki nakazał im zwolnić. Najwyraźniej obawiał się, że jeśli się znów poważnie przestraszę, mogę w ogóle wyskoczyć z zasięgu ich wzroku.

Zamienił kilka słów ze swoimi ludźmi, wskazał mi, że będę jechał z jednym z nich i dosiadł swego wierzchowca. Wyznaczony wojownik wyciągnął ku mnie dwie lub trzy ręce i pomógł mi usadowić się za sobą na lśniącym grzbiecie zwierzęcia. Potem cały oddział zawrócił i ruszył galopem w stronę majaczącego na horyzoncie łańcucha wzgórz.

Uwięziony

Ujechaliśmy może dziesięć mil, gdy grunt zaczął się bardzo gwałtownie wznosić. Zbliżaliśmy się, jak się później dowiedziałem, do skraju wyschniętego morza, a mój pierwszy kontakt z Marsjanami nastąpił na jego dnie.

Niedługo potem dojechaliśmy do podnóża gór i po przejściu wąskiego wąwozu znaleźliśmy się w rozległej dolinie. Daleko przed nami kończyła się ona płaskowyżem, na którym zauważyłem ogromne miasto. Pognaliśmy w jego kierunku. Dotarliśmy wkrótce do niezwykle szerokich schodów, które prowadziły na płaskowyż i po wejściu na nie wjechaliśmy do miasta czymś, co wydawało się być zniszczoną i zaniedbaną szosą.

Przyglądając się bliżej mijanym budynkom zauważyłem, że były one puste i chociaż niezbyt zniszczone, wyglądały tak, jakby nie były zamieszkane przez całe lata, a może nawet wieki.

W centrum miasta znajdował się duży plac. Na nim oraz w budynkach bezpośrednio do niego przyległych zauważyłem kilkuset osobników, należących do tej samej rasy, co ci, którzy mnie uwięzili. Byłem pewien, że jestem więźniem, mimo uprzejmości dowódcy oddziału.

Wszyscy byli nadzy, nosili tylko ozdoby. Kobiety niewiele różniły się wyglądem od mężczyzn, jedynie ich kły były znacznie dłuższe w stosunku do wzrostu, w niektórych przypadkach nawet zakręcone przy uszach. Ciała miały nieco mniejsze i jaśniejsze, a palce u nóg i rąk nosiły ślady paznokci, których mężczyźni byli zupełnie pozbawieni. Dorosłe kobiety miały od dziesięciu do dwunastu stóp wzrostu.

Dzieci miały jasną skórę, jaśniejszą nawet niż kobiety. Wydawało mi się, że wszystkie są takie same, a jedyną różnicą, jaką wśród nich dostrzegłem był wzrost. Nie zauważyłem osobników w sposób widocz-

- Jesteś teraz wielkim dowódcą - powiedziała - i muszę wykonywać twoje polecenia, ale robię to z prawdziwą przyjemnością. Człowiek, którego ozdoby nosisz był młodym, lecz mimo to wielkim wojownikiem. Swoimi czynami wywalczył sobie pozycję nieco tylko ustępującą Tars Tarkasowi, który, jak wiesz, zajmuje w hierarchii drugie miejsce po Lorquas Ptomelu. Ty jesteś teraz jedenasty wśród wszystkich Tharkian, tylko dziesięciu wojowników przewyższa cię rangą.

- A gdybym zabił Lorquas Ptomela? - spytałem.

- Byłbyś pierwszy, Johnie Carter. Ale wyzwać go mógłbyś tylko za zgodą całej rady. Gdyby on ciebie zaatakował, a ty zabiłbyś go w obronie własnej jego miejsce należałoby do ciebie.

Zaśmiałem się i zmieniłem temat. Nie miałem wcale ochoty zabijać Lorquas Ptomela, a jeszcze mniej szą być jednym z Tarkian.

Towarzyszyłem Soli i Dejah Thoris w poszukiwaniu nowego pomieszczenia. Znaleźliśmy je w budynku o znacznie bardziej wyszukanej architekturze, położonym bliżej sali audiencyjnej. Natknęliśmy się w nim na prawdziwe pokoje sypialne, zaopatrzone w stare, wykonane w metalu łoża, podwieszone pod marmurowym sufitem na grubych, złotych łańcuchach. Dekoracje ścian były dopracowane w ostatnim szczególe i w odróżnieniu od fresków w innych budynkach, które odwiedziłem, przedstawiały grupy ludzi w różnych ujęciach. Byli to ludzie bardzo do mnie podobni, o skórze jaśniejszej niż u Dejah Thoris. Ubrani byli w pełne gracji, powiewne szaty, bogato zdobione metalem i drogimi kamieniami, a ich włosy miały piękny złoto- lub czerwonobrązowy kolor. Mężczyźni nie mieli zarostu i tylko kilku z nich było uzbrojonych. Sceny przedstawiały głównie różne rodzaje zabaw.

Dejah Thoris, widząc te wspaniałe dzieła sztuki, stworzone przez dawno zmarłych mistrzów, aż klasnęła w dłonie z zachwytu. Sola natomiast nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi.

Zdecydowaliśmy, że Dejah Thoris i Sola zajmą pokój położony na drugim piętrze, z oknami zwróconymi w stronę placu,natomiast przyległe do niego pomieszczenia w głębi budynku będą służyć za kuchnię i spiżarnię. Potem wysłałem Solę po potrzebne rzeczy oraz po żywność, mówiąc, że do czasu jej powrotu będę pilnował Dejah Thoris.

Gdy Sola wyszła, dziewczyna powiedziała do mnie z lekkim uśmiechem:

- A dokąd to uciekłaby uwięziona, gdybyś ją zostawił samą? Mogłaby jedynie pójść za tobą, prosząc o opiekę i przebaczenie za to, że tak źle o tobie myślała przez ostatnich kilka dni.

- Masz rację - odpowiedziałem. - Dla żadnego z nas nie ma stąd ucieczki, chyba że pójdziemy razem.

- Słyszałam to, co mówiłeś temu stworowi, nazywającemu się Tars Tarkas i myślę, że rozumiem twoją sytuację tutaj, wśród tych ludzi. Nie mogę jednak zrozumieć dlaczego powiedziałeś, że nie pochodzisz z Borsoomu. Skąd w takim razie przybyłeś? Jesteś tak podobny do ludzi mojej rasy, a jednocześnie jakby inny. Mówisz moim językiem, a przecież słyszałam, że dopiero niedawno nauczyłeś się nim posługiwać. Wszyscy na Barsoomie używają tego samego języka, mimo iż sposób jego zapisywania czasem się różni. Tylko w dolinie Dor, gdzie rzeka Iss łączy swoje wody z zaginionym morzem Korus, używany jest podobno inny język. Jednak nie ma żadnych świadectw, poza legendami naszych przodków, aby ktokolwiek stamtąd przybył. Nie mów mi tylko, że jesteś jedną z tych tajemniczych istot! Gdyby to była prawda zabiliby cię natychmiast, nie mógłbyś znaleźć bezpiecznego miejsca na całej planecie! Jej oczy wypełnione były błagalnym oczekiwaniem na zaprzeczenie.

- Nie znam waszych zwyczajów - powiedziałem - ale w moim kraju, w Wirginii, gentleman nie kłamie, by ratować własną skórę. Nie pochodzę z Dor, nigdy nie widziałem tajemniczej Iss, zaginione morze Korus jest dla mnie jeszcze większą zagadką niż dla was. Wierzysz mi?

Nagle złapałem się na tym, że bardzo pragnę, aby mi uwierzyła. Nie dlatego, abym się obawiał o mój los, gdyby wszyscy zaczęli sądzić, że wróciłem z barsoomiańskiego piekła, czy też nieba, czymkolwiek była dolina Dor. A więc dlaczego? Dlaczego tak bardzo mi zależy na tym, co ona sobie o mnie myśli? Spojrzałem na piękną, zwróconą ku mnie twarz i gdy nasze oczy się spotkały, zrozumiałem dlaczego - i zadrżałem. Przez jej głowę zdawały się przepływać podobne myśli. Odsunęła się ode mnie z westchnieniem i, ciągle patrząc mi w oczy, szepnęła:

- Wierzę ci. Nie wiem co znaczy słowo „gentleman" ani nigdy nie słyszałam o Wirginii, na Barsoomie jednak żaden mężczyzna nie kłamie. Jeśli nie chce powiedzieć prawdy, milczy. Gdzie leży Wirginia, twój kraj, Johnie Carter? - spytała, a mnie się wydało, że nazwa mojej ojczyzny nigdy nie zabrzmiała tak pięknie.

- Pochodzę z innego świata - odpowiedziałem - z planety, którą nazywamy Ziemią. Obiega ona nasze wspólne słońce po orbicie, leżącej wewnątrz orbity Barsoomu, który znamy pod nazwą Mars. Nie mogę ci powiedzieć jak tu przybyłem, gdyż sam tego nie wiem. Ale jestem tutaj, a ponieważ fakt ten pozwala mi być sługą Dejah Toris, jestem z tego bardzo zadowolony.

Odwróciłem się, by odebrać wyposażenie zmarłego wojownika i zauważyłem, że Tars Tarkas i inni Marsjanie patrzą na mnie z wyraźnym podziwem. Podeszli do nas i Tars Tarkas powiedział:

– Jak na kogoś, kto jeszcze niedawno był głuchy i niemy mówisz bardzo płynnie językiem Baarsomian. Gdzie się tego nauczyłeś, Johnie Carter?

– To twoja zasługa, Tars Tarkasie – odpowiedziałem – gdyż dałeś mi znakomitą nauczycielkę, Solę. To właśnie jej zawdzieczam znajomość waszego języka.

– Sprawiła się bardzo dobrze – powiedział – ale twoja wiedza w innych dziedzinach wymaga jeszcze poważnych uzupełnień. Czy wiesz, ile by cię kosztowała twoja niezwykła odwaga, gdyby nie udało ci się zabić któregoś z tych dwóch dowódców, których odznaki teraz nosisz?

– Przypuszczam – odpowiedziałem z uśmiechem – że ten, którego bym nie zdołał zabić zabiłby mnie.

– Nie, mylisz się. Marsjanin zabija jeńca tylko w obronie własnej i to jedynie w razie ostatecznej konieczności. Zachowujemy ich do innych celów. – Wyraz jego twarzy mówił aż zbyt wyraźnie, na czym te cele polegały.

– Teraz tylko jedna rzecz może cię uratować – kontynuował. – Jeżeli, wziąwszy pod uwagę twoje zalety, waleczność i odwagę Tal Hajus uzna cię za godnego wstąpienia na jego służbę możesz zostać przyjęty do naszego plemienia i stać się pełnowartościowym Tharkianinem. Jest wolą Lorquas Ptomela, abyś do czasu naszego przybycia do siedziby Tal Hajusa był traktowany z szacunkiem, jaki sobie zdobyłeś swymi czynami. Będziemy cię uważać za tharkiańskiego dowódcę, ale nie zapominaj, że każdy z nas, który jest równy ci rangą, ponosi odpowiedzialność za dostarczenie cię przed oblicze naszego potężnego i najsurowszego władcy. Skończyłem.

– Przyjmuję to do wiadomości – odpowiedziałem. – Jak wiesz, nie pochodzę z Barsoomu, wasze drogi nie są moimi drogami. W przyszłości mogę postępować tylko tak, jak postępowałem w przeszłości – zgodnie z moim sumieniem i kierując się zasadami obowiązującymi moją rasę. Powiedz swemu plemieniu, by każdy Barsoomianin, z którym będę miał do czynienia uszanował moje prawa jako obcego, gdyż w przeciwnym wypadku będzie musiał ponieść konsekwencje swojego postępowania. I jeszcze jedną rzecz chciałbym postawić jasno – bez względu na to, co ostatecznie macie zamiar zrobić z tą nieszczęsną młodą kobietą, jeżeli ktokolwiek w przyszłości skrzywdzi ją lub obrazi, musi być świadom, że wystawię mu za to dokładny rachunek. Wiem, że macie za nic uczucia wspaniałomyślności i dobroci, ale ja je cenię bardzo wysoko. Zapewniam was jednak, że w najmniejszym stopniu nie zmniejszają one mojej zdolności do walki i umiejętności posługiwania się bronią.

Wygłaszanie długich przemówień nie leży w moim zwyczaju, nigdy też tego nie robiłem, lecz domyślałem się, jakiego tonu należy używać wobec zielonych Marsjan. Moja elokwencja zrobiła na nich duże wrażenie i odtąd w ich zachowaniu wobec mnie dostrzegałem jeszcze większy niż poprzednio szacunek.

Tars Tarkas wydawał się być zadowolony z tonu i treści mojej odpowiedzi, ale jedyny komentarz, jakim ją opatrzył był nieco zagadkowy.

– Wydaje mi się, że znam Tal Hajusa, Jeddaka Tharku – powiedział.

Zająłem się Dejah Thoris, pomogłem jej wstać i poprowadziłem do wyjścia, nie zwracając uwagi na wiercące się niezdecydowanie strażniczki i na badawcze spojrzenia dowódców. Teraz ja również byłem dowódcą i mogłem wziąć na siebie odpowiednie obowiązki. Nie przeszkadzano nam i w ten sposób Dejah Thoris, księżniczka Helium i John Carter, gentleman z Wirginii z towarzyszącym im wiernie Woola wyszli wśród grobowej ciszy z sali audiencyjnej Lorquas Ptomela, Jeda Tharków z Barsoomu.

Z Dejah Thoris

Obie strażniczki wybiegły za nami, jakby chciały na nowo objąć swe funkcje. Biedna dziewczyna przytuliła się do mnie, obejmując moje ramię obiema rękami. Odesłałem kobiety, oświadczając im, że odtąd jeńcem będzie się zajmowała Sola. Ostrzegłem jednocześnie Sarkoję, by nie próbowała w jakikolwiek sposób skrzywdzić dziewczyny, gdyż pociągnie to za sobą szybką i surową karę.

Moje zachowanie było nieco niefortunne i w rezultacie sprowadziło na Dejah Thoris więcej złego niż dobrego, gdyż, jak się później dowiedziałem, na Marsie mężczyźni nie zabijają kobiet ani też kobiety mężczyzn. Sarkoja obrzuciła nas złym spojrzeniem i odeszła, aby nas oczerniać i snuć intrygi.

Odnalazłem Solę i poinformowałem ją, że chcę, aby opiekowała się Dejah Thoris z troską równą tej, jaką okazywała mnie, ponadto by znalazła pomieszczenia, w których nie byłyby niepokojone przez Sarkoję i w końcu stwierdziłem, że ja przenoszę się do mężczyzn.

Sola spojrzała na trzymaną przeze mnie broń i na insygnia na mojej piersi,

ny starych. Marsjanie nie zmieniają się prawie w ogóle od momentu osiągnięcia dojrzałości, to znaczy od około czterdziestego roku życia aż do starości w wieku prawie tysiąca lat, kiedy to dobrowolnie podejmują swoją ostatnią, dziwną pielgrzymkę w dół rzeki Iss. Żaden żyjący Marsjanin nie wie dokąd ona prowadzi ani żaden z niej jeszcze nie powrócił. Co więcej, nie pozwolono by żyć takiemu, któremu udałoby się wrócić po tym, jak popłynął w dół ciemnych, zimnych wód rzeki.

Tylko jeden Marsjanin na tysiąc umiera na skutek choroby, a prawdopodobnie około dwudziestu podejmuje dobrowolną pielgrzymkę. Pozostałych dziewięćset siedemdziesięciu dziewięciu ginie gwałtowną śmiercią w pojedynkach, na polowaniach, w żegludze powietrznej lub na wojnie. Ale dotychczas największe żniwo śmierć zbiera wśród dzieci, gdyż olbrzymia ilość małych Marsjan pada ofiarą wielkich, białych małp.

Przeciętny Marsjanin spodziewa się przeżyć po osiągnięciu wieku dojrzałości jeszcze około trzystu lat. Prawdopodobnie wszyscy przeżyliby nawet tysiąclecie, gdyby nie gwałtowna śmierć, zabierająca większość z nich wcześniej. Malejące ciągle zasoby planety sprawiają, że stało się konieczne przeciwdziałanie długowieczności, będącej wynikiem ich znakomitej wiedzy medycznej. Dlatego też życie ludzkie na Marsie jest bardzo tanie, czego dowodzą niebezpieczne rozgrywki sportowe oraz niemal nieustanne wojny między różnymi plemionami.

Jest wiele naturalnych przyczyn, powodujących zmniejszanie się populacji Marsjan, ale przede wszystkim przyczynia się do tego fakt, iż wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zawsze noszą przy sobie broń.

Natychmiast, gdy zauważono moją obecność w zbliżającej się do placu grupie, zostaliśmy otoczeni przez setki tych stworów, wyraźnie zamierzających ściągnąć mnie z grzbietu wierzchowca. Dowódca oddziału jednym słowem ostudził ich zapał i niespiesznie przejechaliśmy przez plac ku wejściu do budynku tak wspaniałego, na jakim nie spoczywało jeszcze oko śmiertelnika.

Budynek był niski, ale pokrywał sobą bardzo rozległą przestrzeń. Zbudowany z lśniącego białego marmuru, wysadzanego złotem i drogimi kamieniami, błyszczał i iskrzył się w promieniach słońca. Główne wejście miało około stu stóp szerokości, a ponad nim olbrzymi baldachim tworzył ocieniony przedsionek. Schody zastępowała lekko pochyła, prowadząca na parter płaszczyzna, łącząca się z podłogą ogromnej, otoczonej galeriami sali. Jej wnętrze wypełniały wspaniale rzeźbione drewniane biurka i krzesła, a w centrum umieszczono rozległe podwyższenie, wokół którego skupiło się czterdziestu lub pięćdziesięciu Marsjan płci męskiej. Na tym podwyższeniu siedział z godnością ogromny wojownik, gęsto obładowany metalowymi ozdobami i różnokolorowymi piórami, ubrany w piękny skórzany strój, wysadzany drogimi kamieniami. Na ramionach miał krótki płaszcz z białego futra, podbitego lśniącym, purpurowym jedwabiem.

Zaskoczył mnie fakt, że ten hol i zgromadzeni tu Marsjanie pozostawali w wyraźnej dysproporcji w stosunku do biurek, krzeseł i innych mebli, których rozmiary dostosowane były do wzrostu takich jak ja. Tymczasem Marsjanie tylko z najwyższą trudnością mogliby usiąść na zbyt małych krzesłach czy też schować długie nogi pod blatem biurek. Najwyraźniej Mars posiadał jeszcze innych mieszkańców, poza tymi dzikimi i groteskowymi stworami, w których łapy wpadłem. Pokrywająca wszystko wokół wyraźna patyna niezliczonych wieków świadczyła, że budowniczowie tych budynków mogli należeć do jakiejś wymarłej i zagubionej w mroku dziejów rasy.

Nasza grupa zatrzymała się przy wejściu. Na znak dowódcy zostałem zestawiony na podłogę. Chwycono mnie za ramię i poprowadzono w głąb sali audiencyjnej, w stronę platformy. Marsjanie rozstępowali się przed nami, robiąc przejście. Wódz wstał i wymówił imię mojego strażnika, a ten zatrzymał się i powiedział głośno imię wodza wraz ze wszystkimi należnymi mu tytułami.

Cała ta ceremonia i wypowiadane podczas niej słowa nic wówczas dla mnie nie znaczyły, ale później dowiedziałem się, że było to zwyczajowe powitanie zielonych Marsjan. Jeżeli mężczyźni byliby sobie obcy i nie mogli wypowiedzieć swoich imion, wymieniliby się w milczeniu ozdobami, jeżeli spotkanie miało charakter pokojowy – jeśli nie, wymieniliby strzały ze strzelb lub przedstawiliby się sobie za pomocą jakiejkolwiek innej broni.

Marsjanin, który mnie schwytał nazywał się Tars Tarkas i był drugą pod względem ważności postacią w tym plemieniu. Wyróżniał się wielkimi zdolnościami jako dyplomata i wojownik.

Potem, jak przypuszczałem, opowiedział krótko zdarzenia, jakie zaszły podczas właśnie zakończonej ekspedycji. Gdy skończył, wódz zwrócił się do mnie z dość rozwlekłą przemową.

Odpowiedziałem w naszej starej angielskiej mowie, by mu udowodnić, że żaden z nas nie może zrozumieć drugiego. Zauważyłem, że gdy, kończąc, uśmiechnąłem się lekko, on zrobił to samo. Ten fakt, a także podobne zdarzenie podczas mojej pierwszej rozmowy z Tars Tarkasem przekonały mnie, że mamy przynajmniej tyle wspólnego, iż jesteśmy zdolni się uśmiechać, a więc również śmiać, czyli

mamy poczucie humoru. Jednak później przekonałem się, że ich uśmiech jest tylko pozorem, a śmiech może przyprawić najodważniejszego mężczyznę o drżenie ze strachu.

Poczucie humoru zielonych Marsjan również znacznie różni się od naszego. Agonia jakiegoś ich współplemieńca jest dla tych dziwnych istot powodem do dzikiej wesołości, zaś ulubioną rozrywką ich wodza jest zadawanie śmierci wymyślnymi i strasznymi sposobami jeńcom wojennym.

Zebrani w sali wojownicy i dowódcy przyjrzeli mi się dokładnie, obmacując muskuły i dotykając skóry. Potem naczelny wódz wyraził chęć obejrzenia pokazu moich umiejętności i, wskazując gestem abym szedł za nim, skierował się wraz z Tars Tarkasem ku wyjściu z budynku.

Od czasu pierwszej, nieudanej próby nie odważyłem się chodzić z wyjątkiem tych odcinków, które pokonywałem ściskany mocno za ramię przez Tars Tarkasa. Tak więc teraz, mając zamiar zrobić krok, zacząłem skakać i fruwać między biurkami i krzesłami jak jakiś ogromny konik polny. Potłukłem się boleśnie, co wywołało u Marsjan wyraźną wesołość i w związku z tym postanowiłem znów uciec się do pełzania. Jednak Marsjanom wyraźnie to nie odpowiadało i zostałem brutalnie szarpnięty w górę przez osobnika, który uprzednio śmiał się z moich niefortunnych przygód najszczerzej.

Gdy opuszczał mnie w dół, abym stanął na nogach, jego twarz znalazła się na wprost mojej i zrobiłem jedyną rzecz, jaką gentlemen może zrobić, stykając się z brutalnością, grubiaństwem i brakiem poszanowania praw innych osób. Rąbnąłem go pięścią prosto w pysk, a on zwalił się jak ogłuszony byk. W czasie, gdy się osuwał na podłogę odbiłem się od niego stopami i zrobiłem salto do tyłu w kierunku najbliższego biurka, spodziewając się, że koledzy uderzonego Marsjanina będą chcieli natychmiast zemścić się na mnie. Zdecydowany byłem, zanim oddam życie, stoczyć tak dobrą walkę, na jaką pozwoli mi nierówny stosunek sił.

Moje obawy były jednak bezpodstawne, gdyż inni Marsjanie, w pierwszej chwili ogromnie zaskoczeni, ryknęli w końcu dzikim śmiechem pokrzykując coś przy tym. Oczywiście wtedy nie wiedziałem, że okrzyki oznaczają aplauz, ale później, gdy poznałem ich zwyczaje, zrozumiałem, że było to coś, co jest u nich rzadkością – szczera manifestacja aprobaty.

Osobnik, którego uderzyłem leżał tam, gdzie upadł, i nikt do niego nie podszedł. Tars Tarkas zbliżył się do mnie, ujął mnie za ramię i tak wyszliśmy bez dalszych przygód na plac. Nie znałem oczywiście przyczyny, dla której wyszliśmy na otwartą przestrzeń, ale wkrótce miałem zostać oświecony. Najpierw powtórzyli kilkakrotnie słowo „sak", a potem Tars Tarkas wykonał kilka podskoków, powtarzając ten wyraz przed każdym z nich. Gdy następnie odwrócił się do mnie i powiedział „sak", zrozumiałem o co mu chodzi i zebrawszy się w sobie „saknąłem" tak wspaniale, że przeleciałem przynajmniej sto pięćdziesiąt stóp. Tym razem nie straciłem równowagi, lecz pewnie wylądowałem na stopach. Potem wróciłem łatwymi dwudziestopięcio-trzydziestostopowymi skokami ku małej grupie wojowników.

Mój pokaz był obserwowany przez kilkuset mniej ważnych Marsjan, którzy natychmiast zaczęli się głośno domagać jego powtórzenia. Wódz rozkazał mi, abym to zrobił. Byłem jednak głodny i spragniony. Zdecydowałem się zażądać od tych stworów spełnienia wymagań mojego żołądka, gdyż dobrowolnie na pewno by tego nie zrobili. Ignorowałem więc całkowicie rozkaz „sak" i za każdym razem, gdy go powtarzali przykładałem dłoń do ust i gładziłem się po brzuchu.

Tars Tarkas i wódz zamienili kilka słów, potem przywołali z tłumu młodą kobietę, dali jej jakieś instrukcje i wskazali mi, abym za nią poszedł. Chwyciłem jej wyciągniętą rękę i przeszliśmy razem przez plac w kierunku dużego budynku po przeciwnej stronie.

Moja towarzyszka mierzyła około ośmiu stóp i zbliżała się do dojrzałości. Jej skóra, lśniąca i gładka, miała jasny oliwkowozielony kolor. Jak się później dowiedziałem miała na imię Sola i należała do świty Tars Tarkasa. Wprowadziła mnie do obszernego pomieszczenia w jednym ze stojących przy placu budynków, które, sądząc po rozłożonym na podłodze jedwabiu i futrach, służyło za sypialnię dla kilku krajowców.

Pomieszczenie było dobrze oświetlone przez kilka okien i ozdobione pięknymi ściennymi mozaikami i freskami. Wszystko wokół zdawało się nosić na sobie patynę wieków, co przekonało mnie, że architekci i budowniczowie tych wspaniałych dzieł nie mieli nic wspólnego z okrutnymi półbestiami, które je teraz zamieszkiwały.

Sola wskazała mi, bym usiadł na stercie jedwabiu w centrum pomieszczenia i odwróciwszy się, wydała szczególny, syczący dźwięk, jakby coś sygnalizowała komuś w sąsiednim pokoju. W chwilę później zobaczyłem po raz pierwszy jeden z nowych dziwów Marsa. Jakieś stworzenie wpadło na dziesięciu krótkich nóżkach do pomieszczenia i przysiadło przed dziewczyną jak posłuszny szczeniak. Było wielkości szkockiego konika, jego łeb w pewnym stopniu przypominał łeb żaby. Jedynie paszcza była wyposażona w trzy rzędy długich, ostrych zębów.

Jednak słowa, które chciał wypowiedzieć nigdy nie padły. Jeden z młodszych wojowników, najwidoczniej czując w jakim kierunku podążają myśli starszyzny, zeskoczył ze stopnia podwyższenia i uderzył z całej siły dziewczynę w twarz. Upadła na podłogę, a on oparł stopę na jej ciele i potoczył je w stronę siedzących wojowników, wybuchając strasznym, pozbawionym wesołości śmiechem.

Przez moment myślałem, że Tars Tarkas natychmiast położy go trupem. Wyraz twarzy Lorquas Ptomela również nie był dla zuchwalca życzliwy, jednak nastrój prysł, ich dawne charaktery i nawyki wzięły górę i twarze wykrzywiły się w uśmiechu. Znamienne było jednak, że nie wybuchnęli głośnym śmiechem, mimo że czyn młodego wojownika odpowiadał dokładnie ich wyobrażeniom o dobrej zabawie.

Fakt, iż poświęciłem kilka chwil na opisanie tego, co nastąpiło po zadanym dziewczynie ciosie nie oznacza wcale, iż wtedy przez tak długi czas przyglądałem się temu biernie i bezczynnie. Myślę, że musiałem przeczuwać bieg wydarzeń, gdyż w chwili, gdy wojownik dopiero podnosił rękę do uderzenia, byłem sprężony jak do biegu i ledwo ręka opadła na policzek dziewczyny pokonałem już połowę dzielącej mnie od nich drogi.

Znalazłem się przy nim w momencie, gdy zaczynał się śmiać. Miał przynajmniej dwanaście stóp wzrostu i był uzbrojony po zęby, ale ogarnęła mnie taka wściekłość, że byłem gotowy walczyć z całym światem. Słysząc mój wrzask odwrócił się, a ja wyskoczyłem w powietrze i z całej siły rąbnąłem go pięścią w pysk. Zatoczył się, wyciągnął krótki miecz. Wyciągnąłem swój i skoczyłem na niego, opierając stopę na rękojeści jego pistoletu, zaś lewą ręką trzymając się olbrzymiego kła, prawą raz za razem zatapiałem ostrze miecza w jego piersi.

Nie mógł użyć swego miecza, gdyż byłem zbyt blisko niego, ani wyciągnąć pistoletu, co zresztą chciał zrobić, łamiąc tym samym zwyczaj, który wymaga, aby w pojedynku używać tylko takiej broni, jaką walczy przeciwnik. Nie mógł właściwie zrobić nic innego, jak tylko starać się mnie odepchnąć. Mimo swoich rozmiarów był jednak niewiele, jeśli w ogóle, ode mnie silniejszy i po chwili osunął się bez życia na podłogę, krwawiąc obficie. Dejah Thoris przyglądała się walce rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Gdy wreszcie uwolniłem się od zielonego wojownika, wziąłem ją na ręce i zaniosłem ku jednej ze stojących z boku ławek.

Żaden z Marsjan mi nie przeszkodził. Oderwałem kawałek jedwabiu z mego płaszcza i starałem się zatamować płynącą z jej nosa krew. Wkrótce krwotok, będący na szczęście jedynym odniesionym przez nią obrażeniem, ustał i mogła już mówić. Położyła dłoń na moim ramieniu i spytała, patrząc mi w oczy:

– Dlaczego to zrobiłeś? Ty, który odmówiłeś mi swej przyjaźni podczas naszego pierwszego spotkania? A teraz ryzykujesz życie i zabijasz w mojej obronie jednego ze swych towarzyszy. Nie mogę tego zrozumieć. Jesteś dziwną istotą – przebywasz wśród zielonych ludzi, a jednocześnie wyglądasz tak, jak mężczyźni mojej rasy, tylko skórę masz jasną, jedynie trochę ciemniejszą niż białe małpy. Kim jesteś? Człowiekiem, czy może kimś więcej niż człowiekiem?

– Moja historia – odpowiedziałem – jest zbyt długa, bym ci ją teraz mógł opowiedzieć i tak dziwna, że sam z trudnością w nią wierzę. Obawiam się, że nikt inny nie uzna jej za prawdziwą. Na razie powiem tylko, że jestem twoim przyjacielem i, o ile pozwolą na to ci, którzy nas uwięzili, obrońcą i sługą.

– Więc ty również jesteś więźniem? Ale w takim razie, dlaczego nosisz broń i insygnia tharkijskiego dowódcy? Jak się nazywasz? Skąd pochodzisz?

– Tak, ja również jestem więźniem. Nazywam się John Carter, a pochodzę z Wirginii w Stanach Zjednoczonych Ameryki, to znaczy z Ziemi. Nie wiem dlaczego pozwolono mi nosić broń, nie miałem także pojęcia, że ozdoby, które noszę, są insygniami dowódcy.

W tym momencie musieliśmy przerwać rozmowę, gdyż podszedł do nas jeden z wojowników, niosąc broń, ekwipunek i ozdoby. Nagle uzyskałem odpowiedź na jedno z pytań, zadanych przez Dejah Thoris. Zobaczyłem, że z martwego ciała mojego niedawnego przeciwnika zdjęto wszystko, co na nim i przy nim było, a w zachowaniu wojownika, który przyniósł mi te trofea dostrzegłem groźbę, ukrytą pod wyraźnym szacunkiem, podobnie jak u tego, który przedtem przyniósł mi takie samo wyposażenie. Zrozumiałem, że pierwsza walka, ta, którą stoczyłem w sali audiencyjnej w dniu mego tutaj przybycia, skończyła się śmiercią mojego przeciwnika.

Teraz już była jasna przyczyna, dla której traktowano mnie tak uprzejmie. Na podstawie ściśle przestrzeganych zwyczajów, które, nawiasem mówiąc, skłoniły mnie do nazwania Marsa planetą paradoksów, obdarzony zostałem honorami, należnymi zwycięzcy – tytułami, wyposażeniem i pozycją wojownika, którego zabiłem. Rzeczywiście uznawano mnie za równego dowódcom i dzięki temu, jak się później dowiedziałem, miałem względną swobodę i tolerowano moją obecność w sali audiencyjnej.

Marsie poza mną ma właściwe cywilizowanym ludziom odruchy, mimo że sposób ich okazania był dla mnie tak przykry.

Gdyby zielona kobieta chciała okazać niechęć czy niezadowolenie, prawdopodobnie by to zrobiła za pomocą miecza lub pociągnięcia za spust. Jednak tylko bardzo poważna obraza mogłaby wywołać w nich taką reakcję, gdyż są one całkowicie pozbawione uczuć. Sola, muszę to zaznaczyć, stanowiła pod tym względem wyjątek. Nigdy nie zauważyłem, aby komukolwiek okazała okrucieństwo czy też była nieuprzejma lub surowa. Rzeczywiście miała, jak to powiedziały kobiety z jej plemienia, charakter swoich zdolnych do uczuć przodków.

Widząc, że uwięziona dziewczyna jest centrum powszechnego zainteresowania, zatrzymałem się, by być świadkiem tego, co miało nastąpić. Wkrótce nadszedł Lorquas Ptomel wraz z towarzyszącą mu świtą dowódców i gestem nakazał straży wprowadzić dziewczynę do sali. Postanowiłem wejść za nimi, mając nadzieję, że nie zostanę wyrzucony. Dotychczas okazywano mi pewne względy, a poza tym Marsjanie nie wiedzieli, że znam ich język. Uprosiłem Solę, by zachowała to na razie w tajemnicy, mówiąc, że nie chcę być zmuszany do rozmów z mężczyznami, póki nie nabiorę wprawy w posługiwaniu się językiem marsjańskim.

Marsjanie usadowili się na stopniach podwyższenia, a więziona dziewczyna w towarzystwie dwóch strażników stała przed nimi. Zauważyłem, że jedną ze strażniczek była Sarkoja. Jej zachowanie w stosunku do dziewczyny było szczególnie okrutne i obraźliwe. Trzymała ją, zatapiając w skórze swoje pazury lub też boleśnie wykręcając jej ramię. Gdy przechodziły z jednego miejsca w inne, ciągnęła ją brutalnie bądź poszturchiwała i popychała przed sobą. Wydawało się, że chce skupić na tej biednej, bezbronnej istocie całą nienawiść, złość i okrucieństwo, z jakimi się stykała w ciągu dziewięciuset lat swego życia, dodając do tego długie tysiąclecia doświadczeń swych dzikich, brutalnych przodków.

Druga strażniczka była mniej okrutna, ale było jej absolutnie wszystko jedno, co się z dziewczyną działo. Gdyby zostawiono więzioną tylko pod jej strażą, a na szczęście tak było w nocy, nie zadawałaby jej bólu, ale również byłaby obojętna na wszelkie jej potrzeby.

Lorquas Ptomel podniósł oczy, by się zwrócić do więźniarki i zauważył moją obecność w sali. Powiedział coś do Tars Tarkasa, robiąc przy tym wrażenie zniecierpliwionego, ale gdy Tars Tarkas mu odpowiedział, niestety zbyt cicho, bym mógł usłyszeć, uśmiechnął się i nie zwracał odtąd na mnie najmniejszej uwagi.

– Jak się nazywasz? – spytał dziewczynę.

– Dejah Thoris, córka Mors Kajaka z Helium.

– Jaki był cel waszej wyprawy?

– Była to czysto naukowa ekspedycja – odpowiedziała dźwięcznym, cichym głosem – wysłana przez ojca mego ojca, Jedaka z Helium w celu sporządzenia mapy prądów powietrznych i przeprowadzenia badań gęstości atmosfery. Byliśmy całkowicie nie przygotowani do walki – kontynuowała – gdyż nasza misja miała pokojowy charakter, na co wskazywały chorągwie i kolor naszych statków. Praca, którą wykonywaliśmy dotyczy was w takim samym stopniu jak nas, gdyż wiecie doskonale, że bez naszych wysiłków i badań naukowych Mars stałby się martwą planetą, powietrza i wody nie wystarczyłoby nawet na podtrzymanie życia jednej istoty. Od wieków zapewniamy ich stały dopływ, a z waszej strony spotykamy się wyłącznie z brutalnymi napaściami i ciągłymi przeszkodami! Dlaczego nie nauczycie się żyć z nami w przyjaźni? Czy koniecznie musicie kroczyć drogą, która sprowadza was do poziomu niewiele wyższego niż poziom tych głupich zwierząt, które wam służą? Jesteście narodem nie znającym pisanego języka, nie znającym sztuki, domów, miłości, obciążonym tysiącleciami straszliwych zwyczajów. Posiadając wszystko wspólnie, nawet żony i dzieci, nie posiadacie nic. Nienawidzicie się wzajemnie, nienawidzicie wszystkich, oprócz siebie. Powróćcie na drogę, którą kroczyli nasi wspólni przodkowie, na drogę wzajemnego poszanowania i przyjaźni. Jest ona dla was otwarta, czerwoni ludzie gotowi są wam pomóc ją odnaleźć. Wspólnie możemy działać znacznie skuteczniej, możemy uratować naszą umierającą planetę. Wnuczka największego i najpotężniejszego z czerwonych jeddaków prosi was o to. Czy wysłuchacie tej prośby?

Lorquas Ptomel i wojownicy siedzieli przez chwilę w milczeniu, uważnie przyglądając się dziewczynie. Nikt nie wie, jakie myśli przepływały przez ich głowy, ale jestem pewien, że byli głęboko poruszeni. Gdyby znalazł się wtedy wśród nich jeden, który byłby dostatecznie silny, aby wystąpić przeciw utartym zwyczajom, ta chwila mogłaby oznaczać dla Marsa początek nowej, wspaniałej ery.

Zauważyłem, że Tars Tarkas podnosi się, by przemówić. Jego twarz miała wyraz, jakiego nigdy przedtem nie widziałem u zielonego wojownika. Odbijało się na niej wewnętrzne, potężne zmaganie z samym sobą, z utartymi obyczajami, ze spuścizną wieków, a gdy otworzył usta, by mówić – jego straszliwe, okrutne oblicze rozświetliło się na chwilę odcieniem łagodności i dobroci.

Wymykam się strażnikowi

Sola spojrzała w złośliwe ślepia bestii, wymamrotała jedno czy dwa słowa polecenia, wskazała na mnie i wyszła z pomieszczenia. Mogłem się jedynie zastanawiać, co to okrutnie wyglądające monstrum zrobi, zostawione w tak niedużej odległości od stosunkowo smacznego kawałka mięsa. Jednak moje obawy były bezpodstawne, gdyż bestia, po dokładnym przyjrzeniu się mojej osobie, podeszła do jedynego wyjścia, które prowadziło na ulicę i ułożyła się na progu.

Takie było moje pierwsze doświadczenie z marsjańskim psem-strażnikiem. Jednak nie było to jednocześnie doświadczenie ostatnie, gdyż zwierzę pilnowało mnie przez cały czas mego pobytu wśród tych zielonych ludzi, dwukrotnie ocaliło mi życie i nigdy dobrowolnie nie odstąpiło mnie nawet na chwilę.

Wykorzystałem nieobecność Soli na dokładniejsze przyjrzenie się pomieszczeniu, w którym zostałem uwięziony. Naścienne malowidła przedstawiały sceny o rzadkim pięknie – góry, rzeki, jezioro, ocean, łąkę, drzewa i kwiaty, kręte drogi, skąpane w promieniach słońca ogrody. Obrazy te mogłyby przedstawiać ziemskie krajobrazy, gdyby nie inne kolory roślinności. Ich nastrój był tak subtelny, technika wykonania tak doskonała, że na pierwszy rzut oka można było poznać, iż wyszły spod ręki prawdziwego mistrza. Jednak na żadnym z nich nie zauważyłem przedstawiciela fauny – ani człowieka, ani zwierzęcia, który by mi dał wyobrażenie o wyglądzie tych innych i prawdopodobnie wymarłych mieszkańców Marsa.

Gdy pozwalałem mojemu umysłowi snuć najróżniejsze przypuszczenia na temat możliwych wyjaśnień tych dziwnych anomalii, z którymi się dotychczas na Marsie zetknąłem, wróciła Sola, niosąc pożywienie. Postawiła je na podłodze obok mnie, a sama usiadła nieco dalej i zaczęła mi się intensywnie przyglądać. Jedzenie składało się z około funta gęstej, niemal pozbawionej smaku substancji o konsystencji sera, zaś napój był najwyraźniej mlekiem jakiegoś zwierzęcia. Nie było ono nieprzyjemne w smaku, jakkolwiek nieco kwaśne, i w krótkim czasie nauczyłem się cenić je bardzo wysoko. Nie pochodziło, jak się później zorientowałem, od żadnego ssaka, gdyż na Marsie był tylko jeden, niezwykle przy tym rzadki gatunek zwierząt ssących. Uzyskiwało się je z wysokich roślin, które potrafiły rosnąć na bezwodnym praktycznie obszarze i zdawały się wytwarzać spore ilości mleka wyłącznie ze składników pobieranych z gleby, atmosfery oraz z promieni słonecznych. Jedna taka roślina potrafiła dać osiem do dziesięciu kwart mleka dziennie.

Po posiłku poczułem się znacznie wzmocniony, ale jednocześnie dało o sobie znać zmęczenie. Wyciągnąłem się na kawałkach jedwabiu i wkrótce usnąłem. Spałem prawdopodobnie kilka godzin, gdyż kiedy się obudziłem panował już mrok. Było mi bardzo zimno. Zauważyłem, że ktoś narzucił na mnie futro, jednak się ono częściowo zsunęło i w ciemnościach nie mogłem sobie dać rady z wciągnięciem go na siebie z powrotem. Nagle czyjaś dłoń poprawiła je starannie, a potem dorzuciła jeszcze jedno.

Przypuszczałem, że moją opiekunką była Sola i nie myliłem się. Jedynie ta dziewczyna, spośród wszystkich zielonych Marsjan, z którymi się zetknąłem okazywała mi sympatię, uprzejmość, a nawet pewne przywiązanie. Dbała o zaspokajanie moich potrzeb cielesnych bardzo starannie, a jej troskliwa opieka oszczędziła mi wielu cierpień.

Jak się miałem wkrótce przekonać marsjańskie noce są bardzo zimne, a ponieważ prawie nie ma świtu ani zmierzchu, skoki temperatury są gwałtowne i bardzo nieprzyjemne, podobnie jak szybkie przejścia od jasnego dnia do ciemności. Noce są jasne i rozświetlone albo bardzo ciemne. Jeżeli na niebie nie ma akurat żadnego z dwóch księżyców, cienka warstwa atmosfery nie rozprasza światła gwiazd w wystarczającym stopniu i panują kompletne ciemności. I przeciwnie – jeśli oba księżyce wiszą na niebie, powierzchnia planety jest oświetlona bardzo jasno.

Oba księżyce Marsa są znacznie bliżej swej macierzystej planety niż nasz Księżyc Ziemi – bliższy z nich znajduje się w odległości około pięciu tysięcy mil, natomiast dalszy w niewiele większej niż czternaście tysięcy, podczas gdy nasz Księżyc oddziela od Ziemi prawie ćwierć miliona mil. Bliższy księżyc obiega Marsa w nieco ponad siedem i pół godziny, więc każdej nocy można go widzieć dwu- lub trzykrotnie, jak przemyka po niebie niczym ogromny meteor. Dalszy księżyc zamyka swoją drogę wokół planety w trzydzieści godzin i piętnaście minut i wraz ze swym bratnim satelitą powoduje, że nocny krajobraz Marsa odznacza się szczególnym pięknem. Dobrze się stało, że natura postanowiła tak intensywnie rozjaśniać mroki nocy, gdyż zieloni Marsjanie, będący rasą koczowników o niezbyt wysoko rozwiniętym intelekcie, mają bardzo skąpe i prymitywne sposoby sztucznego oświetlenia. Posługują się przede wszystkim pochodniami, świecami i osobliwymi lampami naftowymi, wytwarzającymi gaz i płonącymi bez knota, które dają wyjątkowo jasne, białe światło. Jednak ze względu na to, że zdobycie nafty wiąże się z pewnym wysiłkiem przy jej wydobywaniu, a poza tym miejsca, w których ona występuje są nieliczne i rozrzucone w dużej od siebie odległości, lampy te są rzadko używane.

Gdy Sola poprawiła okrywające mnie futra, usnąłem znowu i obudziłem się dopiero po nadejściu dnia. Pozostali mieszkańcy pokoju, pięć kobiet, jeszcze spali, przykryci pstrymi stertami jedwabiu i futer. W poprzek progu leżała w tej samej pozycji, w jakiej zostawiłem ją poprzedniego dnia, pilnująca mnie bestia-wartownik. Najwyraźniej nie drgnęła nawet w ciągu ostatnich godzin i teraz czujnie wlepiała we mnie ślepia. Zacząłem się zastanawiać, co by mnie spotkało z jej strony, gdybym zdecydował się uciekać.

Zawsze miałem skłonności do poszukiwania przygód, do badania rzeczy, które inni ludzie z ostrożnością obchodzili z daleka, doszedłem więc do wniosku, że najpewniejszym sposobem przekonania się o zamiarach bestii wobec mnie będzie próba opuszczenia pokoju. Byłem pewien, że jeżeli uda mi się wydostać na zewnątrz z łatwością jej ucieknę, posługując się moją zdolnością do dalekich skoków. Co więcej, z niewielkiej długości jej nóg wysnułem wniosek, że nie potrafi ona skakać, a prawdopodobnie także szybko biegać. Powoli i ostrożnie podniosłem się na nogi i zobaczyłem, że mój strażnik zrobił to samo. Zacząłem się przesuwać w jego kierunku, zauważając przy tym, że jeżeli poruszam się nie odrywając stóp od ziemi, jestem w stanie utrzymać równowagę. W miarę, jak się do niego zbliżałem strażnik cofał się ostrożnie do tyłu, a gdy stanąłem w drzwiach, przepuścił mnie, odsuwając się na bok. Wyszedłem na pustą ulicę, a on poszedł za mną, około dziesięć kroków w tyle.

Jego zadanie miało polegać prawdopodobnie tylko na ochranianiu mnie, jednak, gdy doszliśmy do skraju miasta, zagrodził mi nagle drogę, wydając dziwne dźwięki i odsłaniając brzydkie, ostre kły. Postanowiłem zabawić się nieco jego kosztem. Ruszyłem naprzód i gdy byłem tuż przed nim, wyskoczyłem w powietrze, lądując daleko za jego plecami i poza obrębem miasta. Odwrócił się błyskawicznie i runął ku mnie z najbardziej zatrważającą szybkością, jaką kiedykolwiek widziałem. Myślałem, że jego krótkie nogi uniemożliwiają mu szybkie poruszanie się, ale gdyby uczestniczył w zawodach z chartami, te ostatnie w porównaniu z nim zdawałyby się stać w miejscu. Jak się później dowiedziałem, to zwierzę należało do najszybszych stworzeń na Marsie i dzięki swojej inteligencji, wierności i drapieżności było używane w wojnach, na polowaniach i jako obrońca swoich panów, Marsjan.

Zorientowałem się szybko, że nie uda mi się uciec, jeżeli będę skakał wprost przed siebie, więc, gdy pędzący ku mnie stwór był już bardzo blisko, skoczyłem z powrotem. Ten manewr dał mi pewną przewagę i udało mi się osiągnąć miasto chwilę wcześniej niż jemu i wskoczyć na jedno z okien budynku około trzydziestostopowej wysokości, stojącego frontem do doliny.

Usiadłem na parapecie, nie zaglądając do wewnątrz i patrzyłem w dół na zawiedzione zwierzę. Jednak moja radość trwała dość krótko, gdyż w chwilę po tym, jak się wygodnie usadowiłem ogromna ręka schwyciła mnie z tyłu za kark i gwałtownie wciągnęła do pokoju. Zostałem rzucony na podłogę i zobaczyłem nad sobą ogromne, podobne do małpy stworzenie, białe i bezwłose z wyjątkiem porastającej łeb kępy najeżonej sierści.

Walka, w której zdobyłem przyjaciół

Istota, bardziej przypominająca ludzi z Ziemi niż tych Marsjan, których widziałem, przygniatała mnie do podłogi ogromną stopą, jednocześnie bełkocąc i gestykulując do czegoś, co się znajdowało poza zasięgiem mego wzroku. To drugie stworzenie, samica, wkrótce podeszło do nas, trzymając w łapie kamienną maczugę, którą z pewnością chciała roztrzaskać mi czaszkę.

Stwory te miały dziesięć lub piętnaście stóp wzrostu w pozycji wyprostowanej oraz, podobnie jak zieloni Marsjanie, dodatkową parę kończyn, umiejscowioną w połowie odległości między kończynami górnymi a dolnymi. Ich oczy były osadzone blisko siebie, w głębi czaszki, uszy sterczały dość wysoko, ale były umieszczone bardziej po bokach niż u Marsjan, zaś pyski i zęby do złudzenia przypominały te, które widziałem u naszych afrykańskich goryli. W sumie nie były brzydsze od zielonych Marsjan.

Maczuga kołysała się niebezpiecznie blisko mojej twarzy i w końcu pewnie by na nią spadła, lecz nagle przez drzwi wbiegło z szybkością kuli armatniej wielonogie straszydło i rzuciło się wprost na pierś mego niedoszłego kata. Przytrzymująca mnie małpa z okrzykiem strachu wyskoczyła przez okno, lecz druga zwarła się w śmiertelnej walce z moim niespodziewanym obrońcą, którym okazał się być mój strażnik, a którego wciąż nie udawało mi się nazywać w myślach psem. Podniosłem się z podłogi tak szybko, jak potrafiłem i stanąłem pod ścianą, przyglądając się walce. Siły, zręczności i dzikiej zażartości obu tych stworzeń nie można porównać z niczym znanym ziemskiemu człowiekowi. Mój obrońca zdobył z początku pewną przewagę, zatapiając kły głęboko w piersi przeciwnika, ale wkrótce wielkie, muskularne łapy małpy zacisnęły się na jego gardle i zaczęły mu wykręcać łeb do tyłu, tak, że spodziewałem się, iż lada chwila padnie ze skręconym karkiem. Małpa wyrywała sobie przy tym ogromny płat

Zwycięzca i wódz

Następnego ranka wstałem bardzo wcześnie. Pozostawiono mi względną swobodę – Sola powiedziała mi, że póki nie próbuję opuścić miasta, wolno mi wychodzić i wracać kiedy mi się podoba. Ostrzegła mnie jednocześnie, abym nie oddalał się zbytnio bez broni, gdyż w tym mieście, podobnie jak we wszystkich opuszczonych metropoliach starej marsjańskiej cywilizacji, często spotyka się, jak już tego doświadczyłem, wielkie białe małpy. Dodała przy tym, że Woola nie dopuści, abym wyszedł poza granice miasta i bardzo stanowczo uprzedziła przed igraniem z krwiożerczą naturą zwierzęcia, to znaczy niezwracaniem uwagi na jego ostrzeżenia po zbyt bliskim podejściu do obszarów, na które nie wolno mi wchodzić. Gdybym próbował mu się przeciwstawić przywlókłby mnie z powrotem do miasta żywego albo umarłego. „Najprawdopodobniej umarłego" – dodała.

Tego rana byłem zajęty badaniem nieznanej mi dotąd ulicy i nieoczekiwanie znalazłem się blisko granicy miasta. Przede mną leżało pasmo niskich wzgórz, poprzecinane wąskimi wąwozami. Zapałałem chęcią zbadania okolicy i przyjrzenia się krajobrazowi, który krył się poza zasłaniającymi mi widok wzgórzami.

Zauważyłem także, że jest to znakomita okazja do sprawdzenia jak zachowa się Woola. Byłem pewien, że mnie lubi, dostarczył mi na to więcej dowodów niż jakakolwiek inna marsjańska istota. Miałem nadzieję, że wdzięczność za dwukrotne uratowanie mu życia przeważy nad obowiązkiem, nałożonym na niego przez jego okrutnych panów. Gdy podchodziłem do granicy miasta Woola biegł nerwowo przede mną, od czasu do czasu ocierając się o moje nogi. Wygląd miał raczej smutny niż drapieżny, nie obnażał wielkich kłów ani nie warczał ostrzegawczo. Pozbawiony przyjaźni i towarzystwa istot, należących do mego gatunku, obdarzałem dość dużą życzliwością Woolę i Solę, gdyż pochodzący z Ziemi człowiek musi znaleźć ujście dla swych naturalnych uczuć. Zdecydowałem się, że będę polegał na podobnym instynkcie tej wielkiej bestii i miałem nadzieję, że się nie rozczaruję.

Nigdy go nie głaskałem ani się z nim nie bawiłem, ale teraz usiadłem na ziemi, objąłem ramionami jego grubą szyję i zacząłem przemawiać nowo nauczonym językiem, tak jakbym przemawiał do mego ziemskiego psa. Reakcja była taka, jakiej się spodziewałem – otworzył pysk najszerzej jak mógł, pokazując przy tym cały komplet zębów i marszcząc skórę, w której niemal całkowicie zginęły jego ślepia. Jeśli widzieliście kiedykolwiek uśmiechającego się szkockiego owczarka, to macie pewne wyobrażenie o tym, jak w tej chwili wyglądał Woola.

Przewrócił się na grzbiet i wesoło tarzał tuż przy moich stopach, potem nagle skoczył, przewracając mnie swoim ciężarem na ziemię, wreszcie zaczął się kręcić i podskakiwać, jak mały, domagający się pieszczot szczeniak. Jego zachowanie było tak zabawne, że nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem szczerym śmiechem, po raz pierwszy od dnia, w którym Powell opuścił nasz obóz. Niespodziewany wybuch mojej wesołości przestraszył Woolę. Przestał podskakiwać i tarzać się i spuścił łeb, zerkając na mnie błagalnie. Podszedł nieśmiało i położył mi głowę na kolanach. Przypomniałem sobie wtedy, co oznacza śmiech na Marsie – tortury, cierpienia, śmierć. Umilkłem i przez kilka minut poklepywałem go, głaskałem i przemawiałem do niego. Potem podniosłem się i stanowczym tonem poleciwszy mu, aby szedł za mną, ruszyłem w stronę wzgórz.

Posłuchał mnie i od tej chwili był już moim oddanym niewolnikiem, a ja jego jedynym i niezaprzeczalnym panem. Po kilku minutach marszu dotarłem do wzgórz i nie znalazłem tam nic, co by mnie szczególnie zainteresowało. Zbocza wąwozów porośnięte były dużą ilością kolorowych i dziwnie ukształtowanych kwiatów, a ze szczytu pierwszego wzgórza zobaczyłem, że pasmo ciągnie się ku północy, coraz wyżej, aż wtapia się w łańcuch gór, które wydały mi się bardzo wysokie. Potem dowiedziałem się, że tylko kilka szczytów na Marsie sięga czterech tysięcy stóp wysokości – okazuje się, że również pojęcie wielkości jest względne.

Jednak mój poranny spacer miał dla mnie ogromne znaczenie, gdyż jego rezultatem było całkowite porozumienie z Woolem, który z polecenia Tars Tarkasa miał być moim strażnikiem. Teraz już wiedziałem, że chociaż wciąż – teoretycznie – więziony, jednak w praktyce byłem wolny. Starałem się jak najszybciej dotrzeć z powrotem do miasta, zanim nieposłuszeństwo zwierzęcia zostanie dostrzeżone przez jego byłych panów. Postanowiłem nie opuszczać wyznaczonych mi granic do czasu, aż będę gotów, by je opuścić na zawsze. Takie wycieczki, gdyby je zauważono, Woola mógł przypłacić życiem, a ja utratą tej swobody, która się dotychczas cieszyłem.

Kiedy wróciłem na plac, po raz trzeci ujrzałem dziewczynę. Stała w towarzystwie strażników przed wejściem do sali audiencyjnej, a gdy podszedłem bliżej rzuciła mi wyniosłe spojrzenie i odwróciła się plecami. Jej zachowanie było tak kobiece, w znaczeniu ziemskim, że jakkolwiek moja godność własna została urażona, serce wypełniło mi ciepłe uczucie wspólnoty. Dobrze było wiedzieć, że ktokolwiek na



skóry na piersiach, trzymany żelaznym chwytem szczęk mojego strażnika. Przewrócili się i tarzali po całej podłodze pomieszczenia. Żadne z nich nie wydało przy tym jęku bólu czy strachu. Zobaczyłem, że wielkie ślepia mojego obrońcy wyszły niemal całkowicie z orbit, a z nozdrzy strumieniem cieknie krew. Słabł w sposób widoczny, lecz małpa również goniła resztkami sił i jej ruchy stawały się coraz mniej gwałtowne. Nagle, pchnięty przez ów dziwny instynkt, który zawsze zdawał się wskazywać mi, na czym polega mój obowiązek, schwyciłem kamienną maczugę, porzuconą w ferworze walki na podłodze i z całą siłą moich ziemskich ramion opuściłem ją na czaszkę małpy, która pękła jak skorupa jajka.

W chwilę po zadaniu ciosu stanąłem oko w oko z nowym niebezpieczeństwem. Samiec, otrząsnąwszy się z pierwszego strachu wrócił na pole walki przez wnętrze budynku. Zauważyłem go na chwilę przed tym, jak stanął w drzwiach do pokoju i zobaczywszy swoją towarzyszkę leżącą bez życia na podłodze, zaryczał z wściekłości, wyszczerzając ku mnie wielkie kły. Muszę przyznać, że jego widok napełnił mnie jak najgorszymi przeczuciami.

Jestem zawsze gotów do walki, jeżeli stosunek sił nie przemawia zbyt wyraźnie na moją niekorzyść, ale w tej chwili nie widziałem żadnych szans w przeciwstawieniu mojej, stosunkowo niewielkiej siły żelaznym mięśniom i wściekłemu okrucieństwu tego mieszkańca nieznanego świata. Byłem natomiast przekonany, że jedynym rezultatem takiej walki byłaby moja szybka śmierć. Stałem blisko okna i widziałem, że jeśli uda mi się dotrzeć na plac, zanim ta bestia mnie złapie, będę całkowicie bezpieczny. W ucieczce leżała szansa na uratowanie się, natomiast zostając i podejmując walkę, choć z pewnością byłaby ona zacięła, skazywałem się na pewną śmierć.

Trzymałem co prawda maczugę, ale co mogłem nią zdziałać przeciwko jego czterem mocnym i długim rękom? Nawet gdybym złamał jedną z nich pierwszym uderzeniem, gdyż prawdopodobnie starałby się zasłonić przed ciosem, schwyciłby mnie i zgniótł pozostałymi, zanim bym zdążył zamierzyć się po raz drugi. Takie myśli przemknęły mi przez głowę, kiedy zwracałem się w stronę okna, ale zanim to uczyniłem zahaczyłem spojrzeniem o ciało mojego dzielnego obrońcy. Ciężko dysząc leżał na podłodze, a z utkwionych we mnie ślepiów wyzierała żałosna prośba o pomoc i ochronę. Nie mogłem się oprzeć temu spojrzeniu, nie mogłem opuścić mego zbawcy nie walcząc o niego przynajmniej tak, jak on walczył o mnie.

Nie zastanawiając się dłużej odwróciłem się, by stawić czoła atakowi rozjuszonej bestii. Była zbyt blisko mnie, abym mógł użyć maczugi w skuteczny sposób, jednak udało mi się uderzyć nią w nogi małpy tuż pod kolanami. Wydała ryk bólu i wściekłości i straciła równowagę. Wyciągnęła przed siebie łapy, by złagodzić upadek i zaczęła się na mnie przewracać.

Uciekłem się znów, jak poprzedniego dnia, do ziemskiej taktyki walki i prawą ręką wymierzyłem jej potężny cios w podbródek, po czym natychmiast poprawiłem z całej siły z lewej w żołądek. Rezultat był nadzwyczajny – małpa, gwałtownie chwytając powietrze i porykując z bólu, okręciła się wokół osi i osunęła na podłogę. Przeskoczyłem przez leżące cielsko i, chwyciwszy maczugę, roztrzaskałem jej czaszkę.

Usłyszałem wybuch chrapliwego śmiechu. Odwróciłem się i zobaczyłem Tars Tarkasa, Solę i trzech czy czterech wojowników stojących przy wejściu do pokoju. Gdy moje oczy spotkały się z ich wzrokiem zostałem, już po raz drugi, nagrodzony gorącymi oklaskami.

Sola, obudziwszy się, zauważyła moją nieobecność i zawiadomiła o niej Tars Tarkasa, który wraz z kilkoma wojownikami natychmiast wyruszył na poszukiwania. Gdy zbliżyli się do granicy miasta zauważyli białą małpę z wściekłym rykiem wbiegającą do budynku.

Podążyli za nią, słusznie uważając, że jej akcja ma jakiś związek z moją osobą i byli świadkami mojej krótkiej, lecz śmiertelnej z nią walki. To wydarzenie, łącznie z moim wczorajszym starciem z marsjańskim wojownikiem oraz umiejętnością skakania, sprawiło, że zaczęli mnie darzyć pewnym szacunkiem. Istoty te, najwyraźniej nie znające uczuć wyższego typu jak przyjaźń, miłość czy przywiązanie, wysoko cenią sprawność fizyczną i odwagę. Nikt nie jest zbyt dobry lub zbyt zły na to, by zyskać ich poklask tak długo, póki dostarcza wciąż nowych dowodów swojej siły, umiejętności i odwagi.

Sola, która z własnej woli towarzyszyła poszukującemu mnie oddziałowi, była jedynym członkiem grupy, którego twarz nie była wykrzywiona śmiechem, gdy walczyłem o swoje życie. Przeciwnie, w sposób widoczny niepokoiła się o mnie i natychmiast, gdy dobiłem małpę podeszła do mnie i starannie obejrzała moje ciało, szukając ran lub skaleczeń. Przekonawszy się, że wyszedłem bez szwanku uśmiechnęła się nieznacznie i chwyciła moją dłoń, pociągając mnie w stronę wyjścia.

Tars Tarkas i inni weszli do środka i teraz stali nad szybko wracającym do życia zwierzęciem, które ocaliło mi życie i które, w zamian, ja uratowałem. Zdawali się być pogrążeni w dyskusji, a w końcu jeden z nich powiedział coś do mnie, lecz przypomniał sobie, że nie rozumiem ich języka i znów zwrócił się do Tars Tarkasa. Dowódca wydał mu jakiś rozkaz i poszedł za nami.

W ich stosunku do mojego zwierzęcia była jakaś ukryta groźba i nie chciałem wychodzić z pokoju aż do chwili, gdy dowiem się, na czym ona polega. Dobrze się stało, gdyż wojownik wyjął z kabury jakiś groźnie wyglądający pistolet i najwyraźniej miał zamiar położyć kres życiu zwierzęcia. Skoczyłem naprzód i podbiłem jego rękę. Kula, uderzywszy w drewniane obramowanie okna eksplodowała, wyrywając w murze pokaźną dziurę. Ukląkłem obok rozglądającego się ze strachem zwierzęcia, podniosłem je na nogi i gestem nakazałem iść za sobą. Zdziwione spojrzenia, jakimi obrzucili mnie Marsjanie były niemal zabawne – sami ich nie znając, nie mogli zrozumieć uczuć wdzięczności i współczucia. Wojownik, któremu podbiłem pistolet spojrzał pytająco na Tars Tarkasa, ale ten nakazał mu zostawić mnie w spokoju. Wróciliśmy więc na plac. Przeszedłem całą drogę trzymając mocno ramię Soli, a moja wielka bestia podążała tuż za mną. Miałem przynajmniej dwoje przyjaciół na Marsie – młodą kobietę, która opiekowała się mną z macierzyńską troskliwością i nieme zwierzę, które, jak się później przekonałem, kryło w swoim brzydkim ciele więcej miłości, wierności i wdzięczności niż pięć milionów Marsjan, włóczących się po opuszczonych miastach i dnach wyschniętych mórz tej planety.

Wychowywanie dzieci na Marsie

Po śniadaniu, dokładnie takim samym, jak posiłek, który spożyłem poprzedniego dnia oraz jak wszystkie następne posiłki, zjedzone w czasie pobytu u zielonych Marsjan, Sola zaprowadziła mnie na plac, na którym niemal wszyscy mieszkańcy miasta zajęci byli pilnowaniem słoniopodobnych zwierząt lub zaprzęganiem ich do trójkołowych wozów. Naliczyłem około dwustu pięćdziesięciu wehikułów, każdy ciągnięty przez jedno zwierzę, które mogło, sądząc z wyglądu, pociągnąć kilkuwagowy, w pełni załadowany pociąg.

Wozy były wielkie, wygodne i pięknie zdobione. W każdym z nich siedziała marsjańska kobieta obwieszona metalowymi ozdobami i klejnotami, okryta jedwabiem i futrami, a na grzbiecie każdego ciągnącego wóz zwierzęcia ulokował się w wysokim siodle młody woźnica. Podobnie jak wierzchowce, których używali wojownicy i te pociągowe zwierzęta nie miały lejców ani uzd i były kierowane wyłącznie za pomocą telepatii.

Marsjanie mają znakomicie rozwinięte zdolności telepatyczne, czego rezultatem jest znaczna prostota ich języka oraz sposób prowadzenia dyskusji, w czasie których, choćby były bardzo długie, pada stosunkowo niewiele słów. Telepatia jest uniwersalnym językiem na Marsie, za pomocą którego zamieszkujące tę planetę paradoksów różnego typu istoty mogą porozumiewać się w mniejszym lub większym zakresie, w zależności od rozwoju intelektualnego i indywidualnych zdolności.

Gdy kawalkada ustawiła się w kolumnę marszową, Sola wciągnęła mnie do pustego wozu i ruszyliśmy w kierunku miejsca, przez które wjechałem wczoraj do miasta. Na czele podążało około dwustu wojowników, podobna liczba zamykała pochód, zaś dwudziestu pięciu lub trzydziestu osłaniało nas z każdego boku.

Wszyscy oprócz mnie, mężczyźni, kobiety i dzieci, byli uzbrojeni po zęby, a za każdym wozem biegł marsjański pies. Mój własny podążał tuż za naszym wehikułem i od tej pory nie opuścił mnie dobrowolnie przez całe dziesięć lat, które spędziłem na Marsie. Nasza droga wiodła przez dolinę i wzgórza na dno wyschniętego morza, w kierunku inkubatora, od którego rozpocząłem moją podróż. Celem podróży tego dnia był, jak się okazało, właśnie inkubator i już wkrótce go dostrzegliśmy, a cała kawalkada puściła się ku niemu dzikim galopem.

Po zatrzymaniu się Marsjanie zaparkowali wozy z wojskową precyzją, otaczając z czterech stron niską budowlę. Połowa wojowników, w tym Tars Tarkas i kilku mniej ważnych dowódców, prowadzona przez ogromnego wodza poszła w jej kierunku. Zauważyłem, że Tars Tarkas tłumaczy coś wodzowi, którego imię brzmiało Lorquas Ptomel, Jed – przy czym „Jed" było jego tytułem.

Wkrótce się dowiedziałem jaki był temat ich rozmowy, gdyż Tars Tarkas krzyknął do Soli, aby mnie do niego przysłała. Opanowałem już sztukę chodzenia w warunkach marsjańskiej grawitacji i, podporządkowawszy się jego poleceniu, szybko poszedłem ku tej ścianie inkubatora, przy której stali wojownicy.

Gdy byłem już blisko zauważyłem, że niemal ze wszystkich jaj wylęgły się, rojące się teraz wewnątrz inkubatora małe potworki. Ich wzrost zawierał się pomiędzy trzema a czterema stopami. Niezmordowanie krążyły wewnątrz zamkniętej ścianami przestrzeni, jakby w poszukiwaniu pożywienia.

Zatrzymałem się przed Tars Tarkasem, a on wyciągnął rękę ponad budowlę i powiedział „sak". Zrozumiałem, że chce abym powtórzył dla Lorquasa Ptomela wykonany tu wczoraj skok, a ponieważ moje

przez moment, gdy była prowadzona do wielkiej sali audiencyjnej, tej samej, w której po raz pierwszy miałem okazję spotkać się z Lorquas Ptomelem. Nie mogłem nie zauważyć brutalności, z jaką strażnicy się z nią obchodzili, tak różnej od niemal macierzyńskiej troski, którą otaczała mnie Sola oraz od okazywanego mi szacunku przez tych zielonych Marsjan, którzy w ogóle zadawali sobie trud, by mnie dostrzegać.

Zarówno za pierwszym, jak i drugim razem, gdy ją widziałem zwróciłem uwagę na to, że uwięziona zamienia kilka słów ze strażnikami. Wyciągnąłem z tego wniosek, że mówi ona tym samym językiem, co zieloni Marsjanie, a w każnym razie potrafi się z nimi porozumieć. Wobec tego nalegałem na Solę, bardzo tym faktem zdziwioną, aby uczyła mnie języka w sposób bardziej intensywny i w ciągu kilku dni opanowałem go na tyle, by móc prowadzić w miarę urozmaiconą rozmowę, rozumiałem zaś niemal wszystko, co było do mnie czy wokół mnie mówione.

W pomieszczeniu, które zajmowaliśmy, sypiały teraz oprócz mnie, Soli, jej wychowanka i psa Woola, trzy czy cztery kobiety wraz z dziećmi. Dorośli mieli zwyczaj wymieniać przed udaniem się na spoczynek kilka przypadkowych uwag i teraz, znając już język, przysłuchiwałem się im z ciekawością, mimo że sam nigdy się nie wtrącałem. Wieczorem tego dnia, w którym uwięziona została doprowadzona do sali audiencyjnej rozmowa wreszcie skupiła się wokół niej. Momentalnie zamieniłem się w słuch. Uprzednio obawiałem się wypytywać Solę o pięknego jeńca, gdyż ciągle tkwił mi w pamięci dziwny wyraz jej twarzy po moim pierwszym spotkaniu z dziewczyną. Nie wiedziałem, co oznaczał, jednak, wciąż oceniając wszystko z punktu widzenia człowieka z Ziemi, uważałem, że będzie bezpieczniej okazywać obojętność, dopóki nie dowiem się, jakie uczucia Sola naprawdę żywi wobec przedmiotu mojego zainteresowania.

Sarkoja, jedna ze starszych kobiet, dzielących z nami pomieszczenia, była obecna w sali audiencyjnej jako strażniczka pojmanej i do niej właśnie były kierowane wszystkie pytania.

– Kiedy wreszcie – spytała jedna z kobiet – będziemy się radowali śmiertelnymi mękami Czerwonej? A może Lorquas Ptomel zamierza wymienić ją na okup?

– Zdecydowano zabrać ją do Thark – odpowiedziała Sarkoja – i poddać męczarniom w czasie Wielkich Igrzysk, aby również Tal Hajus mógł się cieszyć jej agonią.

– W jaki sposób zostanie uśmiercona? – spytała Sola. – Jest bardzo drobna i piękna. Sądziłam, że zostanie wymieniona na okup.

Sarkoja i inne kobiety oburzyły się, że Sola daje dowód słabości.

– Szkoda, Solo, że nie urodziłaś się milion lat temu – powiedziała Sarkoja złośliwie – gdy wszystkie zagłębienia w ziemi były wypełnione wodą, a ludzie mieli charaktery miękkie jak ciecz, po której pływali. Dzisiaj jesteśmy już na tyle rozwinięci, że zdajemy sobie sprawę, iż tego typu sentymenty oznaczają tylko słabość i atawizm. Nie byłoby dla ciebie dobrze, gdyby Tars Tarkas dowiedział się, że hodujesz w sobie tak zdegenerowane uczucia. Wątpię czy by ci pozwolił wypełniać w dalszym ciągu obowiązki matki.

– Nie widzę nic złego w moim zainteresowaniu losem tej kobiety – odpowiedziała Sola. – Nigdy nas nie skrzywdziła i przypuszczam, że nie wyrządziłaby nam żadnej krzywdy, gdybyśmy wpadli w jej ręce. Tylko mężczyźni jej rasy prowadzą z nami wojnę i zawsze uważałam, że ich stosunek do nas jest tylko odbiciem, na dodatek nikłym, naszego stosunku do nich. Żyją w przyjaźni ze wszystkimi swoimi sąsiadami, chyba że obowiązek wzywa ich do walki, podczas gdy my walczymy bez przerwy i ze wszystkimi, zarówno z czerwonymi, jak i z własną rasą. Nawet w obrębie plemion stale są toczone walki między poszczególnymi wojownikami. Całe nasze życie jest znaczone przelaną krwią, od chwili gdy przebijemy skorupę jajka, aż do momentu, w którym powierzamy się tajemniczym wodom rzeki Iss, unoszącym nas ku nieznanemu, ale na pewno nie bardziej przerażającemu i okrutnemu przeznaczeniu. Szczęśliwy jest ten, kogo śmierć zabiera w młodości! Powiedz Tars Tarkasowi co ci się podoba, nie wymyśli on dla mnie nic gorszego niż to straszne życie, które teraz jest naszym udziałem.

Ta nieoczekiwana i gwałtowna tyrada tak zaskoczyła i zbiła z tropu pozostałe kobiety, że nie zdobyły się na nic ponad kilka słów ogólnej reprymendy. Potem zapadły w długie, milczenie, a wkrótce posnęły. Ten incydent przekonał mnie, że Sola nie żywi wobec dziewczyny wrogich uczuć oraz że miałem wyjątkowe szczęście dostając się w jej ręce, a nie w ręce którejś z pozostałych kobiet. Wiedziałem, że mnie lubi, a teraz, gdy usłyszałem, że nienawidzi okrucieństwa i barbarzyństwa, zacząłem żywić nadzieję, iż mogę liczyć na jej pomoc w zorganizowaniu ucieczki, zakładając oczywiście, że taka ucieczka była możliwa.

Nie wiedziałem czy na Marsie jest jakieś lepsze dla mnie miejsce, ale jeśli nawet nie, to wolałem raczej ryzykować życie wśród podobnych mi ludzi niż zostać dłużej wśród potwornych, krwiożerczych zielonych istot.

tych nieznanych wrogów, a także nadzieja, że flota wróci i wystawi rachunek zielonym wojownikom, którzy ją tak bezlitośnie i okrutnie zaatakowali.

Wyszedłem na ulicę, a pies Woola biegł tuż za mną, na swoim już zwykłym miejscu. Wkrótce dogoniła mnie Sola. Karawana wozów wracała na plac. Wymarsz w stronę domu nie został podjęty na nowo ani tego dnia, ani przez cały następny tydzień ze względu na obawę przed powrotem powietrznej floty. Lorquas Ptomel był zbyt przebiegłym i doświadczonym żołnierzem, aby dać się złapać na otwartej przestrzeni z mało ruchliwymi wozami, obciążonymi na dodatek łupami i dziećmi. Pozostaliśmy więc w opuszczonym mieście do czasu, aż, jak się zdawało, niebezpieczeństwo minęło.

Gdy Sola i ja weszliśmy na plac ujrzałem widok, który napełnił mnie mieszaniną nadziei, strachu, radości i smutku, a nad tym wszystkim dominowało uczucie ulgi i szczęścia. Dwie kobiety brutalnie ciągnęły w kierunku wejścia do najbliższego budynku jeńca ze statku powietrznego. Była to dziewczyna, podobna w każdym szczególe do kobiet z Ziemi. W pierwszej chwili mnie nie zauważyła, ale gdy przekraczałem drzwi do budynku, który stać się miał jej więzieniem, odwróciła głowę i jej oczy spotkały się z moimi. Miała bardzo piękną, owalną twarz o delikatnie rzeźbionych rysach, wielkie, błyszczące oczy i czarne jak węgiel włosy, ułożone w dziwny, a jednocześnie bardzo do niej pasujący sposób. Zaróżowione policzki i wspaniale ukształtowane usta pięknie kontrastowały ze skórą o lekko czerwonomiedzianym odcieniu. Podobnie jak prowadzące ją zielone Marsjanki nie nosiła żadnej odzieży, oprócz delikatnie wykonanych ozdób, ale żadna szata nie mogłaby bardziej podkreślić piękna jej doskonałej figury.

Gdy mnie dostrzegła jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a potem wykonała swobodną ręką jakiś mały gest, znaczenia którego, oczywiście, nie mogłem się domyślić. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie i wraz z upływem sekund wyraz nadziei i nowej odwagi, który rozświetlił jej twarz, gdy mnie ujrzała, zmieniał się w rozczarowanie, spod którego przebijała niechęć i pogarda. Zrozumiałem, że było to wynikiem tego, że nie odpowiedziałem na jej sygnał. Przy całej swej ignorancji marsjańskich obyczajów intuicyjnie czułem, że gestem tym prosiła mnie o pomoc i opiekę. Potem zniknęła mi z oczu w głębi opuszczonego gmachu.

Uczę się języka

Gdy otrząsnąłem się z wrażenia, spojrzałem na Solę, która była świadkiem spotkania i zdumiał mnie dziwny wyraz jej zwykle obojętnej twarzy. Nie wiem o czym myślała, nie mogłem o to spytać, gdyż dotychczas opanowałem język marsjański w stopniu wystarczającym tylko na wyrażenie najprostszych, codziennych potrzeb.

U drzwi budynku, w którym mieszkaliśmy spotkała mnie dziwna niespodzianka. Podszedł do mnie wojownik i podał mi broń, ozdoby i pozostały rynsztunek, noszony przez jego rasę. Powiedział do mnie kilka niezrozumiałych słów, zachowując się z szacunkiem, a zarazem jakby grożąc mi. Sola, korzystając z pomocy kilku innych kobiet, przerobiła później to wszystko tak, by pasowało do moich mniejszych rozmiarów.

Odtąd Sola zaczęła wprowadzać mnie w tajniki posługiwania się różnymi rodzajami broni i wraz z młodym Marsjaninem spędzaliśmy codziennie kilka godzin na placu, doskonaląc swoje umiejętności. Nie potrafiłem jeszcze równie sprawnie posługiwać się każdym rodzajem broni, ale moja doskonała znajomość wszelkich typów oręża, używanego na Ziemi, czyniła ze mnie bardzo pojętnego, robiącego szybkie postępy ucznia.

Ćwiczenia, zarówno moje, jak i młodych Marsjan, przeprowadzały wyłącznie kobiety. Do ich obowiązków należy nie tylko doskonalenie młodzieży w sztuce indywidualnej obrony i ataku, ale i wytwarzanie przedmiotów, potrzebnych zielonym Marsjanom. Produkują proch, naboje, broń palną – praktycznie wszystkie potrzebne przedmioty na Marsie robione są przez kobiety. W czasie działań wojennych tworzą one oddziały rezerwowe i, w razie potrzeby, walczą z większą nawet inteligencją i zaciekłością niż mężczyźni. Ci natomiast ćwiczą się w bardziej skomplikowanych zagadnieniach – w strategii, w sztuce dowodzenia dużymi oddziałami. Tworzą także prawa, za każdym razem inne, w zależności od sprawy, w której mają być użyte. Ich wymiar sprawiedliwości nie opiera się na stałych zasadach, ma też za nic wszelkie precedensy. Zwyczaje utrwalały się przez wieki, z pokolenia na pokolenie, ale karę za ich naruszenie ustala się w oparciu o indywidualne podejście do każdej sprawy. Kara ta jest nakładana przez sąd, złożony z wojowników równych rangą przestępcy, i muszę powiedzieć, że rzadko bywa niesprawiedliwa. Marsjanie mają szczęście przynajmniej pod jednym względem – nie wiedzą co to zawodowy prawnik.

Nie widziałem uwięzionej dziewczyny przez kilka następnych dni, a potem widziałem ją zaledwie

umiejętności dawały mi niemało satysfakcji, więc skoczyłem, przelatując ponad ustawionymi po przeciwnej stronie inkubatora wozami. Gdy wróciłem Lorquas Ptomel zamruczał coś do mnie, a potem zwrócił się do wojowników z kilkoma słowami komendy dotyczącej inkubatora. Nie zwracali na mnie więcej uwagi, postanowiłem więc zostać i przyglądać się ich czynnościom, które miały na celu wybicie dziury w dachu inkubatora, dostatecznie dużej, aby mógł się przez nią wydostać nowo wykluty Marsjanin.

Z obu stron tego otworu kobiety uformowały ze swych ciał dwa szczelne mury, wiodące poprzez rząd wozów na równinę poza nimi, między którymi biegali dziko mali Marsjanie. Pozwalano im przebiec całą długość murów, a na końcu byli łapani przez kobiety i starsze dzieci. Ostatnia Marsjanka w rzędzie chwytała pierwsze dziecko, jakie do niej dobiegło, stojąca naprzeciw niej – następne i tak dalej, aż wszystkie małe stworki opuściły inkubator i zostały złapane przez jakąś kobietę lub kogoś z młodzieży. Kobiety, które już złapały dziecko wracały z powrotem do swoich wozów. Dziecko, które wpadło w ręce młodego Marsjanina płci męskiej było później oddawane jakiejś kobiecie.

Zobaczyłem, że ceremonia, jeśli to, co się działo można tak określić, została zakończona i wróciłem do mojego wozu. Zastałem w nim Solę, tulącą do siebie małego potworka.

Praca nad wychowaniem młodych Marsjan polegała wyłącznie na nauczeniu ich mówienia oraz posługiwania się bronią. Obie te nauki pobierają równocześnie od pierwszych dni życia. Wychodzą z jaj, w których leżały przez pięcioletni okres inkubacji całkowicie ukształtowane, z wyjątkiem wzrostu. Zupełnie nieznane swoim rzeczywistym matkom, które z kolei tylko w ogromnym przybliżeniu mogą określić ojca, są zwykle dziećmi całego plemienia. Ich wychowanie spoczywa zatem na tych kobietach, które je złapały po wyjściu z inkubatora. Wychowawczynie nawet mogą nie mieć własnych jaj w inkubatorze, jak to było w przypadku Soli. Jednak to wszystko jest rzeczą zupełnie zwykłą wśród zielonych Marsjan, którzy nie znają uczuć dziecka do rodziców i rodziców do dziecka, w takim sensie jak u nas na Ziemi. Przypuszczam, że to ten straszny, trwający od wieków system, jest bezpośrednią przyczyną utraty wszelkich uczuć wyższego rzędu i instynktów humanitarnych przez te biedne stworzenia. Od urodzenia nie znają miłości macierzyńskiej ani ojcowskiej, nie wiedzą, co oznacza pojęcie „dom rodzinny". Uczy się je, że zasługują na życie dopiero wtedy, gdy rozwojem fizycznym i okrucieństwem dowiodą, że są do tego przystosowane. Dzieci ułomne lub niedostatecznie sprawne są bezlitośnie zabijane i nikt nie uroni nad ich losem nawet jednej łzy.

Nie twierdzę, że dorośli Marsjanie okazują młodym niepotrzebne i zamierzone okrucieństwo, ale na tej umierającej planecie, której naturalne zasoby osiągnęły taki punkt, w którym każde dodatkowe życie oznacza ograniczenie dla społeczności, walka o przetrwanie jest twarda i bezlitosna. Dokonywany jest staranny wybór i wychowaniu podlegają tylko najsilniejsze jednostki, a liczba urodzeń jest regulowana z ponadnaturalną dalekowzrocznością przez przewidywaną liczbę zgonów. Każda dorosła kobieta składa przeciętnie trzynaście jaj rocznie i spośród nich tylko te, które odpowiadają wymogom pod względem ciężaru i rozmiarów są umieszczane w podziemnych lochach, w których temperatura jest zbyt niska, aby nastąpiła inkubacja. Każdego roku te jaja są starannie badane przez komisję złożoną z dwudziestu dowódców i wszystkie, oprócz stu najlepszych są niszczone. Pod koniec każdych pięciu lat z tysięcy jaj, które zostały w tym okresie złożone, zostaje tylko około pięciuset. Są one składane w szczelnie zamkniętych inkubatorach, gdzie przez następne pięć lat leżą, poddane działaniu promieni słonecznych. Wydarzenie, którego dzisiaj byliśmy świadkami było typowe dla całego procesu – z niemal wszystkich jaj wykluli się mali Marsjanie. Jeżeli z tych nielicznych, które pozostały wykluły się później marsjańskie dzieci – ich los już nikogo nie obchodził. Były niepożądane, gdyż mogłyby przynieść ze sobą umocnienie się i rozszerzenie tendencji do opóźnienia w wykluwaniu, a to mogłoby zakłócić system, który utrzymuje się od wieków i pozwala starszym Marsjanom określić właściwy na udanie się ku inkubatorom czas z dokładnością niemal do godziny.

Inkubatory są budowane w odległych miejscach, gdzie istnieje małe prawdopodobieństwo, że zostaną odnalezione przez inne plemiona. Rezultatem takiego katastrofalnego wydarzenia byłby brak dzieci w społeczności przez następne pięć lat. Miałem później stać się świadkiem odkrycia obcego inkubatora. Grupa Marsjan, z którą związał mnie los stanowiła część plemienia o liczebności około trzydziestu tysięcy osób. Zajmowali ogromny obszar jałowej i półjałowej ziemi, rozciągający się między czterdziestym a osiemdziesiątym stopniem szerokości geograficznej południowej, ograniczony od wschodu i zachodu przez dwa duże pasy ziemi uprawnej. Ich główne siedziby leżały na południowo-zachodnim krańcu tego obszaru, w pobliżu przecięcia dwóch tzw. kanałów marsjańskich.

Ponieważ inkubator został umieszczony daleko na północ od obszaru, na którym żyli, w miejscu nie zamieszkanym i prawdopodobnie przez nikogo nie odwiedzanym, czekała nas bardzo długa podróż na południe, po której, rzecz jasna, nie wiedziałem czego się spodziewać.

Po powrocie do umarłego miasta przeżyłem kilka dni na względnym próżniactwie. Następnego dnia wszyscy wojownicy wyjechali gdzieś wczesnym rankiem i wrócili dopiero tuż przed nastaniem nocy. Jak się później dowiedziałem byli w podziemnych lochach, przenieśli wszystkie jaja do inkubatora i zabezpieczyli go na następne pięć lat, podczas których najprawdopodobniej nie będzie odwiedzany.

Lochy, w których były przechowywane jaja, są położone wiele mil na południe od inkubatora i są odwiedzane corocznie przez komisję, złożoną z dwudziestu dowódców i wodzów. Dlaczego nie zdecydowali się zbudować tych lochów i inkubatorów bliżej swoich siedzib pozostało dla mnie tajemnicą nierozwiązywalną przy użyciu ziemskich pojęć i zwyczajów, jak wiele innych marsjańskich tajemnic.

Obowiązki Soli uległy teraz podwojeniu, gdyż musiała się opiekować zarówno mną, jak i małym Marsjaninem, ale żaden z nas nie wymagał specjalnej troski, a ponieważ obaj byliśmy jednakowo zaawansowani w wiedzy o tym świecie, postanowiła wychowywać nas razem.

Marsjański wychowanek miał około czterech stóp wzrostu, był bardzo silny i doskonale rozwinięty pod względem fizycznym. Uczył się szybko i bawiliśmy się znakomicie, przynajmniej ja, rywalizacją w zdobywaniu wiedzy. Język marsjański, jak już zaznaczyłem, jest niesłychanie prosty i już po tygodniu mogłem wypowiedzieć wszystko to, co chciałem i rozumiałem niemal wszystko, co do mnie mówiono. Podobnie rozwinąłem, pod kierunkiem Soli, moje umiejętności telepatyczne i wkrótce mogłem już odczuwać praktycznie wszystko, co się wokół mnie działo.

Solę niezwykle dziwił fakt, że podczas gdy ja mogłem odbierać od innych telepatyczne przesłania, nawet te nie przeznaczone dla mnie, to nikt w żadnych okolicznościach nie mógł przeczytać nawet ułamka moich myśli. Na początku trochę mnie to złościło, lecz wkrótce byłem bardzo z tego zadowolony, gdyż dawał mi on niezaprzeczalną przewagę nad Marsjanami.

Piękna niewolnica z niebios

Trzeciego dnia po ceremonii przy inkubatorze wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Zaledwie jednak czoło pochodu weszło na otwartą przestrzeń za miastem, wydano rozkaz natychmiastowego i spiesznego powrotu. Marsjanie, od lat ćwiczeni w wykonywaniu tego typu manewrów, zniknęli jak mgła w obszernych wejściach do najbliższych budynków i w trzy minuty później nie było już nawet śladu po wozach, pociągowych zwierzętach i jeźdźcach.

Sola i ja weszliśmy do budynku na skraju miasta, tego samego, w którym stoczyłem walkę z małpami. Chcąc dowiedzieć się, co spowodowało taki nagły odwrót, wszedłem na wyższe piętro. Stamtąd wyjrzałem przez okno w stronę doliny i położonych dalej wzgórz i zobaczyłem przyczynę, dla której Marsjanie tak nagle zaczęli szukać ukrycia. Ogromny statek powietrzny, długi, płaski, pomalowany na szaro przepływał wolno nad grzbietem najbliższego wzgórza. Za nim ukazał się następny i jeszcze jeden, i jeszcze, aż w końcu dwadzieścia statków szybowało nisko nad ziemią, powoli i majestatycznie zbliżając się do miasta. Wzdłuż każdego z nich, od dziobu po rufę, były przewieszone dziwne sztandary, na których wymalowano jakieś napisy, połyskujące w słońcu i wyraźnie widoczne nawet z dużej odległości. Na pomostach i pokładach statków zauważyłem tłoczące się postacie. Nie wiedziałem czy widziały nas, czy tylko przyglądały się opuszczonemu miastu, w każdym jednak przypadku spotkały się z bardzo nieuprzejmym przyjęciem. Nagle i bez ostrzeżenia wojownicy otworzyli z okien budynków gwałtowny ogień, zasypując pociskami spokojnie wpływające w dolinę statki.

Widok zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – pierwszy statek ruszył szybko w naszym kierunku i odpowiedział strzałami na nasz ogień, potem zawrócił, najwyraźniej mając zamiar zakreślić wielkie koło i znów zbliżyć się do nas na odległość strzału. Pozostałe statki podążyły za nim, zasypując nas pociskami, gdy tylko znalazły się na dogodnej pozycji. Intensywność ognia z naszej strony nie zmniejszyła się nawet na chwilę i wątpię czy niecelnych pocisków było więcej niż dwadzieścia procent. Nigdy jeszcze nie dane mi było widzieć tak straszliwej celności – wydawało się, że każdy strzał powoduje upadek drobnej sylwetki na którymś ze statków. Sztandary i nadbudówki stanęły w płomieniach, nie mogąc się oprzeć niszczycielskiej sile naszych pocisków.

Ogień ze statków był prawie całkowicie nieskuteczny, czego przyczyną było, jak się później dowiedziałem, całkowite zaskoczenie i gwałtowność pierwszych salw zielonych Marsjan, które zniszczyły odsłonięte aparaty celownicze ciężkiej broni.

Jak się wydaje, każdy z zielonych wojowników ma z góry określone cele, na które ma kierować swój ogień w relatywnie takich samych warunkach bojowych. Na przykład, pewna grupa, zazwyczaj najlepsi strzelcy, ostrzeliwuje wyłącznie bezprzewodową aparaturę celowniczą i wykrywającą, zamontowaną na ciężkiej broni. Inny oddział zajmuje się tylko bronią o mniejszym kalibrze. Jeszcze inny skupia się na nękaniu strzelców pokładowych czy oficerów. Pozostali koncentrują swoją uwagę na członkach załogi statków nie zaangażowanych bezpośrednio w walkę, na urządzeniach sterujących, napędzie czy nadbudówkach.

W dwadzieścia minut od chwili otwarcia ognia flota zaczęła się wycofywać w kierunku, z którego przybyła. Kilka statków było wyraźnie uszkodzonych i zdziesiątkowanej załodze z najwyższym trudem udawało się utrzymać je na kursie. Statki całkowicie zaprzestały ognia i zdawały się koncentrować całą energię na ucieczce. Nasi wojownicy weszli na dachy budynków i posyłali wycofującej się flocie grad kul.

Jednakże stopniowo statki, jeden po drugim, znikały za grzbietami wzgórz. W zasięgu wzroku pozostał tylko jeden, najbardziej zniszczony. Uprzednio skupiła się na nim znaczna część naszego ognia i zdawało się, że na pokładzie nie pozostał ani jeden żywy członek załogi. Stopniowo zbaczał z kursu i w końcu niepewnie i chwiejnie leciał z powrotem w naszym kierunku. Wojownicy przerwali ogień, gdyż było zupełnie oczywiste, że ten statek jest całkowicie bezradny i nie może już stanowić dla nas żadnego zagrożenia.

Gdy zbliżył się do miasta wojownicy wyszli mu na spotkanie, jednak wciąż unosił się zbyt wysoko, by mogli wejść na jego pokład. Z mojego punktu obserwacyjnego widziałem porozrzucane po pokładach ciała załogi, ale wciąż nie mogłem określić jakiego typu są to istoty. Statek płynął powoli w kierunku południowo-wschodnim, popychany łagodnym wiatrem, a ja nie mogłem dostrzec na nim żadnego ruchu czy innego znaku życia.

Unosił się około pięćdziesięciu stóp nad ziemią, a za nim, dołem, szli wszyscy wojownicy, poza setką tych, którzy zostali wysłani z powrotem na dachy jako ubezpieczenie na wypadek powrotu floty. Wkrótce stało się jasne, że statek uderzy w któryś z budynków około milę na południe od naszych pozycji. Część wojowników w pogoni pojechała naprzód i weszła do budynku, z którym statek prawdopodobnie miał się zderzyć. Gdy statek zbliżył się, wojownicy wystawili przez okna swoje ogromne dzidy i podparli go w ten sposób, że uniknął gwałtownego wstrząsu przy zderzeniu z budynkiem. Chwilę później rzucili nań zakończone hakami liny i statek został zakotwiczony do ziemi przez tych, którzy zostali na zewnątrz budynku. Potem wojownicy wspięli się na pokład i dokładnie go przeszukali. Widziałem, że przyglądają się zabitym żeglarzom, poszukując w nich znaków życia, a jednocześnie zauważyłem, że kilku wyłoniło się z dolnego pokładu, ciągnąc kogoś za sobą. Ta istota była co najmniej dwukrotnie niższa od otaczających ją zielonych Marsjan i poruszała się, jak mogłem zauważyć, wyprostowana, na dwóch kończynach. Doszedłem do wniosku, że jest to jeszcze jedno dziwne marsjańskie monstrum, nieznane mi dotychczas.

Postawili swego jeńca na ziemi, a potem rozpoczęli systematyczne łupienie statku. Zajęło im to kilka godzin, aż wreszcie łup, składający się z broni, amunicji, jedwabiu, futer, biżuterii, dziwnie rzeźbionych kamiennych naczyń, dużej ilości pożywienia, w tym także wielu beczek wody, którą ujrzałem po raz pierwszy od mego przybycia na Marsa, załadowano na przysłane wozy.

Opróżniony statek wojownicy odciągnęli daleko w dolinę. Kilku z nich weszło na pokład i zajęło się, jak mi się wydawało z odległości, w jakiej się znajdowałem, wylewaniem zawartości różnego kształtu naczyń na ciała poległych, na pokłady i urządzenia statku. Po zakończeniu tych czynności opuścili się po linach na ziemię. Ostatni wojownik odwrócił się, wrzucił coś do środka i chwilę czekał na rezultat. Gdy z miejsca, w którym upadła rzucona przez niego rzecz zaczął rozszerzać się płomień, przeskoczył szybko barierkę i wkrótce znalazł się na ziemi. Liny zostały jednocześnie wypuszczone i wielki statek, lżejszy po stracie ładunku, wzbił się majestatycznie w górę, a jego pokłady i nadbudówki pochłaniał szalejący płomień.

Powoli odpływał na południowy wschód, wzbijając się coraz wyżej, w miarę jak pożar trawił drewniane części i zmniejszał jego wagę. Wszedłem na dach i przez kilka godzin patrzyłem za oddalającym się statkiem, aż w końcu znikł mi z oczu w mgiełce nad horyzontem. Był to przygnębiający widok – ogromny, latający stos pogrzebowy, dryfujący bezwładnie przez pustynię marsjańskiego nieba – wypełniony śmiercią, zniszczony wrak, jakby symbolizujący życie tych dziwnych i okrutnych stworzeń, w których nieprzyjazne ręce rzucił go los.

Zgnębiony zszedłem powoli na ulicę. Miałem takie wrażenie, jakbym był świadkiem klęski i unicestwienia sił zbrojnych, należących do pokrewnej mi rasy, a nie zniszczenia przez zielonych wojowników hordy wrogich, ale podobnych im stworów. Nie mogłem zrozumieć skąd się wzięło to wrażenie, ale jednocześnie nie mogłem się go pozbyć. Gdzieś w głębi mej duszy narodziło się dziwne współczucie dla

Przymierze

Andrzej Krzepkowski

Janga! Jangaoh!

Na głos matki chłopak znikający już w zaroślach sumakii przystanął i niechętnie, powoli obrócił głowę.

– Janga! Natychmiast wracaj do domu!

– O co chodzi?

– Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie chodził do tych Drebbel. Oni nie dla ciebie.

– Moja rzecz!

– Nie! Dopóki ja żyję, nie pozwolę, żebyś się zadawał z jakąś zielonowłosą małpą. Roboty tyle, a ty się włóczysz diabli wiedzą gdzie.

Chłopak rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę gąszczu sumakii, potem opornie zawrócił do matki. Kobieta bez słowa wskazała synowi wiadro i weszła do domu, po chwili z kuchni dobiegł gniewny brzęk blaszanych misek. Janga napełnił rudą wodą koryto dla bydła. Kiedy wyciągał ostatnie wiadro ze studni, znowu ukradkiem zerknął w zarośla. W tej samej chwili tuż za sobą usłyszał głos matki:

– Pamiętasz tę starą śliwoń na końcu sadu? Widzi mi się, że już nic z niej nie będzie. Warto by ją było wykarczować.

Chłopak bez słowa skierował się do drewutni, po chwili wyszedł niosąc na ramieniu ciężką siekierę. Matka odczekała, aż z sadu dobiegł odgłos rąbania drzewa, potem wzruszyła ramionami, westchnęła i ponownie wróciła do kuchni. Zajęta robotą przestała zwracać uwagę na syna. Życie na Jantrze wcale nie było łatwe. Osadnicy bez przerwy mieli pełne ręce roboty. Kobieta zamyśliła się, potem wzdrygnęła się, poderwała nagle – w sadzie panowała martwa, głucha cisza.

– Janga! – kobieta wybiegła do sadu. – Zobaczysz, powiem o wszystkim ojcu! – przystanęła, patrząc uważnie w gęstniejący mrok. W pewnej chwili wydało się jej, że słyszy jakiś słaby szelest i cichy śmiech dziewczyny, jakieś szybkie, oddalające się kroki. Kobieta gwałtownie porwała porzuconą przez syna siekierę, z pasją wbiła ją w podrąbany pień śliwoni. Potem zgarbiła się i powoli poszła w stronę domu. Przed drzwiami ukradkiem otarła oczy brzegiem fartucha.

– Słyszałaś? – mąż kobiety ostro trzasnął drzwiami. – Podobno tubylcy na Derei wymordowali całe ludzkie osiedle. Czterdzieści rodzin! Ciekaw jestem, co na to nasze władze. Tylko gadają o ochronie osadników, ale jak przyjdzie co do czego...

Kobieta ciężko przysiadła na topornej, grubo ciosanej ławie.

– Janga znowu poleciał do tej swojej dziwki – westchnęła. – Co się z tym chłopakiem wyrabia?

– Przejdzie mu – farmer podszedł do żony, niezgrabnie pogładził ją po plecach. – Wyszumi się. Młody przecież...

– Ale dlaczego biega akurat do tej Drebbel? Wziąłby się za jakąś porządną dziewczynę. Choćby za Klarę Jassenów...

– Chyba jeszcze za młoda?

– Trzynaście lat skończyła. A to, co naszego chłopaka tak ciągnie, ma przynajmniej między nogami, a nie pod szyją. Jak widzę tę Drebbel, to mnie aż...

– No, nie złość się, stara – farmer znowu pogładził zgarbione plecy żony. – Młody, to i głupi. Zobaczysz, że kiedyś mu samo przejdzie. Przecież dzieci i tak z tego nie będzie...

– A jak się czym od niej zarazi?

– Ty to od razu wszystko co najgorsze. Nic mu nie będzie. Ale już dobrze... Pójdę jutro do osiedla Drebbel i pogadam z ojcami tej dziewuchy, żeby jej lepiej pilnowali. A chłopakowi nie dogaduj, bo na złość będzie latał. No...

Kobieta westchnęła i wstała ociężale, próbując się nieśmiało uśmiechnąć.

– Może i masz rację – mruknęła. – Wyszumi się, przejdzie...

Widać było, że chciałaby wierzyć w swoje słowa, ale jakoś jej to za dobrze nie wychodzi.

O wymordowaniu ludzkich osadników na Derei komandor Stebler wiedział już miesiąc wcześniej, zanim wiadomość dotarła aż na Jantrę. Nic dziwnego. Jantra była peryferyjną planetą dalekiego układu na pograniczu strefy wpływów Drebbel i ludzi. Wszystkie tego typu wiadomości docierały do niej co najmniej z miesięcznym opóźnieniem i najczęściej okazywały się zwykłymi plotkami. Zresztą i sam komandor Stebler w pierwszej chwili meldunek o wymordowaniu osadników potraktował jak plotkę. Ostatecznie nie od dziś znał zamieszkujących Dereę tubylców. Almeowie zawsze byli niesłychanie łagodni i bardzo przyjaźnie do ludzi nastawieni. Stebler był skłonny podejrzewać każdą inną rasę, ale fakty są faktami. A do takich faktów należał właśnie leżący przed nim raport. Bez względu na osobiste sympatie czy antypatie Steblera, do jego obowiązków komandora dalekiego zwiadu należało sprawdzenie doniesienia i odpowiednie zareagowanie, gdyby meldunek okazał się prawdą. Dlatego komandor ocknął się z zamyślenia, wyciągnął rękę w kierunku pulpitu, nacisnął guzik ogólnej łączności:

– Do wszystkich statków dalekiego zwiadu! Mówi komandor Lese Stebler! Kurs Derea BLCV – D5. Półpogotowie bojowe! Dopuszczalna zbieżność trajektorii w podprzestrzeni zero koma zero zero siedemnaście. Czas... – komandor zawahał się przez chwilę – ... jedna druga dodatni. Uwaga! Start w podprzestrzeń za dwie godziny czasu pokładowego. Awizo Halycon! Dowódca zgłosi się do mnie w teleprzestrzeni za pięć minut! Powtarzam, dowódca Halycon zgłosi się do mnie za pięć minut!

W ciągu tych pięciu minut Stebler zdążył opróżnić kieliszek i sprzątnąć go z biurka razem z butelką. Ostatecznie podwładni wcale nie muszą wiedzieć, że ich komandor od czasu do czasu korzysta z usług przemytników. Tego typu plotki nie wpływają zbyt dobrze na dyscyplinę.

– Panie komandorze! Dowódca awizo Halycon melduje się na rozkaz!

– W porządku, Teedr. Dla ciebie nam zadanie specjalne. Polecisz przed całą flotą na rozpoznanie. Oczywiście słyszałeś o tej sprawie na Derei?

– Tak jest.

– I co?

Teedr zastanawiał się przez pół minuty, potem mruknął cicho, jakby tylko do siebie:

– Nie wiem, panie komandorze. Jeśli chodzi o moje zdanie, to coś mi tu nie gra.

– To znaczy?

– Parę lat temu byłem na Derei. Wydawało mi się, że Almeowie są zadowoleni. Wiedzą przecież doskonale, że to my postawiliśmy na nogi ich cały handel i przemysł. Im by się po prostu nie opłacało.

– Właśnie to masz sprawdzić. Polecisz w czasie normalnie ujemnym i rozejrzysz się po okolicach planety. Jeżeli ci się uda, wylądujesz w osiedlu tak, żeby to wyglądało na jakiś przypadkowy skok. Jakiś cichy interes, rozumiesz? Ani tubylcy ani osadnicy nie mogą bodaj przez moment domyślać się, że wiesz, co się zdarzy. Kategorycznie zabraniam działania na własną rękę, choćby się działo nie wiadomo co.

– Ale gdyby...

– To rozkaz, Teedr. Do ciebie należy tylko zebranie informacji i jak najszybszy powrót. Czekam dwie godziny.

– Tak jest, panie komandorze!

Stebler poczekał, aż sylwetka Teedra rozpłynęła się w głębi stereoekranu, potem ponownie sięgnął po butelkę. Miał jeszcze całe dwie godziny do podjęcia ostatecznej decyzji. Teraz wszystko zależało od tego, jakie wiadomości przywiezie Teedr na swoim Halyconie.

Czas wlókł się powoli. Godzina, półtorej, godzina i trzy kwadranse. Na minutę przed upływem wyznaczonego terminu komandor Stebler ponownie wcisnął guzik ogólnej łączności:

– Uwaga wszystkie załogi! Do startu pięćdziesiąt sześć sekund. Liczyć czas. Parametry lotu bez zmian. Pełne pogotowie bojowe. Akcja rozpoczyna się natychmiast po wyjściu z podprzestrzeni w układzie Derei.

Na śródpokładzie za drzwiami swojego gabinetu Stebler usłyszał przyśpieszony tupot nóg, oddalający się w kierunku pomieszczenia dyżurnych pilotów.

– To pewnie znowu ten Johasson – pomyślał komandor. – Nigdy nie przejmuje się alarmami. Trzeba go będzie kiedyś postawić do karnego raportu, o ile do tego czasu nie skręci sobie karku. Chociaż z drugiej strony to przecież najlepszy pilot we flocie. Gdyby kiedykolwiek przyszło co do czego, wolałbym, żeby on właśnie siedział za sterami.

W tej samej chwili, w której trzasnęły drzwi dyżurki, wszystkie światła trzykrotnie przygasły, potem już bez przerwy ćmiły się słabo – każda podróż w podprzestrzeni pożerała olbrzymie ilości

energii, a przecież trzeba jeszcze było zachować niezbędną rezerwę na potrzeby dział. I tak po wyjściu do normalnej przestrzeni, statki odzyskiwały pełną sprawność bojową dopiero po piętnastu sekundach. Stebler zdawał sobie sprawę, że rozkaz natychmiastowego działania po wyjściu z podkontinuum jest ordynarnym zarzynaniem broni, ale wcale nie podobało mu się to, że Halycon nie powrócił ze swojego rekonesansu.

Diarchont Skaë zatarł sękate łapska o sześciu palcach i uśmiechnął się z zadowoleniem, patrząc na ekran telewizora. Obrysowany radarowym promieniem statek był łudząco podobny do garbatej ryby. Był dokładnie taki sam, jak statki produkowane przez rasę Drebbel. W tej samej chwili czujniki przestrzeni zafalowały niespokojnie. Diarchont zerwał się na wszystkie trzy nogi. – Więc to już – mruknął. Potem głośno warknął w stronę pokładowego komunikatora:
– Startować. Za chwilę będą tutaj ludzie. Sprzężenia gotowe? Brander ma ruszyć za dwanaście troin. To znaczy w dwie sekundy po pojawieniu się ziemskiej floty.
Potem znowu wygodnie rozparł się w fotelu, patrząc na malejący układ Derei.
W tym samym czasie naczelny szczekun Almeów niespokojnie kręcił się na legowisku. Instynkt mówił mu, że kroi się coś niedobrego. Wprawdzie miał niezbite dowody, że to nie jego poddani wymordowali ludzkich osadników, ale wcale mu się nie podobała ta nieoczekiwana wizyta diarchonta Skaë, ani tym bardziej jego szybki odlot, kiedy doniesiono o zbliżaniu się ludzkiego statku. Wyglądało to na ucieczkę. Diarchont był za sprytny, żeby dało się z niego cokolwiek wyciągnąć, ale szczekun dałby co najmniej połowę uszu, że Skaë maczał we wszystkim swoje sękate paluchy.
Dowódca ludzkiego statku zażądał od Almeów dokładnego opisu przebiegu wypadków. A kiedy rada przekazała mu słowa naczelnego szczekuna, natychmiast zawrócił do swojego statku. Wyglądało na to, że nadal podejrzewa Almeów o udział w masakrze. Kiedy odlatywał, burknął tylko, że przekaże opowieść Almeów swojemu dowódcy. Tyle, że mniej więcej po dwóch minutach lotu w normalnej przestrzeni, zniknął razem ze swoim statkiem i było to zniknięcie, które szczekunowi dało sporo do myślenia. Wydawało się, że statek zwiadowczy przeszedł do podprzestrzeni, ale detektory nadal pokazywały niejednorodność próżni w okolicach zniknięcia. Jakby statek wcale nie odleciał, a jedynie przyczaił się w radarochronnym kokonie.
Tak. Zdecydowanie szykowało się coś niedobrego. Ale żaden Almeo nie podejrzewał, że to coś stanie się aż tak szybko. Ludzie nie dali Derei czasu nawet na myśl o obronie. Zaledwie ich bojowe okręty wyskoczyły z podprzestrzeni, a już salwa z dział grawitacyjnych zmieniła całą planetę we wściekłe kotłowisko złomów skalnych i pary. W samym środku tego rumowiska komandor Stebler dostrzegł nagle jakiś statek. Jeszcze nie zdążył uświadomić sobie, skąd zna ten charakterystyczny kształt garbatej ryby, kiedy na miejscu statku pojawił się ostry, nieoczekiwany błysk. Stebler szarpnął ku sobie mikrofon komunikatora, rzucił:
– Zasadzka! U... – już było za późno. Zanim statek flagowy uciekł do podprzestrzeni, komandor Stebler zdążył zobaczyć, jak ponad jedna trzecia jego floty zostaje ogarnięta szalejącym piekłem płomieni małej supernowej, rozpalonej przez tamten statek. Statek dokładnie taki sam jak te... – komandor opornie zbierał rozproszone myśli – które w swoich gwiezdnych stoczniach budują wszyscy Drebbel.

Cichy szelest w gąszczu sumakii. Jangaoh obrócił się i nagle poczuł ramiona oplatające się wokół jego szyi. Dopiero potem złowił nozdrzami lekki, gorzkawy zapach skóry Fallei. Po chwili całował przymknięte powieki dziewczyny. Przez koszulę czuł, jak jej drobne piersi przywierają do niego coraz mocniej, jak powoli rozchylają się, nieśmiało odsłaniając wilgotne, pachnące wnętrze. W chwilę potem chłopak poczuł nieoczekiwane drżenie i słabość kolan, więc miękko osunął się na trawę obok klęczącej dziewczyny. Leżał na wznak patrząc w niebo, lecz nie widział gwiazd. Tylko czuł ciepłe wargi dziewczyny wędrujące od jego kolan ku górze. Zatrzymały się na długą rozkoszną chwilę, potem prześliznęły się na jego brzuch i piersi, przez szyję i usta powędrowały ku oczom.
Obudził się, kiedy Fallea delikatnie pogładziła go po policzku.
– Muszę już iść, kochany – szepnęła. – Za chwilę będzie świt.
Podniósł się leniwie, przecierając oczy. Potem szybko chwycił dziewczynę za nadgarstki.
– Zostań jeszcze.
– Przecież wiesz, że nie mogę – uśmiechnęła się smutnie. – Ty także musisz wracać do swojego domu.
– Nie chcę.
– No, puść – dziewczyna pochyliła się do przodu, leciutko musnęła ustami jego oczy. – Przecież jutro spotkamy się znowu.

Komandor Stebler zamyślił się ponuro. W ciągu ostatniej gwiezdnej doby jego statek flagowy przemierzał przestrzeń we wszystkich kierunkach, usiłując odnaleźć i skupić wokół siebie statki ziemskiej floty, rozproszone w panicznej ucieczce z układu Derei. W ciągu tej doby udało mu się zebrać zaledwie dwie trzecie całego stanu. Komandor pocieszał się myślą, że pozostali uciekli po prostu zbyt daleko, ale wcześniej czy później dadzą znać o sobie. Wiedział jednak, że sam siebie usiłuje okłamać. Zbyt ostro widział jeszcze tamto ogniste piekło, rozpętane przez statek Drebbel. Nagle przyłapał się na myśli, że przecież wolałby wcale tamtego statku nie zobaczyć. Ale pozostałe załogi widziały dokładnie to samo, co on.
Taak. Komandor Stebler także chciałby pomścić swoich kolegów. Niestety, zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, czym taka zemsta może grozić. Walka z rasą Drebbel to przecież nie jakaś przypadkowa potyczka z przemytnikami. To już był konflikt na skalę dwóch liczących się gwiezdnych imperiów. Przy czym flota jednego z tych mocarstw była już zdemoralizowana nieoczekiwaną porażką. A musiałaby atakować samo centrum planetarnych fortyfikacji układu Drebbel.
Komandor czuł, że w tym wypadku podjazdowa wojna na peryferiach i wybijanie podrzędnych kolonii mijałoby się z celem. Pożądany skutek mogło dać jedynie potężne, zdecydowane uderzenie w samo serce wrogiego układu. Lecz tak desperacka szarża to ostateczność, której Stebler wolałby mimo wszystko uniknąć. Wiedział nie od dziś, że Drebbel są doskonale zorganizowani i wcale nieźle wyposażeni. A kształt tamtego statku mógł być przecież jakimś złudzeniem czy najzupełniej przypadkowym podobieństwem. Być może w wyjaśnieniu sprawy kryła się pewna szansa uniknięcia otwartego starcia.
Nie. Komandor Stebler wcale nie był sentymentalny, nie zamierzał się roztkliwiać nad losem niewinnych istot, które mogłyby zginąć w wyniku takiego konfliktu. Nic go nie obchodziło to, czy Drebbel ostatecznie okażą się winni, czy nie. Za to doskonale zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności za los powierzonej mu floty. Za te kilkaset statków, które przede wszystkim są potrzebne jako ochrona całej sieci rozwijających się ziemskich kolonii. Gdyby tej floty zabrakło...
Komandor Stebler po raz dziesiąty tej doby sięgnął do szuflady po ukrytą butelkę. Podniósł ją do oczu, potrząsnął i skrzywił się z niesmakiem ciskając ją do kosza. Nawet nie zauważył, kiedy opróżnił ostatnią butelkę przemycanej galaktówki. Diabli wiedzą, kiedy teraz zdarzy się jakaś okazja spokojnego spotkania z tymi cholernymi przemytnikami Skaë.
– Dość – mruknął do siebie, z trudem ściągając ciężki but próżniowy. – Muszę się przespać.
But z hukiem łupnął w metalową ścianę, po chwili pojawił się ordynans.
– Obudzisz mnie za cztery godziny. Aha! Przez ten czas zwołasz osobistą naradę dowódców eskadr. Mają tu czekać na mnie, jak się obudzę.

Diarchont Skaë uśmiechnął się pogardliwie, obserwując przegrupowanie ziemskiej floty. – Ci głupi ludzie – pomyślał – będą teraz radzić nie wiadomo jak długo, zanim wreszcie zdecydują się na jakieś konkretne działanie. Właściwie to szkoda, że zginęło ich tak wielu w układzie Derei. Są teraz za słabi, żeby szybko zdecydować się na otwartą wojnę. Pewnie będą chcieli wyjaśniać całą sprawę z leptersem Drebbel, a jeżeli dojdzie do zgody...
Diarchont nadal uśmiechał się pogardliwie, ale czuł, że leciutko drętwieją mu końce powężlonych paluchów. Zazwyczaj nic dobrego nie działo się wtedy, kiedy ludzie zaczynali zastanawiać się nad dalszym postępowaniem. Stary przemytnik nie miał zbyt dobrego zdania o możliwościach umysłowych pojedynczego człowieka. Ostatecznie nieraz oszwabił Steblera przy jakichś cichych transakcjach czy w rozgrywkach podczas kolejnej ludzkiej nagonki na przemytników. Co innego jednak, kiedy ludzie zaczynali myśleć wspólnie. Zwykle udawało im się wtedy znaleźć optymalne wyjście z najbardziej skomplikowanych sytuacji. A to diarchontowi wcale nie odpowiadało.
Jeszcze raz spojrzał na kilkanaście statków, dobijających właśnie do ludzkiego kosmolotu flagowego, potem leniwie pochylił się w fotelu. Z tym powolnym skłonem zaskakująco kontrastowała niesłychana zwinność zrogowaciałych paluchów, wystukujących na klawiaturze optymalizatora kurs do gwiezdnego układu zasiedlonego przez Drebbel. Wprawdzie wolałby nie sprzymierzać się z żadną ze skłóconych stron, ale czuł jednocześnie, że na wszelki wypadek powinien być w pobliżu miejsca, w którym najprawdopodobniej dojdzie do spotkania Drebbel i ludzi.

Jangaoh cicho wśliznął się na podwórze farmy, podszedł do studni. Po chwili zazgrzytał i zaszczekał łańcuch, na którym powoli unosiło się wypełnione wiadro. Chłopak postawił ciężki kubeł na brzegu cembrowiny, zaczerpnął w dłonie lodo-

watą wodę. Potem lekko podniósł ręce ku twarzy patrząc, jak przez palce uciekają mu złotorude krople przez chwilę mieniące się w słońcu i z cichym pluskiem spadające do wiadra.
Za plecami usłyszał czyjeś szybkie kroki.

– Znowu śmierdzisz tą swoją przeklętą dziwką! – matka zamachnęła się, trąciła stojące na brzegu studni naczynie. Drewniany kubeł z hukiem uderzył o cembrowinę, zajęczał szarpnięty łańcuch, głucho zadudniła woda w głębi studni, ciężka metalowa korba szaleńczo zawirowała tuż za plecami matki. Chłopak zwinnie przemknął pod uniesioną ręką, pobiegł w stronę domu. W progu przewinął się obok ojca, który przeciągając się leniwie patrzył na wschód słońca. Wydawało się, że nawet nie zauważył sceny obok studni, ale po chwili Janga usłyszał podniesiony głos matki:

– Bo ciebie to wszystko wcale nie obchodzi. Pozwalasz, żeby twój syn uciekał z domu po nocach do tej... Jak widzę te Drebbel i ich cztery gołe cycki tak bezwstydnie wywalone na wierzch...
A potem spokojny, równy bas ojca:


R. Tracz

– Czego chcesz od Drebbel. Też ludzie.
– Ludzie! – matka prychnęła wściekle.
– W każdym razie swój rozum mają. A chłopak wyszaleje się kiedyś i wreszcie wróci do swoich.
Chłopak skrzywił się pogardliwie. – Do swoich... – pomyślał i otrząsnął się, przypominając sobie wiecznie niedomytą Klarę Jassen. – Drebbel też ludzie – Janga uśmiechnął się przez ścianę w stronę niewidocznego ojca.
Po chwili do kuchni weszła matka. Widać było, że jest zła, ale nie mówiła nic, bo w progu stanął ojciec. Wydawało się, że znowu patrzy gdzieś bardzo daleko, ale Janga wiedział, że widzi wszystko, co się dzieje w izbie.
Matka z hamowanym gniewem postawiła na stół brzęczące miski. Ojciec powoli podszedł do stołu, ciężko siadł na skrzypiącej ławie. Śniadanie zjadł w milczeniu. Potem wstał, otarł usta, kiwnął ręką w stronę syna.
– Chodź, synku – mruknął. – Pomożesz mi na polu.
Wyszli razem udając, że nie widzą zmarszczonych brwi matki i jej ściągniętych ust. Jakby nadal były w nich słowa, których wolała nie wypowiadać.
Parę kroków za ogrodzeniem chłopak poczuł dłoń ojca na ramieniu. Skulił się lekko i naprężył zerkając, czy druga dłoń ojca nie sięga czasem do paska. Wiedział, że ojciec rękę ma ciężką. Dopiero potem podniósł oczy i ze zdziwieniem stwierdził, że ojciec uśmiecha się nieoczekiwanie łagodnie i wyrozumiale.
– Och, tato...
– Tak, synku. Wydaje mi się – mężczyzna mówił powoli i z namysłem – .... wydaje mi się, że ciebie rozumiem. Ale matkę też rozumieć trzeba. Ona chce, żeby ci było dobrze na tym świecie.
Chłopak bez przekonania skinął głową.
– A w jednym ma rację. Drebbel nie dla ciebie. I dla żadnego z ludzi. – Te ostatnie słowa padły twardo i ciężko, aż chłopak znowu skulił się z niepokojem.
– Widzisz, synu – głos ojca znowu zabrzmiał miękko – ludzi tu na Jantrze mało. Musimy trzymać się razem, bo inaczej nic po nas nie zostanie.
– Jak to, tato? – chłopak nieśmiało spojrzał na poważną twarz ojca.
– A tak, synku. Drebbel to zupełnie inna rasa i nic nam do nich. Szanują nas, póki trzymamy się w kupie. Dlatego możesz sobie biegać do tej dziewczyny... – chłopak uśmiechnął się z wdzięcznością w stronę ojca, potem nagle jego twarz spochmurniała, kiedy padły następne słowa – ale przyjdzie czas, że będziesz musiał wybierać. I dlatego radziłbym ci skończyć z tym wszystkim od razu. To już nie jest twoja prywatna sprawa.
– Co, tato?
– To, że możesz mieć dzieci. Będziesz musiał znaleźć sobie gdzieś u sąsiadów jakąś miłą i chętną dziewczynę. Zwykłą dziewczynę.
– Ale...
– Nie, synu. Mnie możesz przekonać, z matką możesz się kłócić. Ale życia, synku, życia nie przegadasz. Przyjdzie czas, że sam będziesz chciał mieć dzieci, i oby ten czas nie przyszedł dla ciebie za późno. Zmuszać cię do niczego nie będę, ale pamiętaj o tym, co powiedzą ludzie, kiedy szybko nie znajdziesz sobie porządnej, normalnej dziewczyny. I dość na tym. A teraz chodźmy, bo robota czeka.
– Tato...
– Co, synu?
– Tato, ja nie mogę tak od razu.
– Wiem – dłoń ojca mocniej oparła się na ramieniu syna. – Pamiętaj, że zmuszać cię nie będę, ale...

Komandor Stebler wyprostował się z nieoczekiwaną ulgą. Zebrani dowódcy, poza dwoma wstrzymującymi się, wyrazili zgodę na podjęcie rokowań z leptersem Drebbel.

Wszyscy zrozumieli powagę sytuacji. Kilkaset kolonii pilnie wymagało ochrony, interesy zjednoczonych układów ludzkich wymagały szybkiego ograniczenia przemytu. A stocznie układów najbardziej zaawansowanych w rozwoju mogły produkować co najwyżej dwa do trzech nowych statków rocznie. Tymczasem istniejące ludzkie siły zostały poważnie nadszarpnięte przez katastrofę w układzie Derei. W takiej sytuacji podejmowanie walki z imperium Drebbel było ostatecznością, której za wszelką cenę powinno się uniknąć. Kilkaset kosmolotów bojowych to jeszcze była potęga zdolna zmiażdżyć każdy układ gwiezdny i o tym lepters Drebbel powinien wiedzieć doskonale. Ale cena takiego zwycięstwa byłaby zbyt wysoka. Ponowne osłabienie floty było równoznaczne z wydaniem co najmniej połowy kolonii na łaskę i niełaskę byle jakiego korsarza. A to z kolei zahamowałoby rozwój imperium na minimum dwadzieścia lat. Ostatecznie oficerowie ze Steblerem na czele postanowili wysłać parlamentariusza do układu Drebbel. W dwie godziny po zakończeniu narady lekkozbrojny krążownik kosmiczny „Nowa Dalila" zanurzył się w podprzestrzeni, zmierzając w stronę dolnego ramienia galaktyki.

Po stu osiemdziesięciu siedmiu minutach czasu pokładowego do statku flagowego ziemskiej floty dotarł pierwszy meldunek z „Nowej Dalili":

– Mijamy układ Skaë, za pół godziny znajdziemy się na skraju imperium Drebbel.

– Skaë – pomyślał Stebler. – Właśnie Skaë. Tym byłoby na rękę osłabienie naszej floty. Ciekaw jestem, gdzie się podziewa ten ich włochaty diarchont. Wcale bym nie dał głowy za to, że trzyma się od tego wszystkiego z daleka. A ostatecznie do sfery wpływów Drebbel ma o wiele bliżej, niż do ludzi. Zaledwie pół dnia lotu nadszybkością w normalnej przestrzeni...

– Meldujcie o wszystkim, co widzicie. Od tej pory macie nadawać bez przerwy na fali czasu ujemnego. Chcę mieć aktualny obraz sytuacji.

– Okay, komandorze! – głos Zubra Damiano zabrzmiał lekko i wesoło. – Zawsze lubiłem sobie pogadać. Właśnie mijamy jakiś prymitywny układzik. Słabe słońce i trzy planety na krzyż. Interesujące jest tylko jedno. To, że druga od słońca planeta wygląda na zasiedloną. Może by tak...

– Nie tracić czasu. Lećcie dalej.

– Kiedy nie możemy, panie komandorze – głos Damiano w ułamku sekundy spoważniał. – Coś dziwnego stało się z podprzestrzenią. Mam wrażenie, że od paru chwil lecimy w jakimś cholernym tunelu. Do diabła! My...

Komandor Stebler długie trzy minuty tępo gapił się na opustoszały ekran, potem ciężko opuścił rękę na brzeg pulpitu. Sprawa zaczynała się wyjaśniać. Więc statek Drebbel w układzie Derei wcale nie znalazł się przypadkowo. Po chwili pierwsze rozkazy komandora Lese Steblera poderwały na nogi wszystkich kapitanów całej floty.

– Uwaga załogi! Kurs na Drebbel! Czas jedna druga ujemny. Miejsce zgrupowania w punkcie X5, Y112, D7 dolne ramię. To będzie w połowie drogi między układem Skaë a granicą imperium Drebbel. Pełny stan najwyższej gotowości bojowej!

Ojciec Ojców Drebbel zasłonił oczy zielonymi brwiami, uważnie słuchając bezosobowego głosu tłumacza, przekazującego słowo w słowo to, co właśnie mówił diarchont Skaë:

– Przypadkowo znalazłem się niedaleko zgrupowania ludzkiej floty i trafiłem w jeden ze stożków łączności. Albo mnie nie zauważyli, albo czują się tak pewnie, że nadawali otwartym językiem na ogólnej fali. Kiedy dowiedziałem się, że zamierzają podążyć ku wam i usłyszałem ogłoszenie gotowości bojowej, natychmiast przyleciałem.

Ojciec Ojców Drebbel nie wierzył w takie przypadki. Zbyt nieprawdopodobne było trafienie w stożek tak krótkiej emisji.

– A co wiesz o przyczynach planowanego ataku? – zielone brwi opadły jeszcze niżej.

– Nic – diarchont szeroko rozcapierzył sękate paluchy. – A to, co słyszałem...

– Co słyszałeś, diarchoncie? – Ojciec Ojców mimowiednie przeszedł na dialekt Skaë.

– Właściwie nic, leptersie. Co najwyżej jakieś plotki o tym, co się stało w układzie Derei. Podobno widziano tam w pobliżu statek łudząco podobny do waszych. A bezpośrednio potem doszło do jakiegoś niekontrolowanego wybuchu supernowej. Zdaje się, że wasz statek również przy tym zginął...

– To nie był nasz statek – oczy Ojca Ojców błysnęły gniewnie.

– Wierzę ci, leptersie – głos diarchonta brzmiał podejrzanie słodko. – Ale nie wiem, czy ludzie również ci uwierzą. Oni przecież nie znają cię tak dobrze, jak ja.

– Wytłumacz mi jedno, diarchoncie – oczy leptersa znowu schowały się pod brwiami. – Dlaczego przyleciałeś mnie zawiadomić? O ile wiem, większość twoich interesów ubijasz z ludźmi.

– Ale mój układ znajduje się bardzo blisko waszych granic. A nie znam ludzi na tyle, żeby przewidzieć, co uczynią. I tak dosyć krzywo patrzą na moje kontakty z ich koloniami.

– Ja też nie byłbym zachwycony, gdyby moi koloniści zapijali się na śmierć przemycaną galaktówką.

– I jak wiesz, z nimi nie handluję. Ostatecznie jednak z czegoś żyć trzeba, a co do ludzi... – przez wąskie usta diarchonta przewinął się pogardliwy półuśmiech. Po chwili jakieś niewyraźne odbicie tego skrzywienia warg znalazło się również na twarzy leptersa. Potem wąskie nozdrza Ojca Ojców Drebbel stuliły się, jak podczas piaskowej burzy.

– Cóż, diarchoncie. Dziękuję za przysługę. To umożliwiło mi zarządzenie natychmiastowej ewakuacji układu. Czego żądasz w zamian?

– To była tylko sąsiedzka przysługa – głos diarchonta ociekał lepką słodyczą. – Od przyjaciół nie żąda się zapłaty.

– O ile dobrze zrozumiałem – w głosie Ojca Ojców zabrzmiała niemal nieuchwytna nutka pogardy – interesuje cię ochrona twojego układu...

– Można to i tak określić, leptersie.

– Oczywiście mimo wszystko nadal mam nadzieję, że nie dojdzie do poważniejszego starcia. Prawdopodobnie ludzie zażądają przede wszystkim wyjaśnienia zajścia na Derei.

– Gdyby tak było, wysłaliby parlamentariusza.

– Cóż, skoro oni tego nie uczynili do tej pory, uczynimy to my. Jeszcze jest czas na wyjaśnienia. Za połowę ich godziny wyślę ku nim jeden ze swoich statków. A teraz dziękuję ci, diarchoncie. Oczywiście będę pamiętał o ochronie twojej rasy. Oby okazała się ona niepotrzebna. I wybacz mi. Muszę jeszcze porozmawiać z Radą Ojców Drebbel.

Diarchont leciutko schylił głowę, potem wyszedł pośpiesznie. Wcale mu się nie podobała ta obustronna dążność do układów. Jeżeli w ciągu owych trzydziestu minut nie uda mu się umieścić agentów na pokładzie właściwego statku, cały plan układany przez niego od roku i uparcie realizowany momentalnie uległby zagładzie. Razem z całą rasą Skaë. Bo co do tego diarchont wcale się nie łudził. Gdyby doszło od porozumienia obu mocarstw...

To mi się nie podoba – komandor Stebler na moment oderwał oczy od ekranu dalekiego podglądu. – Ten cały ruch w układzie Drebbel wskazuje na to, że ktoś ich uprzedził o kierunku i czasie naszego przybycia. To znaczy, że straciliśmy możliwość działania z zaskoczenia. Chciałbym dostać w łapy ich szpiega. Jak ja bym tego sukinsyna...

– Komandorze! Jeden ze statków Drebbel leci w naszą stronę. Wygląda na to, że oni rzeczywiście doskonale wiedzą, gdzie jesteśmy. Zdaje się, że coś nadają przez cały czas, ale zniekształcenia są piekielnie duże.

– Włącz selektor.

– Pracuje na pełną moc, komandorze.

– W takim razie poczekamy. Zobaczymy, co tym razem Drebbel mają nam do powiedzenia. Uwaga! Wyjście z podprzestrzeni z pełną gotowością bojową. Przekaż do całej floty.

– Tak jest, panie komandorze.

Gwałtowne drgnięcie gwiazd na ekranach i ostry skok zasilania lamp oznajmiły Steblerowi moment przejścia statku do normalnego kontinuum.

– Johasson!

– Jestem, panie komandorze!

– Podobno masz najlepszy refleks w całej flocie. Może będziesz miał okazję, żeby to udowodnić. Gdyby co, natychmiast wiej do podprzestrzeni.

– Rozkaz!

– Uważaj cały czas na ten statek, który właśnie do nas leci. Po tym wszystkim, co się stało, to na pewno nie będzie przyjacielska wizyta. Aha! Są dane z nasłuchu?

– Tak jest, panie komandorze.

– To na co czekasz, do cholery? Dawaj na głośnik.

Po chwili w centrum dowodzenia zacharczał kod wywoławczy statku Drebbel, potem zabrzmiał czyjś słaby, przerywany głos, padały oderwane, niemal niezrozumiałe słowa.

– Mówią po naszemu, panie komandorze. Ale to na pewno nie jest głos człowieka.

– Róbcie co chcecie, użyjcie analizatorów semantycznych czy diabli wiedzą czego, ale muszę wiedzieć, o czym on gada.

– Zdaje się, że coś o Derei, panie komandorze. Ale na razie nie wiemy, o co chodzi. Może kiedy będą bliżej?

– Dopuścić ich tak blisko, żeby można było zrozumieć, co nadają. Uwaga, dowódcy! Uformować sferę. Wszystkie działa mają być gotowe do strzału!

Korzystając z tego, że nikt na niego nie patrzy, diarchont Skaë zatarł zrogowaciałe dłonie. Siedział tuż za plecami leptersa w centrum dowodzenia Drebbel i uśmiechał się złośliwie widząc szyk formowany przez ludzką flotę. – Założę się, że ci głupcy w każdej chwili otoczą tamten statek skomasowanym polem grawitacyjnym – myślał. – Szkoda, że padło akurat na moich najlepszych agentów. Ale nic, ważne, że zdążyłem ich wpakować na pokład tego parlamentariusza – znowu uśmiechnął się pogardliwie. W tej samej chwili po pancerzu statku Drebbel przebiegł ostry, jaskrawy błysk. Niemal jednocześnie ludzkie statki drgnęły po oddaniu skoncentrowanej salwy. Lepters zerwał się z fotela, z niedowierzaniem patrząc na ekran. Bo rzeczywiście działo się coś najzupełniej nieprzewidzianego. Statek-parlamentariusz znikł, ale na jego miejscu pojawiła się rozpędzona do nadszybkości czarna dziura, która wchłonęła kilkanaście najbliższych kosmolotów ludzi i runęła w dół po promieniu galaktyki. Reszta ludzkich statków momentalnie uciekła do podprzestrzeni. Zanim detektory zdążyły się przestawić, już ponad połowa bojowych kosmolotów ponownie znalazła się w centrum układu. Lepters stał długą chwilę w milczeniu patrząc, jak w ciągu kilkunastu sekund dwie największe planety układu zmieniły się w rozstrzelone złomowisko głazów. Po paru minutach ludzkie statki – a przybywało ich z każdym ułamkiem sekundy – wymacały i rozniosły cztery największe stacje metryki, które do tej pory niezawodnie chroniły granicę imperium przed wtargnięciem jakiegokolwiek niepożądanego statku. Lecz wśród szalejącej floty straceńców wciąż brakowało czerwonego punktu, który na ekranie leptersa oznaczał ludzki statek flagowy.

Johasson wykazał się rzeczywiście niewiarygodnym refleksem. Stebler jeszcze nie zdążył zrozumieć, że to co widzi jest pędzącym wprost na niego ruchomym kolapsem. Jeszcze nie zdążył przymknąć oczu, kiedy statek flagowy już znalazł się w podprzestrzeni nie opodal układu Skaë. W tej samej chwili rozległo się alarmujące wycie automatów pożarniczych.

– Co się stało?

– Ostre spięcie, panie komandorze, lada chwila szlag trafi główny stos!

– Johasson! Wychodź do normalnej przestrzeni! Jeżeli teraz wysiądzie zasilanie...

– Rozkaz!

Światła błysnęły ostro i siadły całkowicie. W ciągu tego ułamka sekundy komandor Stebler zdążył zobaczyć na ekranie słabe słońce układu Skaë. A potem zaczął spadać w jakąś bezdenną, czarną otchłań, w którą wraz ze statkiem wbiła go grawitacyjna salwa zaporowa wystrzelona z najbliższej planety...

Po upływie najwyżej czterdziestu troin w próżni pojawiły się cztery potężne statki-anihilatory, wyszukujące czułymi szperaczami najdrobniejsze szczątki ziemskiego kosmolotu. Piloci Skaë uwijali się gorączkowo. Diarchont przed odlotem zabronił swoim zastępcom jakichkolwiek nieprzyjaznych kroków w stosunku do ludzi, ale kiedy w układzie pojawił się doskonale wszystkim przemytnikom znany krążownik Steblera, jeden z zastępców diarchonta niemal podświadomie wydał rozkaz strzelania. A że przyrządy pokazały jakiś bliżej nieokreślony obiekt pędzący w nadszybkości ku układowi, więc na wszelki wypadek postanowiono uprzątnąć wszystkie ślady starcia. Piloci statków-anihilatorów ciskali swoje maszyny wszędzie tam, gdzie zamajaczyła bodaj najmniejsza grudka materii. Jeden z nich uruchomił właśnie miotacz na pełną moc, żeby zdezintegrować jakiś wielki szczątek, kiedy tuż przed dziobem jego kosmolotu próżnia zaczęła zapadać się w zastraszającym tempie i z międzygwiezdnej przestrzeni wychynął rosnący kolaps grawitacyjny, skierowany wprost na słońce Skaë. Pilot odruchowo zanurkował w podprzestrzeni. Mimo to muśnięcie fali na pareset troin pozbawiło go przytomności. Potem jak automat sięgnął w stronę pulpitu, machinalnie wystukał program wyjścia do normalnej przestrzeni i nieoczekiwanie znalazł się w samym środku piekła, rozpętanego przez ludzkie kosmoloty, atakujące ostatnią stację metryki, chroniącą układ Drebbel przed wtargnięciem obcych. Dopiero potem zrozumiał, że pędzi ku stacji, zmiatając wszystko przed sobą ciągle na pełną moc włączonym miotaczem.

Kiedy statek Skaë pojawił się na terenie walki, pierwszy zareagował diarchont. Sękatym łapskiem chlasnął zieloną twarz stojącego przy drzwiach strażnika, wyrwał laser z jego kabury – po chwili Ojciec Ojców Drebbel miękko, bezwładnie osunął się na posadzkę. Diarchont skoczył w uchylone drzwi, zanim pozostali Drebbel zdążyli sięgnąć po lasery, strzelił do kierowcy rządowego grawilotu, wypchnął jego ciało na marmitowy bruk. Po chwili grawilot z najwyższym przyśpieszeniem runął w stronę pobliskiego kosmoportu.

Siedzący na polanie Janga wzdrygnął się nerwowo – nie. To tylko chłodny liść sumakii miękko przylepił się do jego spoconego karku. Już niebo szarzało na wschodzie, a Failei nadal nie było. Chłopak poczuł złość. Przychodziła zawsze, kiedy było trzeba czy nie trzeba. A teraz, kiedy się nareszcie zdecydował...

Początkowo chciał razem z nią po prostu uciec w góry. Dalibyśmy sobie przecież radę we dwoje. Już wyobrażał sobie, jak na początek buduje niewielki szałas, potem... Potem przypadkowo spojrzał na zgarbione plecy matki, siedzącej przy kominie. Obszedł ją dookoła, zajrzał w starą, zmęczoną twarz. Pomiędzy zmarszczkami jedna za drugą przewijały się małe, połyskujące łzy. Janga nagle zapomniał o swoim gniewie, nieśmiało przesunął dłoń po plecach matki.

Stara kobieta szybko uniosła głowę, spojrzała prosto w oczy syna.

– Zabij ją, synku, zabij – szeptała gorączkowo. – Ona zniszczy ciebie. Drebbel ludzi nie lubią, synku. Jak ty tego nie zrobisz, to ja... – mocno ścisnęła jego przegub pomarszczoną dłonią.

Chłopak szarpnął się gwałtownie, obrócił, skoczył do drzwi. Cała ciemność dookoła szeptała: – Zabij ją, synku. Zabij... Drebbel nie dla ciebie...

Biegł w noc usiłując stracić z oczu te dwie skąpe łzy rozjaśnione ciepłym, dobrym blaskiem padającym z komina.

Statek-anihilator Skaë całym ogromnym pędem zarył się w to coś, co jeszcze przed ułamkiem sekundy było stacją metryki, po chwili planeta jak ogromny orzech pękła na dwoje. W tym samym momencie walczący ludzie ze zdziwieniem spostrzegli jeszcze jeden statek Skaë wywijający się zwinnym łukiem z grawitacyjnego klina i zawracający nad miasto na piątej planecie, żeby gwałtownym wybuchem jonów z dysz głównego napędu rozmieść cały kompleks kilkudziesięciu budynków. Potem szalony pilot wraz z niedobitkami Ziemian runął na ostatni punkt oporu Drebbel. W pewnej chwili wyrwał się do przodu, śmiałym zakosem skrył się za horyzont planety, po sekundzie wyskoczył z podprzestrzeni tuż nad powierzchnią globu w obrębie fortyfikacji i zanim miotacze Drebbel zdążyły skłonić się w jego stronę, przez wszystkie budynki stanowiska dowodzenia przebiegł ostry, zielony błysk strumienia wyzwolonych pozytronów. Statek Skaë powoli, majestatycznie odpłynął z ponad ruin. Walka była skończona. W całym centralnym układzie imperium Drebbel nie było ani jednej zielonej istoty.

Ludzkie statki ociężale, powoli zaczęły formować sferę, w której środek spokojnie wpłynął statek Skaë.

– Kim jesteś, przyjacielu? Czy działasz na rozkaz swojego diarchonta?

– Jestem diarchontem Skaë – na ekranach statków ziemskiej floty zajaśniał obraz trójnogiego sprzymierzeńca.

– Dlaczego – kapitan Flowe przejął obowiązki nieobecnego komandora Steblera – zdecydowałeś się nam pomóc?

– To proste – przez wąskie usta diarchonta przewinął się nieokreślony uśmieszek. – Większość najlepszych interesów ubijam na terenie waszego imperium. A teraz chciałbym zawrzeć z wami układ o wzajemnej ochronie.

– Na ten temat może się wypowiadać jedynie Rada albo jej pełnomocnik. Niestety, komandora Steblera chwilowo tutaj nie ma, a ja nie mam prawa udzielić ci wiążącej odpowiedzi. W każdym razie ze swej strony przedstawię odpowiedni raport komandorowi po jego powrocie. Co kiedyś między nami było...

– To mam nadzieję, że zostało zapomniane.

– Tak, diarchoncie. A ja osobiście i w imieniu pozostałych kapitanów dziękuję ci za pomoc. Przyszła dosłownie w ostatnim momencie. Nasze zapasy energii są na wyczerpaniu. Jeżeli pozwolisz, dokonamy teraz przeglądu statków zdolnych do działań bojowych.

– Oczywiście, przyjaciele. Przy okazji pragnę wam zaproponować gościnę w moim układzie. Będziecie mogli tam odpocząć i poczekać na komandora Steblera.

Diarchont nie czekając na odpowiedź kapitana Flowe wyłączył wizję swojego nadajnika. Czuł, że nie potrafi opanować swojej twarzy i bał się, żeby jego złość nie została dostrzeżona. Gdyby wiedział, że ludzie muszą ulec lada chwila. Pozwoliłby im jeszcze powalczyć, a potem...

– Dziękujemy ci, diarchoncie. Z prawdziwą przyjemnością skorzystamy z twojego zaproszenia – słysząc słowa z głośnika, diarchont odruchowo zacisnął sękate pięści.

– Ja was ugoszczę – mruknął do siebie, potem głośno rzucił:

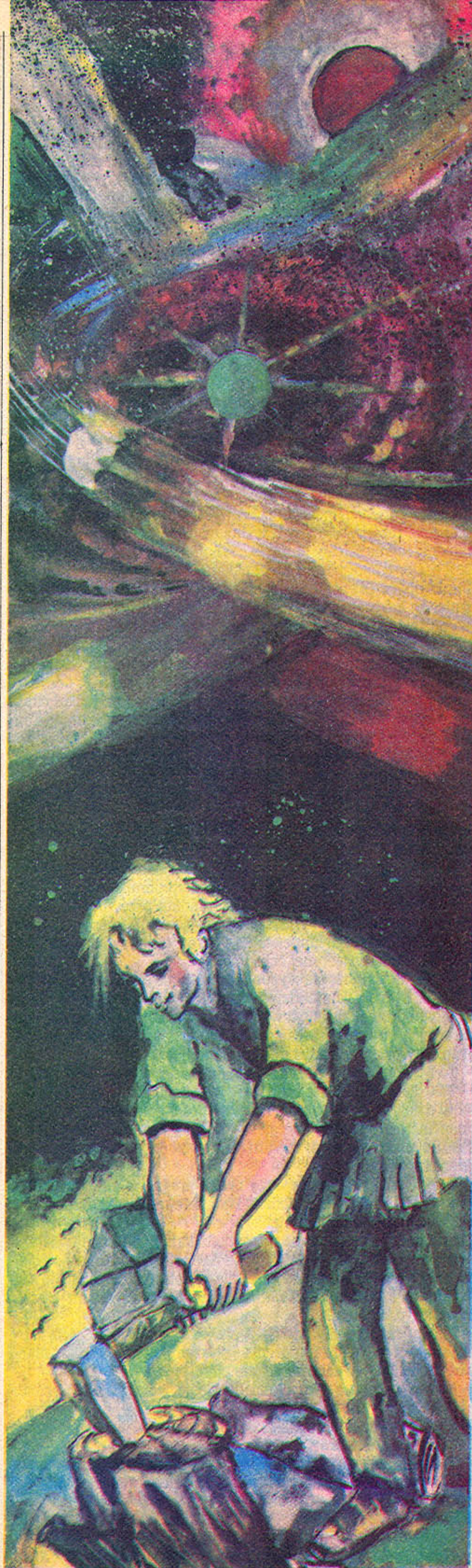
– Więc kiedy możemy wyruszyć?

– Choćby zaraz, diarchoncie. Skoro w twoim układzie będziemy mogli dokonać napraw i doładowania...

– W takim razie ruszajmy. Uwaga, przechodzę do podprzestrzeni! Towarzyszcie mi w czasie normalnie dodatnim.

– Okay, diarchoncie. Ruszamy!

Kapitan Flowe ze smutkiem patrzył na kilkanaście poszarpanych kosmolotów, stanowiących od dziś całą ludzką flotę dalekiego zwiadu. Jeszcze wczoraj tacy śmierdzący przemytnicy jak Skaë nie liczyli się w porównaniu z potęgą Ziemian. I nagle z godziny


R. Polańska

na godzinę stali się dla ludzi równorzędnymi partnerami. Ba! Stali się potęgą, z którą warto było zawierać układy. Kapitan Flowe po raz ostatni zerknął na kilkadziesiąt wraków kosmolotów powoli opadających w stronę bladego słońca, prześliznął się spojrzeniem po szczątkach zrujnowanego układu i mruknął w stronę pilota:
– Lecimy. Tu nie ma już czego szukać.
Po chwili niedobitki ziemskiej floty ruszyły w ślad za kosmolotem diarchonta Skaë.
Po upływie dwudziestu minut diarchont dał znak wyjścia z podprzestrzeni.
– Dalej polecimy normalnie. Moi poddani nie lubią, kiedy ktoś wyłania się niespodziewanie w pobliżu układu.
– W porządku, diarchoncie – światła na statku kapitana Flowe zajaśniały pełnym blaskiem – Wiesz, zastanawia mnie jedno. To, że cała trasa przed nami wygląda jak wymieciona.
– Pewnie trafiliśmy w korytarz, wybity przez anihilatory. Trochę mi żal tego pilota. Cóż, spełnił swój obowiązek. Ale... – głos diarchonta zmienił się raptownie.
– Co się stało?
Diarchont nie odpowiadał długą chwilę. Nagle przypomniał sobie statek Drebbel, na którego pokładzie jego agenci umieścili minikolapsator.
– Uważajcie, przyjaciele! – głos diarchonta brzmiał prawie normalnie. – Jeszcze nie bardzo rozumiem, co się stało, ale czuję, że lepiej będzie zacieśnić szyk. Czy możecie zbliżyć się do mojego statku na dolną dopuszczalną odległość?
– Oczywiście – na rozkaz kapitana Flowe ludzkie statki zakrzywiły swoje trajektorie.
Diarchont Skaë mocno wparł się trzema odnóżami w podłogę i stał w milczeniu patrząc na czołowy ekran, na którym już nie było żadnego układu. Kątem oka dostrzegł, że ludzkie statki otoczyły jego kosmolot szczelną sferą. Po raz ostatni diarchont uśmiechnął się pogardliwie, potem pochylił się do przodu i mocno, gwałtownie szarpnął ku sobie dźwignię mechanizmu samoniszczącego.

Janga zerwał się na równe nogi, słysząc lekkie kroki dziewczyny, obrócił się i nagle zapomniał o wszystkim, co miał jej powiedzieć. W szarym blasku przedświtu na malachitowym policzku dziewczyny majaczyła sinobrązowa prega.
– Kto? – Janga pochylił się, delikatnie dotknął czubkami palców śladu uderzenia. – Kto to zrobił?
– Ojcowie – dziewczyna przytuliła się do ramienia chłopaka, poczuł gorącą wilgoć przesiąkającą przez rękaw koszuli.
– Dlaczego?
– Ja... – szept Fallei załamał się. – Ja nie wiem, jak ci to powiedzieć...
– Co? Chcę, żebyś mówiła.
– Ja będę miała dziecko. Z tobą dziecko.
Janga poczuł, że mięśnie jego ramion napreżają się mocno.
– I oni ciebie... dlatego?
– Tak. Trochę dlatego...
– I dlaczego jeszcze?
– Bo ludzie... Oni mówią, że ludzie...
– Co?
– Oni mówią, że ludzie napadli i zniszczyli centralny układ Drebbel. Ja... ja nie wiem, co myśleć. Bo przecież ty nie jesteś taki... – Janga poczuł na sobie spojrzenie dziewczyny. – Ja ciebie i tak...
Chłopak szarpnął się ostro, dziewczyna upadła na szerokolistną trawę. Długą chwilę stał wyprostowany, patrząc w stronę domu, potem schylił się, chwycił delikatny przegub dziewczyny.
– Chodź... – rzucił, pociągając ją za sobą.
– Dokąd? Ja...
– Chodź.
Po kilku minutach marszu znaleźli się w pobliżu farmy.
– Czekaj tu – chłopak zdecydowanie pchnął dziewczynę w gąszcz sumakii, potem cicho wślizgnął się za ogrodzenie. Po chwili usłyszała jego lekkie kroki na werandzie, skrzypnęły drzwi.
Świt jaśniał powoli. Fallea z lękiem patrzyła na pierwsze promienie słońca wyzierające spoza zasłony drzew. Co będzie, jeśli Janga nie wróci? Gdyby znaleziono ją tu ukrytą tak blisko ludzkiego siedliska...
W tej samej chwili znowu usłyszała ostrożne kroki chłopaka. Niósł ciężką, wypchaną torbę i laser pod pachą. Bez słowa wziął ją za rękę, pociągnął w głąb sadu. Mijając podrąbany pień starej śliwoni schylił się nagle po coś, podniósł, zarzucił sobie na ramię. Wschodzące słońce ostrym, złotym blaskiem liznęło ostrze ciężkiej siekiery. Wolną ręką chłopak delikatnie objął szczupłe plecy dziewczyny.

Andrzej Krzepkowski

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 5/83.



Aleksander Świętochowski (1849-1938) – prozaik, dramatopisarz, krytyk literacki, publicysta, historyk i filozof kształcił się na wydziale filologiczno-historycznym Szkoły Głównej, studiował na Uniwersytecie Warszawskim i Lipskim, gdzie uzyskał doktorat filozofii. Przez całe życie prowadził ożywioną działalność społeczną i polityczną. Był głównym przedstawicielem polskiego pozytywizmu, współpracownikiem „Przeglądu Tygodniowego" (1871-1878), któremu nadał kierunek radykalny. W roku 1878 objął redakcję dziennika „Nowiny" i prowadził ją do roku 1881. Założył i redagował tygodnik „Prawda" (1882-1902). Tu ogłaszał setki prac publicystycznych i literackich, m.in. cotygodniowy felieton „Liberum veto" podpisywany kryptonimem „Poseł Prawdy". Należał do działaczy tajnego zespołu publicystycznego pod nazwą „Towarzystwo Literackie", które podtrzymywało świadomość narodową i przeciwstawiało się ugodowości wobec zaborców. W roku 1906 powołał do życia Towarzytwo Kultury Polskiej skupiające przedstawicieli postępowej inteligencji. W latach 1908-1912 wydawał jego organ – miesięcznik „Kultura Polska", później – „Humanistę Polskiego" (1913-1915). Był współzałożycielem proaliancklego Klubu Demokratycznego (1915). W latach 1923-1929 pisywał felietony do „Gazety Warszawskiej" i „Myśli Narodowej". Był również autorem wielu dramatów, m.in. „Poddanki" (1877), „Błazna" (1881), „Helvi" (1871), „Aspazji" (1885), w których oskarżał bezprawie, sprzedajność, poniżenie jednostki. Tworzył nowele, m.in. cykl „O życie" (1879), oraz studia o charakterze popularnonaukowym: „Źródła moralności" (1912), „Historia chłopów polskich" (1925-1928), „Z pamiętnika" (1932). Zbiorowe wydanie jego „Pism" ukazało się w roku 1896.

„Utopie w rozwoju historycznym",wydane nakładem Gebethnera i Wolffa w roku 1910, są pierwszą w naszym kraju, całościową próbą analizy tego gatunku i po dzień dzisiejszy budzą szacunek przenikliwością niektórych sądów autora, śmiałością ocen, systematyką ujęcia materiału. Ponieważ Świętochowski streszcza wiele zapomnianych, bądź nie tłumaczonych traktatów (zwłaszcza z przełomu XIX i XX stulecia), jego „Utopie" mogą stanowić doskonałe kompendium wiedzy dla studentów, krytyków i literaturoznawców. Tekst przedrukowywany na łamach naszego miesięcznika jest obszernym fragmentem pierwszego rozdziału książki („Pojęcie utopii. Platon. Utopijne baśnie greckie") i stanowi dość oryginalną (jak na owe czasy) interpretację utopii Platońskiej, dając świadectwo rozległości socjologicznych zainteresowań Świętochowskiego.

A.N.

Utopijne państwo Platona

Aleksander Świętochowski

„Na mapę świata niezawierającą Utopii nie wolno patrzeć, gdyż pomija ona ten kraj, do którego Ludzkość ciągle dąży. Postęp – to urzeczywistnienie Utopii".

(O. Wilde)

I

Utopia, jako idealna postać stosunków społecznych jest najpowszechniejszym pierwiastkiem w świecie ducha. Wchodzi ona w skład wszystkich wierzeń religijnych, teorii moralnych i prawnych, systematów wychowawczych, utworów poetyckich, słowem wszelkiej wiedzy o twórczości dającej wzory życia ludzkiego. Niepodobna bowiem wyobrazić sobie ani takiej epoki, ani takiego narodu, ani nawet takiego człowieka, który by nie marzył o jakimś raju na Ziemi, który by nie był mniej lub więcej utopistą. Gdzie tylko istnieją – a istnieją zawsze i wszędzie – nędza, krzywda i boleść, tam musi zjawić się rozważanie sposobów usunięcia przyczyn złego. W olbrzymiej skali, która rozciąga się przez całą historię kultury od rojeń dzikiego koczownika do rozmyślań nowoczesnego filozofa, mieści się niezliczona ilość odmian utopii, często niedostrzegalnych, jak niedostrzegalne są pierwiastki chemiczne w naturze, ale łatwych do stwierdzenia. Tej przędzy człowiek ani na chwilę nie przerywa i ciągle ją dalej snuje. Jej porwane i splątane nici, jej nierozwinięte motki leżą nieraz bardzo długo w legendach, pieśniach, literaturze, dziełach sztuki, opinii publicznej, dramatach życiowych, w bluźnierstwach odszczepieńczych i głosach apostolskich, w projektach jawnych i zmowach tajemnych, w reformach i buntach, zanim je umiejętna ręka zbierze i na tkaninę obrazu pożądanej doli przerobi (...). Chcąc zatem nakreślić historię utopii w najdrobniejszych jej przejawach, należałoby opowiedzieć całe dzieje kultury powszechnej. Nie możemy tak daleko rozszerzać naszego zadania i zbierać nawet cennych ułamków z długiego snu ludzkiego o przyszłości. W religiach Wschodu, w systemach filozoficznych starożytności znajduje się mnóstwo wierzeń, twierdzeń, wywodów, poglądów, reguł posiadających charakter utopijny. Buddyzm widzi ideał człowieka w żebraku, który żyje z jałmużny, zwalczył w sobie „ja", stłumił wszystkie namiętności (...), szuka prawdy i stara się zostać bogiem ucząc: *„większym jest zwycięzcą ten, kto pokonał siebie, niż ten, kto pokonał tysiąc razy tysiąc ludzi"*.Cynizm grecki, który usiłował zredukować zadowolenia cielesne człowieka do najprostszych potrzeb; epikureizm, który starał się unikać głębokich wzruszeń i doprowadzić uczucia do spokojnej równowagi; stoicyzm, który hartował wolę i uniezależniał ją od warunków zewnętrznych – wszystkie te teorie ujawniały dążność radykalnie reformatorską. Jej nieświadome, choć nieraz bardzo silne drgnienia wyczuwamy w skargach bohaterów powieści lub tragedii, w rozpaczliwych krzykach męczenników, w napomnieniach moralistów. Przeczytajmy np. śliczny list Seneki do Nerona „De clementia", w którym zaleca mu łagodność i zohydza okrucieństwo. *„Żaden tyran nie może mieć wiernych i dobrych ministrów, który posługuje się nimi jak maszynami tortury i narzędziami śmierci, który im rzuca ludzi na pastwę, jak dzikim zwierzętom. Stając się coraz winniejszym, lękając się coraz bardziej ludzi i bogów, świadków i mścicieli jego występków, dochodzi do tego, że nie jest w stanie zmienić swych obyczajów. Między innymi bowiem złymi właściwościami, okrucieństwo ma tę najgorszą, że nie może cofnąć się do dobrego. Jedne zbrodnie musi podpierać drugimi, a czy jest większe nieszczęście niż konieczność czynienia złe? Powinieneś myśleć nie o tym, ile możesz sprawić cierpień niewolnikom bezkarnie, lecz na co ci pozwala dobroć i sprawiedliwość... Lepiej poprawić winnych karą umiarkowaną; więcej bowiem dba o siebie ten, komu coś jeszcze pozostało nietkniętym. Nikt nie oszczędza zdradzonej godności. Przekonasz się, że najczęściej bywa to popełniane, co jest najczęściej karane... Wierz mi, jest to bardzo niebezpieczne okazywać państwu, jak wielu jest w nim ludzi złych. Niegdyś senat uchwalił ażeby niewolnicy odróżniali się od ludzi wolnych ubraniem; wkrótce jednak spostrzeżono, jakie niebezpieczeństwo groziłoby nam, gdyby niewolnicy zaczęli nas liczyć. Wiedz, że tego samego należy się obawiać, gdyby nikomu nie przebaczono".*

Te głębokie słowa zawierają w sobie marzenie filozoficzne, dotąd nigdzie nieurzeczywistnione. Chociaż bowiem Seneka wspomina o karach „koniecznych", żąda od państwa tylko „ojcowskich" podyktowanych przez miłość i dobroć, czyli takich, które nawet w naszych czasach i w najkulturalniejszych społeczeństwach nie są wymierzane. Żaden sąd dzisiejszy nie kocha oskarżonego, lecz nawet w najwyższym wzniesieniu swej sprawiedliwości traktuje go obojętnie – przedmiotowo.

W przytoczonym wstępie listu Seneki mamy jeden z niezliczonych okruchów utopii, obficie rozproszonych w literaturze świata (...). Nas zajmują tylko te utopie, które wystąpiły jako plany nowego współżycia. Historycy grupują je zwykle w kilku kategoriach, zajmując się przeważnie społecznymi. Podział taki nie wydaje mi się ani potrzebym, ani możliwym. Niepodobna bowiem dokładnie wymierzyć i kopcami odgraniczyć ściśle połączonych i wzajemnie na siebie zachodzących dziedzin. Nikt nie wytknie linii między polityczną a społeczną, nikt również nie odetnie od nich technicznej. Nowe maszyny dokonują nieraz większego przewrotu w wewnętrznych stosunkach społecznych, niż bitwy lub rewolucje. Dlatego pojęcie utopii zastosuje-

my tu w najobszerniejszym zakresie i rozumieć przez nią będziemy wszelkie pomysły udoskonalonych postaci współżycia ludzkiego w przyszłości.

II

Pierwszą wykończoną utopię dał Platon (427–347) w dwóch dziełach PAŃSTWIE (Politeia) i PRAWACH (Nomoi).

Dojrzałość umysłowa tego filozofa przypadła na okres wielkiego rozkwitu kultury greckiej i wielkiego rozpadu jej wiązań państwowych. Ateny, które od IV wieku były słońcem Hellady, oświecającym i trzymającym w zależności od siebie jej ciała polityczne, zaczęły szybko tracić siłę przyciągania, narzucać równowagę stosunków i prawidłowość ruchów systematu rzeszy związkowej, w którym długo były ogniskiem, targać wybuchami swój ład życiowy i zakrwawiać swój blask zaciekłym mordowaniem geniuszu obywatelskiego (...). Bitwa morska pod Egospotamoi (404) złamała ostatecznie potęgę Aten w Grecji i obezwładniła je tak dalece, że mogły one już tylko czekać na jarzmo niewoli, które im włożył król macedoński. W chwili gdy Platon rozmyślał o najdoskonalszej politei, nie Ateny jaśniały chwałą, lecz Sparta. W nią też głównie się wpatrzył.

Według niego państwo zrodziło się z koniecznych potrzeb i wzajemnych usług ludzi. Z początku mogło się ono składać z „czterech lub pięciu mężczyzn", z których każdy ofiarował spółce swoje uzdolnienie, z czego powstały klasy społeczne . Klasy te odpowiadają trzem zasadniczym władzom duszy: myśleniu (logistikon), odwadze obejmującej szlachetne namiętności (thimos) i żądzom zmysłowym (epithymetikon, filochremation). Pierwsza tworzy najwyższy stan władców, druga – wojaków, trzecia – pracowników, żywicieli. Właściwie dwie pierwsze stanowią jedną warstwę „stróżów" narodu (fylakes), gatunek doskonalszy, pełnoprawny, którym Platon zajmuje się wyłącznie i dla nich jedynie określa formy współżycia, pozostawiając trzecią, lud, na uboczu. Ten bowiem najniższy pokład społeczny ma dostarczać soków korzeniom szlachetnych roślin. Pod nim spoczywa już tylko bezprawny nawóz gleby społecznej – niewolnicy. Pomimo wyraźnie odgraniczonego uwarstwowienia kastowość nie jest bezwzględna, a utrzymanie rasy „stróżów" w pożądanej szlachetności odbywa się po części za pomocą hodowli, po części za pomocą doboru, z którego nie jest wyłączona nawet masa ludowa. Platon przypisuje szczególne znaczenie wychowaniu, a raczej tresurze obywateli. Ażeby państwo mogło być dokładną, mocno spojoną „jednością" musi nią być również każda składająca ją cząstka – osobnik, który posiada oznaczoną zdolność i stały cel. Wielostronność jest zła i szkodliwa. Nikt nie powinien być rzemieślnikiem i sędzią lub prawodawcą, lecz tym lub owym. Przyszli „stróże" i „władcy" otrzymują wykształcenie duchowe i fizyczne, ściśle zastosowane do ich przeznaczeń. Podawana im nauka, a zwłaszcza poezja, winna być starannie cenzurowana (...). Podobnemu oczyszczeniu ulec mają mity zniesławiające bogów. *„Czyny i wypadki Kronosa* – mówi Platon – *gdyby nawet były prawdziwe, nie powinny być szczerze opowiadane młodym i nierozumnym ludziom, lecz przeważnie zamilczane; w razie konieczności zaś mogą być opowiedziane w tajemnicy niektórym, możliwie nielicznym (...), ażeby tylko dla niewielu były dostępne".* Nie należy mówić, że bóg jest sprawcą wszystkiego, lecz jedynie dobrego. Wyrażenia takie, jak: *bogowie podobni obcym wędrowcom w różnych postaciach przeciągają przez miasta",* albo *„wolałbym służyć jako parobek u biedaka, który ma ledwie z czego żyć, niż panować nad wszystkimi, idącymi tam (do Hadesu) umarłymi"* (Odyssea), albo *„dusza z szumem wbiegła pod ziemię jak dym"* (Iliada) – winny być z utworów Homera „wykreślone". Nie tylko poezja, ale w ogóle sztuka ma ulegać dozorowi, ażeby w swych dziełach nie przedstawiała obrazów budzących zmysłowość, obawę śmierci, nadmierny śmiech, słowem, nic takiego, co by mogło zakazić lub uczynić płochą duszę „stróżów".

Ze „stróżów" wychodzą i rządzą państwem „władcy", inaczej „ratownicy", wobec których tamci są „pomocnikami". Oprócz zwykłego wykształcenia cielesno-umysłowego studiują matematykę, astronomię, dialektykę i wznoszą się na najwyższy stopień wiedzy – idei dobra, będącej głównym światłem wszelkiego poznania. Oni najlepiej rozumieją istotę i potrzeby państwa, dlatego nim rządzą.

„Stróże" mieszkają we wspólnych gmachach publicznych, jedzą zwyczajem spartańskim przy wspólnych stołach i otrzymują od państwa zaspokojenie wszelkich potrzeb. Nic nie wytwarzają i nie mają własności osobistej, która jest dla nich zbyteczna i której brak zabezpiecza ich przeciwko niskim pożądaniom, zepsuciu charakterów i walkom o korzyści materialne. Cały ten muł życia osadza się w dolnym pokładzie społecznym – w ludzie, który posiada własność i dźwiga brzemię związanych z nią skutków.

Ażeby również uwolnić „stróżów" od ciężaru utrzymywania rodziny i wyczerpującego siły targania się w tych starciach, w które wpada mężczyzna dla zdobycia kobiety, nade wszystko zaś, ażeby umiejętnym doborem i kojarzeniem płci osiągnąć w potomstwie możliwie najlepszy materiał ludzki, Platon znosi w tej klasie stałe małżeństwo i rodzinę, wprowadzając wspólność kobiet.

Zgodnie wszakże ze swą państwowo-hodowlaną teorią, równouprawnia je z mężczyznami. *„Alboż suki pilnujące i myśliwskie* – pyta on – *nie wykonują tak dobrze swoich zadań jak psy?"* Trzeba tylko kobiety odpowiednio przygotować, wychować, wykształcić, a spełnią przeznaczenia męskie. Żadne zajęcie nie jest właściwe dla kogoś ze względu na jego płeć, lecz ze względu na jego uzdolnienie. Jeśli więc kobieta będzie stosownie uzdolniona, może robić to samo, co mężczyzna. O ile zaś jest ona od niego fizycznie słabsza, należy jej powierzać pracę lżejszą (...).

W państwie zdrowia, równowagi sił fizycznych i duchowych, gdzie starzy i niedołężni lub też niemowlęta ułomne tracą prawo do życia, w państwie hodowlanym, odbywać się musi dobór płciowy dla utrzymania *„rodu stróżów w czystości"*. Najlepsi mężczyźni powinni jak najczęściej łączyć się z najlepszymi kobietami, a najgorsi jak najrzadziej z najgorszymi; potomstwo pierwszych należy pielęgnować, drugich – nie. Nadto młodym wojakom, którzy okazali szczególne męstwo, obok innych odznaczeń trzeba dawać wiele kobiet, ażeby możliwie największej ilości dzieci przekazali swe zalety (...).

Ażeby rodzice wydawali na świat dzieci w swym „najpiękniejszym wieku", kobieta może być matką od 20 do 40 roku, a mężczyzna ojcem *„od przejścia okresu gwałtownych popędów"* do 55 roku. Młodszy lub starszy popełnia występek przeciw prawom boskim i ludzkim. Podobnie czyni ten, kto wiąże się z kobietą bez zgody władców: daje bowiem życie dziecku nieprawemu, wyłączonemu ze społeczeństwa. Mężczyźni i kobiety, którzy przekroczyli granicę przepisanego wieku, mogą się łączyć swobodnie z kim chcą – wyjąwszy bliskich krewnych. Gdyby zaś taka kobieta została brzemienną, winna pozbyć się płodu, lub – gdyby wbrew jej woli dziecko narodziło się – *„tak je traktować, jak gdyby nie miało żadnej opieki"*, innymi słowy *„ukryć je w tajemnym, nikomu nieznanym miejscu"*.

Dzieci prawowite, to jest spłodzone według ustaw politei, odbierane są natychmiast rodzicom i umieszczane w osobnym zakładzie, gdzie je karmią kobiety posiadające obfitość mleka, przy czym baczyć należy, ażeby nie rozpoznawały swoich. Tym sposobem cała społeczność stanowi jedną rodzinę (...). Potomstwo z oznaczonego okresu obejmuje braci i siostry, którzy nie mogą łączyć się, *„chyba że los (podczas uczt weselnych) tak postanowi, a wyrocznia potwierdzi"*. Ta wielka rodzina żyje w zgodzie, bo jej rdzeń – „stróże" są względem siebie krewniakami i nie posiadają ani mienia, ani żon, a przecież własność i kobiety są głównymi przedmiotami sporów i kłótni.

III

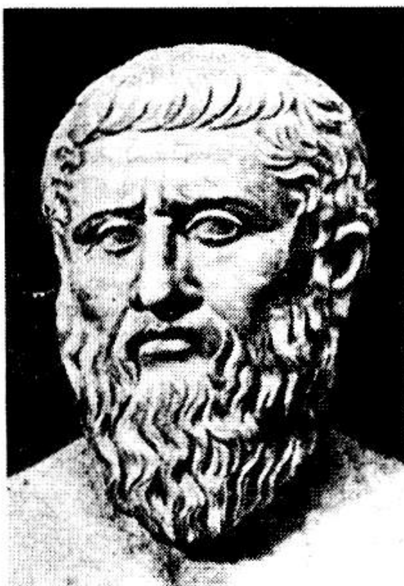
Maszyna tak ściśle i drobiazgowo dopasowanego państwa, które Platon ogranicza do małej przestrzeni i liczebności, powinna działać sprawnie i dokładnie, zwłaszcza że kierowaliby nią mędrcy, filozofowie, według niego najlepiej znający potrzeby ludzkie i sposoby zadośćuczynienia im. A jednak sam Platon spostrzegł, że szybko połamałaby ona swe sztuczne kółka i sprężyny w praktyce i dlatego przerobił ją i zastosował do życia rzeczywistego – *„dla obecnych pokoleń"* – w drugim dziele pt. „Prawa" (Nomoi), gdzie zajął się już uważniej sprawami społeczno-ekonomicznymi. Tu już nie ma ani wspólności mienia kobiet i dzieci, ani filozofów u steru państwa. Pozostają wszakże dwie idee dawne: reglamentacja stosunków społecznych i hodowla pożądanych ludzi.

Państwo podzielone jest na 12 części rozchodzących się promieniowo od zbudowanego w jego środku miasta: węższych z ziemią gorszą, a szerszych z lepszą. Te płaty znowu podzielone są na obwody świątyniowe i zawierają 5040 gospodarstw rolnych, nierównej wielkości zależnie od dobroci gleby, z których każde może wyżywić jedną rodzinę. Składają się one z dwóch części, rozłożonych w ten sposób, że najbliższa miasta tworzy całość z najdalszą, druga od niego – z drugą od krańca itd. Działki ziemi rozdawane są obywatelom przez losowanie i nie wolno ich ani sprzedawać, ani rozdrabniać. Dziedziczy syn najstarszy, inni przechodzą do rodziców, którzy nie mają synów lub dzieci. Kto posiada tylko córki winien się starać o wydanie za mąż przynajmniej jednej i przekazanie gospodarstwa zięciowi. Jeśli przy tym umrze bez testamentu, opieka familijna wynajduje córce męża, o ile można bliskiego krewnego. Już w poprzednim dziele przestrzega Platon, ażeby władcy przy łączeniu par stosowali ilość spodziewanego potomstwa do ubytku ludności, gdyż państwo nie powinno być *„ani za duże, ani za małe"* i radzi nadmiar zaludnienia – a zwłaszcza synów

bezrolnych – usuwać przez kolonizację. Wyjąwszy tę konieczność, nie wolno obywatelowi wydalać się za granicę przed 40 rokiem życia, a potem tylko w interesie państwa.
Uczty doboru płciowego, na które mężczyźni i kobiety powinni przybywać obnażeni – *„o ile na to pozwala przyzwoitość obu rodzajów"* – zostają zachowane, z tą tylko różnicą, że służą do kojarzenia związków stałych, a nie czasowych. Mężczyzna, który po 35 roku życia pozostaje bezżennym, podlega corocznie karze grzywny i częściowej zatracie czci (młodzież nie okazuje mu szacunku, nikt dobrowolnie nie spełnia jego rozkazów). Małżeństwo również jest dla Platona tylko zabiegiem hodowlanym, sposobem wytwarzania poprawnej rasy obywateli. Ujmuje on je w warunki bardzo szczegółowe. Oblubieńcom zaleca odpowiednie kombinacje temperamentów i charakterów, nowożeńcom przepisuje fizyczną i duchową dietę oraz zaleca pamiętanie o celu produkcji potomstwa, wreszcie ustanawia urząd dozorczyń. Schodzą się one codziennie w świątyni Eleutyi (patronki rodzących) i zawiadamiają się wzajemnie o tych mężach i żonach, u których zauważyły, że *„starają się o inne rzeczy, a nie o te, które im nakazano przy ofiarach i świętych obrzędach na weselu"*. Kontrola ta trwa przez lat dziesięć. Po upływie tego czasu małżeństwo bezpłodne rozwiązuje się (...).
Chociaż dla pracy okazuje Platon w „Prawach" więcej szacunku, jednakże przemysł i handel, jako zajęcia poniżające oddaje niewolnikom, wyzwoleńcom i cudzoziemcom, ustanawiając również nad nimi surowy nadzór. Tak np. nie wolno im pod karą chłosty zachwalać swego towaru i targować się o jego cenę. Cła znosi, ale zakazuje wywozu produktów koniecznej potrzeby i przywozu zbytkownych, a nawet materiałów surowych, których kraj nie posiada. Za sprawcę wszelkiego zła i najzdradliwszego kusiciela uważa pieniądze. Zabrania osobom prywatnym posiadać złoto i srebro prócz monety miejscowej; a gdyby komuś po powrocie z podróży zagranicznej pozostały obce pieniądze, winien je złożyć w kasie państwa. Zabrania również dawać i przyjmować posag oraz wypożyczać kapitał na procent, pozwalając dłużnikowi na niezwracanie jednego i drugiego.
Ponieważ państwo w swym naczelnym założeniu jest, według Platona, instytucją wychowawczą i umoralniającą, wszelkie przeto jego czynności muszą zmierzać do tego głównego celu. Stąd też kara nie jest odwetem, lecz poprawą, nakłonieniem do cnoty i odstręczeniem od występku. Jeżeli wszakże ktoś dopuścił się ciężkiej zbrodni przeciw bogom, rodzicom lub ojczyźnie – sąd powinien go uznać za nieuleczalnego i skazać na śmierć. Naturalnie religia jest również państwowa i nie pozostawia jednostce żadnej swobody sumienia.

IV

Wszelka utopia poruszać się może w dwóch kierunkach: wstecznym lub postępowym. Może ona bądź cofać rozwój urządzeń i stosunków społecznych, bądź go przyśpieszać. Pomimo innych pozorów, a właściwie wbrew błędnym wykładom jego teorii opartym na nieporozumieniu lub niezrozumieniu – Platon wytwarza organizację życia, którą ono albo już porzuciło albo wtłoczyć się w nią nie da, która jest albo przeżytkiem, albo formą sztuczną.



PLATON

Jest to znamienne, że Platon, który nadaje najwyższą wagę poznaniu, upatruje największą potęgę w mądrości, czyni filozofów prawodawcami i powierza im rządy państwa, nie ich przymioty chce utrwalać w potomstwie, lecz zalety zdrowych, dzielnych, ładnych samców i samic (...). W jego państwie moralnym jest tyle moralności, ile w zarodowej stajni lub psiarni. Chociaż zakazuje związków płciowych między bliskimi krewnymi, co czyni także hodowca zwierząt, równie jak on dopuszcza wyjątki i uprawnia kazirodztwo, któremu nawet nie może zapobiec, gdyż skutkiem zmieszania dzieci i przecięcia ich rodowodu, stosunki istotnego pokrewieństwa w jego społeczności zupełnie się zacierają.
Idea praw człowieka była w ogóle w starożytności nieznana i zaledwie przebłyskiwała mdłym brzaskiem w umysłach wyjątkowych. Państwo pożerało niemal całą swobodę indywidualną. Nikt wszakże nie nadał tej ofierze większej bezwzględności, niż Platon, który wprost nie pojmował, ażeby jednostka mogła posiadać jakiś samorząd i w jakimkolwiek wypadku przeciwstawić się ogółowi. Jeśli według niego *„sprawiedliwość polega na tym, że każdy czyni swoje"*, to nie znaczy, że sprawiedliwym jest ten, kto spełnia swoją wolę, lecz kto spełnia nakazaną. Przed jego oczyma człowiek, jako osobnik – znika, pozostaje tylko jako uzależniona komórka organizmu zbiorowego (...).

V

Trudno byłoby w dziejach znaleźć większe nieporozumienie i nieprawdziwą bajkę, niż słowa Platona z tego tytułu. Zwolennik wszechwładzy państwa i najsroższego gwałtu, wróg swobody osobistej, skrajny „anarchista", bezwzględny reglamentator, który nie dopuszcza do muzyki nawet fletu i w zakazie używania instrumentów dętych czyni wyjątek zaledwie dla piszczałki pasterskiej, utylitarysta, wyrzucający bez miłosierdzia wszystkich i wszystko, co nie jest dla społeczności „użytecznym", ojciec cenzury, nieprzyjaciel poezji – uznany został za idealistę! Mniemany esteta wygłasza o sztuce sądy godne najniższego rzemieślnika. *„Począwszy od Homera* – mówi on w „Politei" – *wszyscy poeci są tylko naśladowcami odbić rzeczywistości i innych rzeczy nie dotykających wcale prawdy"*. Malarz przedstawiający wyroby ze skóry lub metalu wcale nie zna się na nich i tworzy nie rzeczywistość, lecz jej pozór. *„Naśladowca (artysta) nie ma pojęcia o tym, co naśladuje; jego praca przeto nie jest czymś poważnym, lecz zabawą"*. Gdyby poeci posiadali wiedzę, zdobywaliby wyższą sławę niż naśladowców. Homer ani nie założył miasta, ani nie obmyślił sposobu życia – jak Pitagoras – gdyby był zdziałał coś pożytecznego, nie byłby tułaczem. Poezja służy gorszej części człowieka, gdyż właśnie myślenie uwalnia nas od złudzeń. Jest ona nawet szkodliwa, kusząc ludzi lepszych do chwalenia tego u innych, co ganią w sobie, pobudzając ich do litości i śmiechu. Toteż wszystkie utwory poetyckie, działające na uczucia i namiętności, płody drażniącej muzy, liryki i pieśni epickie winny być z państwa wygnane i pozostawione w nim tylko hymny dla bogów i na cześć zacnych mężów. Wtedy rozum zachowa swą naczelną władzę. Niepodobna zejść na niższy poziom racjonalizmu. Nazwano Platona przeciwnikiem własności prywatnej i rodziny. Znosząc własność prywatną i wprowadzając wspólność kobiet w jednej klasie społecznej nie czynił tego przez demokratyzm radykalny, do którego odczuwał zawsze wstręt, lecz dla zapewnienia wygód życia swym wybrańcom – „stróżom". Na co im własność, jeśli cała masa pracująca zaspokaja wszystkie ich wymagania? Na co im żony i rodziny, które męczyły by ich nudą i obciążały obowiązkami? Czy nie lepiej dostać co rok świeżą, piękną kobietę, która da wiele przyjemności, a żadnego kłopotu, gdyż nie potrzeba jej nawet utrzymywać, a jeżeli będzie miała dziecko zaopiekuje się nią przytułek? (...)
Pedantyczny reglamentator życia, systematyk gwałtu, twórca państwa opartego na przymusie, wróg swobody myśli i czynu, rzezacz sztuki, tępiciel rozmaitości, zimny rezoner posunął do karykaturalnej przesady spartanizm, który zamierzał udoskonalić. W ciasne i równe przegródki jego polityki nie mieściło się bujne, ogromnie zróżnicowane życie ówczesnej Grecji, a tym mniej przyszłości. Popełnilibyśmy niesprawiedliwość przykładając do jego utopii miarę dzisiejszą, ale właśnie oceniana historycznie wykazuje uwstecznienie rozwoju pojęć i stosunków społecznych. A chociaż niewątpliwie była matką późniejszych, niewiele było tak bezdusznych i skamieniałych. Dodać trzeba, że suchej treści odpowiada w obu dziełach Platona zupełnie sztywna i nudna forma. Jego dialog uznawany bezkrytycznie za mistrzowski w swym artyźmie jest bezbarwną i rozwlekłą gadaniną, w którą, niby dla urozmaicenia, a właściwie dla znużenia czytelników autor wstawia ciągle potakujące wyrazy naiwnego słuchacza.

Aleksander Świętochowski

Aleksander Świętochowski: Pojęcie utopii. Platon. Utopijne baśnie greckie. (w:) „Utopie w rozwoju historycznym", Warszawa 1910.

Minęły już chyba bezpowrotnie czasy, kiedy Stanisław Lem ubolewał nad brakiem zainteresowania nauki o literaturze fantastyką naukową i nazywał science fiction *„miejscem z dala okrążanym przez Herkulesów literaturoznawstwa, nie kwapiących się do oczyszczenia tej Augiaszowej stajni"* („Nurt" 1968 nr 7, s. 39). Obecnie z roku na rok ukazuje się coraz więcej rozpraw i szkiców w poważnych czasopismach literackich oraz w uniwersyteckich zeszytach naukowych. Tylko książek krytycznonaukowych o science fiction jest jeszcze niewiele, ale i tych przybywa z każdym rokiem. Największym zainteresowaniem badaczy cieszy się przede wszystkim Stanisław Lem.

Rozprawa Stoffa o powieściach Lema

Ostatnio biblioteczka opracowań o fantastyce naukowej powiększyła się o znakomitą rozprawę pisarza i teoretyka literatury, Andrzeja Stoffa pt. „Powieści fantastyczno-naukowe Stanisława Lema", wydaną w serii prac Wydziału Filologiczno-Filozoficznego Towarzystwa Naukowego w Toruniu.

O twórczości Stanisława Lema napisano już co prawda sporo artykułów i szkiców oraz parę prac popularnonaukowych, ale książka Stoffa jest pierwszą wydaną w Polsce rozprawą naukową na temat jego fantastyczno-naukowych powieści, czyli – jak zaznacza autor we „Wstępie" – jest próbą *„ogarnięcia i uporządkowania spraw w jednym (...) istotnym dla całości obrazu, zakresie"* (s. 6).

Lektura całości przekonuje jednak, że zakres poruszanych problemów wcale nie jest aż tak skromny. Traci również sens powściągliwe stwierdzenie, że *„próba oczyszczenia sądów na temat science fiction jako odmiany literackiej z mniemań błędnych, przypadkowych, wyraźnie niesprawiedliwych i zamiar jednoczesnego opisu zjawiska skazane są chyba na niepowodzenie, przynajmniej przy obecnym stanie badań"* (s. 5). Rozprawa dowodzi, że próba taka jest jednak możliwa i zamiar opisu science fiction może być uwieńczony powodzeniem, oczywiście pod warunkiem, że wobec tej specyficznej w sumie literatury zostanie zastosowany odpowiedni, właściwy do jej charakteru aparat badawczy. Przede wszystkim zaś, jeżeli za punkt wyjścia przyjmie się tekst literacki, a solidna – jak w tym wypadku – analiza i wyważone sądy interpretacyjne zastąpią tak częste jeszcze w niektórych recenzjach i opracowaniach intuicyjne przeświadczenia, oparte na zgoła powierzchownej lekturze.

Zasadnicza i najcenniejsza część rozprawy, ujęta w klamrę „Wstępu" i „Post scriptum", składa się niejako z dwóch części, tzn. z rozdziału pierwszego, będącego wprowadzeniem do głównego tematu i zarazem eseistycznym przeglądem całej twórczości Lema oraz czterech rozdziałów następnych poświęconych wnikliwej analizie wyróżnionych odmian powieści Lema.

„W powieściowym dorobku Lema – pisze Stoff – *wyróżnić można, biorąc pod uwagę sposób ujęcia tematyki i odmienne ukształtowanie poetyki, cztery grupy utworów. Pierwsza obejmująca „Astronautów" (1951) i „Obłok Magellana" (1955) realizuje wzorzec historii przyszłości. Druga, do której należą „Eden" (1959), „Powrót z gwiazd" (1961) i „Niezwyciężony" (1964) bada sprawność konwencji science fiction w podejmowaniu problemu kontaktu i najbliższa jest rozumieniu fantastyki jako krainy wszechmożliwości. „Śledztwo" (1959), „Pamiętnik znaleziony w wannie" (1961) i „Katar" (1976) są literackimi próbami zilustrowania przekonań o statystycznej naturze świata. Wreszcie czwarta odmiana obejmująca dwie najlepsze powieści Lema „Solaris" (1961) i „Głos Pana" (1968), zmierzające wyraźniej, niż wszystkie poprzednie dokonania tego autora, ku filozoficznym uogólnieniom"* (s. 18–19).

W rozdziale pierwszym autor rozprawy formułuje podstawowe właściwości całej prozy Lema, które ujawniły się już w pierwszej, nigdy nie wznowionej powieści fantastyczno-naukowej „Człowiek z Marsa" (1946) oraz w utrzymanym w konwencji realistycznej „Szpitalu Przemienienia" (1948, wyd. I – 1955). Naczelne idee oraz nastawienie wobec opisywanych zdarzeń, mimo zmieniających się rozwiązań literackich i szokujących niekiedy pomysłów fabularnych, są wciąż takie same. A więc ambiwalentne oceny sytuacji, koncepcja obcości cywilizacji kosmicznych, sceptycyzm i przekonanie o niemożności porozumienia między nimi, czy wreszcie koncepcja nauki, jako sposobu *„oczyszczenia sytuacji, w jakiej znalazł się człowiek"* – to tylko niektóre zagadnienia przewijające się – zdaniem autora rozprawy – przez całą twórczość Lema i upoważniające do wniosku o *„niezmienności świadomości autorskiej w sprawach decydujących i jej zdominowaniu przez zespół stałych, choć ustawicznie przemyśliwanych na nowo przekonań"* (s. 25).

Ponadto rozdział pierwszy jest interesującym esejem ukazującym fantastykę naukową i twórczość Lema na tle tendencji w literaturze i kulturze oraz pewnych wybranych koncepcji przyrodniczych i technicznych. Rozważania autora prowadzą niekiedy do śmiałych stwierdzeń prowokujących do dyskusji, lub nawet czasem budzących sprzeciw, jak np. teza o przejmowaniu autorytetu nauk humanistycznych przez nauki przyrodnicze (s. 10), co bynajmniej nie ujmuje wartości całej interesującej rozprawie.

O ile rozdział pierwszy wyróżniał się syntetycznym ujęciem problematyki, o tyle rozdziały następne mają charakter analityczny, choć i w nich sporo ciekawych spostrzeżeń, o charakterze ogólnych refleksji. Rozwijają one tezy postawione w części pierwszej oraz wnikliwie uzasadniają sądy już wcześniej sformułowane. W tej części rozprawy autorowi przyświeca przez cały czas myśl dosłownie wyrażona dopiero przy analizie „Głosu Pana":

„Trudności w możliwie jednoznacznym opisaniu struktury gatunkowej utworu, bez czego nie można myśleć o sensownej jego interpretacji, a także w znalezieniu wspólnego mianownika dla zawartych w nim treści, każą poszukiwać innych wzorców gatunkowych, i to takich, których czynniki wyróżniające mają charakter przede wszystkim kompozycyjno-techniczny, a nie tematyczno-problemowy" (s. 164).

Wychodząc więc z takiego założenia, autor omawiając kolejne utwory poszukuje wspomnianych „wspólnych mianowników" i „wzorców gatunkowych", zwracając uwagę na aspekt kompozycyjno-estetyczny i strukturalny analizowanych dzieł. Nie ogranicza się wszakże tylko do interpretacji tekstów, do omówienia ich ideowej zawartości, ale sięgając głębiej do niższych poziomów tychże utworów, pokazuje jak są one zbudowane, jak ich drobne na pozór elementy znaczą w całej strukturze dzieła i w ten sposób uzasadnia swoje sądy o charakterze ogólnym.

Ponieważ jednak pełna analiza wszystkich utworów nie była możliwa ze względu na objętość rozprawy, uwaga autora została skupiona na tych elementach, które w danej odmianie stanowią dominanty kompozycyjne i problemowe, np. czas w „historiach przyszłości", świat przedstawiony i problem kontaktu w „fantastyce wszechmożliwości", motywacja w powieściach „o statystycznej naturze świata" oraz dygresyjność, przestrzeń i terminologia naukowa w „fantastyce filozofującej".

Na uwagę w tym zakresie zasługuje, na przykład, znakomita analiza przestrzeni zamkniętej na podstawie stacji kosmicznej w „Solaris" (s. 155–156), lub symboliczna interpretacja sceny, zdawałoby się mało znaczącej, jak kąpiel Kelvina po przybyciu na stację solaryjską (s. 156–157). Dokładna analiza pokazuje, jak wiele w różnych warstwach wartościowego dzieła czytelnik może znaleźć, jeśli uważnie i ze znajomością rzeczy śledzi tekst utworu. *„Zmycie brudu i potu przywiezionego z Ziemi* – pisze Stoff – *nie zda się jednak na nic. Ważniejszy jest „brud" moralny, który niebawem zaciąży na obecności człowieka w kosmosie, utrudni jego sytuację, zmniejszy szanse zrozumienia"* (s. 157).

Trafnie wskazuje też na podniesiony w tym utworze przez autora do rangi symbolu *„klucz do ziemskiego mieszkania, który – niepotrzebnie zupełnie – zaplątał się wśród drobiazgów zabranych na lot. Wszystkie te symboliczne motywy zapowiadają właściwy problem powieści"* (s. 157).

Rozprawa jest przykładem solidnej pracy naukowej, pokazującej jak należy i jak można odczytywać fantastykę naukową, z jakim aparatem do niej podchodzić i w jakich kontekstach ją umieszczać, aby nie uronić z niej tego, co istotnie wartościowe.

Książka wprawdzie jest poświęcona tylko analizie powieści Lema, ale – dzięki wnikliwości obserwacji oraz ukazaniu ich na tle całej twórczości pisarza oraz na tle współczesnych tendencji literackich, a także stanu wiedzy przyrodniczej i technicznej – daje także ogólny zarys obrazu powojennej fantastyki polskiej, kształtowania się jej konwencji oraz przełamywania schematów i prób wyjścia poza obiegowe standardy tej prozy. Godny podkreślenia jest też fakt, że wskazane odmiany powieści Stanisława Lema pokrywają się w zasadzie z fazami rozwoju całej powojennej polskiej fantastyki naukowej, która aż do połowy lat siedemdziesiątych podążała szlakiem wytyczonym przez Lema, nie dościgając wprawdzie mistrza ani nawet nie zbliżając się doń na bliższą odległość.

Z tego też powodu rozprawa Stoffa, aczkolwiek badająca tylko jeden wycinek bogatej twórczości Lema, okazuje się znakomitym studium ujmującym syntezę powojennego rozwoju fantastyki naukowej, oczywiście w jej aspekcie tematyczno-problemowym, na przykładach najlepszych i najbardziej charakterystycznych. Autor rozprawy – powiedzieć można – *„idzie, skacząc po górach"*, stanowiących punkty orientacyjne krainy polskiej fantastyki naukowej.

Rozprawa wzbogaca więc naszą wiedzę o polskiej science fiction oraz wiedzę o twórczości Stanisława Lema, któremu dość szybko udało się przekroczyć granicę popularnego obiegu literatury. Autor rozprawy wykazuje niezbicie, bo na podstawie solidnej analizy tekstów, że fantastyka naukowa wcale nie musi być zawsze literaturą drugorzędną, ani też zamykać się w ciasnym getcie literatury popularnej, choć – dodajmy – sama przynależność do tego obiegu literackiego nie jest przecież artystycznym wykroczeniem. Każdy bowiem społeczny obieg literacki spełnia inne nieco funkcje, przemawia do innego kręgu odbiorców, chodzi więc jedynie o to, aby swe funkcje spełniał jak najlepiej i na wysokim literackim poziomie.

Antoni Smuszkiewicz

Andrzej Stoff: *Powieści fantastyczno-naukowe Stanisława Lema*. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Prace Wydziału Filologiczno-Filozoficznego, tom XXIX, z. 2. PWN, Warszawa-Poznań-Toruń 1983. Cena 130 zł.

Literatura dobra na wszystko

Zapewne jest w tym wiele przypadku, ale ja raczej nie wierzę w przypadki. Stanisław Lem, wybitny krytyk SF, ostry jak brzytwa, konsekwentnie milczący o współczesnej polskiej SF opatruje utwór debiutanta w fantastyce polecającą przedmową. Czyżby Józef Kozielecki wynalazł coś rewelacyjnego? A może mistrz rekomenduje bratnią duszę, która interesuje się tym samym i robi to samo, co interesuje Lema?

Wiem, jest coś niesmacznego w tak zarysowanej alternatywie, ale fakt pozostaje faktem – nasz fantastyczny tuz ani się zająknął o Snergu, Żwikiewiczu, Zajdlu, puścił bokiem nową polską SF. Pisze Lem tylko o Anglosasach i wielkich polskich umarłych jak Grabiński i Żuławski. No a teraz wziął na warsztat Kozieleckiego. Dlaczego?

Odpowiedź leży oczywiście w „Smutku spełnionych baśni", wynika też z poglądów Lema ujawnionych w „Fantastyce i futurologii" i innych pracach krytycznych. Mistrza przeraża od dawna to, co stało się z science fiction, gatunkiem zdawałoby się stworzonym do przecierania nowych szlaków w literaturze, a lądującym częstokroć na śmietnisku piśmiennictwa. Tzw. fantaści opowiadają bajdy, zacne banały, bądź ociekające łzami sentymentalizmy. Autentycznej wiedzy w tym prawie za grosz, autentycznych talentów spotyka się tu niewiele; gatunek jako całość – powiada Lem – nie wypracował sobie składni ani języka wystarczająco bogatych *„by sprostać złożoności struktur tak z nauki, jak ze sztuki pochodzących"*, *„Nagminna nieobecność humoru w SF"*, *„sensacyjnie monotonne fabuły"*, *„pseudonaukowa wysilona imaginacja"* – oto niektóre z określeń mistrza miotanych w smutku i zacietrzewieniu. Zrozumiałe, że bardziej taktycznie było wygłaszać je pod adresem obcokrajowców niż równie grzesznych swojaków.

Zjawienie się „Smutku spełnionych baśni" ucisza Lemową burzę. Kozielecki, autor gawęd – śmiesznych, skromnych, w typie humoru nieco angielskich opowiastek o fikcyjnym miasteczku uniwersyteckim Bosford – nie lęka się żadnego z Lemowych zarzutów. Profesor, psycholog, specjalista od teorii decyzji i matematycznych modeli w naukach społecznych, popularyzator wiedzy – również jako debiutujący pisarz SF nawiązuje swobodny kontakt z problemami, do których wizjonerzy SF nie mają na ogół dostępu. W dodatku będąc człowiekiem z wewnątrz postrzega Kozielecki naukę nie jako pasmo sukcesów uszczęśliwiających ludzkość, lecz także jako ciąg porażek, niejasności, błędnych uliczek i głośno odtrąbionych zwycięstw, które potem okazywały się porażkami. Jeśli więc prawdą jest to, co mówi Lem, że SF jako całość nie wypracowała sobie jeszcze paradygmatu, języka i metody mówienia o rzeczywistości, to również jest prawdą, że współczesna nauka paradygmat taki właściwie zgubiła. I Kozielecki pokazuje to bardzo przekonywająco.

Być może sportretowanie tej właśnie przełomowej sytacji stanowi głównie o walorach książeczki Kozieleckiego. Dar dowcipu dany jest wielu, Kozielecki oferuje coś więcej – przekłada bardzo zręcznie problemy współczesnego życia zbiorowego na ciąg luźnych, niemal nie spuentowanych historyjek, z których każda jest nie tylko dowcipna, lecz również pouczająca. W opowieściach o miasteczku ogarniętym zbiorowym obłędem, o modach, sporach i kłótniach profesorów, o gołębiach, indykach i krukach, o wymarłych miastach, szalonych hipotezach i uszczęśliwiających planach społecznych wdrażanych nadto gorliwie – rozpoznajemy zresztą nie tylko problemy dziedziny, którą Kozielecki zajmuje się na co dzień. Jest tu także mnóstwo śladów czasu, który książkę wydał – tzn. połowy lat siedemdziesiątych.

Poetyka książeczki, chwilami skromnej i jakby niepoważnej, okazuje się dobrym sposobem na wymierzenie sprawiedliwości temu, co dzieje się dziś w nauce i wiedzy. Zabawa wizjami wziętymi z pogranicza jawy i snu, okazuje się skuteczniejsza od natchnionych opisów z jednej strony i solennej, udokumentowanej metodologii naukowej z drugiej. Wiem, co mówię, bo czytałem przecież trochę innych autorów, czytałem też eseistykę Kozieleckiego i tam znajdowałem czasem autora nadto kategorycznym, nieznośnie pewnym siebie i przez to, bywa, irytującym. Tu natomiast, w niezobowiązujących igraszkach fabularnych, pisanych tonem pełnym niepewności i rozterki, okraszonych cienkim humorem, zdaje się Kozielecki trafiać w sedno. Kiedy wszystko zaczyna płynąć – znaczenie słów, naukowe zasady, metody, hipotezy (warto np. przypomnieć, że fundamentalna dla XX-wiecznej myśli teoria ewolucji nie wydaje się dziś ani pewna, ani nienaruszalna) – luźne, również płynne metody literatury najlepiej mogą sprostać sytuacji.

Jest ponadto kształt książeczki Kozieleckiego dowodem, że duchy pokrewne trafiają na siebie wcześniej czy później. Nie ma przypadku w tym, że Lem wybrał Kozieleckiego. Praktyka literacka Lema, gdy się w nią wczytać, jest przecież wołaniem o bliźniaczą duszę pisarza-naukowca i wiele jest przecież w „Smutku spełnionych baśni" podobieństw do „Próżni doskonałej" Lema, o której mistrz powiedział, że została zrodzona z marzeń o tym, czego nie było. Więc teraz już jest – obie książeczki są bardzo rozrzutne w pomysły, chwała autorom za to, obie nie polegają na konstruowaniu pracowitych wizji literackich, lecz na snuciu problemów. Otrzymujemy w wyniku tej działalności literaturę właśnie nie narzucającą się pięknościami, ale też bardzo szlachetnego rodzaju.

Jest to oczywiście jedna z propozycji, jedna z fantastyk możliwych. Do Żwikiewicza Lem przedmowy zapewne nie napisze (zresztą, kto wie?) nie dlatego, że jest wyniosły i rozmawia tylko z profesorami, ale dlatego, że go żwikiewiczowski typ SF bodaj nie interesuje. Bywa tak i tak, napotykam czasem na szlaku zaciekłych fanów Żwikiewicza przeciw Zajdlowi, Zajdla przeciw Sawaszkiewiczowi i odwrotnie. Należy tę dyferencjację witać z radością – fantastyka staje się gatunkiem, w którym można wybierać, a fanowie stają się ludkiem, który zamierza to czynić. Bardzo dobrze. Dlatego, w ślad za Lemem zwracam również uwagę państwa na książeczkę naukowca – Kozieleckiego. Tego intelektualnego towaru dla znawców nie mamy zbyt wiele, dlatego nie byłoby źle, gdyby zbiorek zafascynował parę osób i zaowocował mądrymi kontynuatorami.

Maciej Parowski

Józef Kozielecki: *Smutek spełnionych baśni*. Wydanie 2. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984. Cena 70 zł.

UTOPIA NASZYCH SNÓW

„Pajęczyna. Po drugiej stronie Księżyca" to kolejna „baśń fantastyczna" Michała Markowskiego, prozaika, scenarzysty i dramaturga debiutującego pod koniec lat siedemdziesiątych powieścią „Ożeniłem się z brzydką dziewczyną" (1980). Michał Markowski znany jest czytelnikom naszego miesięcznika – recenzja jego książki „Ocean niespokojny" (1982) ukazała się w pierwszym numerze „Fantastyki". Współtwórca „generacji '75" (obok S. Białczyńskiego, A. Krzepkowskiego, J. Maszczyszyna, D. Torunia, M. Oramusa) traktuje literaturę fantastyczną jako jeden z ważnych sposobów oceny naszego świata.

„Pajęczyna" to przypowieść na temat Arkadii – utopii zbudowanej na fundamencie ludzkiego szczęścia – dobroci. Słowo to ma dla Markowskiego znaczenie magiczne – jest kluczem otwierającym przesłanie utworu, alternatywą świata napiętnowanego nienawiścią, gwałtem, egoizmem.

Napisałem, iż „Pajęczyna" stanowi rodzaj baśni, ale daleko jej do klasycznych baśni ludowych dziejących się nigdzie i wszędzie, w wyimaginowanym czasie i przestrzeni. Arkadia istnieje na równi z naszą rzeczywistością i tylko droga do niej jest niezwykła, niemalże symboliczna. Wiedzie wąską ścieżyną nad brzegiem bezkresnego morza lub lochami starego, wiekowego kościoła. Osłonięta gęstą mgłą – staje się niewidzialna dla przeciętnego śmiertelnika. Również nasz świat, a raczej jego wizja przyszłości mieści się w ściśle określonym czasie: w XXI stuleciu, w momencie tragicznych załamań historycznych, zagłady cywilizacji, która wyniszcza się wzajemnie w bratobójczej, bezsensownej walce.

Na krok przed ostateczną katastrofą kilkudziesięcioosobowa grupa uciekinierów przedostaje się do krainy Piotra i Anny, aby założyć enklawę szczęścia – miasto nadziei, pokoju, zgodnego współżycia ludzi...

Czy powieść Markowskiego stanowi rodzaj ucieczki od rzeczywistości? Z pewnością – nie. Jest w tej historii – wbrew pozorom – wiele dydaktyzmu, morałów i przestróg, nic nie rozgrywa się w jakichś abstrakcyjnych, trudno uchwytnych wymiarach Dobra i Zła. Baśniowa Arkadia z wszechogarniającym kultem rodziny, domu, bezpieczeństwa nie ma w sobie nic z utopijnego perfekcjonizmu: żyją tu zwykli ludzie, porywczy i gwałtowni, nie umiejący poradzić sobie z wieloma kłopotami dnia codziennego. Ocaleni od śmierci wiedzą, że zło przyczaiło się tylko na chwilę, że czeka na sposobną okazję, aby wybuchnąć na nowo z jeszcze większą siłą. Właśnie dlatego nie znoszą ograniczeń, nakazów i restrykcji, żądają i tolerancji, miłości, prawa do wybaczenia największych nawet łajdactw. I tylko przeszłość, pamięć „tamtego świata" oplątuje ich serca trzeszczącą pajęczyną wspomnień, budzi strach, grozę, lęk przed nieznanym wrogiem drzemiącym na dnie duszy.

Powieść Michała Markowskiego dowodzi z całą ostrością, jakie istotne przemiany dokonały się w jego prozie w ciągu kilku zaledwie lat. Debiutancka historia z roku 1980 obfitowała w dłużyzny narracyjne, sceny wysilone i banalne. W „Pajęczynie" autor unika szczęśliwie wielu pułapek konstrukcyjnych. Jego powieść obfituje w dialogi, sprawia wrażenie lekkości i swobody. Tylko pewne sceny – malowane w zbyt jasnych, pastelowych kolorach – wnoszą poczucie niedosytu, świadomość truizmów i prawd oczywistych, od których książka bynajmniej nie jest wolna...

Być może wielu czytelników, spragnionych dobrej zabawy, westernowych przygód w Kosmosie, stanie nad „Pajęczyną" z bezradnością, odłoży ją ze zniechęceniem i rozczarowaniem. Może będzie to również nieumiejętność oceny, wtłoczenia w ustalone ramy gatunku science fiction. Ale czy wszystko w naszym świecie musi być jasne, proste, dokładnie określone?

Andrzej Niewiadowski

M. Markowski: *Pajęczyna. Po drugiej stronie Księżyca*. KAW, 1983. Cena 52 zł.

Wschód od dawna przyciągał uwagę ludzi żyjących w kręgu kultury europejskiej. W 1890 roku amerykański pisarz i dziennikarz Lafcadio Hearn wyjechał do Japonii, by wkrótce przyjąć buddyzm i nazwisko Koizumi Yakumo. Zafascynowany kulturą nowej ojczyzny napisał wiele książek, z których najpopularniejszą stał się zbiór legend i niesamowitych opowieści „Kwaidan".
Jest sprawą oczywistą, iż Hearn dążył do przerzucania mostów między kulturą Wschodu i Zachodu, chciał przybliżyć fascynującą egzotykę Japonii czytelnikowi Europy i Ameryki. Miał większe możliwości aniżeli inni pisarze, ponieważ nie był skazany na obserwację kultury japońskiej z ze-

KWAIDAN

wnątrz i na to, co chcą mu pokazać tubylcy. Hearn przekroczył granicę oddzielającą kulturę Japonii od innych krajów świata. Musimy pamiętać, że ta kultura odznaczała się zawsze tendencjami introwertycznymi i właściwie dopiero po 1945 roku nastąpiła jej integracja z resztą naszego globu. Hearn *„umierał jako japoński pisarz narodowy"*. W przedmowie do tokijskiego wydania „Kwaidanu" stwierdzono nawet, że jego opowieści są *„tak japońskie jak haiku"*. Jest w tym zapewne sporo przesady wypływającej ze względów komercyjnych, lecz każdy kto przeczytał uważnie „Kwaidan" musi przyznać, że udało się Hearnowi bardzo sugestywnie ukazać świat japońskich legend. Tu oczywiście zrodzić się musi pytanie, na ile relacje Hearna są autentyczne, na ile zaś zostały dostosowane do wyobrażeń czytelnika o „japońszczyźnie" kształtowanych przez powierzchowne relacje dziennikarskie? Niewielu jednak jest znawców, którzy są w stanie rozszyfrować, co jest autentykiem, a co „cepelią", możemy więc spokojnie oddać się lekturze i smakować cudowną fantazję Japończyków.
Niezwykłość opowieści zebranych w tomie „Kwaidan" polega – w uproszczeniu – na tym, że w świecie realnym (niekiedy nawet podane są daty relacjonowanych wydarzeń i ich miejsca) pojawiają się siły nadprzyrodzone. Pochodzą one z rzeczywistości równoległej zamieszkałej przez duchy zmarłych. Wydaje się nawet, że tamten świat jest w podobny sposób zamknięty, jak i nasz, ale pomiędzy nimi następują liczne „przebicia", przez które do realności wdzierają się duchy zmarłych albo upiory, a zatem duchy niespokojne i wrogo nastawione do ludzi. Ich nadprzyrodzone możliwości są jednak ograniczone: człowiek może podjąć z nimi walkę, bronić się, jak bohater opowieści zatytułowanej „Rokuro-Kubi", skutecznie walczący z tytułowymi zjawami. A jeśli nie można z nimi walczyć wprost, są sposoby na to, by się ratować, odpowiednie zaklęcia, malowidła, rytualne czynności. Tak jest na przykład w „Opowieści o Mimi-Nashi-Hoichi", który stracił uszy niezabezpieczone malowidłami.
Istnieją także duchy, które nie są agresywne: odeszły, lecz coś, co zostawiły w realnym świecie nie pozwala im na spokojne trwanie w tamtej, alternatywnej rzeczywistości – wtedy wracają, okazują swój niepokój, lecz można z nimi dojść do porozumienia. W tej grupie utworów lokują się historie o „reinkarnacji", przenikaniu się świata ludzi i roślin (duchy drzew) i piękne opowieści miłosne (np. o młodym drwalu i Pani Śniegu). Spisujący je Hearn miał świadomość, że ratuje przed zapomnieniem część dawnej kultury – dlatego też zamieścił w swym tomie krótki tekst o krainie Horai, kończący się akapitem odsłaniającym posłannictwo, jakie przyjął na siebie pisarz: *„Złe wiatry z Zachodu wieją dziś nad Horai! – o zgrozo! – magiczna atmosfera kurczy się pod ich uderzeniami. Pod tymi strzępami czarodziejskiej mgiełki wciąż jeszcze odnaleźć można Horai – ale już nigdzie indziej... Pamiętajcie, że Horai zwane jest także Shinkiro, co znaczy »miraż, wizja nieuchwytnego«. A wizja taka rozpływa się bezpowrotnie, by powracać już tylko w obrazach, wierszach i snach..."*

Leszek Bugajski

Lafcadio Hearn *„Kwaidan. Opowieści niezwykłe"*. Przełożył A. Rzewuski. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984. Cena 150 zł.

Hulewicz Jerzy (1886–1941)
Literat, malarz

Urodził się 4 sierpnia 1886 r. w Kościankach (powiat Września). Pochodził ze środowiska ziemiańskiego – jego matką była Helena z Kaczkowskich. Uczęszczał do szkoły średniej w Trzemiesznie, później we Lwowie – po wydaleniu przez władze niemieckie za udział w tajnym związku samokształcenia. Studiował na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie oraz w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. W latach 1907–1913 kontynuował studia malarskie w Paryżu i Monachium. Swoje prace wystawiał w kraju i za granicą począwszy od roku 1908. W dwa lata później ukazała się jego pierwsza książka: „Dialogi estetyczne" (1910), a następnie wiele dramatów i powieści, m.in.: „Samskara" (1918), „Kain" (1920), „Śluby Ziemi" (1920), „Bolesław Śmiały" (1921), „Ego eimi" (1921), „Wiano" (1921), „Aruna" (1922), „Joachim Achim" (1923), „Kratery" (1924), „Córa Oksymoronu" (1936), „Szaruga" (cz. 1 – 1938), „Czarna fala" (cz. 2 – 1938).
Dramaty poetyckie Hulewicza cieszyły się dużą popularnością. Losy jego bohaterów – jednostek samotnych, wybitnych, bezkompromisowych w dążeniu do prawdy, rzucających wyzwanie światu – poruszały serca czytelników. *„Kain biblijny urasta Hulewiczowi do polskiej ofiary ducha – zabija swego brata potężnym strumieniem ognia ze znaku jego czoła idącym"* – pisał Konrad Górski. *„Zatarg króla z biskupem w »Bolesławie Śmiałym« rozstrzyga władca świata, Lucyfer (...). Alchemik średniowieczny, Joachim Achim odrzuca alchemię jako próżną złudę służby rzeczom przemijającym. Gdy w chwili wyrzeczenia się swych praktyk staje przed sądem Inkwizycji, odmawia sędziom prawa wyroku i przyjmuje raczej śmierć głodową w lochu niż poddanie się fałszowi".*
W latach 1916–1921 Hulewicz zorganizował spółkę wydawniczą „Ostoja" w Poznaniu. Od 1917 był redaktorem i kierownikiem artystycznym czasopisma „Zdrój". Rzeczywistym redaktorem „Zdroju", aż do roku 1918, był jednak Stanisław Przybyszewski, który kierował pracami związanymi z wydawaniem pierwszych numerów i był autorem programowego „Słowa wstępnego". Ze „Zdrojem" współpracowali m.in.: Jarosław Iwaszkiewicz, Emil Zegadłowicz, Józef Wittlin. Drukowano tu m.in. utwory Edgara Allana Poego, Oskara Wilde'a i Karela Čapka.
W roku 1926 Jerzy Hulewicz przenosi się do War-

pożółkłe kartki

DZIEJE UTANA

Jerzy Hulewicz

Sięgnął po srebrną skrzynkę, sięgnął do kieszeni po kluczyk, którym otworzył skomplikowany, dziwnie kunsztowny zamek i uroczyście wziął w ręce paczkę zwiniętych papierów. Z namysłem jął układać poszczególne dokumenty na stole, część papierów rozłożył na kolanach i począł objaśniać:
– Oto testament profesora Nico-Or-Strop-Topa. Testamentem tym czyni mnie, wówczas 16-letniego chłopca, generalnym spadkobiercą. W szczególności zaś kładzie nacisk na wymienione w testamencie dokumenty, na zbiory naukowe (...), poza tym zapisuje mi dość pokaźną fortunę w gotówce i papierach wartościowych.
Ten papier to skrót naukowego traktatu o sztucznym zapłodnieniu małpy ludzkim nasieniem. Tu stwierdza profesor Nico, że po wielu studiach i próbach, z dziewięciu samic orangutanów, wybranych jako typy w rozwoju najbardziej udoskonalone, a przez niego sztucznie zapłodnionych człowieczą spermą, dwie doprowadził do poprawnej ciąży. Samice, które już były rodziły, a więc zapłodnione drogą naturalną przez samców – orangutanów, nie mogły już reagować na zastrzyki spermy człowieczej. Obydwie zaś samice, skutecznie sztucznie zapłodnione przedtem nie rodziły, ani nie miały styczności z samcem. Obie dały potomstwo i to męskie: jedno dziecko bardziej zbliżone do małpy przyszło na świat nieżywe; dziecko drugiej, zbliżone bardziej do człowieka, odznaczało się wielką siłą życia i rokowało najlepsze nadzieje.
Tyle ten dokument – A oto następny, który przeczytam in extenso: „Dnia 27 Januarii 19.. roku urodzony z matki wywodzącej się z roku Pithecorum satyrorum i z ojca człowieka, którego nazwisko zataić jest moim obowiązkiem – Homo-Pithecus satyrus otrzymał imię UTAN dla przytwierdzenia krwi w żyłach jego płynącej. Cząstkę zaś własnego nazwiska dziecku nadawszy, nazwałem je Stroptop z odmianą pisowni, iżby ojcostwo dziecka nie mnie było przypisywane".
Utan Stroptop!
Powołanie tego stworzenia do życia to pierwszy etap mojej nauki, wychowanie i doprowadzenie do możliwie najwyższego stopnia rozwoju niech będzie celem reszty mojego życia. Zdobycz tę składam kornie u dostojnego podnóża Nauki i jej powierzam dalsze losy dziecięcia, którymi obym pokierował jak najszczęśliwiej.
A oto dalej:
– „...Problem wychowania fizycznego, umysłowego i duchowego ciążył mi troską i nie mogłem zdecydować się na pierwszy krok bez światłej porady ludzi fachowych. Utan może wyrość zwierzęciem lub człowiekiem, albo istotą połowiczną. Poprzestałem zrazu na nadziei, że wydobędę z małego stworzenia przebłyski znamion ludzkich. Tu opierałem się na tej pocieszającej okoliczności, że cechy ludzkie w budowie ciała Utana przeważają zdecydowanie. Przede wszystkim kończyny, poza małpimi proporcjami są bezwzględnie ludzkie.
Stopy! Stopy miast rąk przy kończynach dolnych! Ujrzawszy u noworodka pierwszy raz stopy, triumfowałem. Klatka piersiowa i budowa bioder zrazu najbardziej przypominały cechy małpie, a pomiary czaszki budziły we mnie poważne obawy. Dziś już, po latach dwóch, nie żywię pod tym względem poważnych obaw, natomiast spostrzegam, że rysy i wyraz tej twarzy, niestety, zdradzają raczej małpę niż człowieka. Owłosienie na całym ciele, jakkolwiek mniej zwarte niż pierwotnie, może w całym życiu Utana pozostawić piętno niezatarte. Czekam cierpliwie dalszego rozwoju dziecka". (...)

szawy. Współpracuje z „Pamiętnikiem Literackim", „Zwierciadłem", „Pionem", „Światłem", „Wiadomościami Literackimi", „Życiem Teatru", „Kurierem Porannym" (tu zamieszcza m.in. stałe felietony: „In flagranti", 1937–1939).
Umiera 1 lipca 1941 r. w Warszawie.

Chociaż tematykę biblijną, mitologiczną, fantastyczną podejmował Hulewicz już w dramatach poetyckich, to rekwizytami z gatunku science fiction posłużył się dopiero w jednej z trzech mikropowieści: **„Dzieje Utana.** Dziura w próżni. Lalita-Liana" opublikowanej w Warszawie w roku 1928 nakładem księgarni F. Hoesicka. W ten oto sposób otrzymaliśmy pierwszą polską historię SF opisującą losy sterowanego eksperymentu genetycznego: stworzenia homunkulusa będącego krzyżówką człowieka i małpy. Z tej niezwykłej krzyżówki rodzi się istota podobna do człowieka, a jednak przewyższająca go pod względem zarówno fizycznym, jak i umysłowym. Profesor nie tai swojego zaskoczenia: cudowny zabieg stworzył możliwości o jakich nie śniło się uczonemu. *„Nikt mnie nie oszuka, nie pobije w przenikliwości, nie zapominam nigdy o niczym, moje decyzje są szybkie"* – przyznaje Utan Stroptop. A jednak sensacyjny temat mściciela-mutanta, który dowiaduje się o swym pochodzeniu, przysięga zemstę i wciela swe plany w czyn – nie został w utworze Hulewicza należycie wyeksponowany. „Dzieje Utana" mają raczej szokować, budzić refleksję nad etyką ludzkich doświadczeń, aniżeli strach i grozę. Bohater powieści to następca legendarnego Frankensteina w pierwotnej, shelleyowskiej, mocno złagodzonej postaci: żądający pomocy, wsparcia, akceptacji swej odrębności i otrzymujący w zamian pogardę, litość, wstręt, a co najwyżej obojętność. W finalnej scenie utworu, doprowadzony do ostateczności, zaszczuty przez środowisko, zabija syna-potworka i zostaje zmuszony do ... zapłacenia grzywny, ponieważ zlekceważył przepis o ochronie zwierzyny. Utan – bliski samobójstwa – poddaje się woli sądu, rozpaczając nad swym okrutnym losem.

Kostium fantastyki naukowej posłużył Hulewiczowi do ukazania obcości innej istoty, jej nieprzystosowania społecznego. Zadziałał mechanizm „lustra": w konfrontacji z przedstawicielem innego świata ujrzeliśmy nasze portrety, gesty, reakcje, ogrom nietolerancji, zgodę na poniżenie, bezsensowną, niepotrzebną śmierć.

Zapłodnienie in vitro nie należy dziś do fantazji – przed kilkudziesięciu laty podobny pomysł szokował jednak swym ekshibicjonizmem. „Ewolucjonistyczna" powieść Hulewicza była wyzwaniem rzuconym konserwatywnym poglądom mieszczańskim, bulwersowała, prowokowała czytelników manierystycznym przejaskrawieniem treści i formy. Ekspresjonizm tego utworu wyrażony w doznaniach niepokoju, dziwności wobec pozornie stabilnego świata, podtrzymywała indywidualna, subiektywna narracja informująca o zjawiskach trudnych do nazwania, zagadkach osobowości. Ta literacka „spowiedź" poszukująca sensu wartości w świecie ludzkim, burząca reguły opisu naturalistycznego, łamała granice między różnymi stylami, tonacjami wypowiedzi – podobnie jak w późniejszych utworach Kadena Bandrowskiego, Bruno Schulza czy St. I. Witkiewicza – operowała stylem wzniosłym, lirycznym, trywializmami, kpiną, bluźnierstwem, parodią i groteską. Były to jej cechy szczególne, ale zarazem – mocno kontrowersyjne. Patetyczny styl paraboli, wykład paranaukowy wchodził tu bowiem w konflikt z codzienną „prozą życiową" – sytuacjami sentymentalno-salonowymi, awanturami przeniesionymi żywcem z romansu brukowego i traktowanymi ze śmiertelną powagą.

Bibliografia wybrana

Ogólna:

– J. Stur: *O poecie teoretyku.* (w) „Na przełomie", Lwów 1921.

– Z. Kosidowski: *„Zdrój" i ekspresjonizm.* (w) „Fakty i złudzenia", Poznań 1931.

Recenzje:

„Dzieje Utana"

– L. Piwiński (w) „Przegląd Współczesny" 1929 /tom 28, s. 509–510.

Po chwili Utan czytał dalej:

– „Minęło 8 miesięcy od dnia urodzenia Hominis-Pitheci. Mimo ostrzeżeń kolegów postanowiłem odłączyć dziecię od czułej matki. Argumenty przyjaciół upadały w moim przeświadczeniu wobec jednego argumentu, że dziecku trzeba dać maximum rozwoju, a więc wpływy, rozwój ten cofające, oden oddalić. Obawiałem się, że decyzje moje są nieco spóźnione, względy jednak odkarmiania malca mlekiem matczynym nie pozwalały mi prędzej przystąpić do tragicznego momentu odebrania matce jej dziecka.

Decyzja zapadła, dzień tragiczny nadszedł..."

Utan odłożył arkusz papieru, chwycił nowy, przerzucił oczyma i zaczął czytać:

– „Obronę dziecka małpa przypłaciła życiem. Gdybym był przeczuwał walkę tak rozpaczliwą, tak bezwzględną a tragiczną, możebym się nie odważył na ten krok stanowczy (...).

Osierocona małpa zagrażała życiu wszystkich domowników, uwięzić jej nie było sposobu, a jej walka z każdym napotkanym przedmiotem, który łamała na drzazgi, tłukła na kawałki przez jej straszliwy ryk i skrzek nie mogły nie być słyszane przez jej dziecko: dość, że dnia trzeciego najwyraźniej zaczęło fizycznie i psychicznie podupadać. Mleko w minimalnej ilości tylko Utan wypijał, tak iż począłem lękać się o jego życie. Tymczasem wszelkie próby obezwładnienia małpy i wywiezienia jej w klatce gdzieś daleko okazały się zwodnicze. Dwóch śmiałków, którzy podjęli się poskromić zrozpaczone zwierzę o mało nie przypłaciło tego życiem. Jeden, poturbowany musiał szukać poratowania zdrowia w szpitalu, drugi zaś uszedł cało tylko dzięki wystrzałowi z rewolweru, który zdążył położyć dławiącą go za gardło małpę.

Trupa małpy kazałem odrzeć ze skóry, ciało poszło do prosektorium, skórę kazałem wypchać.

Utan czytać przestał, wstał i odszukał ukrytą w schowku jednej z szaf zasuwkę. Otworzył szerokie drzwi i wskazał na szklaną szafę. Spoza szyby patrzyła wypchana małpa niemal ludzkich rozmiarów. Trupi wyrzut i grymas bólu, a rozpaczliwej nienawiści mieszały się w upiornym wejrzeniu.

– To matka moja – powiedział.

„Dzieje Utana. Dziura w próżni. Lalita – Liana", nakładem księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1928.

Przygotował Andrzej Niewiadowski


M. Zalejski

ULUBIONY CIĄG DALSZY



Z Marcinem Wolskim rozmawia Maciej Parowski

Maciej Parowski: – *W Twoich bardzo atrakcyjnych opowiadaniach, słuchowiskach, wierszach, w powieściach jest wszystko oprócz powagi. Szarżujesz, jesteś zawsze śmieszny, może – za śmieszny. Nazywam to umownie ucieczką przed arcydziełem.*

Marcin Wolski: – Skoro tak, trzeba by założyć, że arcydzieło kiedykolwiek mnie goniło. Wiesz, takie typowe arcydzieło będące skrzyżowaniem genialnej literatury reportażowej ze sprawnym małym realizmem. A mnie te rzeczy nie interesują, nie czuję bluesa. Nie mam daru mimowolnego obserwowania, podglądania świata; nie słyszę w sobie, jak zdarza się to najlepszym prozaikom, autentycznego języka rzeczywistości. Wymyślam więc sobie ten język. Przedrzeźniam świat. Bawię się trochę jak naukowiec, to znaczy biorę jedną rzecz, obserwuję, przekręcam, rozwijam sytuację wymyśloną przez innych. Rodowodu szukałbym chyba w „Kandydzie" Woltera. Interesuje mnie literatura z zacięciem publicystycznym i satyrycznym. Groteska.

– **Uwielbiasz opowiadać dowcipy?**

– Nigdy nie znosiłem opowiadać dowcipów. Mówiłem na temat, albo blisko tematu i... ludzie się śmiali. Śmiech jest bronią słabych.

– ***Niepodobna powiedzieć niczego sensownego o świecie, żeby nie zabrzmiało to ironicznie? Śmiech jako najrozsądniejszy sposób reagowania na absurdy? O to Ci idzie?***

– Zmagając się z wielką mocą dodajesz sobie powagi ośmieszając to, z czym się borykasz. Stąd wziął się w średniowieczu zwyczaj łżenia przeciwnika przed pojedynkiem. Owszem, była w tym również magia, ale przede wszystkim pierwiastek rozładowania stresu. Coś cię przerasta i tłamsi, a ty okazujesz temu wyższość duchową. Kolega w szkole odbił mi dziewczynę. Ośmieszyłem go w wierszu. Nie potrafił zrobić nic innego, jak za karę mnie pobić. Ale to ja byłem górą. Tak więc interesowała mnie publicystyka, żart sensowny, zaadresowany. Nigdy nie ciągnęło mnie do pustej rozrywki.

– ***Stąd w Twoim życiu długi okres współpracy z kabaretami studenckimi?***

– Tak się zaczęło. Namówiony w 1969 roku przez kolegę z ogólniaka, Lucka Radzikowskiego, przyszedłem po opublikowaniu paru wierszyków w „Szpilkach" i „Karuzeli", do Kabaretu Elektryków przy Politechnice Warszawskiej. Był to bardzo zły kabaret, przegrywaliśmy wszystkie festiwale, nie mieliśmy ani jednego dobrego wykonawcy; jedyny pozytywny efekt tego był taki, że się zetknąłem ze sceną. No, a po drugie, zostałem stamtąd skaptowany do Stodoły. Znalazłem się wtedy w świetnym towarzystwie: Marek Gołębiewski, Magda Umer, Elżbieta Jodłowska, Tadeusz Gumplowicz, Krzysztof Knittel... Pierwszy program Stodoły odnowionej „O jak mi dobrze w pomarańczowym jest" był już złożony w większości z moich piosenek. Sprawa następna to było poznanie Maćka Wojtyszki i zrobienie drugiego programu bezpośrednio po Grudniu – „Telefon zaufania". Przy czym nie robiłem wówczas kabaretu publicystycznego wprost, typu Egida czy Elita, tylko raczej kabaret teatrzykowy, polegający na stworzeniu wizji w wymyślonej krainie, na graniu prawie teatralnym.

– ***Blisko stąd do fantastyki bajkowej, baśniowej. Do czystej SF chyba daleko?***

– Czystym fantastą nigdy nie byłem i chyba nie będę. Ale odkryłem wówczas w kabarecie na własny użytek baśń czy może antybaśń jako sposób przekazywania treści publicystycznych. Wojtyszko, człowiek wówczas znacznie bardziej oczytany ode mnie, podsuwał mi różne mądre lektury, no i w ten sposób trafiłem na Strugackich. Nie wzorowałem się na nich, ale ich proza rzuciła mnie na głęboką wodę – zobaczyłem w pełnej jaskrawości, że tak można, że akcesoria SF służą też przekazywaniu naszego świata. Na początku niewiele z tego wynikło, ponieważ wkrótce trafiłem do radia i starałem się robić to, co mi już wychodziło – to znaczy piosenki i później dywagacje historyczne w Teatrzyku Apokryf. Scenki, piosenki, blekauciki, fraszki – wszystko à la „Zielona Gęś" Gałczyńskiego. Problem polegał na tym, że wtedy panicznie bałem się prozy, jeśli musiałem coś powiedzieć, starałem się to sprowadzić do minimum słów. Taka radiowa szkoła. Mniej mnie onieśmielały parodie literackie, nie bałem się pisać Sienkiewiczem, Lemem...

– ***Ale bałeś „sobą"...***

– Do czasu. Któregoś dnia napisało mi się nieoczekiwanie opowiadanie o samochodzie-mordercy. Potem małe słuchowisko o bohaterze literackim, który zabija autora. Reżyser zwrócił uwagę, że wychodzi mi bardzo żywy dialog. To mnie ośmieliło – w założonym przeze mnie magazynie „60 minut na godzinę" znalazłem forum dla krótkich słuchowisk, niektóre z nich zamieniły się potem w seriale. Poruszałem się trzema tropami: baśnią opartą na historii, ale rozgrywającą się w fikcyjnym księstwie Amirandy, rządzonym przez regenta, ponieważ nikt w niej nie był na tyle odpowiedzialny, żeby ogłosić się królem. Trop drugi to były igraszki kryminalne. No i trzeci – rzeczy robotyczno-kosmiczno-science-fiction. A tutaj to już wiesz, jest parę potężnych wariantów – przestrzeń, czas, inwazja, eksplozja, maszyna. Czasem było tak, że mówiłem sobie: pora dziś na SF, bo baśń była tydzień temu, a kryminał dwa. No i to wszystko w bardzo zmienionej czasem postaci wchodziło potem do moich książek. Ostatnie z nich pisałem w gorszych okresach, kiedy nie istniała już „sześćdziesiątka", w miesiącach, w których różne perturbacje spotykały mój kabaret i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

– ***Przedtem słuchała Cię cała Polska. Trafiam czasem w młodej prozie SF na ślady „osłuchania Wolskim". Nie wymienię nazwiska, ale jedno, bardzo zresztą dobre opowiadanie z „Fantastyki" wydaje mi się nieświadomą, ulepszoną wersją jednego z Twoich słuchowisk. Głośna „Seksmisja" Machulskiego leży niebezpiecznie blisko „Matriarchatu" i „Neomatriarchatu". Ludzie wpuszczali radiową „trójkę" jednym uchem, wypuszczali drugim i dziwili się potem jakie piękne pomysły przychodzą im do głowy.***

– To nawet możliwe, moje rzeczy zaczęły się przecież pojawiać na antenie około 1973–74 roku. Wówczas poza Lemem i Strugackimi nie było w Polsce, nie powiem SF, ale social i political fiction. Pewnie rzeczywiście mam uczniów, bardziej lub mniej bezwiednych.

– ***A sam czyim jesteś uczniem? Oprócz Strugackich i Lemowi chyba zawdzięczasz wiele. Sporny „Neomatriarchat" wygląda na dowcipne rozwinięcie i trawestację „Podróży jedenastej" z „Dzienników gwiazdowych" Lema, w której opowiada on o planecie opanowanej przez komputer, na której ludzie ubrani w blachy udają przed sobą kanibalistyczne roboty. Roboty... kobiety – w życiu owszem, ale w opowiadaniu różnica niewielka.***

– Gdybym miał się przyznać do wpływów Lema, to właśnie tego jedynego opowiadania. Jest najbardziej publicystyczne w dorobku Lema; leży najbliżej, w samym centrum tego, co chciałem i lubiłem robić. Podejrzewam zresztą, że z niego wzięła się cała w ogóle nowa polska SF. Jest to opowiadanie-klucz, pokazuje fałszywą, wymuszoną postawę.

– ***Zgoda, wszyscy zaczęliśmy się od tego opowiadania! Jak myślisz, komu z kolei Lem je zawdzięcza?***

– Na pewno rzeczywistości. Natomiast w literaturze?.. Czekaj, w mniejszym lub większym stopniu wszystko bierze się z „Podróży Guliwera". Z przygód w kraju koni, czy z tej krainy szalonych naukowców. A we współczesnej fantastyce wszystko właściwie wymyślił Wells. W „Wojnie światów" jest parę zdań przy końcu, z których Strugaccy zrobili „Drugi najazd Marsjan", a Szulkin cały film. Kiedyś próbowałem to systematyzować i w zasadzie wszystko sprowadziło mi się do Wellsa. „Podróż jedenasta" Lema przypomina przecież „Krainę ślepców" Wellsa. Są w każdym razie nitki łączące te dwie rzeczy.

– ***A zapożyczenia Wolskiego – odkryjesz antenatów, czy zachowasz sekret dla siebie?***

– Problem w tym, że ja nigdy nie czerpię wprost, są natomiast rzeczy, które mnie inspirują. Wiesz skąd się wziął pomysł „Świnki"?

– ***Doktor Barnard. Przeszczepy. I „Lucky Man" – film Lindsaya Andersona. Jest tam taka scena: świnia z głową człowieka.***

– Przeszczepy też trochę, zgoda, ale Anderson – nie. Film przyszedł później. Nigdy byś nie zgadł. „Świnka" wzięła mi się z przygód Doktora Dolittle, ze sceny w jednej z książeczek, w której pies zeznaje w sądzie na korzyść swego fałszywie oskarżonego pana. Bliźniaczą scenę wymyśliłem do „Świnki"; później w pisaniu wszystko się zmieniło, świnia właśnie nie chce zeznawać, mimo że może. Dla mnie w każdym razie zaczęło się od Loftinga. Jeśli od kogoś biorę, to szalenie pokrętnie.

– Właśnie. W „Numerze", który wydaje się być wywiedziony z najgorszych doświadczeń XX wieku, raptem okazuje się, że Twój komputer unieszczęśliwia ludzkość dla jej dobra. Przez pomyłkę. Niechcący... To złości, szyfr się łamie, w rzeczywistości musi to wyglądać inaczej. Metafora świata „Numeru" jest niepełna, zapominasz o istnieniu perfidii, o niepohamowanej żądzy władzy.

– Nie zapominam. Bawię się w intelektualną grę, wykonuję zmyłki. Ludzie popełniają błąd, gdy odbierając moje rzeczy usiłują dokładnie podkładać wydarzenia pod wydarzenia, osoby pod osoby. To nic nie da. Geneza „Numeru" była taka, że mając 17–18 lat myślałem o idealnym systemie, który jawił mi się jako całkowicie zobiektywizowany układ przewidujący klasyfikację ludzi według ich intelektualnych możliwości. Jako chłopiec opisałem ten system, zrobiłem nawet plan idealnego ustroju...

– Taka zemsta prymusa nad światem.

– Nie prymusa, byłem bardzo złym uczniem z przedmiotów ścisłych. I na pewno nie zemsta, raczej azyl młodego idealisty. Pożyłem potem kilkanaście lat, skonfrontowałem to z życiem i przeszło mi. Pol Potowi na przykład nie przeszło, on pozostał chłopczykiem, który wymyślił sobie idealny system i żeby go wdrożyć, pół narodu wykończył motyką. Taka była geneza „Numeru". Książka nie traktuje o konkretnym systemie, tylko o problemie, jak z ciekawych pomysłów życie robi coś jeszcze ciekawszego, zgoła odwrotnego od założenia. „Numer" to jest właściwie prywatna polemika ze złudzeniami dzieciństwa.

– Dzieciństwa własnego i cudzego. Dzieciństwa nastolatka i dzieciństwa niektórych starców?

– Powiedzmy. Bardzo to różnie powstaje. Często zderzam się w pisaniu z wątkiem cudzym albo odwiecznie istniejącym w literaturze. Na przykład casus rozbitka. Wchodzę w tę sytuację, identyfikuję się z bohaterem, no i pojawiają się problemy. Inna rzecz to są tzw. aplegierki. Piszesz jakąś rzecz dla kabaretu, do książki, do prasy, ona ci nie pasuje, wyrzucasz ją, rzecz spada na ziemię i puszcza korzonki. Pewne wątki wracają. Często jest tak, że mam puentę, zaczynam od niej. Albo podejmuję wątek w miejscu, gdzie klasyk go skończył. Na przykład Romeo i Julia nie umarli, co było dalej?

– Wchodzi do tego życie – gorące miesiące, znajomi, rodzina, rozwód po drugiej stronie ulicy?

– Oczywiście, te rzeczy są jednostkami budulcowymi. Życie włazi do książki, do kabaretu, ale czasem w postaci dokładnie odwróconej. Wszystko, co widzimy, zmienia nas jako podmiot piszący. Mieliśmy do czegoś stosunek pobłażliwy, a to okazuje się – gryzie. Jak na to nie zareagować w pisaniu?... Tak zastanawiam się teraz, z czego wziął mi się „Matriarchat". Wersja radiowa powstawała w 1975 r., kiedy nie miałem jeszcze wyostrzonego stosunku do rzeczywistości...

– 1975, czekaj... już wiem! Międzynarodowy Rok Kobiet. Nawet było na tę okoliczność monety.

– Racja! Patrz, cholera, to było podświadome. Chyba mi, już po drugim czy po trzecim odcinku, ktoś coś takiego powiedział.

– Radio i kabaret w Twoim życiu? Współpraca z aktorem? Cykliczność?... To musiał być bardzo silny doping do pisania. Teraz do książek przerabiasz właściwie rzeczy z radia, z kabaretu, które powstawały we wcześniejszym okresie.

– To jest duży fart – praca z fajnymi ludźmi. Zespół pewne sprawy przyspiesza, stwarza przymus pracy, wyniki pracy zespołu są łatwiej zauważalne. Bardzo lubię w przypadku kabaretu pracować z kimś, mieć zwierciadło. To skraca czas, zanim dojrzejesz do refleksji, kolega podpowie ci co trzeba. Nigdy nie pracowałem w tandemie z zawodowym literatem, ale wszystkie moje spółki – z Gołębiewskim, Wojtyszką, Zaorskim – bardzo mnie rozwinęły. Aktorowi zawdzięczasz z kolei dialog. Piszesz dla konkretnego człowieka, to bardzo pomaga. Czujesz lepiej scenę, czujesz eter. Cykliczność natomiast daje możliwość zrealizowania się. U ludzi mających pomysł istnieje zawsze niebezpieczeństwo przegadania ich, wygadania się, wypuszczenia pary. Cykliczność sprawia, że nie gadasz tylko piszesz.

– Cykliczność audycji radiowych podpowiedział ci zabawny chwyt z „ciągiem dalszym". Nie ukrywasz radiowego rodowodu. Zostawiłeś to w książkach.

– Zaczęło się przypadkiem, robiłem sobie żarciki w „Matriarchacie", a potem chwyt mi się spersonalizował. Słuchacze w listach zaaprobowali to.

– Historyczne wykształcenie – daje to coś, czy przeszkadza w literackiej robocie?

– Myślę, że żeby cokolwiek robić, w literaturze szczególnie, trzeba się przynajmniej na jednej rzeczy dobrze znać. Inaczej jest to obłędny dyletantyzm – chyba, że się świetnie zna życie. A ja, jak powiedziałem, nie mam słuchu do prawdziwego życia. Ale jak się zastanowić, to cała właściwie SF jest projekcją historii w przyszłość. Wszystkie pomysły są niewolniczo związane z tym, co było. „Gwiezdne wojny" to średniowiecze w akcesoriach kosmicznych. Fantastyka, ta socjologiczna, polityczna, trochę tylko inaczej drapuje odwieczne ludzkie emocje, ambicje. Wiedza historyczna pozwala się w tym wszystkim połapać, stwarza rygory myślowe, daje znajomość procesów, przyczyn i skutków.

– Wychodzi, że wszyscy piszemy ciągi dalsze rzeczywistości. Fantaści i faceci z głównego nurtu też. Dlatego po kabarecie i radiu wylądowałeś właśnie w fantastyce?

– Trochę z przypadku. Trochę z konieczności. Nie jestem poza tym czystym fantastą, na pewno nie będę robił rzeczy w stylu typowe futuro, albo zabawa w kosmos. Mam pomysł na swoją inność w SF polegający na tym, że interesuje mnie świat, który najlepiej znam, w który wdziera się coś tajemniczego, coś się łamie, rozprzęga się jakiś mechanizm. Taka jest moja najnowsza powieść „Agent z dołu" dla WL opowiadająca o słabym człowieku, któremu piekło powierzyło losy świata. Rzecz powstała z dwu kabaretów, kompletnie przetworzonych, napisanych na nowo z wykorzystaniem takich starych tropów, jak motyw Frankensteina, Draculi, wampira itp., ale dzieje się w naszym świecie, który mamy przed nosem... Jeśli to jest SF – to w porządku. Ale to się dopiero niedawno zaczęło, ta moja przynależność do fantastów, właściwie od powstania waszego miesięcznika. Przedtem nie drukowano mnie w antologiach, nie wymieniano w branżowych artykułach – nie byłem w tej szufladce. Natomiast napisałem „Numer", uczciwą książkę SF i natychmiast mnie dostrzeżono. Pojawiłem się nawet na Liście Bestsellerów „Fantastyki". Zacząłem iść w górę i lista zniknęła. Nieładnie!

– Nieładnie, fakt! Następny, najważniejszy Twój pomysł na siebie w SF to humor. Wracam do punktu wyjścia – nie boisz się Marcin, że ciągnie się za Tobą kabaretowa i radiowa zależność od publiczności? Być zrozumianym, być śmiesznym, szybko trafić do adresata – to oczywiście autorskie cnoty. Ale czy nie uniemożliwiają mówienia tego, czego publiczność dziś jeszcze nie zrozumie, ale co zacznie rozważać pojutrze?

– Nie cierpię w literaturze zadęcia, powagi, ponuractwa i sam staram się tego unikać. Lubię humor, luz, łączenie spraw śmiesznych z wielkimi, bo na tym, nie na nudziarstwie, trzyma się wielka sztuka. Bo to jest najtrwalsze. I nie sądzę, bym był niewolnikiem czy może więźniem publiczności. Wiem dobrze, że publiczność bywa troszeczkę głupia, że bywa sterowana przez modę i publikatory. Spotkałem się kiedyś w terenie z grupą estradową w świetnym składzie – Tym, Młynarski, Friedman, jeszcze parę gwiazd. Nazwiskiem, które przyciągnęło publiczność na ich spektakle była... Loska. Dlatego mam ograniczone zaufanie do publiczności. Chociaż ona musi mnie akceptować, to ja jej nie. Muszę w niej znaleźć odbiorcę, nie zamierzam robić wszystkiego, żeby się jej podlizać.

– W literaturze tak samo, jak w kabarecie?

– W ogóle we wszystkim. W życiu też nie należy dążyć do bycia akceptowanym za wszelką cenę. Kiedy byłem młodszy upajało mnie, że mogę napisać wszystko, że to wychodzi, ale tak trwało do czasu, kiedy się zorientowałem, że pisanie to nie tylko fach, ale również posłannictwo. Że od literatury nie sposób oddzielić moralność. Że nie można być człowiekiem do wynajęcia, mówiącym sobie – jestem fachowcem, potrafię dobrze napisać na każdy temat, z każdej pozycji... To jest problem zwłaszcza początkującego autora, który ma taki propelerek, żeby drukować, występować, być. Na szczęście dość szybko, w połowie lat siedemdziesiątych, zacząłem się z tego otrząsać. Zorientowałem się, że pewnych rzeczy robić po prostu nie wypada. Że autor oprócz warsztatu musi mieć godność przede wszystkim.

– Dziękuję Ci, Marcin.

Marcin WOLSKI

(ur. 1947 w Łodzi) – radiowiec, satyryk, poeta, pisarz SF. Absolwent historii UW w 1972 r. W latach studenckich kierownik literacki kabaretu Stodoła. Debiut w „Szpilkach" w 1966 r. Debiut estradowy (Pod Egidą) – 1968 r. Pierwszy tom wierszy – **„Co nam zostało z tych wad"** (Czytelnik 1970). W latach 1969–81 pracownik Redakcji Rozrywkowej Programu III PR. W latach 1973–75 jej kierownik. Autor i koordynator magazynu „60 minut na godzinę" (1974–1981). Obecnie objeżdża Polskę z kabaretem „Tysiąc metrów na kilometr".

Ważniejsze widowiska: „Telefon zaufania" (wspólnie z M. Wojtyszką – 1973, Stodoła), „Niebieska komedia" (1973, Stodoła), „Szkoła upiorów" (1982). Z Andrzejem Zaorskim: Czarny Kabaret (1978), „Noto cyrk" (1982), „Zróbmy numer" (1983), „Damy wam szkołę" (1983), „Tajemnicza wyspa" (1983).

Opublikował: **„Antologia 60 minut na godzinę"** (Wyd. RTV – dwa wydania), **„Laboratorium nr 8"** (KAW, 1980), **„Enklawa. Neomatriarchat. Świnka"** (Wyd. Literackie, 1982), **„Numer"** (KAW, 1982).

W druku: **„Z przymrużeniem ucha – tomik z Wolszczyzną"** (Wyd. RTV – antologia twórczości radiowej, w tym opowiadań i słuchowisk SF).

W przygotowaniu: dla KAW zbiór najlepszych opowiadań SF **„Chuligan czasoprzestrzeni"**. Na warsztacie: powieść pod roboczym tytułem **„Bogowie jak ludzie"**, opowiadająca o próbie laboratoryjnego wychowania „Człowieka-Boga".

W „Fantastyce" nr 3/83 zamieściliśmy opowiadanie Marcina Wolskiego „Zadziwiający przypadek fascynacji".

(mp)

1957

SF dla dorosłych (ASF):

208. BORUŃ Krzysztof, TREPKA Andrzej: *Proxima.* Powieść fantastyczna. Wyd. II. Warszawa. Iskry. 8° ss. 543, nlb. 5. 20 000 egz.
209. BORUŃ Krzysztof, TREPKA Andrzej: *Zagubiona przyszłość.* Wyd. II popr. Warszawa. Iskry. 8° ss. 549, nlb. 3. 20 000 egz.
210. GAJDA Roman: *Ludzie ery atomowej.* Powieść fantastyczno-naukowa. Warszawa. Iskry. 8° ss. 317, nlb. 1. 8 000 egz.
211. KOREWICKI Bohdan: *Przez ocean czasu.* T. I/II. Warszawa. Iskry. 8° T. I ss. 424, nlb. 3; T. II ss.369, nlb. 2. 10 000 egz.
212. LEM Stanisław: *Astronauci.* Powieść fantastyczno-naukowa. Warszawa, Czytelnik. 16° ss.398, nlb.2. 20 000 egz.
213. LEM Stanisław: *Dzienniki gwiazdowe.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 257, nlb. 2. 20 000 egz. Zawiera: *Czy pan istnieje, Mr. Johns? – Szczur w labiryncie. – Koniec świata o ósmej (Bajka amerykańska) – Dzienniki gwiazdowe Ijona Tichego. Przedmowa oraz Podróże XII–XIV, XXII–XXVI i ostatnia.*
214. LONDON Jack: *Przed Adamem.* Przekład autoryzowany [z ang.] S.M. Posłowie A. Wierciński. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 149, nlb. 2. 10 000 egz.
215. MORSKI Eugeniusz [Marek]: *W pogoni za czarnym karłem.* Powieść fantastyczna. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 140, nlb. 1. 10 000 egz.
216. ŻUŁAWSKI Jerzy: *Na srebrnym globie. Rękopis z Księżyca.* [Wyd. III powoj.]. Kraków. [Wyd. Literackie (?)]. 8° ss. 392, nlb. 3. Biblioteka Polska. – Brak roku wyd., wydawcy i nakładu.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

217. MAJEWSKI Erazm: *Doktor Muchołapski. Fantastyczne przygody w świecie owadów.* [Wyd. III, powoj. I]. Oprac. Meltyna Gromadska, Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 251, nlb. 1, tabl. 8, portr., wkładka. 30 000 egz.
218. MAJEWSKI Erazm: *Profesor Przedpotopowicz.* Wyd. I powoj. Przypisy, mapy i tabl. oprac. Franciszek Adamczak. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 246, nlb. 2. tabl. 12, mapy w tekście. 50 000 egz.
219. UMIŃSKI Władysław: *Na drugą planetę.* Wyd. III powoj. [w notce mylnie II]. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 194, nlb. 2. 30 000 egz.
220. VERNE [Jules]: *Łowcy meteorów.* Tłum. z franc. Wojciech Natanson. Wyd. II powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 235, nlb. 1. 80 000 egz.

Utopia (U):

221. CHESTERTON Gilbert K[eith]: *Napoleon z Notting Hill.* Tłum. [z ang.] Janina Łaszczowa. Przedm. Roman Dyboski. Wyd. I powoj. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 224, nlb. 4. 10 000 egz.
222. JASIEŃSKI Bruno: *Palę Paryż.* Wstęp Anatol Stern. Wyd. I powoj. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 357. nlb. 1. 20 000 egz. Biblioteka XX-lecia.
223. LEM Stanisław: *Dialogi o zmartwychwstaniu atomowym, teorii niemożności, filozoficznych korzyściach z ludożerstwa, smutku w probówce, psychoanalizie cybernetycznej, elektrycznej metempsychodzie, sprzężeniach zwrotnych ewolucji, eschatologii cybernetycznej, osobowości sieci elektrycznych, przewrotności elektromózgów, życiu wiecznym w skrzyni, konstruowaniu geniuszów, epilepsji kapitalizmu, maszynach do rządzenia [i] projektowaniu systemów społecznych Stanisława Lema.* Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 322, nlb. 1. 5 000 egz. Utopia (właśc.: fantast. filozoficzna) /Fut./ MS. – Na okł. tyt.: *O zmartwychwstaniu atomowym. O psychoanalizie cybernetycznej. O konstruowaniu geniuszów. O życiu wiecznym w skrzyni.*
224. LONDON Jack: *Żelazna stopa.* Tłum. z ang. Julian Stawiński. W: *Żelazna stopa. Mieszkańcy otchłani.* Warszawa. Iskry. 8° ss. 11–267. 30 000 egz. Dzieła Wybrane Jacka Londona, t. 6.
225. SWIFT Jonat[h]an: *Podróże Guliwera.* Wyd. VI [w notce mylnie II] powoj. Przekł. [z ang.] Anonima z r. 1794. Oprac. i wstęp Jan Kott. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 347, nlb. 5. 30 000 egz. Biblioteka Arcydzieł. Najsławniejsze Powieści Świata.

Fantazja dla dorosłych (AF):

226. BALZAC [Honoré de]: *Jaszczur.* Wyd. IV [w notce mylnie II] powoj. Tłum. [z franc.] i wstęp Tadeusz Żeleński-Boy. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 236, nlb. 3. 20 000 egz. *Komedia Ludzka.* – Na k. tyt. imię aut.: Honoriusz.
227. CAROLL Lewis: *Alicja w krainie czarów.* Tłum z ang. Antoni Marianowicz. Wyd. II w tym oprac. [w notce mylnie I]. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 142, nlb. 2. tabl. 4. 100 000 egz. AF/CJF.
228. COSTER [Charles Theodore Henri de]: *Legenda jako też bohaterskie, wesołe i sławne przygody Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka Poczciwca w krajach flamandzkich i gdzie indziej.* Tłum. [z franc.] Julian Rogoziński. Wstęp R[omain] Rolland – tłum. Hanna Szumańska-Grossowa. Posłowie Theum de Vries – tłum. Czesław Przymusiński. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 640, nlb. 4, 30 000 egz. Biblioteka Arcydzieł. Najsławniejsze Powieści Świata. – Na k. tyt. aut.: Karol de Coster.
229. KUREK Jalu: *Belfagor, czyli 11 szufladek.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 176, nlb. 4. 5 000 egz.
230. WILDE [Oscar]: *Portret Doriana Graya.* Tłum [z ang.] Maria Feldmanowa. Wyd. I powoj. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 278, nlb. 1. 15 000 egz. Na k. tyt. imię aut.: Oskar.
231. ZAMBRZYCKI Władysław: *Nasza Pani Radosna, czyli Dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 346, nlb. 2. 10 000 egz.

Horror (W):

232. *OPOWIEŚCI z dreszczykiem.* Aut.: Aleksander Puškin [i in.]. Red.: Wojciech Żukrowski i Tadeusz Adrian Malanowski. Warszawa. Iskry. 8° ss. 461, nlb. 3. 20 000 egz.
233. WILDE Oscar: *Zbrodnia lorda Artura Savile.* [oraz] *Upiór z Canterville.* Tłum. z ang. Jadwiga Korniłowiczówna. W: WILDE Oscar: *Eseje. Opowiadania. Bajki. Poematy prozą.* Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 157–202 i 203–241. 10 000 egz. Opowiadania te zostały później wydane jako osobna książka pt. *„Upiór rodu Canterville'ów".*
234. *ZWIASTUN śmierci i inne opowiadania.* Aut.: Stanley J. Weyman i in. Tłum. z ang. Zofia Krajewska i Romuald Pitera. Katowice. Śląsk. 16° ss. 39, nlb. 1. 50 000 egz. Złota Podkowa – Stanley J. Weyman jest autorem drugiego opowiadania, pierwsze anonimowe.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Satelita IRAS[1], który wyruszył w Kosmos 25 stycznia 1983 roku, przekazał informację, że wokół Wegi powstaje układ planetarny. Odkrycie to stawia pod znakiem zapytania nasze dotychczasowe poglądy na możliwość istnienia życia we Wszechświecie: okazuje się bowiem, że gwiazd, które mogą być ośrodkami układów planetarnych, jest niewątpliwie więcej, niż sądzimy. Opis eksperymentu IRAS zaczerpnęliśmy z francuskiego pisma popularnonaukowego „Science et Avenir"

Jest sierpień 1983 roku, znajdujemy się w Chilton (Anglia), w laboratorium Appleton Rutherford. Specjaliści, którzy czuwają nad lotem IRASa od momentu jego startu, kierują jego teleskop ku Wedze, w gwiazdozbiorze Liry. Wykonują rutynowy manewr mający na celu sprawdzenie czułości detektorów satelity. Wega jest wprost idealną gwiazdą do tego typu działań: znajduje się w odległości zaledwie 26 lat świetlnych[2] od Ziemi i chociaż tylko dwa razy większa od naszego Słońca, jest aż 60-krotnie od niego jaśniejsza. A poza tym, co już szczególnie ważne dla wszelkich manewrów nastawczo-kontrolnych, ma dla oglądających ją z Ziemi jasność stałą i jest pod względem jasności trzecią gwiazdą w swoim gwiazdozbiorze.

Tak więc detektory IRASa zostają nastawione w kierunku Wegi i wkrótce potem uzyskane informacje wprawiają operatorów w ogromne zdumienie. Zaalarmowani specjaliści z Kitt Peak National Observatory koło Tucson oraz Jet Propulsion Laboratory Institute of Technology w Kalifornii przystępują do sprawdzenia obserwacji. Tak, istnienie nieoczekiwanego zjawiska potwierdza się: wokół Wegi rozciąga się gigantyczna chmura złożona z cząstek materii; ma ona kształt dysku o średnicy równej mniej więcej podwójnej odległości między Słońcem a Plutonem. Cieplne czujniki satelity rejestrują temperaturę: –300° (w skali Fahrenheita, czyli ok. –180° C – red.), a więc równą tej, jaka panuje na zewnętrznym pierścieniu Saturna.

Pierwsze obserwacje uzyskane dzięki IRASowi nie przyniosły żadnych informacji o rozmiarach elementów materii składającej się na ową chmurę; mogły one równie dobrze mieć wielkość drobnego śrutu jak dużej planety. Ale przecież Wega to nie Saturn, więc jej siła grawitacji szybko by sobie poradziła z obiektami o niewielkich rozmiarach. Wszystko więc wskazuje na to, że dysk wokół tej gwiazdy tworzą duże asteroidy, a może nawet planety.

Tak więc Wega to znakomity obiekt obserwacyjny dla astronomów. Odkrycie owego otaczającego ją dysku niewątpliwie pozwoli na znalezienie odpowiedzi na wiele pytań dotyczących powstawania układów planetarnych. A wyjaśnienie związanych z tym problemów jest tym trudniejsze, że dotych-

IRAS a życie poza Ziemią

Martine Castello

czas mamy tylko jeden wzorzec: nasz własny Układ Słoneczny. Od roku 1970 dzięki rozwojowi badań kosmicznych nieco inaczej spojrzeliśmy na jego kosmogonię i większość astrofizyków przychyla się do teorii głoszącej, że powstał on z mgławicy, która dzięki swemu ruchowi obrotowemu zapadła się pod własnym ciężarem i wskutek działania siły odśrodkowej przybrała kształt dysku; jego poszczególne elementy uległy kondensacji, co w partiach stosunkowo chłodnych dało początek planetom, podczas gdy z części centralnej, w której panowały najwyższe temperatury, powstało Słońce. Nie wiadomo jednak, jaka była kolejność tych zjawisk, co uformowało się wcześniej – Słońce czy otaczające je planety. Nie znamy również przyczyny, która umożliwiła takie skupienie elementów materii. Przed kilku laty wysunięto hipotezę, że u źródeł tego procesu legła niestabilność ciążenia.

Jest to tym bardziej możliwe, że Wega wcale nie jest jedyną „kandydatką" na centrum układu słonecznego: ostatnio we Wszechświecie dostrzeżono inne jeszcze związki takich układów, a jeżeli te wydarzenia nie stały się równie głośne jak sprawa Wegi, to jedynie dlatego, że astronomowie są ostrożni i wolą operować danymi sprawdzonymi. Tak więc na przykład obserwacje prowadzone na Hawajach wskazują na to, że wokół T Tauri (gwiazdozbiór Byka) krąży ogromnych rozmiarów planeta, a pomiary wykonane ostatnio w obserwatorium w Nobeyama koło Tokio pozwalają się domyślać obecności gazowego dysku wokół jednej z gwiazd konstelacji Oriona.

Każde z tych odkryć to niby snop światła rzucony na przeszłość naszego Układu Słonecznego:

Informacje, jakich dostarczył IRAS, stworzyły ponadto podstawę do rozstrzygnięcia innego bardzo istotnego problemu, wywołującego kontrowersje w środowisku naukowym. Otóż dla uczonych z pewnością nie było rewelacją stwierdzenie, że planety są niejako „produktem ubocznym" w procesie powstawania gwiazd, ale nie potrafili dotychczas udzielić odpowiedzi na podstawowe pytanie: czy nasz Układ Słoneczny ukształtował się w drodze typowych zmian ewolucyjnych zachodzących we Wszechświecie, czy może powstał w wyniku jakiegoś niezwykłego przypadku, czy wreszcie jakichś szczególnych przemian ewolucyjnych?

Gdyby słuszna była pierwsza z tych hipotez, we Wszechświecie roiłoby się od podobnych układów słonecznych; gdyby prawdziwe było jedno z dwóch pozostałych przypuszczeń, powstanie takiego układu musiałoby być zjawiskiem niezmiernie rzadkim. Odkrycie wokół dwukrotnie większej od naszego Słońca Wegi dysku złożonego z elementów materii stanowi dowód na to, że podobne do naszego układy słoneczne są zjawiskiem znacznie częstszym, niż dotychczas sądzono, a to, co zaobserwowano dzięki IRASowi, stanowi zaawansowane stadium normalnej ewolucji gwiazdowej.

Odkrycie to zapoczątkuje niewątpliwie całą serię dalszych obserwacji i bardzo możliwe, że w ciągu najbliższych lat wpadniemy na trop dalszych układów słonecznych, bo przecież uczeni nie zaprzestaną poszukiwań. Dzięki Wedze wiemy, że we Wszechświecie zachodzą zmiany ewolucyjne prowadzące do powstawania tego typu układów. Tak więc w naszej Galaktyce mogą istnieć inne układy słoneczne, co zwiększa szansę na istnienie w niej życia. W ten przynajmniej sposób rozumują „optymiści", czyli grupa uczonych z Carlem Saganem na czele, którzy są zdania, że we Wszechświecie bujnie kwitnie życie. Natomiast ich przeciwnicy, czyli „pesymiści", sądzą, że pojawienie się życia jest wynikiem zbyt wielkiej liczby przypadków i sprzyjających okoliczności, by mogło się pojawić gdziekolwiek poza Ziemią.

Wszelkie nasze dotychczasowe rozumowania opierały się na porównaniach, a jedyną gwiazdą stanowiącą punkt odniesienia było nasze Słońce. W jednym „optymiści" byli zgodni z „pesymistami", że gwiazdy, na których panują bardzo wysokie temperatury, nie mogą być otoczone planetami ze względu na zbyt wielką prędkość obrotową. Tymczasem informacje dostarczone przez IRASa dowiodły, że sprawa wcale nie jest taka prosta i że dla rozwikłania problemu potrzebna jest również pewna doza... wyobraźni. Tak czy inaczej wzór opracowany przez astrofizyka Franka Drake'a na określenie liczby cywilizacji, jakie w tym samym czasie istnieją w Galaktyce (N), wymaga rewizji. A wygląda on tak:

$$N = N^x f_p n_e f_v f_c T$$

gdzie N^x oznacza liczbę gwiazd podobnych do naszego Słońca, mogących stworzyć warunki do narodzin życia; f_p to liczba gwiazd z zespołem planet, które znajdują się w korzystnej dla powstania życia odległości od gwiazdy; f_v to liczba tych spośród nich, na których powstało życie ewoluujące w kierunku wykształcenia istot rozumnych; f_c to liczba planet zamieszkałych przez takie istoty pragnące z nami nawiązać kontakt; T to czas trwania prób komunikacyjnych.

Jeżeli należymy do grona „optymistów", możemy założyć, że:

- co roku w naszej Galaktyce powstaje dwadzieścia gwiazd podobnych do naszego Słońca;
- wokół dziesięciu z nich krążą planety, wśród których jedna zajmuje stosowne położenie;
- na co drugiej z nich powstaje życie rozwijające się w kierunku wykształcenia istot rozumnych;
- połowa z tych cywilizacji stara się o nawiązanie kontaktu z innymi cywilizacjami.

Wszystkie te założenia mają oczywiście charakter czysto spekulatywny i można je ustawiać na rozmaite sposoby, dochodząc do diametralnie różnych wniosków. Możliwe jest więc zarówno ocenienie – jak Carl Sagan – liczby cywilizacji istniejących w naszej Galaktyce na 200 milionów, jak i stwierdzenie – jak to zrobił jeden z „pesymistów", Robert Rood – że Ziemia jest jedynaczką Galaktyki. Jedno jest pewne: liczba gwiazd podobnych do naszego Słońca, jest większa, niż sądziliśmy.

Być może, że w stosunkowo niedługim czasie będzie możliwe ustalenie liczby układów planetarnych w galaktyce i określenie liczby planet, na których panują warunki do powstania i rozwoju życia[3]. Będzie również możliwe stwierdzenie, czy na takiej planecie istnieją molekuły życia. A wówczas pozostaje już tylko nadzieja, że to życie rozwinie się i będzie ewoluować w kierunku narodzin istot rozumnych, które zapragną nawiązać z nami kontakt.

I tak w najbliższym czasie będzie rosła liczba wiadomych we wzorze Drake'a, a informacji dostarczą – poza IRASem – satelity, które wkrótce wyruszą w przestrzeń kosmiczną: HIPPARCOS – amerykański Space Telescope, który zostanie umieszczony na orbicie w roku 1986, oraz satelita europejski, którego start jest przewidziany na lata dziewięćdziesiąte. Uzupełnimy te dane dzięki radioastronomii, przede wszystkim dzięki radioastronomii posługującej się falami milimetrowymi, która umożliwi wykrycie w przestrzeni kosmicznej cząstek organicznych, bowiem znakomita większość astronomów, zarówno „optymistów", jak i „pesymistów", zgadza się co do tego, że życie we Wszechświecie – jeśli istnieje – jest oparte na związkach węgla. Wiele przemawia za słusznością tej roboczej hipotezy, bowiem właśnie węgiel jest podstawowym pierwiastkiem wchodzącym w skład najbardziej złożonych związków chemicznych. Przypuszczenie to znajduje zresztą potwierdzenie w obserwacji niesprzyjającej życiu przestrzeni międzygwiezdnej, w której jedynymi wykrytymi związkami chemicznymi są właśnie związki węgla.

Część uczonych dopuszcza myśl o powstaniu życia na bazie krzemu, który wszakże występuje nie tak powszechnie jak węgiel, a ponadto wykazuje znacznie mniejsze możliwości tworzenia związków chemicznych; inni, jak np. Jean Schneider z Meudon, dopatrują się możliwości wykształcenia się pewnej formy życia opartego na skomplikowanych strukturach krystalicznych, które „żywiłoby się" energią mechaniczną, podobną do tej, jaką wyzwalają ruchy sejsmiczne na Ziemi. Taka forma życia byłaby dla nas z różnych przyczyn trudna do wykrycia, przede wszystkim dlatego,że powstałaby we wnętrzu planet i gwiazd. I nawet gdybyśmy dzięki przypadkowi na nią natrafili, niewiele by nam przyszło z tego kontaktu. Naprawdę interesować nas mogą jedynie takie istoty pozaziemskie, które by przeszły podobną do nas drogę rozwojową. Tak przynajmniej uważa większość astronomów, a przede wszystkim radioastronomów, poszukujących śladów związków organicznych we Wszechświecie.

Po odkryciu, jakiego dokonał IRAS, wszystkie radioteleskopy pracujące na milimetrowych falach skierowały się ku Wedze. IRAM (Institut de Recherche en Radioastronomie Milimétrique) przystąpił na wspólne zlecenie Francji, RFN i Hiszpanii do budowy i obsługi dwóch obserwatoriów prowadzących badania tej gwiazdy i jej dysku. Pierwsze z nich, które właśnie ma rozpocząć pracę, znajduje się w Pico Vele-

Dokończenie na str. 62

Dokończenie ze str. 61

ta w Hiszpanii, drugie zostanie w 1985 roku uruchomione w Bures-sur-Yvette na pd.zach. od Paryża. W Pico Veleta zainstalowano radioteleskop o 30-metrowej średnicy, zaś w Bures-sur-Yvette interferometr o trzech 15-metrowych antenach. Podstawę tego typu obserwacji stanowi założenie, że wszystkie cząstki emitują bądź absorbują promieniowanie o milimetrowych długościach fal, którego źródłem są drgania i ruch obrotowy wchodzących w ich skład atomów, przy czym każdy ruch odpowiada określonej długości fali.

Pierwsze takie obserwacje poczyniono już w roku 1937. Wówczas to wykryto w widmie wielu gwiazd w sąsiedztwie promieniowania o fali długości 400 nanometrów[4] prążki absorbcyjne rodników CN, CH^+ i CH. Obecność cząstek bardziej złożonych, np.organicznych, stwierdzono później i obecnie często się je w przestrzeni międzygwiazdowej spotyka. Wykryto w niej nawet alkohol etylowy – w chmurach przestrzeni międzygwiazdowej było go tyle, ile zawiera 10^{28} butelek koniaku! Jednak astronomowie z IRAM szukają w dysku Wegi nie alkoholu, lecz raczej jego przyszłych konsumentów. Wega jest gwiazdą młodą, jej wiek oblicza się na zaledwie miliard lat, a więc w porównaniu z wiekiem naszego Układu Słonecznego (4,5 miliarda lat) jest to dopiero okres dzieciństwa. Jeżeli posuniemy dalej nasze porównania, możemy stwierdzić, że na Ziemi, kiedy liczyła sobie analogiczną liczbę lat, pojawiły się pierwsze bakterie beztlenowce. Nie wiemy jednak, czy ewolucja układu planetarnego Wegi będzie przebiegała podobnie do dziejów naszego Układu Słonecznego, tym bardziej, że ostateczny los tych dwóch gwiazd będzie z pewnością różny. Wega, której jasność jest 60-krotnie większa niż naszego Słońca, spala się znacznie intensywniej i za miiard lat stanie się czerwonym olbrzymem[5], by następnie przekształcić się w białego karła. Trudno przewidzieć, jakie będą do tego czasu losy jej układu planetarnego. Jeżeli Wega byłaby źródłem życia, byłoby ono skazane na zagładę, chyba że mieszkańcy tego układu planetarnego wpadliby na pomysł przeniesienia się przed ostateczną katastrofą do innego. A potomkowie dzisiejszych Ziemian będą już wtedy niewątpliwie orientowali się, czy są we Wszechświecie sami, czy też mają licznych sąsiadów!

Przypisy:

1 IRAS to niewielki satelita wyposażony w urządzenie umożliwiające operowanie w dalekiej podczerwieni. Jest wspólnym dziełem Holendrów (satelita), Amerykanów (teleskop-noktowizor) i Anglików (odbiór informacji).

2 Rok świetlny = 1^{13} km.

3 Wiadomo obecnie, że życie na Ziemi nie byłoby możliwe, gdyby odchylenie od jej obecnej orbity przekroczyło 10%.

4 1 nm = 10^{-9} m.

5 Olbrzymy to gwiazdy o dużych jasnościach absolutnych (około 100 razy jaśniejsze od Słońca). Karły to gwiazdy należące do ciągu głównego na wykresie zależności jasności absolutnej gwiazdy od jej typu widmowego; taką gwiazdą jest Słońce. Najchłodniejsze gwiazdy określa się mianem czerwonych, zaś gorące – białych.

Przełożyła
M. Aleksandra Bagnowska

TAJEMNICA spadającego kamienia

Z tamtej strony lustra

M. Iłowiecki

Najpowszechniejszą, wszechobecną siłą we Wszechświecie jest siła grawitacji. Podlegamy jej wszyscy, zawsze i wszędzie napotykamy jej przejawy. Przez całe tysiąclecia było dla ludzi oczywiste – w ten sam sposób, jak na przykład dzisiaj jest to oczywiste dla dzieci – że wszystkie przedmioty materialne mogą same poruszać się z góry na dół czyli spadać, ale nigdy odwrotnie. Że kamień rzucony w górę spada zawsze na dół. Nikt się zwykle nad oczywistościami nie zastanawia, póki nie znajdzie się umysł niezwykły, który dziwią właśnie rzeczy oczywiste, dzięki takim umysłom istnieje nauka.

Na przykład Platon 23 wieki temu nie wahał się zapytać o rzecz tak naturalną: dlaczego właściwie kamień rzucony do góry zawsze spada na ziemię. Filozof znalazł odpowiedź, która dzisiaj może się wydawać naiwna (ale w swoim czasie wcale tak naiwna nie była). W gruncie rzeczy przecież pytania są zwykle ważniejsze od odpowiedzi – bo właściwa odpowiedź w końcu zostanie znaleziona, ale żeby jej szukać, trzeba najpierw postawić właściwe pytanie... Otóż Platon uznał, że po prostu ciało na świecie dąży tam, gdzie jest najwięcej ciał mu pokrewnych, podobnych do niego. Więc kamień – dąży ku skałom ziemi, wody deszczów spływają ku rzekom, rzeki dążą do mórz, a dym zdąża do chmur, których jest krewniakiem. Arystoteles, mający inny rodzaj umysłowości, nie mógł pogodzić się z teorią swego mistrza, szukał rozwiązania prostszego: podzielił po prostu wszystkie ciała na „ciężkie" i „lekkie". Ciężkie miały zawsze zdążyć ku środkowi Wszechświata (zatem ku środkowi Ziemi, bo ona była wtedy centrum Kosmosu), lekkie (ogień, dym, para wodna) – zmierzać ku jego peryferiom, strefom zewnętrznym. Taki pogląd przetrwał całe wieki i ciekawe, że pierwszy podważył go człowiek o umysłowości bardziej artystycznej niż naukowej: Leonardo da Vinci. Przypuszczał on z genialną intuicją, iż we Wszechświecie istnieje wiele ośrodków „przyciągających", zaś wielkość owej siły przyciągania-ciążenia zależy od odległości od niej. Następny – Galileusz zauważył rzecz zdumiewającą: że ciała, niezależnie od tego, czy są ciężkie czy lekkie, spadają tak samo (oczywiście, pomijamy opór powietrza). Dotąd przecież uważano, iż ciękie przedmioty spadają szybciej niż lekkie. Nikt tego przez tysiąclecia nie sprawdził!

Jak wiemy, ideę powszechnego ciążenia pierwszy właściwie pojął i nadał jej formę prawa – Izaak Newton. Był to krok w poznaniu zaiste przeogromny, bo odtąd znano już prawa rządzące najpowszechniejszą siłą Wszechświata, poruszającą zarówno najdrobniejsze pyłki, jak i największe globy.

Ale znajomość praw znów nie wystarczała niektórym umysłom. Zresztą już i sam Newton próbował znaleźć odpowiedź na pytanie zasadnicze: dlaczego właściwie wszystkie ciała działają na siebie, jaka jest tego przyczyna? Co jest naturą grawitacji? Genialny Newton proponował różne odpowiedzi, odrzucał je, wracał do odrzuconych, znów je zmieniał i w końcu rozwiązania nie znalazł. W tamtych czasach znaleźć go nie mógł.

W początkach XX wieku pojawiło się nowe, niezwykłe dzieło umysłu ludzkiego: słynna teoria względności Alberta Einsteina. Przypomnę tutaj tylko pewne wnioski z tzw. ogólnej teorii względności, nie tłumacząc jej samej, bo nie potrafiłbym tego zrobić w felietonie, zresztą dla tych rozważań nie jest to niezbędne. Otóż Einstein odnalazł niezwykłe zależności między materią, czasem i przestrzenią. Okazało się, iż czas i przestrzeń tworzą swoistą jedność – czasoprzestrzeń – zaś ich właściwości zależą od materii! Jest to coś innego, niż ludzie wyobrażali sobie przez tysiąclecia i niż podpowiada nam intuicja i tzw. zdrowy rozsądek. Bo zwykle wyobrażamy sobie czas jako coś w rodzaju potężnej, absolutnie jednostajnie płynącej rzeki, obojętnej wobec przestrzeni i „zmieniającej rzeczy tego świata". Przestrzeń zaś byłaby po prostu pustką, nieskończoną pustką, w której tkwi materia i płynie rzeka czasu. Otóż nie, nie jest to tak i nie można rozdzielać tych trzech najważniejszych atrybutów świata. Obecność wielkich mas materii zmienia otaczającą je przestrzeń, zaś owa zmieniona przestrzeń wpływa na pobliski ruch wszelkich innych przedmiotów. Fizycy mówią, iż przestrzeń jest zakrzywiona i właśnie efekt przyciągania (ciążenia) jest przejawem obecności tej krzywizny; grawitacja wynika z geometrii czasoprzestrzeni. Analogią do tego (niedoskonałą, jak wszystkie analogie) byłaby na przykład elastyczna, naciągnięta błona, na której umieścimy ciężką kulę. Kula uczyni w błonie wgłębienie, wygnie ją – i to wgłębienie będzie zmieniać tor innych kulek, toczących się po błonie w pobliżu wielkiej kuli. Zakrzywienie trójwymiarowej przestrzeni jest trudniejsze do wyobrażenia. Jeszcze trudniejsza do wyobrażenia jest zmiana biegu czasu w pobliżu wielkich mas materii, czyli w silnym polu grawitacyjnym – oto czas płynie tu wolniej...

Tak więc Einstein tłumaczył grawitację, owo powszechne ciążenie, geometrycznymi właściwościami czasoprzestrzeni. Jest też kilka innych dziwności, wynikających z teorii Einsteina. Na przykład, że prędkość rozchodzenia się grawitacji jest skończona, że wywołane przez ciało zakrzywienie czasoprzestrzeni „rozchodzi się" z prędkością światła i że powinny istnieć samodzielnie fale owego zakrzywienia, czyli f a l e g r a w i t a c y j n e ! Einstein sądził, że pole grawitacyjne musi mieć jakiś związek z polem elektromegnetycznym i przez całe życie szukał tego związku, szukał teorii jednolitego pola. Jak wiadomo, nie znalazł jej.

Znamienne, że na długo przed Einsteinem znakomity fizyk doświadczalny Faraday zanotował w 1849 r.: *„Grawitacja. Siła ta z pewnością powinna dać się powiązać doświadczalnie z elektrycznością, magnetyzmem i innymi siłami".*

Fal grawitacyjnych poszukują fizycy już od wielu lat. Z teorii wynika, iż muszą być one niesłychanie słabe, tak słabe, że współczesne przyrządy pomiarowe nie byłyby ich w stanie wykryć. Jednakże od czegóż są wynalazcze umysły! Oto kilkanaście lat temu amerykański fizyk Joseph Weber zbudował specjalne anteny fal grawitacyjnych (mniejsza o skomplikowane szczegóły techniczne) i zauważył, że udało mu się te fale zarejestrować. Wywołało to wielkie podniecenie w świecie fizyków, ale potem nikomu już nie udało się powtórzyć doświadczeń Webera.

W 1974 r. przez gigantyczny radioteleskop w Arecibo (Porto Rico, 300 metrów średnicy czaszy!) odkryto podwójny pulsar, nazwany PSR 1913+16

(w odkryciu tym brał udział młody polski astronom Marek Abramowicz). Pulsar jest to gwiazda neutronowa o tak olbrzymiej gęstości, że mając masę większą od masy Słońca, ma średnicę nie przekraczającą kilku kilometrów. Pulsar może mieć właśnie związanego ze sobą towarzysza: druga gwiazdę neutronową albo gwiazdę w stadium tzw. białego karła, albo tzw. czarną dziurę. Znów mniejsza o szczegóły (w tym wypadku układ podwójny składa się prawdopodobnie z dwóch gwiazd neutronowych), istota sprawy polega na tym, że takie małe, supergęste i poruszające się szybko blisko siebie ciała są najlepszym układem, dającym astronomom możliwość uchwycenia ewentualnych efektów związanych z falami grawitacyjnymi. Po kilkuletnich obserwacjach nowo odkrytego układu podwójnego J. Taylor i L. Fowler (z Uniwersytetu Massachussetts w Amgers, USA) wraz z P. McCullochem (z Australii) zauważyli pewne niewielkie zmiany ruchu pulsara, które idealnie pasują do założenia, iż gwiazda traci energię, ponieważ właśnie wysyła fale grawitacyjne. Jest to, jak dotąd (1984 r.), jedyny pośredni dowód istnienia tych fal (pośredni, bo wnioskuje się z efektów wtórnych i jeszcze nie wiadomo na pewno, czy czasem ów pulsar nie traci energii w inny sposób).

Dlaczego jednak odkrycie owych tajemniczych fal miałoby jakieś znaczenie?

Otóż ciekawe, że większość fizyków wierzy w istnienie fal grawitacyjnych, które musiałyby nieść zarówno energię, jak i informację i w pewnych ważnych własnościach byłyby podobne do fal elektromagnetycznych. Z teorii kwantów wynika, że fale są makroskopowym odpowiednikiem istnienia kwantów (najmniejszych możliwych porcji energii). Dla fal elektromagnetycznych (światło, fale radiowe itd.) są to fotony, wobec tego w przypadku fal grawitacyjnych musiałyby istnieć najmniejsze porcje energii grawitacji – grawitony. Teoria przewiduje istnienie grawitonów, ale doświadczalnie nie wykryto ich dotychczas. Teoria przewiduje także, iż grawitony mogłyby się przekształcać w inne cząstki elementarne. Wynika stąd wiele dziwnych rzeczy, ale w sumie sprawa sprowadza się do tego: konsekwencją istnienia fal grawitacyjnych byłaby całkowita kolejna zmiana naszych pojęć o przestrzeni i czasie. Trudno to sobie wyobrazić, jeszcze trudniej wyjaśnić, może więc poprzestaniemy na takim ogólnym stwierdzeniu: w świecie fal grawitacyjnych nie można stwierdzić konkretnej odległości w przestrzeni, ani następstwa w czasie, można tylko mówić o prawdopodobieństwie takiej czy innej odległości w przestrzeni i w czasie. Nie chodziłoby przy tym o to, że informacja na ten temat istnieje, tylko nie potrafimy jej jeszcze odszukać i dlatego mówimy o prawdopodobieństwie. Nie – tu chodziłoby o niemożliwość z założenia, o prawo przyrody, o taką, a nie inną strukturę rzeczywistości. W takim świecie czas i przestrzeń jakby się „rozpłynęły" i podważa to najbardziej niewzruszone kategorie naszego myślenia. Być może sama istota rzeczywistości jest najzupełniej inna, niż wskazują nam zmysły, rozsądek, doświadczenie.

No dobrze, nie martwmy się na razie, istnienia fal grawitacyjnych wciąż nie dowiedziono ostatecznie. Przypomnijmy sobie tylko, że na przykład fale elektromagnetyczne J.C. Maxwell również przewidział najpierw teoretycznie, potem dopiero po 20 latach odkrył je Hertz, twierdząc zresztą, że jest to odkrycie zupełnie nieużyteczne praktycznie. Po dwóch latach działał już telegraf, wkrótce pojawiło się radio. Dziś nie można by wyobrazić sobie naszej cywilizacji bez praktycznego wykorzystania fal EM!

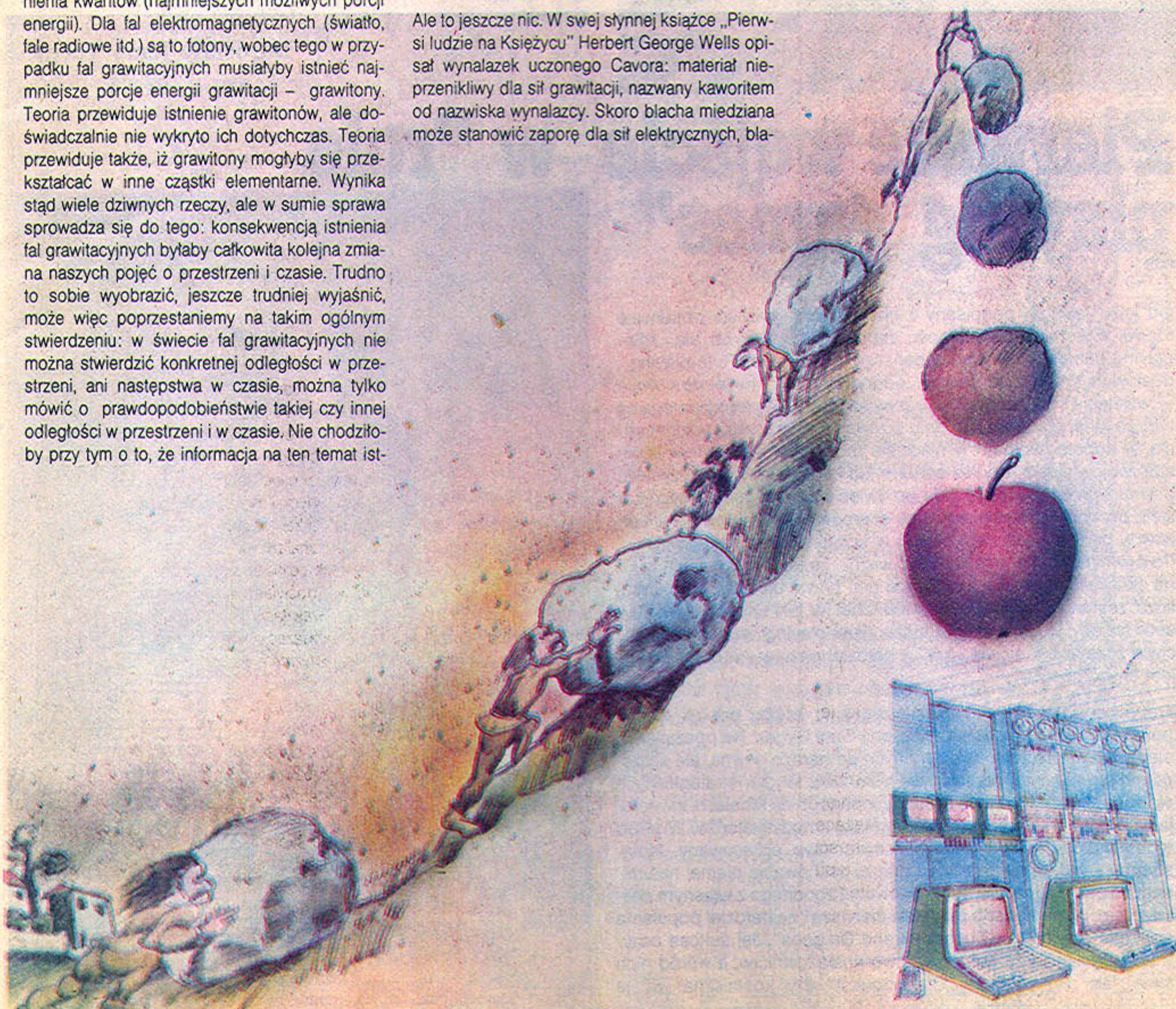
Teraz zbliżamy się do fantastyki naukowej (podkreślam tę granicę, by nie zarzucano mi, iż niepostrzeżenie opuszczam teren nauki, by zająć się fantazją). Otóż można sobie wyobrazić wykorzystanie techniczne fal grawitacyjnych w łączności, skonstruowanie grawinadajników i grawiodbiorników. Byłby to postęp niebywały, bo fale grawitacyjne – w odróżnieniu od elektromagnetycznych – mogą prawie bez pochłaniania przechodzić przez wszystko, więc także przez ziemię i wody oceanów. Biorąc też pod uwagę inne ich właściwości, rewolucja w łączności byłaby absolutna.

Ale to jeszcze nic. W swej słynnej książce „Pierwsi ludzie na Księżycu" Herbert George Wells opisał wynalazek uczonego Cavora: materiał nieprzenikliwy dla sił grawitacji, nazwany kaworitem od nazwiska wynalazcy. Skoro blacha miedziana może stanowić zaporę dla sił elektrycznych, blacha żelazna – dla magnetyzmu, dlaczegóż by nie mógł istnieć kaworit... Cavor zbudował gondolę, osłoniętą kaworitem i pewnej nocy zdjął z niej osłonę od strony Księżyca. Kaworit od strony Ziemi chronił statek przed ziemskim przyciąganiem, przyciągania zaś Księżyca nic nie hamowało i Cavor mógł polecieć na Księżyc... No cóż, piękna fantazja, i właśnie „osłony antygrawitacyjne" jako najlepszy z możliwych środków napędowych w Kosmosie pojawiają się w niezliczonych pozycjach naukowej fantastyki. Kto wie? Nie można zresztą wykluczyć z całą pewnością, iż na przykład antymateria związana jest z antygrawitacją. Wówczas, przy wszystkich zastrzeżeniach, można sobie wyobrazić taki myślowy eksperyment: antykamień (kamień zbudowany z antymaterii) w ziemskim polu grawitacyjnym wznosiłby się do góry, zamiast spadać na dół!

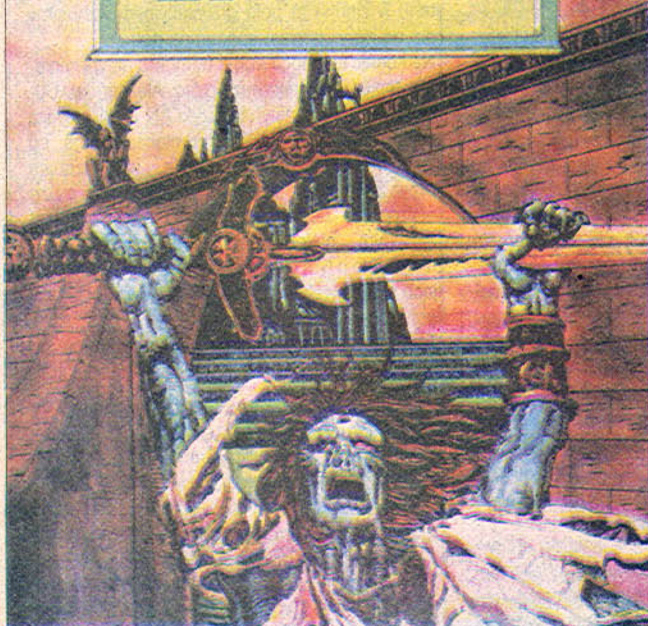
Na koniec nie mogę sobie odmówić przypomnienia fantazji najciekawszej: oto Aleksander Dubrow (biofizyk z Instytutu Fizyki AN ZSRR) uważa za możliwe istnienie biograwitacji, czegoś, co jest biopolem energetycznym, wytwarzanym przez żywe istoty, a zwłaszcza przez ludzki mózg – i co ma pewne właściwości grawitacji, jest swoistym „biologicznym powszechnym ciążeniem". Ale o tym innym razem, już i tak wystarczająco rozgniewałem fizyków i biologów, którzy biograwitację uważają za bzdurę.

Tak, czy inaczej, okaże się kiedyś w końcu, co było bzdurą rzeczywiście, co zaś hipotezą trafną.

■



Marek Zalejski



Pierwsze wejście w "role playing games"

Od kilku lat niżej podpisany z niemałą dozą zawiści obserwuje rozwój i rosnącą popularność zabaw, nazywających się „role-playing games". Czy wiedzą państwo, co to jest? „Role-playing", dosłownie przełożone, znaczy „odgrywanie roli", mniej dosłownie – „wcielanie się", „games" to oczywiście „gry". A całość polega na tym, że ktoś, po całym tygodniu borykania się z szarą codziennością, w sobotę (wolną) i w niedzielę może stać się czarownikiem albo wojownikiem, czy też bardem lub kapłanem. W towarzystwie podobnych mu osób wędruje po świecie pełnym magicznych zaklęć, potworów i niezmierzonych skarbów, czekających na śmiałków w podziemiach zamków lub w splątanych labiryntach jaskiń. Po pewnym czasie przestaje być ważne, że ten świat istnieje tylko na skrawkach papieru, a rządzące nim prawa ujęte są w kolumny liczb, zestawionych w dziesiątkach tabel. W taki sposób bawią się setki tysięcy, jeśli nie miliony ludzi. „Role-playing" trudno już właściwie zmieścić w słowie „gra" – bardziej pasującym określeniem jest chyba „hobby".

Odpowiedzialność za zrodzenie się tego hobby ponosi dwóch panów – Amerykanie Dave Arneson i Gary Gygax. Na początku lat siedemdziesiątych na bazie znanych od bardzo dawna, ale szczególnie popularnych od zaledwie kilkunastu lat gier strategicznych rozpoczęli oni budowanie systemu, opartego na tabelach, zawierających ogromną liczbę współczynników i modyfikatorów. W skład tego systemu wszedł bardzo szczegółowo opracowany, fantastyczny świat, wymagający od gracza zachowania niemal naturalnego, dający mu możliwość reagowania zgodnego z własnym charakterem. W ten sposób powstała pierwsza i najbardziej popularna gra „role-playing" – „Dungeons and Dragons". Jej sukces oczywiście pociągnął za sobą mnóstwo naśladownictw, a wśród nich takie, jak „Runequest", „Dragonquest" czy kosmiczna wersja „role-playing" – „Traveller", które w tej chwili popularnością co najmniej dorównują „D&D".

Otóż i u nas coś się w tej dziedzinie ruszyło. Kilka tygodni temu (te słowa pisane są w początkach lipca) pojawiła się gra „Labirynt śmierci", wydana przez firmę ENCORE. Nie jest to wprawdzie „role-playing" w całym tego słowa znaczeniu: instrukcja „Labiryntu" liczy 10 stron, zaś instrukcje do rozwiniętej wersji „Dungeons and Dragons" to trzy ponad 200-stronicowe księgi formatu A-4. Jednak w „Labiryncie śmierci" jest kilka elementów, występujących również w tych wielkich systemach. Przede wszystkim grający nie występują przeciwko sobie – stanowią grupę, badającą tworzony na bieżąco labirynt i w ramach tej grupy muszą ze sobą współdziałać i wzajemnie się wspierać. Po drugie – cechy występujących w grze postaci są zmienne – skuteczność ich działania może być zwiększona w miarę zdobywanego doświadczenia i majątku. Po trzecie wreszcie – „Labirynt" opiera się w pewnym, zresztą dosyć ograniczonym stopniu, na tabelach. Te elementy pozwalają, chociaż jakby tylko przez chwilę i z oddalenia, poczuć czym jest prawdziwa „role-playing". Ale jeżeli dotychczas w Polsce można było nabyć tylko „Chińczyka" i pchełki, a w najlepszym razie przeróbkę „Monopoly", to „Labirynt śmierci" stanowi na naszym rynku coś zupełnie nowego.

Na tylnej stronie okładki „Labiryntu" znajduje się zapowiedź następnej gry – „Bitwy na polach Pellenoru", opartej na motywach trylogii J.R.R. Tolkiena. Dzięki uprzejmości p. Jana Adamskiego z ENCORE możemy państwu zaprezentować projekt jej okładki. „Bitwa" jest strategiczną grą wojenną, a więc różni się od „Labiryntu śmierci". Łączy je natomiast to, że obie czerpią motywy ze świata fantasy. Miłośnicy „Władcy Pierścieni" znajdą w niej znane postacie – Gandalfa, Aragorna, hobbitów, Nazgule i inne – jednak nie one, nie pojedynczy osobnicy odgrywają tu zasadniczą rolę. „Bitwa" jest grą wojenną, symulującą oblężenie Minas Tirith przez siły Mordoru, a więc podstawowe znaczenie mają w niej oddziały wojsk, a od graczy wymagana jest przede wszystkim zdolność strategicznego i taktycznego planowania operacji bitewnych. Tak więc mogę z czystym sumieniem napisać: to jest – u nas – coś nowego!

Darosław Jerzy Toruń



Andrzej KALISZEWSKI

De revolutionibus

podobno
– stwierdził to pewien filozof –
przy każdym obrocie ziemia
wytwarza hałas słyszalny
daleko w kosmosie

tak samo grają
inne planety

to skrzypienie osi
warczenie

mlaskanie
ten furkot mlecznej drogi
rozsadzający bębenki

to muzyka gwiazd

lecz my
stojący zbyt blisko
w tym huku poczęci
nazwawszy go ciszą
przez chwilę jesteśmy
kształtem czasu popiołem
nim dalej ruszamy
w strumieniu materii

nie słyszy nas ziemia

Andrzej KALISZEWSKI jest autorem kilku tomików poezji. Obecnie jest kierownikiem działu poezji Wydawnictwa Literackiego.

Czarna dziura

Już dawno uczeni ogłosili starą Ziemię kulminacją wszelkiej materii. Dokoła był eter, coraz rzadsza mgła. Życie innych, dostatecznie dalekich planet stanowiło miłą zagadkę do poduszki.

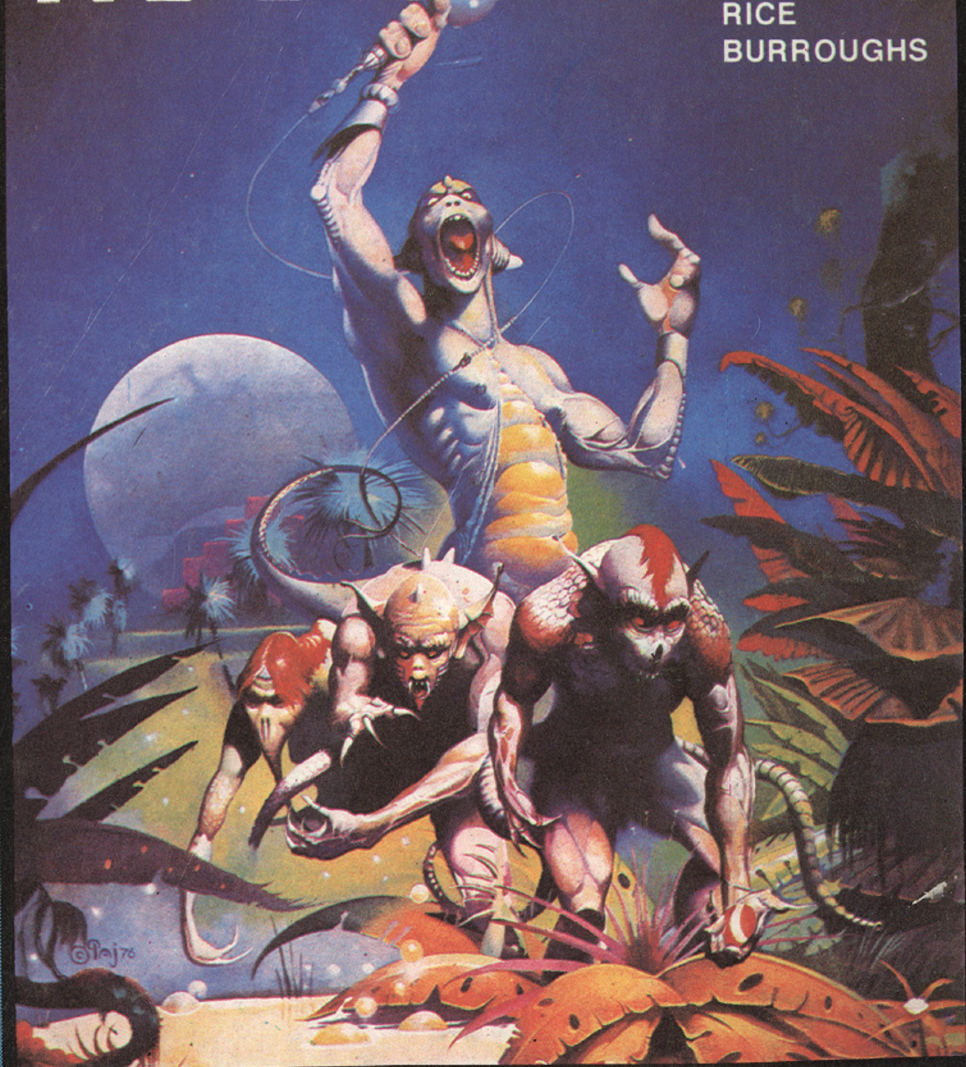
Wtedy pojawiły się one. Nie są to dziury w ziemi, jamy skąd wychodziły śmierdzące smoki i hałaśliwe diabły.

Czarne dziury, jak można podejrzewać, nie są wcale czarne, nie są też dziurami. Wręcz przeciwnie: to małe superżarłoczne kulki, które krążą i połykają wszystko, także fale świetlne (przez co ich nie widać). Ta żarłoczność pozwala najmniejszym z nich osiągać ciężar Ziemi, a większe już tylko czekają, by nas w sekundzie zgnieść i wessać do czarnego pyska.

Myśl o nich sprawia, że czasem stajemy wystraszeni, nasłuchując, czy nie trzeszczą wiązania atomów.

Marzy mi się diabeł. Żeby wylazł z dziury i tępą igłą powoli nakłuwał mój serdeczny palec.

J. GUTKOWSKI



ACHILLEOS

fantastyka